

Korolewicz Danuta

Dama z fontanny



Prolog

Wzniesione niegdyś zamki, warownie rycerskie, dwory, pałace i rezydencje wzbudzają u oglądających je z daleka lub zwiedzających wnętrza tych wspaniałych budowli podziw dla kunsztu ówczesnych architektów oraz budowniczych i rozbudzają wyobraźnię czasów, w których powstawały. W wielu przypadkach czas okazał się dla nich tak łaskawy, iż zachowały się w doskonałym stanie. Nawet fragmenty murów czy na wpół zrujnowanych baszt przypominają o przeszłości, świetności wielu pokoleń znanych, arystokratycznych rodów, książąt, właścicieli olbrzymich dóbr, o wielkopańskich ucztach, ale i intrygach, zbrodniach ukrytych w mroku historii.

Wiele zabytkowych zamków zostało odkupionych od Skarbu Państwa za symboliczną złotówkę i zamieszkałych przez rodziny roszczące sobie prawo do ich własności od wielu pokoleń. W wielu dzieją się niewytłumaczalne zjawiska, których istnienie w realnym świecie budzi wątpliwości.

Stare zamki, otoczone murem, nierzadko z położonym nieopodal stawem, czasem zarośniętym zieloną rzesą lub wodorostami wijącymi się na tafli jego wody, wkomponowane w zieleń wielu hektarów starych parków, w ciemnościach budzą dreszcz emocji swoim niesamowitym wyglądem, oświetlone blaskiem księżyca.

To w takich miejscach po dziedzińcu bezgłośnie suną w mroku upiorne karety zaprzężone w trzy pary koni i znikają nagle, jakby rozplynęły się w powietrzu.

Nocą po zamkowych krużgankach przechadza się dama z wachlarzem, w kolorowych, powłóczystych sza-

tach, które nosiła za życia, być może odbywa pokutę za dokonaną zbrodnię, nie mogąc znaleźć spokoju po śmierci, a może pilnuje swoich dóbr.

Czasem lokaj w liberii, trzymając w ręku wielki lichtarz z zapalonymi świecami, mknie bezszelestnie po długim zamkowym korytarzu, a jego postać nie odbija się w lustrach wiszących na ścianie.

Nawet w ruinach rezydencji pojawiają się widma przemykających psów, koni bez jeźdźców, a kiedy wiatr hula i zawodzi, usłyszeć można dziwne szepty, rozwiane w jego podmuchach wołanie, przerażający chichot...

W zamkowych komnatach po wygaszeniu świateł czasem wyczuwa się czyjaś obecność, zimny powiew, wówczas paniczny lęk przed niewiadomym zrasza potem czoło.

Nauka nie zdołała wyjaśnić natury tych niesamowitych zjawisk paranormalnych, miejsca nawiedzane przez duchy nadal pozostają tajemnicą, budzą strach, grozę i rozpalają wyobraźnię u tych, którzy się z tym spotkali. Zjawiska te nasilają się, kiedy pada deszcz... Wystarczy tylko przejść przez zamkową bramę...

Rozdział 1

Lipcowa burza rozszalała się w nocy. Potoki deszczu waliły z charakterystycznym szumem, przecinanym odgłosem grzmotów i błyskiem piorunów rozświetlających przez ułamek sekundy ciemność ulicy. Krople wody popychane podmuchem wiatru stukały w szyby i opadały na parapet okna. Nad miastem wisiały ciężkie, ponure chmury, nie pozostawiając nadziei na słoneczny, upalny dzień pachnący lipami rosnącymi przed kamienicą.

Dopiero nad ranem kaskady wody zamieniły się w drobny, siąpiący deszcz, przynosząc przez uchylone okno świeży zapach lata.

Po nieprzespanej, niespokojnej nocy jednostajne szemranie kropeł usypiało i kiedy Edyta otworzyła zaspane oczy, zaraz z powrotem wtuliła głowę w poduszkę.

To już ostatnie wakacje po całorocznej harówce, okupionej świadectwem dojrzałości, i szacowne mury liceum niedługo całkowicie zatrą się w świadomości, chociaż spędziła tam kilka lat, na przemian dobrych i niezbyt udanych, jak to bywa w szkolnym życiu.

Plany spędzenia beztroskich wakacji w pełni słońca, rześkiej wody nad morzem lub jeziorem, w otoczeniu oszałamiających barw lata spaliły na panewce, zresztą to było do przewidzenia z całkiem prozaicznego powodu: braku odpowiednich finansów. Jak zwykle!

Pada i pada... Właśnie w taki dzień, kiedy w jej życiu zawitała odrobina optymizmu...

Za drzwiami na korytarzu rozległy się kroki i po chwili w szparę uchylonych drzwi wetknęła rozczochraną blond głowę Ola, młodsza o dwa lata siostra dziewczyny.

- Jeszcze śpisz? Wstawaj! Zapomniałaś, że dzisiaj masz tam jechać?

Edyta odwróciła głowę w jej stronę i zamrugała oczami:

- Nie zapomniałam. Całą noc nie spałam, tak waliły pioruny! - powiedziała zaspanym głosem.

Ola, w piżamie w zielone słoniki, wsunęła się do pokoju i przystanęła obok kanapy siostry.

- A swoją drogą, to ja bym tam nie pojechała - wzdrygnęła się, patrząc na nią.

- Dlaczego? To tylko kilkanaście kilometrów za Grudziądem.

-Ale Bohdany to zapadła dziura, odludzie... a ty chcesz tam pojechać do pracy. Widziałam ten zamek z daleka, właściwie jego fragment i wieżę, bo otoczony jest drzewami, ale nie chciałabym tam ani mieszkać, ani pracować. Wygląda dość ponuro.

-O co ci chodzi? - Edyta wzruszyła ramionami, sięgając po „Nowiny” z 19 lipca z zaznaczoną ofertą pracy. - A jak ma wyglądać? Jak szklany wieżowiec? Przecież tam ktoś mieszka i na pewno nie będę jedyną osobą z personelu. To nie jest domek jednorodzinny. Masz taką minę, jakbym wybierała się na własny pogrzeb!

- Ale... słyszałam różne dziwne rzeczy na temat tego zamczyska... nie... ja bym tam nie pojechała! - Ola przysiadła na brzegu kanapy.

- Czego się boisz? Starej budowli? Chyba oglądasz za dużo horrorów, a duchów nie ma, jeżeli to masz na myśli, tylko zjawiska, których racjonalnie nie można wytłumaczyć.

- No właśnie!

- Ola, nie zniechęcisz mnie i wiem, że nie mówisz tego poważnie, tylko się wygłupiasz. Dość długo szukałam pracy, nawet nie mogłam zrobić imprezy w zeszłym roku na osiemnastkę, a w tym... O, kurczę! Na dziewiętnastkę! Szkoda, że w pośredniaku nie mam żadnych znajomych. Zresztą, oni mają swoich świętych, wiem coś o tym. Zarobię trochę

kasy i pojedę do Krynicy Morskiej, chociażby po sezonie, kiedy pustoszeją plaże, woda w Bałtyku jest już zimna, a ja będę chodziła blisko brzegu, oblewana falami z białą grzywą - rozmarzyła się Edyta, siadając obok siostry.

- Mamie też to się nie podoba.

- Jestem pełnoletnia i wiem, co chcę robić. Jasne, że wolałabym pojechać do Paryża i nie liczyć się z forszą. Ale mój Paryż to miotła w rękę i mycie cudzych okien! W liście nie jest określone żadne stanowisko pracy, po prostu: przyjmujemy panią do pracy od dwudziestego siódmego lipca, prosimy o stawienie się o godzinie trzynastej w zamku w Bohdanach. No i dzisiaj tam pojedę.

- I co tam będziesz robić?

- Cokolwiek. Ja będę w Bohdanach, a ty pojutrze u ciotki w Gdyni, więc ciesz się i nie kracz. Może poznasz jakiegoś przystojniaka w mundurze Marynarki Wojennej?! Wstaję! Zejdź z kanapy.

Ola podreptała w kapciach z pomponami do drzwi, w progu przystanąła i odwróciła się do Edyty:

- Aha! Zanim wyjedziesz, to zadzwoń do mamy, bo dzisiaj zostaje dłużej w pracy i nie zdąży zrobić przeglądu twojej torby. - Przymrużyła oko. - Na pewno by ci wpakowała parę zimowych rzeczy, żebyś przypadkiem się nie przeziębiła.

- Wiem, wiem. Daj mi już spokój, bo naprawdę zapakuję to, co nie będzie mi potrzebne. Ten deszcz mnie tak rozstraja...

- A dla mnie jest to obojętne, mam wakacje i tylko to się liczy! A co do przystojniaków w mundurach, to świetny pomysł. Podobają mi się marynarze.

- Uważaj! Masz dopiero siedemnastkę!

- To poderwę... dwudziestolatka! - Ola zakołysała biodrami i zniknęła za drzwiami.

Edyta podniosła się, przeciągnęła się leniwie, opuściła nogi na miękkim dywaniku przed kanapą, usiadła przy

biurku i jeszcze raz przebiegła wzrokiem zawiadomienie o przyjęciu do pracy w zamku w Bohdanach. Zakwaterowanie z pełnym wyżywieniem, praca dwuzmianowa, wynagrodzenie... no, dość zachęcające... pokój do własnej dyspozycji... Ciekawe jakiego rodzaju to będzie praca. W kuchni... albo jako pokojówka? Czyli sprzątaczką. Wysyłają po nią taksówkę. To dobrze, nie będzie błądziła po jakichś wertepach.

Spojrzała w okno. Leniwie sunące po szybach małe strumyczki wody przypominały, że jeszcze pada, chociaż przejaśniało się i pokój powoli zalewało światło wychylającego się zza chmur słońca.

Taka aura zawsze ją przygnębiała, nawet z chłopakiem zerwała, kiedy wracali z nieudanej, przeplatanej wzajemnymi pretensjami randki; dzisiaj, po kilku tygodniach, nawet nie potrafiła odtworzyć przebiegu tej pełnej niechęci rozmowy, jakby byli już starym, znudzonym sobą małżeństwem.

W przeciwieństwie do siostry była drobnej budowy niewysoką szatynką z krótką, wygodną czuprynką i szaroniebieskimi oczami okolonymi długimi rzęsami. Miała regularne rysy, ale, jak sama twierdziła, z niewinnym wyrazem twarzy i o urodzie nie powalającej na kolana. Nieco chłodna w okazywaniu uczuć, nawet w stosunku do tych, których bardzo lubiła - po prostu nie była wylewna, a zmuszać się do sztucznych uśmiechów nie miała zamiaru. Przyjaciołom to nie przeszkadzało i wszyscy czuli się doskonale w swoim towarzystwie. Czasem uszyła sobie jakiś gustowny ciuszek - zdolności do kroju i szycia odziedziczyła po matce, w szafie miała kolekcję spodni, tunik i... adidasów. Uwielbiała piesze wędrówki, słońce i wszelkiej maści maskotki. Chciałaby usamodzielnąć się w kwestiach finansowych i pomóc matce. Ojciec zmarł po długiej chorobie, kiedy miała dwanaście lat, a matka nie zarabiała wiele jako sprzedawczyni w sklepie warzywniczym.

Edyta wstała i włączyła ulubiony standard jazzowy. Ze stojącej w kącie pokoju wieży popłynął głos Billie Holiday w utworze *Summertime*. Ta muzyka wlewała się w serce, napawała optymizmem, stwarzała kolorowy nastrój, dodawała siły i wiary w każde przedsięwzięcie. A przecież jedzie do ponurego zamku.

Przez chwilę trwała w bezruchu, wsłuchując się w ostatnie takty piosenki, po czym wyłączyła wieżę, sprawdziła, która jest godzina, i podreptała do łazienki. Czasu do wyjazdu nie pozostało zbyt wiele, była dziesiąta, a taksówka wysłana po nią przez właścicieli zamku miała przyjechać o dwunastej.

W pokoju przebrała się w rzeczy przygotowane do wyjazdu: nieśmiertelne spodnie, tunikę i adidasy. Przez poręcz krzesła przerzuciła letnią kurtkę z kapturem.

W kuchni czekało już na nią śniadanie przygotowane przez Olę, które zmuszona była przełknąć pod jej czujnym wzrokiem, chociaż emocje związane z czekającą ją pracą były o niebo większe niż chęć zjedzenia czegokolwiek.

- Jak tylko tam przyjedziesz, to zadzwoń - przypomniała jej Ola, pałaszując porcję jajecznicy z zielonym szczypiorkiem.

- Zadzwonię. Otwórz okno, to nie jest zima.

- Znowu leje - Ola posłusznie wykonała polecenie siostry, po czym wróciła do przerwane śniadania.

- I taka pewnie będzie końcówka lipca, może nawet cały sierpień? - westchnęła Edyta, wstając od stołu. - Niedługo przyjedzie po mnie taksówka, chyba podali kierowcy dobry adres - zaniepokoiła się.

Podeszła do okna, odchyliła firankę i wpatrzyła się w ruch pojazdów na ulicy.

- Tak się ucieszyłam, kiedy przyszedł ten list, ale jechać tam wołałabym, kiedy świeci słońce... sama nie wiem, dlaczego, przecież jadę do pracy, a nie na wczasy - rzuciła, nie odwracając się do siostry.

-Jeżeli tam ci się nie spodoba, możesz wrócić do domu. Uparłaś się, żeby iść do pracy, a przecież możesz jechać ze mną do ciotki.

- Nie chcę wyciągać od mamy pieniędzy, sama na siebie zarobię. A teraz muszę się spakować. Mam nadzieję, że zabiorę najbardziej przydatne rzeczy. Nie wiem, kiedy wrócę, może pod koniec sierpnia albo września? Z treści listu nie wynika, na jaki okres mnie zatrudniają

- Edyta lekko wzruszyła ramionami, głęboko odetchnęła świeżym powietrzem i odeszła od okna.

Szybkim krokiem wyszła z kuchni, coraz bardziej podekscytowana wyjazdem do Bohdan. To będzie jej pierwsza praca, z daleka od domu, w intrygującym miejscu, o którym nawet nie myślała w ten sposób, gdyby nie paplanina Oli.

W swoim pokoju do podróżnej torby wrzuciła przede wszystkim kilka sztuk spodni, wygodne buty, bluzki, dwa ciepłe swetry, bieliznę i polar. Ten ostatni zawsze sprawdzał się w chłodniejsze dni, a wszystkie znaki na niebie i ziemi zapowiadały niezbyt upajające lato. Kosmetyczkę włożyła do torebki, uprzednio starannie pomalowała czarnym tuszem rzęsy i nałożyła na usta różową szminkę. Dokumenty i telefon z ładowarką powędrowały do kieszeni z boku torebki, a wraz z nimi mała, teatralna lornetka; prezent od chłopaka, który traktowała jak maskotkę i nie rozstawała się z nią. Była jak talizman albo przestroga, żeby lepiej wybierać obiekt westchnień.

Parasolkę położyła obok torby i zadzwoniła do sklepu, w którym pracowała jej matka. Po kilku sygnałach usłyszała jej głos:

-Tak?

- Cześć, mamó. Za chwilę wyjeżdżam, będę stamtąd dzwonić. Nie musisz się o mnie martwić.

- Jeżeli będą cię tam źle traktować albo nie spodoba ci się tam, to wracaj!

- Nie lubię takich tekstów, jadę i życz mi przyjemnej pracy.

W słuchawce rozległo się westchnienie.

- Gdybym więcej zarabiała... -Ale jest, jak jest! Cześć, mamó!

- Pamiętaj, masz wrócić, jeżeli będzie ci za ciężko!

- Jasne. Zadzwoń! Do zobaczenia.

Przez zamknięte drzwi słyhać było słaby sygnał domofonu. Edycie zabiło mocniej serce. To na pewno kierowca taksówki. Nie myliła się. Drzwi gwałtownie otworzyły się i do środka wpadła Ola, jakby ktoś ją gonił.

Nabrała powietrza i wypaliła:

- Po ciebie!

Stała przed Edytą i wpatrywała się w nią w z takim napięciem i wielkimi oczami, aż ta zachnęła się:

-Co się tak napięłaś?! Zaczyna mnie to wkurzać. Może będziesz mogła mnie tam odwiedzić, jak wrócisz od ciotki, a teraz pomóż mi zanieść torbę do taksówki.

- W pizamie?

- No, tak. To cześć.

Cmoknęła siostrę w policzek, podniosła torbę z podłogi, parasolkę wsunęła do jej zewnętrznej kieszeni, torebka zawisła na ramieniu, po czym z przybraną na twarzy surową miną zdecydowanym, twardym krokiem wyszła z mieszkania. Nie chciała, żeby młodsza siostra zauważyła, że wyjazd w nieznane miejsce trochę napawa ją strachem, i kiedy zamknęły się za nią drzwi mieszkania, odpuściła niezłomną postawę. Powoli, krok za krokiem, ciągnąc za sobą ciężką torbę, zeszła z trzeciego pietra na parter bloku i po otwarciu drzwi wyjściowych zaczerpnęła haust parnego jeszcze powietrza, z kompozycją zapachu deszczu i mokrej ulicy obsadzonej po obydwu stronach zielonymi drzewami, ociekającymi błyszczącymi kroplami wody.

Taksówka - volvo, stała naprzeciw wejścia do korytarza. Nieco dalej następna. Na widok niepewnie rozglądającej

się Edyty, typującej wzrokiem tę właściwą, z volvo wysiadł kierowca i skinął głową.

- Dzień dobry. Pani Edyta Mroczkowska? - zapytał.

- Tak. To ja.

- Mam zlecenie, żeby zawieźć panią do zamku, do Bohdan - taksówkarz podszedł do niej i poprosił o torbę. - Położę na tylne siedzenie - wyjaśnił.

Otworzył przed dziewczyną drzwiczki z przodu samochodu.

- Proszę.

Po chwili ruszyli w drogę mokrymi, dobrze znanymi jej, szarymi ulicami miasta, w którym zostawiła, na chwilę przecież, dom, przyjaciół, wypadły z nimi nad Wisłę, nad Jezioro Rudnickie, stare mury liceum i zaczęła dorosłe życie pracą z ogłoszenia.

W wiekowym zamku.

Po szybach taksówki spływały strumyki wody, zamazując horyzont za oknami. Edyta wodziła przez chwilę wzrokiem za ścierającymi szyby wycieraczkami, potem odwróciła głowę w bok, patrząc na powoli mijane drzewa, rosnące wzdłuż leśnego duktu. Jaki smutny dzień. Pomyślała, że cały sierpień może okazać się zimny, ponury, deszczowy, czasem przeplatany cieplejszymi dniami.

Taksówka wolno pokonywała wąską drogę z kałużami wody, błyszczącymi jak tafla lustra.

Edyta zaniepokojona przesiąkniętą nawierzchnią drogi zapytała kierowcę:

- Nie zakopie się tutaj? Deszcz ciągle pada. To jedyna droga do zamku?

- Zaraz wyjedziemy na szosę. To tylko zagajnik, dość rozległy, ale znam tę drogę dobrze, prawie na pamięć - uspokoił ją. - Gdybyśmy pojechali prosto, tam, gdzie była

tablica informacyjna, to byśmy wpakowali się w korek. Słyszałem w radiu, że jest tam jakiś wypadek - wyjaśnił mężczyzna, omijając kolejne, nieduże rozlewisko wody. -A tak zapytam panią z ciekawości, w jakim charakterze pani tam jedzie? Była pani już tam kiedyś?

- Nie. Zamek widziałam jedynie na fotografii w gazecie, w której zamieszczona była oferta pracy, no i... jadę. Nigdy bym nawet nie pomyślała, że pierwszą pracę dostanę w takim zabytkowym miejscu. Jestem trochę stremowana, pewnie jak artyści przed występem na scenie.

Mężczyzna rzucił na Edytę uważne spojrzenie.

- Co pani będzie tam robiła? - zapytał.

- Jeszcze nie wiem, może to będzie praca w kuchni, jako pomoc kuchenna, albo jako pokojówka, w zasadzie jest mi to obojętne, to praca tymczasowa.

-To duża posiadłość ze starym parkiem, wieloma hektarami gruntu, dopiero od niedawna znowu zamieszкана przez rodzinę Bohdanowiczów... podobno z herbem - grymas na ustach taksówkarza wskazywał na wątpliwość posiadania herbu. - Nie widziałem z bliska tej posiadłości, bo zawsze zatrzymuję się przed bramą, ale podobno nie do końca jest odrestaurowana, na taki zamek trzeba mieć fortunę. - Pokiwał ze znawstwem głową. - Tylko że jak pani zapewne wie, Skarb Państwa niektóre zabytki oddawał za symboliczną złotówkę, do restauracji, a ci podobno mają papiery, że są wielopokoleniowymi właścicielami tego zamku - rozwiązał mu się język.

Edytę zaciekawiła zbieżność nazwiska właścicieli rezydencji z nazwą miejscowości.

- Ciekawe, czy Bohdanowiczowie i nazwa miejscowości Bohdany to przypadek, czy powrót dawnych domowników, jeżeli mogłabym tak ich określić - przeniosła wzrok z mężczyzny na powoli wyłaniający się pas asfaltowej szosy.

-Tego nie wiem, zresztą nigdy nad tym się nie zastanawiałem. Może kiedyś wieś była własnością rodu

Bohdanowiczów? Wiele lat temu mieszkali tam właściciele posiadłości, nie wiem dokładnie, ilu ich było... może pięć... sześć... osób. Czasem widywałem ich, jak przejeżdżałem, a oni byli w pobliżu bramy. Potem, około roku temu zostało tam już tylko dwoje starszych ludzi. Małżeństwo. Wiem o tym, bo nieraz dowoziłem im różne rzeczy. Kiedy on zmarł, ta kobieta gdzieś zniknęła, ale do zamku nikt nowy się nie wprowadził. Słyszałem, że pieczę nad nim sprawował jakiś mężczyzna. Pewnie jakiś ochroniarz pilnował, żeby nikt się tam nie włamał. Dopiero kilka miesięcy temu pojawili się nowi lokatorzy. A wie pani, że - zwrócił głowę w stronę dziewczyny - jakiś miesiąc temu wiozłem tam młodą kobietę, prawie w pani wieku, też do pracy, ale ona była bardziej stremowana, nawet przed samą bramą chciała zawrócić... ale jakoś wysiadła i zadzwoniła do nich domofonem - tym razem grymas na jego ustach i pokiwanie głową wskazywały na uznanie dla tej decyzji.

- To duża posiadłość, na pewno pracuje tam kilka osób wewnątrz zamku, ktoś do napraw sprzętu, drobnych remontów, ogrodnik, bo chyba wokół zamku jest jakiś ogród, klomby?

- Nie wiem, nie byłem nigdy za bramą. A w mieście nie było żadnej pracy? - mężczyzna zatrzymał samochód przy wyjeździe z zagajnika, po czym wyjechał na asfaltową szosę.

- Niestety, ta była jedyna, za to z dość dobrym wynagrodzeniem, więc długo się nie zastanawiałam. Mam nadzieję, że znajdę jakąś pracę na stałe albo na co najmniej rok, chociaż nie mam złudzeń co do załapania się na dobrą umowę, na czas przynajmniej kilku miesięcy - powiedziała z goryczą Edyta.

- Wiem coś o tym, bo w mojej rodzinie i wśród krewnych są podobne problemy. No, zaraz dojedziemy do zamku, jeszcze z szosy podjazd w bok, jakieś kilkadziesiąt metrów i jesteśmy na miejscu. Sam zamek stoi dość daleko

od głównej bramy - dodał taksówkarz, podjeżdżając drogą wybrukowaną szarą kostką pod wielką bramę wjazdową wiodącą do posiadłości Bohdanowiczów.

Zatrzymał taksówkę i odwrócił się do dziewczyny.

- Jesteśmy na miejscu. No, to powodzenia w pierwszej pracy i oczywiście wysokich zarobków, ale, co równie jest ważne, życzę dobrego samopoczucia u państwa - ostatnie słowo wymówił z przymrużeniem oka.

- Dziękuję bardzo, ale nie wjedzie pan do środka? -Nie. Nie wpuszczają. Zatrzymuję się przed bramą.

Musi pani zadzwonić domofonem, jest tam, przy furtce bramy - pokazał- i otworzą pani.

- Ile mam panu zapłacić za kurs?

- Nic. Płacą ci z zamku.

- To jeszcze raz dziękuję i do widzenia panu - Edyta wysiadła z samochodu i zaczęła na bagaż, który z tylnego siedzenia podał jej kierowca.

- Może powiadomią mnie, kiedy skończy się pani czas pracy, a może zostanie pani tu na dłużej. Zawsze składają dyspozycje w biurze, nie znam ich osobiście. Proszę otworzyć parasolkę - poradził - zanim dotrze pani do zamku, porządnie pani zmoknie. Proszę spojrzeć, ledwo go widać, jedynie ta wieża wystaje ponad dach.

- Założę kaptur na głowę, nie pokażę się tam zmoknięta, z wyglądem przestraszonej pensjonarki.

- Do widzenia pani - kierowca uścisnął Edycie rękę, wsiadł do volvo, zapalił silnik i wolno odjechał.

Na tle mokrego, zalanego deszczem horyzontu majaczący w oddali zarys zamku malował się smutno, szaro, jedynie wysokie drzewa rosnące przy grubym murze otaczającym budowlę dodawały panoramie zielonej barwy lata. W wielki, murowany, łukowaty wjazd na teren posiadłości, wsparty na dwóch grubych filarach, wkomponowana została kuta, żelazna, dwuskrzydłowa brama, natomiast furtka znajdowała się z boku, za filarem bramy,

wykuta w murze otaczającym zamek. Prześwity między pniami drzew ukazywały mur miejscami podniszczony od góry, gdzie widoczne były ubytki cegieł, natomiast dolna część sprawiała wrażenie mocnej, niezniszczalnej, zbudowana z różnej wielkości głazów.

Edyta podeszła do furtki, na której zamontowana była skrzynka pocztowa, i z ciekawością spojrzała w głąb posiadłości. Wydawało się, że zamek jest niezamieszany, bo pozbawiony był śladów życia, ale siąpił jeszcze deszcz, więc trudno byłoby kogokolwiek oczekiwać na zewnątrz w taką pogodę. Zza jej pleców, z szosy oddalonej o kilkadziesiąt metrów od bramy, dochodził co jakiś czas szum przejeżdżających samochodów. Po obydwu stronach podjazdu rozciągał się szpaler drzew, krzewów i zarośli tworzących przedłużenie zagajnika, czy raczej lasu. Zanim zadzwoniła, odeszła od furtki, przeszła kilkanaście metrów w dół i rozejrzała się wokoło. W bezpośrednim sąsiedztwie zamku nie dostrzegła żadnej budowli, domu, nawet chaty; wszędzie dominował las, zakrywając jakiegokolwiek zabudowania, nie było widać żywego ducha, poza ludźmi przemieszczającymi się w różnej marki pojazdach po mokrej szosie.

Edyta spojrzała na zegarek, zawróciła pod furtkę i nacisnęła przycisk domofonu. Za chwilę zrobi krok w przyszłość swojego losu u obcych ludzi, nowobogackich, pewnie traktujących służbę z chłodną uprzejmością. Bo przecież do służby już należy i powinna unikać z nimi zbyt poufałych kontaktów... a może to tylko jej wybujała wyobraźnia i to miejsce tak na nią działa? Raczej ta okropna pogoda.

Drgnęła, kiedy usłyszała z mikrofonu mocny, kobiecy głos:

- Słucham?

-Nazywam się Edyta Mroczkowska i przyjechałam do pracy.

- Proszę wejść.

Furtka otwierała się powoli, jak w filmach grozy, kiedy wpuszcza gości na mroczną, niesamowitą imprezę, gdzie dzieją się różne wzbudzające grozę wydarzenia.

To chyba paplanina siostry sprawiła, że Edyta wkraczając na drogę prowadzącą do zamku, poczuła na całym ciele większy chłód, niż stojąc przed wejściem, a koniuszki palców rąk i policzki owionął jej nieprzyjemny powiew lodowatego powietrza, jakby nagle spadła temperatura otoczenia.

Było cicho, pusto, fatalna pogoda przytłaczała, tłumiała nawet radość z pierwszej, z trudem zdobytej pracy, a z każdym krokiem po wybrukowanej drodze prowadzącej ku posiadłości Edyta czuła dziwny niepokój, przyprawiający o kołatanie serca.

Wolnym krokiem, rozglądając się z ciekawością dookoła, szła wzdłuż przystrzyżonego żywopłotu rozciągającego się po obu stronach szerokiej alei, za którym znajdował się gąszcz parku z wielkimi drzewami, krzewami i gdzieniegdzie przebijającymi się wśród nich alejkami. Park był ogromny. Nawet z alei można było docenić jego piękno i wielkość. Żywopłot biegł aż do dziedzińca zamku. Tuż przy jego zewnętrznej stronie ciągnął się wąski pasek krótko przyciętej trawy.

Edyta powoli, dźwigając ciężką torbę, zbliżała się do posiadłości. Deszcz już tylko kropił, ukazując bryłę budowli wraz z wieżą, znajdującą się po jej lewej stronie, która górowała nad zamkiem. Całość prezentowała się tajemniczo i imponująco. Wzbudzała ciekawość, oczekiwanie czegoś trudnego do zdefiniowania, choć gołym okiem było widać, że ceglany zamek wymagał nadal sporych nakładów finansowych: miejscami wykruszone na froncie budynku cegły, podobnie jak w murze okalającym zamek, czy uszkodzone gdzieniegdzie gzymsy nad głęboko osadzonymi, wąskimi, półkolistymi oknami. Nawet kilkustopniowe wejście do środka posiadłości wymagało natychmiastowej naprawy,

ostatni stopień straszył wręcz pęknięciami na całej długości.

Gmach zbudowany był z cegieł na planie nieregularnego czworoboku, jednopiętrowy z niskim poddaszem. Od strony wieży do okien na piętrze, prawie do połowy budynku, porośnięty pnącym, cieszącym oczy zieloną barwą winobluszczem.

Nawet laik w żaden sposób nie związany ze sztuką architektury, kiedy przyjrzał się rezydencji, mógł stwierdzić, że widoczne prace renowacyjne prowadzone były z pewnością na przestrzeni wieków. Jednak nowe, drewniane okna, dach pokryty nowoczesną dachówką nie zmieniły pierwotnej bryły zamku. Dwa obsadzone kwiatami klomby, oddzielone od budynku półkolistym podjazdem, który rozwidłał się w dwie strony, dodawały surowej budowli lekkości, barwy, cieszyły oczy paletą przeróżnych kolorów kwiatów i krzewów czerwonych róż.

Między klombami znajdowała się fontanna zadziwiająca pięknem formy. Pośrodku stał kamienny posąg damy w kapeluszu, w staroświeckiej, długiej sukni, trzymającej nad głową parasolkę, z której spływała woda. Obok postaci stał wielki pies. Edyta przez chwilę podziwiała rzeźbę, która mimowolnie przyciągała wzrok. Było w niej coś magicznego, tajemniczego, dama była wielkości dorosłej kobiety, pies wyglądał groźnie.

Dzieliło ją już tylko kilkanaście metrów od kamiennych schodów wiodących do głównego wejścia, gdy nagle rozległ się zgrzyt ciężkich, drewnianych drzwi i w progu stanęła młoda, około dwudziestoletnia kobieta, w białym fartuszk, z ciemnymi, gładko zaczesanymi w tył głowy włosami.

Czekała w milczeniu na Edytę, a kiedy ta przystanęła przy schodach, zeszła do niej i chwyciła torbę.

- Chodźmy! - rzuciła krótko.

Kiedy weszły do hallu, minęła dłuższa chwila, zanim oczy Edyty przyzwyczyły się do nieprzyjemnego mroku,

który w nim panował. Wąskie okna nie dostarczały zbyt wiele światła z zewnątrz, ściany pokryte były boazerią w ciemnym kolorze, a brak jakichkolwiek kwiatów w donicach potęgował przykre odczucie obcości nowego domu. Między oknami stały manekiny w replikach zbroi ze średniowiecza, do złudzenia przypominające ukrytych w nich ludzi. W ciemnościach, mijając je, z pewnością miałyby się ciarki na całym ciele. Korytarz był szeroki i pokoje usytuowane były jedynie po jednej jego stronie.

Pośrodku hallu zaczynały się szerokie, kamienne schody prowadzące na piętro, rozchodzące się na podeście w obie strony, zakończone drewnianą balustradą z rzeźbami głów jakichś zwierząt. Jedyne widoczne drzwi znajdowały się na wprost, pozostałe były ukryte za ścianami korytarza, zasłaniającymi górną galerię i tworzącymi strop nad parterem budynku.

- Tam są pokoje państwa Bohdanowiczów - wyjaśniła kobieta, zatrzymując się i idąc za wzrokiem Edyty. - Służba mieszka tu, na parterze - powiodła szybkim ruchem ręki we wszystkie strony korytarza. - Tutaj jest mój pokój - wskazała drugie drzwi po lewej stronie schodów. - Obok schodów jest pani pokój. Będziemy sąsiadkami.

- A komu mam zgłosić, że już przyjechałam? - Edyta była zaskoczona przebiegiem wydarzeń. - Myślałam, że najpierw właścicielom.

- Wszystko pani wytłumaczę w pokoju. - Młoda kobieta, nie patrząc na nią, wyjęła z kieszeni fartuszka klucz i otworzyła drzwi pokoju Edyty. - Proszę - zachęciła ją do wejścia do środka.

Edyta dźwignęła z posadzki torbę i przekroczyła próg swojego pokoju, a raczej dawnej komnaty. Widok surowego wnętrza nie zachęcał do zamieszkania, pomieszczenie w niczym nie przypominało jej przytulnego, małego pokoiku w bloku na osiedlu w mieście. Drewniana podłoga, dwa wysokie, wąskie okna do połowy zakryte roletami w grana-

towym kolorze, po bokach rozłożone drewniane, wewnętrzne okiennice, murowany kominek. Brązowa boazeria na ścianach była dla niej nie do przyjęcia w sypialni, ale szerokie, masywne, drewniane łóżko stojące pod ścianą równoległe do okna i drzwi, przykryte kolorową narzutą, z pewnością zapewniało dobry i wygodny wypoczynek po pracy. Równie barwny dywanik leżał tuż koło łóżka i na środku komnaty. Na szafce nocnej stała mała lampka, obok niej latarka, brakowało natomiast górnego źródła światła. Na wprost łóżka, przy ścianie, znajdowała się dwudrzwiowa szafa, stolik, dwa krzeselka, oraz niewielka komoda, na której stała plastikowa miska, dzbanek a nad nimi niewielkie owalne lustro.

- Skromny, ja mieszkam w takim samym - odezwała się młoda kobieta, widząc minę Edyty, wyraźnie zawiedzionej widokiem wyposażenia pokoju. - Luksusów tu nie ma, nawet oni, tam na górze - skierowała palec w górę - nie mają luksusów, widocznie to im odpowiada.

Położyła klucz od drzwi na stoliku i wyciągnęła do niej rękę:

- Jestem Urszula, a pani?

- Edyta.

- Mówmy sobie po imieniu - zaproponowała Urszula - chyba jesteśmy w tym samym wieku. Przepraszam cię, że tak bezceremonialnie potraktowałam cię na dzień dobry, ale jestem w kiepskim nastroju. A co do wieku, to mam dziewiętnaście lat.

- Ja też.

- Cieszę się, że jesteśmy rówieśniczkami - zabrzmiało to szczerze. - Bałam się, że zatrudnię kogoś o wiele starszego. Jak widzisz, w naszych pokojach nie ma nawet telefonu, na górze też nie ma, a z komórkami dzieją się tu dziwne rzeczy, krótko mówiąc, oszczędzają na wszystkim, nawet na energii, ta latarka przydaje się, kiedy wyłączą prąd - dziewczyna prychnęła. - Ale za to dobrze płacą, więc na razie się stąd nie ruszę, zresztą pochodzę z Bohdan, mam blisko do

domu. Siadaj i pytaj, mamy trochę czasu, zanim staniesz przed obliczem zarządzającej tą rezydencją.

Urszula usiadła na krześle i patrzyła z ciekawością na Edytę. Na chwilę zaległa cisza.

-Wiesz, chociaż jestem tutaj dopiero dwa miesiące, to... cieszę się, że będziesz obok mnie w pokoju - jej wyznanie zabrzmiało jak ulga, okraszona uśmiechem, który dodał jej twarzy jeszcze młodszego wieku. - Lipiec jest taki deszczowy... nieprzyjemny - dodała, lekko się wzdrygając.

Była szczupłą, przeciętnej urody ciemnowłosą dziewczyną z brązowymi oczami, okolonymi czarnymi rzęsami i wymodelowanymi w łagodny łuk brwiami. Miała drobne dłonie, z krótko przyciętymi paznokciami, pomalowanymi bezbarwnym lakierem i różowy błyszczak na ustach. Wyglądała na osobę śmiałą, rezolutną, zadowoloną w zamku i czującą się tam swobodnie, przy tym wydawała się zadowolona z przyjazdu nowej pracownicy. Są osoby, w obecności których można poczuć się, jakby znało się je od lat; Urszula taką była. Patrzyła przyjaźnie na nową lokatorkę zamku.

Edyta zdjęła kurtkę, torebkę przewiesiła przez poręcz krzesła i usiadła przy stoliku naprzeciw dziewczyny. Dłońmi wygładziła krótkie włosy, jakby przed chwilą potargał je wiatr.

Jeszcze przez chwilę rozglądała się, lustrując wzrokiem pomieszczenie, po czym zapytała:

-To ciebie usłyszałam przez domofon? Masz inny tembr głosu, tamten był taki... kategoryczny... ostry, jakby nie znoszący sprzeciwu, ale mikrofon zniekształca głos.

- To nie ja, to kucharka, Helena. Ona jest tu najważniejszą osobą. Rządzi całym domem, w kuchni jest jeszcze pomoc kuchenna, właściwie wykwalifikowana kucharka. Starsza od nas, chyba... o dwa lata, Wiesia. Świetnie gotuje, piecze ciasta. No i ogrodnik. On zajmuje się ogrodem, parkiem, sprzęta alejki, podlewa i naprawia wszystko, co

się zepsuje. Jak będziemy miały chwilę dla siebie, oprowadzę cię po całym terenie.

-Do kogo mam się zgłosić, żeby podpisać umowę? Nawet nie wiem, na jak długo... Pusto tu jakoś, nikogo po drodze nie spotkałam, wydaje mi się, że jesteśmy tutaj tylko we dwie. Przyjęłam tę pracę, bo nie miałam szans na inną, mieszkam w Grudziądzu, a tam jest więcej szukających niż ofert pracy. Jak myślisz, co mi zaoferują?

Urszula, patrząc jej prosto w oczy z dziwnym wyrazem twarzy, powiedziała z przekonaniem:

- Jak to co?! Nie wiesz? To, co tamtej!

- Nie rozumiem, komu? - Edyta ze zdumieniem czekała na wyjaśnienie.

-Ten pokój jeszcze trzy dni temu zajmowała twoja poprzedniczka... pokojówka jak ja i teraz będziesz ty.

- Wyjechała? Zrezygnowała z pracy?

- Wyjechała, ale... na tamten świat - Urszula wzdrygnęła się. - Dlatego jest tak cicho, bo ona leży teraz w baszcie... w trumnie... tam jest najzimniej, dzisiaj wywiozą ją na cmentarz.

- Do miasta?

- A skąd! Na terenie zamku jest taki mały cmentarzyk, też wiekowy i wolno tam chować.

Edyta zaniemówiła z wrażenia, czując chłód wpełzają-cy na policzki. Urszula nie spuszczała jej z oczu, w których czaiła się jakby odrobina ironii, ciekawość i oczekiwanie na reakcję dziewczyny.

- Ale... dlaczego tutaj? - wyjąkała Edyta.

- Nie wiem, nie obchodzi mnie to. Ten cmentarzyk jest daleko od zamku, nie widać go nawet z okien, a dzisiaj... - Urszula skrzywiła się, wzruszając ramionami - wieczorem. .. czuję to, będziemy wszyscy musieli iść tam, do wieży, na ostatnie pożegnanie.

- Dlaczego nie żyje? Miała wypadek, chorowała? Jak długo tu pracowała? - dociekała oszołomiona opowieścią

Edyta. Oparła łokcie o blat stolika i pochyliła się ku dziewczynie, czekając z napięciem na wyjaśnienie.

Na twarzy Urszuli pojawił się wyraz niezdecydowania, jakby niechęci do snucia dalszej relacji o losach zmarłej pokojówki i dopiero po kilku głębokich westchnięciach odpowiedziała:

- Była tu zaledwie miesiąc, wyglądała na taką pokorną, cichą, miłą dziewczynę i w gruncie rzeczy taką była. Tylko... nagle zaczęła dziwnie się zachowywać, pytałam ją, chciałam coś z niej wydusić, ale nic nie wskórałam. A jak już mówiłam, trzy dni temu ogrodnik znalazł ją pod wieżą. Nieżywą... z rozbitą głową... podobno na trawie było pełno krwi, może ten deszcz już ją splukał... Nie miałam odwagi tam pójść.

- Wezwali lekarza... policję?

- Oczywiście. Lekarz stwierdził, że przyczyną był upadek z wysokości, policja, że to był nieszczęśliwy wypadek i tak to się skończyło. Zabrał ją zakład pogrzebowy i dzisiaj przywiózł. Wieczorem znowu przyjadą i zawiozą ją tam...

- Co ona robiła w wieży?

- Z wieży jest piękny widok na całą okolicę, może za bardzo wychyliła się przez okno albo z tarasu widokowego i spadła? Padał deszcz, właściwie siąpił i może poślizgnęła się? Będiesz miała niejedną okazję, żeby tam wejść, na samą górę i przekonasz się, jakie są widoki dookoła. Mogę iść z tobą, jeżeli zechcesz, ale musimy zrobić to dyskretnie, bo Bohdanowiczowie dobrze płacą, ale trzeba być na każde ich skinienie. Spójrz tutaj - Urszula pokazała na mały głośnik nad drzwiami. - To jest zamiast telefonu.

- Przez całą dobę?

- Jak do tej pory, jeszcze mnie nikt w nocy nie obudził... chociaż... wiesz, to tylko martwa rzecz... i kiedy wiatr śwista... czasem... coś... w nim zazgrzyta... ale może tylko tak mi się wydaje. Najgorzej jest, kiedy pada deszcz... wte-

dy... - Urszula zmusiła się do bladego uśmiechu, który raczej przypominał chęć ukrycia i zbagatelizowania niedokończonego zdania - wtedy... robi się tak jakoś nieprzyjemnie, sama widzisz, że to takie stare mury.

- Ja też nie lubię, kiedy leje, grzmi i błyska. W taką pogodę ogarnia mnie zniechęcenie i nic, co zaplanuję, zazwyczaj mi nie wychodzi.

- Ale rozgadałam się, pewnie chcesz się rozpakować. Pomóc ci? - Urszula wstała, podeszła do szafy i otworzyła ją na całą szerokość.

- Nie, dziękuję ci, poradzę sobie. A gdzie jest łazienka?

- Kawalek dalej, w końcu korytarza. Tylko dla nas, pracowników.

- Ale trafiłam! Pierwszy dzień i już pogrzeb! Zamek grozy! - Edyta potrząsnęła głową. - Nie powiedziałaś mi jeszcze, kto podpisze ze mną umowę o pracę.

Urszula nieoczekiwanie głośno się roześmiała.

- Jaką umowę?! To robota na czarno, ale za to solidna kasa! Zaprowadzę cię do pani Heleny, kucharki, ona zajmuje się całym personelem, a Bohdanowiczów poznasz wtedy, kiedy oni będą tego chcieli, a nie ty!

- Myślałam...

-Myślałam, myślałam! Ciesz się, że wpadnie ci do kieszeni sporo kasy, to robota być może na miesiąc, dwa, więc daruj sobie umowę.

- Tak szybko wymieniają pracowników?

- Nie wiem... ale cieszę się, że masz pokój obok mojego. .. zawsze jest trochę różnie... w nocy i... tak w ogóle...

- Ja też tak myślę. Ten korytarz jest taki niedoświetlony, ponury, inaczej wyobrażałam sobie ten zamek w środku. Widziałam kilka odrestaurowanych, ale wnętrza były zupełnie inne niż te. Umeblowane antykami albo ich replikami, ale w końcu nie przyjechałam do muzeum, a do pracy.

- No właśnie, ale chodźmy już, musisz się przedstawić pani Helenie, pobrać służbowe ciuchy i na pewno jesteś głodna - zarządziła kategorycznie Urszula.

- Nie, jadłam w domu, ale z chęcią bym wypila gorącą herbatę z cytryną.

Edyta sięgnęła po torebkę i wyjęła z niej dokumenty.

- Ilu jest tych Bohdanowiczów? - zapytała z ciekawością.

Urszula podeszła do drzwi, oparła się o nie i patrząc przed siebie, zaczęła powoli wyliczać:

- Seniorka rodziny, Maria Bohdanowicz, ma chyba sto lat, prawie nie wychodzi z pokoju, Kazimierz Bohdanowicz z żoną Reginą i... prawdę mówiąc, to nie wiem, jak bliskie są koligacje rodzinne pomiędzy nimi a seniorką. Jest jeszcze ich córka Kamila i syn Szymon. Jego nie lubię. Uważa się za kogoś lepszego, nas, pracowników omiata wzrokiem, jakbyśmy byli przedmiotami, ale mam to gdzieś, w każdej chwili mogę odejść... chociaż, prawdę mówiąc, nie mam ochoty wracać na wieś, do ciężkiej pracy w polu czy przy zwierzętach. W gospodarstwie zostało kilku braci, ja i tak bym na wsi nie została - ostatnie zdanie wypowiedziała z pochmurnym wyrazem na twarzy.

- Bohdany to duża wieś? - Edyta wstała i przewiesiła torebkę na oparciu krzesła.

- Jak dla kogo. Dla ciebie, z miasta, to z pewnością dziura zabita deskami, jak każda wieś.

- Nie przesadzaj, nie musisz tam wracać, na razie masz tutaj pracę, a co będzie dalej, to tylko ty o tym zdecydujesz - Edyta starała się nie komentować różnicy między miastem a wsią.

- Jasne, ale chodźmy już - zaczęła niecierpliwie się Urszula, otwierając drzwi. - Zaraz państwu trzeba podać do stołu. - Przymrużyła oko. - Ty na dzisiaj masz to z głowy.

- Nie lubisz ich? - Edyta bardziej stwierdziła to, niż zapytała, bowiem pomyślała, że własny stopień sympatii do właścicieli w niedługim czasie sama określi, w swojej pięciopunktowej, prywatnej skali.

- Są mi obojętni. Kilka dni temu przyjechał do nich jakiś krewny. Widziałam go tylko raz, z daleka, nawet nie wiem, czy bym go poznała, gdybym go teraz zobaczyła. Nawet nigdy nie spotkałam go w salonie podczas posiłków. Doszedł jeden pokój więcej do sprzątnia, ale i tak, na szczęście, to niezbyt duża rodzina. Weź klucz i zamknij drzwi. Po drodze do kucharki pokażę ci wszystkie pomieszczenia. Z prawej strony schodów są podobne pokoje, tam mieszka ogrodnik. Pozostałe mają różne przeznaczenie, ale po kolei.

Po chwili ruszyły długim korytarzem, stukając obcasami po wyłożonej kafelkami podłodze. W powietrzu czuć było zapach wilgoci, starych murów i wszechobecny chłód.

- Jak tu cicho, słyhać tylko nasze kroki - odezwała się Edyta.

- To pierwsze wrażenie, chociaż rzeczywiście nie ma tu małych dzieci i nie ma komu robić hałasu, zresztą przekonasz się sama, jak wygląda życie na zamku. Spójrz, te drzwi, to pokój Wiesi - Urszula zatrzymała się. - Ten obok jest zarządzającej, a właściwie to jest jej jakby biuro, mieszka na piętrze, w przedostatnim pokoju na lewo, następny to jadalnia, łączy się z kuchnią. Dla wyjaśnienia, w ścianie kuchni jest taka mała winda, nie trzeba biegać po schodach zjedzeniem. Kolejne drzwi to spiżarnia na artykuły niewymagające chłodzenia. Ostatnie pomieszczenie to łazienka.

- Daleko, trzeba przejść przez cały korytarz i do tego pewnie będzie kolejka pod drzwiami - powiedziała z rozczarowaniem Edyta.

- Nie jest tak źle, gorzej, jeżeli trzeba iść tam z latarką między tymi manekinami albo nie ma ciepłej wody. A teraz sprawdzę, czy Helena jest u siebie.

Urszula podeszła do drzwi jej pokoju i delikatnie zapukała.

- Proszę - rozległ się przytłumiony, kobiecy głos.

- Wejdz, ja idę do kuchni, potem się spotkamy. Powodzenia na przesłuchaniu.

Edyta położyła rękę na klamce drzwi i lekko je pchnęła. Przekroczyła próg pomieszczenia, cicho zamknęła drzwi za sobą i dopiero teraz spojrzała w głąb pokoju. W zasadzie nie różnił się niczym szczególnym od jej pokoju, jedynie pod oknem stało potężne biurko i regał z jakimiś szpargałami.

-Dzień dobry - powiedziała Edyta, przystając na środku pokoju.

Siedząca przy biurku kobieta na dźwięk jej głosu najpierw odwróciła głowę, potem wstała i gestem dłoni poprosiła ją, aby podeszła bliżej.

- Nazywam się... - zaczęła mówić Edyta, ale kobieta przerwała jej, unosząc dłoń i kiwając przy tym głową, dając w ten sposób do zrozumienia, że nie musi się przedstawiać.

-Wiem, proszę o dokumenty - usiadła i wskazała Edycie miejsce na krześle obok biurka.

Dziewczyna dopiero teraz mogła przyjrzeć się dyskretnie zarządzającej zamkiem kucharce, która wcale nie przypominała typowych grubych, spoconych i pachnących potrawami ludzi pracujących w kuchni.

Miała czarne włosy upięte w kok, przetkane gdzieś niteczkami srebra, pociągłą, bladą twarz, na czole lekkie zmarszczki i wąskie usta, wyglądem budziła respekt i szacunek, kiedy pochylona nad biurkiem wertowała dokumenty Edyty. Była raczej więcej niż średniego wzrostu. Na sobie miała czarną suknię, ozdobioną broszką, małą różyczką w kolorze srebra. Mogła mieć czterdzieści, pięćdziesiąt lat... wygląd... arystokratki, przez przypadek zarządzającej posiadłością.

Kiedy spojrzała na Edytę, miała przenikliwe, surowe spojrzenie. Potarła czoło ręką.

- Umów o pracę nie podpisujemy, tylko oświadczenie na okres próbny, na czas nieokreślony... to znaczy... na miesiąc, potem z możliwością przedłużenia i oczywiście z tygodniowym okresem wypowiedzenia - powiedziała, o dziwo, łagodnym głosem, nie licującym z tym słyszonym z mikrofonu domofonu. - Pani jest o tym powiadomiona? - Patrzyła badawczo w jej oczy, a ton głosu znowu zabrzmiał despotycznie, nieprzyjemnie.

Z jej wyrazu twarzy można było odczytać, iż doskonale wie, skoro przecież zarządza majątkiem, że dziewczyna słyszy to po raz pierwszy, tyle że suchy ton głosu i wnikliwe spojrzenie jest zazwyczaj barierą dla stawiania niewygodnych pytań osobie przyjmującej do pracy.

- Nie... tak... zresztą, jest mi to obojętne - szybko podchwyciła Edyta, obawiając się już pierwszego dnia sprzeczki z kobietą, która będzie kontrolowała każdy jej krok, bowiem na taką wyglądała.

Kobieta niespodziewanie uśmiechnęła się.

-Przepraszam, nie przedstawiłam się. Nazywam się Helena Winter, jestem tu szefową kuchni. Wszyscy pracownicy mi podlegają i uzgadniają ze mną wszelkie sprawy. Obowiązuje zakaz przyjmowania gości. Jeden dzień w tygodniu jest wolny. Zazwyczaj jest to niedziela albo sobota. Zaraz zapoznam panią z obowiązkami.

Pod maską zimna i chłodu bijącego od tej kobiety jej uśmiech przypominał samotny kwiat kwitnący na środku pustyni, ale już po chwili Winter powróciła do sztywnej, nieprzystępnej postawy, zapisując coś na kartce papieru.

- Proszę to przeczytać i podpisać - podsunęła Edycie zapisaną drobnym pismem kartkę i długopis.

Odręcznie napisane oświadczenie zawierało ogólną treść, traktującą o przystąpieniu do pracy w zamku w Bohdanach, od dnia dwudziestego siódmego lipca, na okres miesiąca

z możliwością przedłużenia do dwóch miesięcy, w charakterze pokojówki, z wynagrodzeniem płatnym po przepracowaniu pełnego miesiąca, wraz z zakwaterowaniem.

Edyta podpisała pismo i odłożyła długopis. Nic nie zapowiadało, iż otrzyma dla siebie egzemplarz oświadczenia, Winter z kamienną miną wsunęła pismo do szuflady biurka, którą zamknęła na kluczyk, i sięgnęła po zielony skoroszyt leżący na półce regału.

-Przepraszam... nie otrzymam dla siebie egzemplarza? - zapytała zdziwiona Edyta.

-To tylko oświadczenie. Proszę się nie martwić o warunki przyjęcia, zawsze ich dotrzymujemy - chłodno odpowiedziała kobieta. - Przy umowie o pracę podatki zabrałyby pani sporą część wynagrodzenia, więc chyba się rozumiemy?

- Rozumiem.

Edyta nie miała wyboru: albo targowanie się o kawałek papieru, albo sowita zapłata za miesiąc pracy i wymarzony wyjazd do Krynicy Morskiej. Urszula uprzedziła ją, że to praca na czarno, więc brak tego świstka papieru przecież nie ma żadnego znaczenia.

Winter wyjęła z zielonego skoroszytu formularz i podała go dziewczynie.

- To zakres czynności, które będzie pani wykonywać. Tylko w zamku, terenem zajmuje się ogrodnik. Dzisiaj będzie pani pracować razem z Urszulą, ona pokaże pani rozkład wszystkich pomieszczeń, magazynu ze środkami czystości, pościelą, pralnię, wyda pani służbowe ubranie. Po obiedzie przystąpi pani do pracy. Od jutra czas pierwszej zmiany zaczyna się od godziny szóstej trzydzieści do czternastej trzydzieści, drugiej od czternastej trzydzieści do dwudziestej drugiej trzydzieści. Oczywiście z przerwami na posiłki. Ma pani jakieś pytania?

Ostatnie zdanie zabrzmiało tak zdawkowo, jakby kobieta nie oczekiwała w zasadzie żadnych pytań, uznając,

że dziewczyna już otrzymała garść wyjaśnień, wyczerpujących temat jej zatrudnienia. Zrobiła ruch, jakby chciała wstać z krzesła.

Edyta szybko zapytała:

- Czy... jutro mogłabym pracować razem z Urszulą, bo... byłabym trochę zagubiona... tutaj jest tyle pokoi, korytarze, wieża...

Winter na wzmiankę o wieży gwałtownie zareagowała:

- W wieży nie trzeba na razie sprzątać! - powiedziała nerwowo. - A z Urszulą może pani przez kilka dni pracować, potem podzielicie się obowiązkami.

- A jeżeli chodzi o wolny dzień, to mogę pojechać do domu? - zapytała ostrożnie Edyta, widząc narastające zdenerwowanie kobiety.

- Nie, raczej nie. Proszę pytać. To wszystko. Dziękuję.

- Dziękuję.

Edyta zabrała dokumenty i ruszyła w stronę drzwi.

- Proszę jeszcze chwilę poczekać - zatrzymała ją Winter. Dziewczyna odwróciła się w jej stronę i czekała w milczeniu.

Szefowa kuchni wstała, zrobiła kilka kroków w jej stronę, otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, potem zacisnęła je i po długiej chwili suchym tonem głosu powiedziała:

- Proszę być o dwudziestej pierwszej w wieży, na ceremonii pożegnalnej... będą tam wszyscy... razem z odprawiającym tę... przykrą... sprawę.

- Dobrze. Czy... stało się coś, bo... jeśli ma być jakaś ceremonia? - Edyta nie przyznała się do wiedzy o śmierci jednej z pracownic, chociaż Urszula mówiła o tym otwarcie i nie prosiła o dyskrecję.

- Dowie się pani na miejscu. Urszula panią tam zaprowadzi.

Sztywna, wyniosła postawa Heleny Winter definitywnie zapowiedziała koniec rozmowy. Edyta wyszła z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi. Na korytarzu było pusto,

ani śladu czyjejkolwiek obecności w budynku. Niezdecydowana, w którą stronę się udać, przeszła kilka kroków głuchym korytarzem i zatrzymała się przed drzwiami kuchni, zza których dolatywał smakowity zapach potraw, których bez wątpienia by nie odmówiła; żołądek dość skutecznie upominał się o swoje prawa do konsumpcji.

- No, jesteś! I jak ci poszło? - usłyszała głos Urszuli zbiegającej po schodach z piętra.

- Co to za kobieta?! Wygląda na hrabinę, a jest tylko kucharką! Nie było dyskusji, krótka rozmowa i do roboty! - Edyta była wzburzona. - Na razie z tobą.

Urszula machnęła lekceważąco ręką.

- Wszyscy tak mamy. Po prostu trzeba być pod ręką, po to są głośniki. Płacą i wymagają, ale nie zrywają z łóżka, przynajmniej mnie. Chodź, dobiorę ci ubranie, potem zjemy obiad w jadalni.

-Słuchaj... podpisałam jakiś oświadczenie o pracy i teraz mam wątpliwości, czy dobrze zrobiłam.

- Dobrze. Ja mam takie samo. Chodź - Urszula wyjęła klucz z kieszeni fartuszka i otworzyła drzwi magazynku.

Zapaliła światło, słabą żarówkę, która ledwo rozpraszała mrok w pomieszczeniu, poszła w głąb między półki z różnymi rzeczami i zawołała do siebie Edytę:

- Przymierz to - podała jej biały fartuszek z paseczkiem zakładanym na szyję i zawiązywanym z tyłu na talii. - To nosi się kiedy sprząta się państwa pokoje albo podaje do stołu, oczywiście nieskazitelnie czyste - wyjaśniła z filuternym uśmiechem. - A ten w kwiatki do sprzątania gorszej części zamku. Tu są narzędzia naszej pracy i środki czystości - pokazała następne półki. - Dostaniesz drugi klucz, zaraz dorobi go ogrodnik, żebyś miała swobodny dostęp do środka.

Edyta przymierzyła fartuszki.

- Pasują, chyba nie nosiła ich... ta... - zaniepokoiła się - no ta, dziewczyna - spojrzała na Urszulę ze strachem w oczach.

- No co ty! Tych fartuchów jest więcej. Spójrz! Leżą na tej półce.
- Ulżyło mi. Możemy już iść.
- Nie tak prędko - zawołała Urszula, szukając czegoś na innej półce. -
Jest! Jeszcze to - szła ku dziewczynie niosąc jakąś czarną rzecz.
- Co to jest? - zdziwiła się Edyta.
- Służbowa sukienka. Musisz ją nosić. Spodnie i prywatne ciuchy
tylko w wolny dzień.
- To jakieś średniowiecze - Edyta parsknęła. - Ale okay, założę to, ale
najpierw trzeba to wszystko odświeżyć.
- Wypierzemy to wieczorem w pralni, a teraz wreszcie coś zjemy, bo
jestem wściekle głodna. Ach! Buty! Najlepiej chodzić w czymś
wygodnym, adidas odpadają - Urszula spojrzała na jej nogi.
- Mam mokasyny.
- No to okay.
- Słuchaj, ta Winter mówiła, że wieczorem mamy przyjść do wieży,
wiesz, o czym mówię, ale nie zdradziłam się, że wiem, o co chodzi.
- Ona i tak na pewno pomyślała, że już ci wypaplałam, nie obchodzi
mnie to. - Urszula wzruszyła ramionami. - Idziemy.
- Zaczekaj, nie będę chodziła z dokumentami, zaraz przyjdę.
Kiedy Edyta wróciła, zastała szeroko otwarte drzwi do jadalni, w
których na progu czekała na nią Urszula.
- Przedstawię cię, wejdź.
- Dzień dobry - powiedziała Edyta, wchodząc do środka.
Pomieszczenie było jasne, z pewnością to bielone ściany stwarzały o
wiele bardziej przyjemny klimat dla oczu i psychiki niż brązy w
pokojach. Przy stole siedziała młoda kobieta i mężczyzna w średnim
wieku. Spojrzeli na siebie

z ciekawością, taksując się wzrokiem, po czym Urszula dokonała prezentacji:

- To jest Edyta, nasza nowa pokojówka, a to Wiesia, pomoc kuchenna, w zasadzie samodzielna kucharka, i pan Stefan, ogrodnik.

- Witamy nową koleżankę - skinął głową mężczyzna.

- Prosimy do stołu - Wiesia wskazała krzesło obok siebie. - Zaraz panią nakarmimy- uśmiechnęła się przyjaźnie. - My jesteśmy już po obiedzie, ale Urszula dotrzyma pani towarzystwa.

- Jestem po prostu Edyta.

- Wiesia.

- Jesteśmy okropnie głodne, możesz nam podać wszystko, co dzisiaj upichciłaś - rzuciła Urszula do wchodzącej do kuchni dziewczyny.

- Muszę wszystko podgrzać, cierpliwości! Przyjdź za chwilę, pomożesz mi nosić talerze.

- Zaraz przyjdę!

- No, a mnie już czas, robota czeka - odezwał się mężczyzna, odsunął pusty talerz, wstał i wyszedł z jadalni, rzucając na odchodnym: - Smacznego.

Zanim zniknął za drzwiami, Edyta obrzuciła go szybkim spojrzeniem. Był wysokiego wzrostu, miał ogorzałą twarz, lekki zarost, wyraźne rysy twarzy, przerzedzone, krótkie włosy, mógł być w wieku czterdziestu, a nawet około sześćdziesięciu lat. Takich mężczyzn nie zapamiętuje się zbyt długo, są ich setki na ulicy, w rodzinach, w pracy. Podobne wrażenie wywarła na niej Wiesia. Była średniego wzrostu, o szczupłej budowie ciała, jasnych włosach wymykających się niesfornie spod białej opaski na głowie, jej twarz z pewnością nie była wyznacznikiem kanonu urody, za to ciepły uśmiech wynagradzał wszelkie niedoskonałości.

Na wołanie z kuchni Urszula poderwała się i już po chwili zapachniało w jadalni frytkami i sztuką mięsa.

Warzywna sałatka smakowała jak nigdy dotąd, nawet w domu, a szklanka kompotu z wiśni była marzeniem podniebienia i pozwoliła nieco odreagować stres w obcym miejscu. Po prostu domowy obiad!

Edyta zebrała puste talerze i ustawiła je w jednym sto-siku.

-Zaniosę je Wiesi - zaoferowała się, zamierzając ruszyć do kuchni.

-Nie, zostaw. Gdyby widziała to Winter, to by była bardzo niezadowolona - powstrzymała ją Urszula. - Tutaj każdy robi to, co musi, za to ma płacone.

- Ale rygor! To tylko kilka kroków - obruszyła się Edyta.

- Idziemy do swoich obowiązków, na razie będziesz w tych ciuchach. Wiesia! - zawołała Urszula. - Dziękujemy za pyszny obiad!

Dziewczyna stanęła w drzwiach kuchni ze ścierką w dłoni.

- Ale na kolację nie spóźnijcie się. Wieczorem musimy iść do wieży...

- wzdrygnęła się. - Nie chcę później być sama tutaj... z garami...

- Na pewno nie zostawimy cię samej - zapewniła ją Urszula. - To będzie chyba nieprzespana noc - westchnęła. - Zbliża się! Wychodzimy! - dopowiedziała teatralnym szeptem.

Umilkły i nasłuchiwały. Po korytarzu rozniosło się energiczne stuk, stuk obcasami i po chwili do jadalni weszła Helena Winter. W ciemnej sukni, z zasępioną twarzą.

Edycie, odkąd poznała kobietę, jej postać wydawała się jakaś nierealna, dziwna, czuła się w jej obecności nieswojo, nawet po tak krótkim pobycie w zamku.

-Proszę podać kawę i ciasto do salonu. Dla trzech osób - wydała suchym głosem polecenie, omiotła wzrokiem ustawione w stos talerze i wyszła.

Urszula poderwała się i kiwnęła głową do Edyty.

- Chodź, idziemy do kuchni, pokażę ci, jak to wszystko działa - nie czekając na nią, weszła do kuchennego pomieszczenia. - Pewnie ona jest tą trzecią, bo seniorka kawy nie pije, a Kamila i Szymon gdzieś pojechali, no i ten krewny też gdzieś zniknął - dodała do wchodzącej za nią Edyty.

Zamkowa kuchnia była nowocześnie urządzona, ze sprzętem ułatwiającym każdej gospodyni domowej nieraz wielogodzinne zmaganie się z przygotowywaniem posiłków dla całej, często licznej rodziny, a w zamku razem z obsługą była spora gromadka.

Edyta zaoferowała pomoc w obsłudze Bohdanowiczów.

- W tych ciuchach? - skrzywiła usta Wiesia. - Nie ma mowy! Udają wielkie państwo, ale jak się zgodziłaś za psa, to musisz szczekać.

- Kogo oni udają?

Urszula naciskając przycisk w ścianie kuchni, odezwała się:

- Im bardziej udają innych, tym bardziej nimi nie są!

Rozległ się lekki szum i płyta wkomponowana w ścianę powędrowała do góry, odsłaniając dwie półki, na których Wiesia rozmieściła dzbanek z kawą, półmisek z ciastem, filiżanki i talerze ze sztuczkami.

-To jest winda na posiłki, żeby nie chodzić po schodach. Kiedyś była na korbkę, ale ją unowocześnili - powiedziała do Edyty. - Na piętrze jest tak samo, to dla nas duże ułatwienie, bo nie wyobrażam sobie noszenia gorących garnków po schodach.

- A co ja mam teraz robić? - Edyta czuła się nieco zagubiona w nowym środowisku, w ponurym zamku, w otoczeniu obcych jej ludzi.

-W pokojach na piętrze trzeba wymienić pościel, odkurzyć, a teraz patrz! - Urszula nacisnęła drugi przycisk w ścianie i mała winda powędrowała do góry.

- Na piętrze w korytarzu jest takie samo urządzenie ukryte w ścianie. Wystarczy zabrać stamtąd wszystko, co jedzie do góry, i porzucić gdzie oni sobie tego zażyczą. Droga powrotna jest taka sama - wyjaśniła Wiesia, wkładając do zmywarki zastawę stołową.

- Ale to tylko dwie półki! Przecież trzeba jedzenie porozkładać na talerze, półmiski... tak w korytarzu? - zważyła w sens windy Edyta.

- Nad nami jest pokój wyłącznie do tego przystosowany, zaraz obok windy. W szafkach jest cała dodatkowa zastawa stołowa, zresztą, sama zobaczysz, a teraz idźcie, bo Winter się wścieknie - Wiesia machnęła ręką w stronę drzwi.

- Chodź, idziemy na górę. Przy okazji zapoznam cię z rozkładem wszystkich pokoi na piętrze - zdecydowała Urszula, zwracając się do Edyty.

Wyszły na ziejący chłodem korytarz, a po dotarciu na piętro Urszula przystanęła i wyciągnęła przed siebie rękę, pokazując po kolei pokoje zajmowane przez lokatorów zamku.

- Ten - pokazała na widoczny z podnóża schodów - zajmuje seniorka, żeby miała najbliżej do salonu, ale rzadko wychodzi z pokoju, a dalej przez całą długość Bohdanowiczowie. Winter mieszka tam, na lewo, mówiłam ci już, to ten przedostatni pokój, dalej, ostatnie drzwi to łazienka, taka sama jak nasza. Naprzeciw salonu jest ta mała winda, więc nigdy nie pomylisz drzwi, ale i tak z początku będą myliły ci się te wszystkie pokoje, a jest ich od cholery! Po obydwu stronach! Z czasem poznasz, gdzie kto mieszka, bo za dużo tu jest tych drzwi, żeby od razu zapamiętać. Ja też z początku miałam problem. W pokojach państwa - Urszula chrząknęła znacząco - są telewizory na baterie, u Winter też, ale my, służba musimy zadowolić się widokiem pięknego parku.

- Jakoś to przeżyję. Wszystkie pokoje są zajęte?

- Nie, ten obok seniorki jest stale zamknięty, odkąd tu jestem. Może jest pusty. Po przeciwnej stronie jest biblioteka i pokoje gościnne. A ten ostatni - pokazała w głąb koryta-

rza - też jest stale zamknięty. Nie mam do niego klucza. No, na razie dość gadania, bo kawa wystygnie i Helena rzuci na mnie swoje czarujące spojrzenie! - Urszula zachichotała cicho.

Korytarz na piętrze był węższy, rozwidłał się w obydwie strony, z licznymi komnatami po obu jego stronach. Posadzka była wyłożona takimi samymi płytkami jak na parterze, ale ułożonymi w szachownicę a przez środek korytarza biegł krwistej barwy długi, miękki dywan. Pod ścianami, na postumentach stały posągi z białego marmuru, wielkości człowieka, przedstawiające postaci kobiet, mężczyzn, w pozycji siedzącej lub stojącej, z doskonałym odwzorowaniem proporcji ludzkiego ciała, przypominające rzeźby starożytnej Grecji. Przy każdym posągu na ścianach w kolorze oranżu wisiały lustra odbijające jego wizerunek, co sprawiało wrażenie ich wielokrotności. Natomiast brak jakichkolwiek kwiatów, chociażby sztucznych, odbierał nieco uroku wykwintnemu widokowi korytarza; jakże odmiennego w wystroju od ziejącego chłodem parteru. Boczne oświetlenie kinkietami, przy braku okien, wydobywało ciepło kolorytu ścian i bogatej, złoconej oprawy luster. Rzeźbione, drewniane, ciężkie drzwi komnat dodawały monumentalnego wyglądu długiemu korytarzowi.

Było tak cicho, jakby mieszkańcy zamku opuścili go w jednej chwili, nawet z salonu nie dochodził żaden szmer rozmowy, puszysty dywan tłumił kroki, a oczy chłoneły wystrój starego zamczyska, którego mury z pewnością skrywały niejedną mroczną tajemnicę sprzed wieków.

Edyta mijając posągi, z ciekawością im się przypatrywała.

- Wyglądają tak realistycznie, wydaje się, że patrzą... jakby widziały, bałabym się obok nich przechodzić, gdyby nie było prądu - wzdrygnęła się.

- Przyzwyczajasz się. Po ciemku można tu tylko wybić sobie zęby - rzuciła lekceważąco Urszula, otwierając drzwi do pokoju obok windy.

- Często wyłączają prąd?

- Za często. W piwnicy gdzieś jest tablica rozdzielcza, ale nigdy jej tam nie widziałam. Wchodzę tam czasem z Wiesią po warzywa, bo tam jest najzimniej i nie trzeba tylu chłodziarek, ale najczęściej zapasy przynosi z piwnicy ogrodnik.

- Tu jest jak w muzeum - zauważyła Edyta. - Ale dlaczego parter jest taki zaniedbany?

- Pewnie przekracza to ich finansowe możliwości albo po prostu nie dbają o to. - Urszula otworzyła drzwi znajdujące się obok windy ukrytej w ścianie.

W pomieszczeniu znajdował się stół, dwa krzesła, kilka wiszących na ścianie szafek oraz dwudrzwiowa szafa, której jedno skrzydło drzwi było otwarte, odsłaniając wiszące na wieszakach jakieś ubrania i fartuszki.

- Tu będziesz się przebierać - rzuciła Urszula, zabierając z półki zastawę i półmisek z ciastem.

- A klucz?

- Ten pokój zawsze jest otwarty.

- Nie chciałabym mieszkać w tak wielkim domu, chociażby dlatego, że mieszkanie w takim metrażu w zwykłym domu kosztowałoby fortunę, ale to pewnie bogaci ludzie, chociaż chyba trochę odcięci od miasta i ludzi, bo po co im zamek? - Edyta dość sceptycznie podchodziła do zamieszkiwania w takim miejscu.

- A kto ich tam wie? - wzruszyła ramionami Urszula. - Rozlej kawę do filiżanek i postaw na tej tacy. - Urszula nie zwracała uwagi na jej monolog o mieszkaniu na zamku na takim odludziu, tylko kroić ciasto. - A teraz połóż na każdym talerzu porcję szarlotki, sztućce i zaczekaj tu na mnie.

Dla Edyty była to pierwsza praca, toteż z namaszczeniem, starając się nie rozlać napoju, nachyliła się nad dzbankiem, potem nałożyła na talerzyki ciasto.

- W porządku. Otwórz mi drzwi do salonu, ale najpierw te - Urszula pokazała je ruchem głowy, chwytając tacę z zastawą deserową.

Trzymając ją, stawiała ostrożne, płynne kroki, aby niczego nie rozlać, po czym wyszła na korytarz i po chwili zniknęła za drzwiami salonu.

Przez uchylone drzwi Edyta zdążyła zauważyć trzy osoby siedzące przy długim stole przykrytym śnieżnobiałym obrusem, na którym stał wazon z kwiatami i świecznik z zapalonymi świecami. Jedną z osób była Helena Winter. Obok niej siedziała ciemnowłosa kobieta w średnim wieku, zaciągając się papierosem, pewnie Regina Bohdanowicz. Naprzeciw kobiet siedział mężczyzna, Edyta widziała jedynie tył jego głowy i ręce rozpostarte na poręczach wysokiego krzesła, resztę tułowia zasłaniało oparcie. Pomyślała, że może to być Kazimierz Bohdanowicz; z trojga osób znała jedynie zarządzającą zamkiem.

Zamknęła cicho ciężkie drzwi za Urszulą i powoli ruszyła korytarzem, przystając przed rzeźbami w podziwie nad kunsztem artysty, którego ręce i talent stworzyły tak piękne dzieła sztuki. Nie ważne, czy to są oryginały, czy repliki. Te posągi, to było czyste piękno ludzkiego ciała. Nie słyszała nawet trzasku drzwi salonu i szamotania się z czymś w pokoju obok windy, chłonąc wzrokiem mijane posągi.

Zawróciła, słysząc ponagląjące:

-Edyta! Trzeba w każdym pokoju zmienić pościel. Już późno. Przestań już oglądać te posągi, masz na to cały miesiąc! - Urszula, ciągnąc za sobą wiklinowy kosz, szybkim krokiem ruszyła na drugi koniec korytarza i weszła do ostatniego pokoju, nie zamykając za sobą drzwi.

- Czyj to pokój? - zapytała Edyta, wchodząc do środka i rozglądając się po komnacie.

- Szymona, to bałaganiarz. Popielniczka jest zawsze pełna śmierdzących petów. Nawet w szafie ma bałagan, ale to już do nas nie należy.

Wszystkie kolejno sprzątane pokoje, a właściwie komnaty na piętrze miały podobne umeblowanie. Różniły się

jedynie kolorami narzut na łóżkach czy pościeli, drobiazgami, które można było odpowiednio przyporządkować kobietom lub męskiej części mieszkańców zamku, oraz liczbą obrazów na ścianach lub całkowitym ich brakiem. Nawet rolety na oknach były w identycznych barwach jak na parterze, natomiast przy żadnym nie było drewnianych okiennic, w jakie wyposażone były pomieszczenia na parterze. Ściany podobnie jak na parterze zamku pokryte były brązową boazerią, jednak nieco jaśniejszą. Oglądając wnętrza pomieszczeń, nasuwało się nieodparte wrażenie, że rodzina Bohdanowiczów wpadła do zamku na chwilę, że jest to tylko ich przejściowe pomieszkiwanie, świadczyć o tym mogło skromne wyposażenie komnat czy brak górnego oświetlenia podobnie jak na parterze, a nade wszystko nienaprawione stopnie schodów przy wejściu do zamku, co świadczyło o zwykłym niedbalstwie. Jedynie korytarz czynił na wchodzących na piętro ogromne wrażenie swoim wystrojem, jakby stanowił reprezentacyjną część zamku.

-Urszula, kiedy posprzątamy w salonie? - Edyta, upychając pościel do wiklinowego kosza, zwróciła się do dziewczyny.

- Winter nas powiadomi, teraz zaniesiemy to do pralni i pobierzemy z magazynku nową pościel. Potem wypierzesz swoje służbowe ciuszki.

- Wiesz, myślałam, że tu jest inaczej, bardziej... w starym stylu... jak to widywałam w takich zamkach...

- W salonie tak jest, tam przeważnie wszyscy się zbierają, pali się elektryczny kominek, czasem przesiadują w bibliotece, to te drzwi - Urszula machnęła ręką w stronę pokoju z prawej strony korytarza. - Wszystkich poznasz wieczorem w wieży. Oby to już się skończyło - przyciszyła głos.

-I oby nie padał deszcz. Myślałam, że to będzie normalne lato, a taka pogoda w połączeniu z odludziem i perspektywą błędzenia w ciemnościach wśród manekinów na dole jakoś nie napawa mnie radością.

- Mnie też nie, ale przyzwyczaisz się. Teraz idziemy do pralni, szkoda, że tego kosza nie można wstawić do windy - Urszula westchnęła, łapiąc za ucho kosza.

- Jakie ciężkie! - jęknęła Edyta.

- Zsuniemy to po schodach, do pralni jest już blisko. Dopiero późnym popołudniem sztywna Helena zleciła Urszuli sprzątanie salonu i korytarza, przypominając o wieczornym spotkaniu w wieży. Pierwszy dzień pracy dla Edyty zakończył się myciem schodów, korytarza na parterze, odkurzaniem zbroi na manekinach i pomocą w odkurzaniu posągów z białego marmuru. Potem przygotowanie służbowego stroju na następny dzień pracy i kolacja w towarzystwie ogrodnika, Wiesi i Urszuli.

Do łazienki szła z ciekawością, co tam zastanie; zgodnie z linią wyposażenia komnat, powinna być starej daty, zionąca chłodem, ciemna. Widok wnętrza mile ją zaskoczył. Pomieszczenie było schludne, na ścianach białe kafelki, szafka z przegródkami, bojler podgrzewający wodę i zamiast wanny, prysznic. Jedyne okno zasłonięte taką samą roletą jak we wszystkich pokojach.

Edyta poszukała wzrokiem włącznika światła. Po chwili pomieszczenie zalało skąpe światło wiszącej lampy. Zamknęła drzwi na zasuwkę, rozebrała się i pomknęła pod ciepłą kaskadę wody z prysznic. Poczowała, jak jej zmęczenie odpływa, zapach szamponu wypełnił łazienkę świeżością ogrodu pełnego kwiatów, sprawił, że poczuła lekkość, przywołał wspomnienie domu, pozwolił na chwilę zapomnieć o miejscu, do którego trafiła. Ale tylko na chwilę, bo najgorsza część dnia miała dopiero się zacząć. Po powrocie do pokoju włączyła suszarkę do włosów. Roztrzepywała je palcami, aby prędzej wyschły. Przed lustrem przybierała różne pogodne miny, mające oszukać jej stan emocjonalny, ale wychodziły jakieś głupie grymasy, więc krążyła niespokojnie od drzwi do okna, w końcu poddała się i zniechęcona usiadła na łóżku.

Nieubłaganie zbliżała się pora wyjścia do wieży na ceremonię pogrzebową. W zamku nadal panowała cisza, co w połączeniu z niezbyt przyjemnym obowiązkiem pożegnania byłej pokojówki wywołało u Edyty stan takiego nerwowego podekscytowania, że zapragnęła, żeby o niej zapomniano. Stawiennictwo w wieży, którego nie mogła odmówić, nie zapowiadało spokojnie przespanej nocy, z replikami rycerskich zbroi na manekinach stojących za jej drzwiami w ciemnościach.

Siedziała na łóżku z podciągniętymi pod brodę nogami i czekała na Urszulę, z którą umówiła się na wspólne pójście do wieży. Żeby już przyszła! Te wskazówki na zegarku tak wolno się przesuwają!

Puk, puk! Wzdrygnęła się. Nareszcie!

-Wejdz!

Urszula wsunęła się do pokoju, za nią Wiesia.

- No, to dziewczyny, idziemy - zakomunikowała spokojnie Urszula, zbyt spokojnie, żeby nie zauważyć jednak dobrzej skrywanej w głosie nutki zdenerwowania.

Wiesia stała obok niej z pobladłą twarzą, nie odzywała się, tylko co jakiś czas głęboko oddychała, wypuszczając powietrze ustami. Obydwie miały na sobie czarne, służbowe sukienki, jedynie Edyta wyróżniała się „cywilnym” ubraniem: džinsami i jasną bluzką z długim rękawem.

- Wolałabym tam nie iść - wyjąkała Wiesia. Edyta jej zawtórowała:

- Ja też, ale jestem tu pierwszy dzień i nie chciałabym podpaść tej Winter.

-No właśnie. Wychodzimy! - głos Urszuli nabrał mocy.

Zamykając drzwi na klucz, Edyta słyszała, jak dziewczyny szybko oddalają się ku wyjściu. Ich kroki rozlegały się głośnie echem w korytarzu. Pomknęła za nimi, mijając manekiny w zbrojach.

Rozdział 2

Zaledwie wyszły na dziedziniec zamku, ich oczom ukazał się przykry widok. Pod wieżą stał samochód z zakładu pogrzebowego, obok pracownicy w służbowych uniformach, patrząc na zbliżające się dziewczyny. Po chwili mężczyźni odwrócili wzrok, ustawiając się w jednym szeregu przed maską samochodu.

Od wieży dzieliło je zaledwie kilkadziesiąt metrów, które z każdym krokiem wydawały się raczej zbliżaniem ku przepaści. Z bliska baszta była jeszcze bardziej wyniosła, ogromna, o walcowatym kształcie, górowała nad bryłą zamku. Widoczne na całej jej wysokości małe otwory okienne sugerowały, iż kiedyś pełniła funkcję obronną.

Wieczór był chłodny, lekko mżyło.

Edyta z każdym krokiem coraz mocniej czuła kołatanie serca, niepewna widoku, który za chwilę zobaczy. Przypomniała sobie opowieść Urszuli o roztrzaskanej głowie dziewczyny i krwi na trawie. Odwrócić się i pod pozorem własnej słabości zawrócić! Tylko że to niewykonalne!

Drzwi wejściowe do wieży były na oścież otwarte, w środku można było dostrzec jakąś postać, potem następną, z daleka nie można było ich rozpoznać, ale jedną z nich był niewątpliwie Stefan, ogrodnik.

Nagle w drzwiach pojawiła się czarna, wyniosła postać Heleny! Stała nieruchomo, patrząc gdzieś w przestrzeń, jakby nie widziała swoich zbliżających się pracowników. Po chwili cofnęła się w głąb pomieszczenia.

- Pewnie wypatrywała jaśnie państwa - rzuciła cicho Urszula.

Jeszcze kilka metrów i... trzeba przekroczyć próg, wejść i... spojrzeć!

W pomieszczeniu panował półmrok, rozproszony świecami palącymi się wokół trumny stojącej na pod-

wyższeniu, blisko małego otwartego okienka. Płomyki świec drgały, rzucając cienie na szare ściany, w powietrzu czuć było charakterystyczny zapach wosku, wymieszany z wonią nielicznych kwiatów ustawionych w wazonach na posadzce, wokół trumny.

Było duszno, pomimo chłodu panującego wewnątrz i wszechobecnej wilgoci. Posuwając się krok za krokiem, dziewczyny czuły na sobie spojrzenie obecnych na ceremonii, wreszcie przystanąły wzdłuż jasnej, wyłożonej koronką trumny.

Cisza i doniosłość chwili była dla Edyty nie do zniesienia. Nie śmiała spojrzeć na twarz zmarłej tragicznie pokojówki; z uporem patrzyła na jej stopy ubrane w czarne, płaskie pantofelki. Z boku trumny stały w milczeniu trzy osoby: ogrodnik, Helena Winter i kobieta w średnim wieku. Helena pochyliła głowę ku kobiecie i widać było tylko ruch jej warg. Kobieta lekko skinęła głową, jakby zgadzała się z tym, co usłyszała, ale na jej twarzy nie pojawił się żaden wyraz, czy to żalu, czy współczucia...

Edyta stała w środku pomiędzy nowymi koleżankami. Bała się głębiej oddychać, woń świec i kwiatów przyprawiała ją o nieprzyjemne doznania, ale przede wszystkim sceneria w wieży przypominała jej dziwaczne obrzędy oglądane w wielu horrorach.

Niechby już to się skończyło! Ciekawe, na kogo czekają? Pewnie na księdza i Bohdanowiczów, bo ta kobieta nie wygląda na kogoś z ich rodziny. Może to ktoś z firmy pogrzebowej albo z jakiegoś urzędu, na jej twarzy nie widać było smutku, raczej obojętność.

Nagle zdecydowała. Uniosła głowę i stopniowo przesuwała wzrokiem po postaci leżącej w wymoszczonej jedwabiem trumnie. Dziewczyna ubrana była w jasną sukienkę, w splecionych dłoniach widoczny był różaniec. Powoli, wciąż bojąc się spojrzeć na jej twarz, Edyta przesunęła wzrok ku szyi, potem na jasne włosy okalające buzię

umarłej... zakrytą białą woalką! Pod jej białą widoczny był zarys ust, nosa i jakiejś ciemnej plamy na czole, przebijającej się przez koloryt woalki.

Edyta była wstrząśnięta widokiem ciała dziewczyny. Jego nieruchomość i dziwaczne zakrycie twarzy jeszcze potęgowało uczucie niesamowitości ceremonii w ponurym pomieszczeniu wieży.

Poszukała wzrokiem jakiegoś punktu zaczepienia, żeby nie zakodować w sobie tego widoku w pamięci, ale jej wzrok mimowolnie wędrował ku jasnym włosom leżącym na białej poduszce.

Drgnęła, kiedy w panującą w wieży ciszę wdarł się warkot samochodów, potem trzask drzwiczek, czyjeś głosy, a później ciężkie kroki przeplatane drobniejszymi, zbliżające się do oświetlonego świecami miejsca.

Pierwszy wszedł do środka mężczyzna w czarnej todze, za nim kobieta, którą Edyta widziała przez chwilę w salonie, kolejny mężczyzna i dwoje młodych ludzi. Wokół trumny zrobiło się tłoczno. Edyta odsunęła się w bok, za nią dziewczyny, robiąc miejsce mężczyźnie w czarnej todze. Spojrzały na siebie porozumiewawczo. Urszula dłużej zatrzymała na nim wzrok, potem, zaskoczona jego widokiem, spojrzała na Wiesię.

- A więc to mistrz ceremonii odprawi świecki obrządek - pomyślała Edyta. - Może odbędzie się to szybciej, bo na zewnątrz zapada już zmrok, a na małym cmentarzyku położonym gdzieś wśród gęstwiny drzew będzie jeszcze ciemniej.

- Witam szanownych żałobników - w ciszę wtargnął mocny głos mężczyzny, zakłócając jakby już przyjęty porządek ceremonii, bez jakichkolwiek słów pożegnania nad ciałem dziewczyny.

Edyta powoli, dyskretnie, aby nie wzbudzać zainteresowania wycofała się o krok za koleżanki, patrząc na stojące na posadzce kwiaty, co chociaż na chwilę pozwoliło

jej oczom odpocząć od nieoczekiwanego widoku w pierwszym dniu pracy. Właśnie trwała tradycyjna minuta ciszy, następnie mistrz ceremonii przytoczył krótki życiorys zmarłej, z którego zapamiętała jedynie imię dziewczyny. Janka. Z niecierpliwością czekała na zakończenie tego dziwnego pochówku, słuchając rozważania o przemijaniu i symbolice światła - symbolu obecności osoby, która odeszła. Wreszcie na koniec ceremonii mistrz zacytował Napoleona Bonaparte:

- Śmierć jest snem bez snów.

Nareszcie koniec. Dłużej by nie wytrzymała zapachu kwiatów, świec, wywołującego mimowolne drżenie palców rąk napięcia emocjonalnego, a przede wszystkim widoku trumny z pokojówką.

Do pomieszczenia weszli pracownicy zakładu pogrzebowego, sprawnie przykryli trumnę wiekiem, wynieśli ją na zewnątrz i wsunęli do samochodu.

Edyta szepnęła do ucha Urszuli:

- Wolałabym tam nie iść.

- Na ten cmentarzyk? -Uhm.

- Na pewno nas tam nie zaproszą - cicho powiedziała Urszula, patrząc z uwagą na mistrza ceremonii.

- Wychodzimy?

- Wyjdziemy za Bohdanowiczami.

Z pomieszczenia wieży wyszły w trójkę jako ostatnie. Przystanąły przy wejściu i czekały rozwoju wypadków. Edyta zerkała, starając się robić to dyskretnie, na rodzinę właścicieli zamku. Kobieta ubraną w granatowy kostium poznała od razu, to ta z salonu, towarzyszący jej mężczyzna ubrany jak na piknik, w kolorowej koszuli, w jasnych spodniach, to jej mąż Bohdanowicz. Dziewczyna o jasnych włosach upiętych z tyłu głowy, w dżinsach i białej tunice, około dwudziestoletnia, to na pewno ich córka Kamila, a ten ze znużonym wyrazem na twarzy, ciemnowłosa, przystoj-

ny chłopak, w białych, płóciennych spodniach, kolorowej koszulce z nadrukiem w języku angielskim, z zarzuconym na plecach białym swetrem, to bez wątplenia syn, Szymon. Z wyglądu starszy od swojej siostry, może mieć dwadzieścia cztery, dwadzieścia pięć lat.

Chłopak jakby czuł na sobie jej wzrok, odwrócił głowę i zaledwie przelotnie obrzucił ją spojrzeniem z całkowitym brakiem zainteresowania, trzymając przy tym ręce w kieszeni.

- Mógłby je wyjąć - pomyślała Edyta, odwracając od niego wzrok.

Trzasnęły drzwi samochodu zakładu pogrzebowego. Czarny karawan powoli ruszył w stronę zagubionego gdzieś w gęstwinie starych drzew, małego cmentarzyka.

Do Urszuli podeszła Winter i zniżając głos, powiedziała:

- Możecie wrócić do zamku, obecność tam nie jest obowiązkowa.

- Dziękujemy.

Jaka ulga! Ściemniało się, pierwsze, grube krople deszczu dziewczyny poczuły, mijając fontannę z kobietą pod parasolką, ubraną w suknię z epoki. Szara, kamienna figura przykuwała uwagę, widoczny był każdy detal ubrania, załamanie fałdy długiej sukni, wykute w naszyjniku perełki, nawet ażurowe rękawiczki na dłoniach damy wyglądały tak realnie, jakby przed chwilą ktoś je tam założył. Pod kapeluszem z szerokim rondem głowa kobiety zwrócona była w stronę wieży, w rysach jej twarzy ręka rzeźbiarza doskonale uchwyciła wyraz smutku, zadumania, a może oczekiwania na coś lub kogoś?

Edyta nie mogła oderwać wzroku od postaci z fontanny, czuła przy tym niczym nieuzasadniony niepokój, szybsze bicie serca, nagły, przesywający ciało chłód, a cichy szmer wody leniwie wypływającej spod parasolki wprawiał ją w stan dziwnego oszołomienia. Wydawało się jej, że dama zaraz odwróci głowę i spojrzy na nią, prawie... czekała na tę chwilę, nie słysząc niecierpliwego wołania

Urszuli o powrót do zamku. Dopiero kaskada deszczu poderwała ją do biegu przez podjazd, na którym stały trzy zaparkowane samochody.

W hallu strzepnęła dłonią krople wody z włosów, wstrząsając się z zimna.

-Ale pogoda! Dobrze, że włożyłam do torby sweter bo... - nie dokończyła zdania, zaskoczona wybuchem złości Urszuli.

- Co się tak gapisz na tę fontannę?! Leje, a ta stoi jak wryta w ziemi! - dziewczyna niespodziewanie podniosła głos. - Jeszcze będziesz miała dość patrzenia na... - umilkła, widząc wielkie ze zdziwienia oczy Edyty, i zakończyła pojednawczo: - Przepraszam cię, masz prawo stać tam i patrzeć do znudzenia. To ten dzisiejszy dzień tak na mnie działa. Dobrze, że to już się skończyło. Idziemy do swoich pokoi, Wiesia pewnie już się położyła, ja też nie mam na nic ochoty, mam nadzieję, że...

- Na co masz nadzieję?

Urszula ruszyła korytarzem w stronę pokoi i nie odwracając się, rzuciła obojętnie:

- Że przestanie padać.

-Ja też. Okropny jest ten lipiec. Mokry i zimny. Słuchaj, przed zamkiem stoją samochody, pewnie Bohdanowiczów? - Edyta zrównała z nią krok i nie czekając na odpowiedź, dodała: - Jak tu ciemno, trzeba zapalić światło, gdzie jest kontakt?

- Przy wejściu, ale zapalają się tylko niektóre lampy, te na ścianie W nocy na korytarzu jest ciemno. Wyłączają prąd, zresztą po to masz latarkę, żeby nie trzasnąć w jakiegoś cudaka z przyłbicą, więc nie widzę problemu, gdybyś musiała pójść do łazienki.

- To byłby bardzo przyjemny spacer wśród tych blaszaków, ale raczej odpuszczę sobie taki romantyczny przemarsz, postaram się nie chodzić nocą po korytarzu.

Przystanąły przed drzwiami Edyty.

- To w zasadzie nieważne, zapytałam z ciekawości. To Bohdanowiczów te samochody? - ta wróciła do pytania.

Urszula patrząc w ciemną plamę okna, pokiwała głową.

- Uhm - mruknęła - Ten czarny jest Bohdanowiczów, granatowy Szymona, a ten jasny chyba tego krewnego, ale nie widziałam go w wieży, chociaż... - głęboko westchnęła. - Mam mętlik w głowie i wydaje mi się, że ten mistrz ceremonii kogoś mi przypomina. Na pewno się mylę! No, to do zobaczenia rano w pracy.

Przeszła kilka kroków, otworzyła drzwi swojego pokoju i zanim weszła do środka, zwróciła się do Edyty:

-Słuchaj... jeżeli będziesz czegoś potrzebowała... zanim zaśniesz, to umówmy się na trzy puknięcia w ścianę, bo komórki tu jakoś nie działają, są duże zakłócenia, szczególnie w takie deszczowe dni.

- Coś mi się wydaje, że w ogóle nie zasnę po tej wizycie w wieży. Jeżeli chcesz, to wejdź do mnie, pogadamy, nie chodzę spać z kurami - Edyta zrobiła zapraszający gest ręką, otwierając szeroko drzwi do pokoju.

- Nie, dzięki, jestem zbyt rozkojarzona, pewnie bym plotła coś bez sensu, no i mam nadzieję, że nie zerwą nas z łóżek, ci z góry. Pewnie pojedą do jakiejś restauracji, wypiją coś mocnego, z procentami, żeby zagłuszyć wyrzuty sumienia.

- Co masz na myśli? - Edyta zdziwiła się.

- Nic szczególnego. W końcu była ich pracownikiem, a... wyprawili jej taki dziwaczny pogrzeb. Aha, zapomniałam ci powiedzieć. Ten ogrodnik czasem chodzi w nocy po korytarzu, pewnie nie może spać albo coś go boli. Mówię ci to dlatego, żebyś nie przestraszyła się go... kiedyś... w czasie burzy... ja też wtedy nie śpię, ale po korytarzu nie chodzę.

-Dobrze o tym wiedzieć, słuchaj... nie zastanowiło cię to, że na pogrzebie nie było rodziny tej dziewczyny? Ta obca kobieta nie sprawiała wrażenia kogoś jej bliskiego.

- Może są skłóceni? Skąd mogę wiedzieć? - Urszula wzruszyła ramionami - Dobranoc. Do jutra. Zapal lampkę, w pokoju jest już ciemno, mam nadzieję, że chociaż dzisiaj w nocy nie wyłączą prądu. A zauważyłaś, jaką minę miała Bohdanowiczowa w wieży?

- Nie, nie patrzyłam na nią. Jaką?

- Jakby patrzyła na ducha! - pomimo mroku, na twarzy Urszuli można było dostrzec wyraz dziwnej satysfakcji.

- Dlaczego na ducha?

- Podobno widziała ją kiedyś wieczorem, jak szła w kierunku wieży w jakimś dziwnym ubraniu, podobnym do ubioru tej damy z fontanny! Wychodziła wtedy z pokoju, a właściwie z biura Heleny i spojrzała w okno. Bardzo się wtedy jej przestraszyła. Wyciągnęła z łóżka męża, ale na dziedzińcu nikogo nie było. Opowiadała mi o tym Wiesia. Wszyscy zbagatelizowali tę historię, uznając to za wytwór wyobraźni Bohdanowiczowej.

- To na pewno była Janka? - zapytała z niedowierzaniem Edyta, czując się nieswojo w mroku korytarza.

- A skąd mogę to wiedzieć? Strach ma wielkie oczy. Może Bohdanowiczowa szła z latarką i ze strachu przed ciemnościami coś się jej przy widziało? - Urszula parsknęła śmiechem. - Kiedyś słyszałam, jak Kamila mówiła do niej, żeby nie histeryzowała, ale nie wiem, o co jej chodziło.

- Janka wiedziała o tym?

- Tak, kiedy powiedziałam jej o tej historii na drugi dzień, tylko wzruszyła ramionami. W ogóle tego nie skomentowała.

- Nie mówmy już o tym, chciałabym jak najszybciej o tym zapomnieć. Nawet pokój mam po niej. Nie było innego? - zapytała bojaźliwie Edyta.

- Ja tu nie rządę, a co do pokoju, to jest wysprzątnany, wywietrzony, leży świeża pościel i nie ma tam żadnych rzeczy tej dziewczyny.

- No i widzisz, zamiast pogadać u mnie, stoimy tyle czasu w korytarzu. Może jednak wejdiesz do mnie? - Edyta ponowiła zaproszenie. - Wiesz... nie myśl, że jestem tchórzliwa, bo... trochę jestem, ale przeraziła mnie ta biała woalka na jej twarzy. Dlaczego ją tam położyli?

-Mnie to też zastanowiło, może... po tym upadku z wysokości były większe obrażenia?

- Może? Albo... dlatego, że ta dziewczyna w trumnie przypominała Bohdanowiczowej to wydarzenie i kojarzyła ją z damą z fontanny?

- Nie pomyślałam o tym, ale możesz mieć rację! Wiesz... wieczorem... w pochmurne dni... kiedy mży deszcz... Nie, to nie ma sensu! - Urszula potrząsnęła głową.

-Dokończ, chyba że próbujesz mnie czymś nastraszyć!

Urszula wyrzuciła z siebie jednym tchem:

- Na pewno przywidziało mi się, że ta babka z fontanny szła!

- Kamienny posąg szedł?! Gdzie?! Urszula, wymyśl coś bardziej prawdopodobnego! To niepoważne! - Edyta, słysząc takie brednie, poczuła wzbierającą w niej złość.

- Wiedziałam, że nie dasz się nabrać - ta roześmiała się.

-Na to na pewno nie! Więc wejdiesz do mnie, bo stoimy tu zamiast usiąść i trochę poplotkować? Po tym wszystkim na pewno tak szybko nie zasnę - Edyta coraz bardziej pragnęła chociaż na chwilę towarzystwa drugiej osoby.

Urszula była nieugięta.

- Innym razem. Do jutra.

- Zaczekaj! W wieży nie było seniorki, pani Marii.

- Może jest za słaba, żeby wziąć udział w ceremonii albo jest chora.

- Z jakiegoś powodu nie przyszła.

- Jest w podeszłym wieku, ale to nie jest nasza sprawa. Do jutra.

Rozległ się trzask drzwi jej pokoju, na korytarzu zapanowała nieznośna cisza, jedynie padający deszcz jakby ją ożywiał, pozwalał zrzucić ciężar, oczyszczał, zmywał ponurość mijającego dnia.

Edyta, zanim weszła do środka, spojrzała jeszcze w coraz bardziej ciemniejące okna, przesunęła wzrokiem po całej długości hallu i wzdrygnęła się. Nieprzyjemny, ciężki mrok zdawał się przyklejać do ciała, wnosił do otoczenia coś nieprzyjemnego, obcego, odpychającego, pod oknami majaczyły manekiny w rycerskich zbrojach. Wyglądały, jakby za chwilę miały ruszyć z miejsc, wyobraźnia miała szerokie pole do popisu, więc po co dawać jej taką szansę?!

Kiedy znalazła się już w pokoju, najpierw zapaliła lampkę, która choć dawała niewiele światła, na tyle rozproszyła ciemności, że można było poczuć się o wiele raźniej, a panująca na zewnątrz ciemność nie wydawała się już taka przykra i przygnębiająca. Lampka nie podniosła standardu kwatery, ale zapewniała lepsze samopoczucie w samotności, daleko od najbliższych, w tym dziwnym zamku.

Opuszczone do połowy rolety zasłaniały pełny widok za oknami wychodzącymi na tył budynku, za którymi zielone za dnia parkowe drzewa przybierały teraz z każdą minutą coraz ciemniejsze, posępne kształty.

Edyta podciągnęła rolety i w oknie bliżej łóżka otworzyła szeroko jedno skrzydło.

Do pomieszczenia wtargnął szum deszczu, zapach mokrej łąki i ziemi, który przywołał jej wspomnienie ucieczki przed ulewą znad Wisły, gdzie w każdy słoneczny dzień spędzała ze swoim chłopakiem czas wolny od nauki. Wówczas ze śmiechem uciekali przed wodnymi biczami, smagającymi ich bez litości po głowach, plecach, nogach, dopóki nie znaleźli schronienia pod rosnącymi opodal drzewami.

Wyrzała przez okno. Krople wody opryskały jej twarz, zresztą niewiele można było zobaczyć przez szarą ścianę wody: jakieś ławeczki, okrągły stolik i drzewa, drzewa. .. Przez chwilę wpatrywała się w ich zamglony kształt, myśląc o domu, o dziwnym losie, który przygnał ją właśnie tu, i poczuła, że się zaraz rozklei i zacznie żałować podjęcia decyzji o pracy właśnie w zamku. Powinna zadzwonić do domu, opowiedzieć o pracy, jak bardzo jej się tu podoba, że jest zadowolona... no, jest, przecież w wieży to był tylko jednorazowy wypadek.

Te płomyki świec tak drgały... czasem kładły się na boki, prostowały... nic dziwnego, w pomieszczeniu był przeciąg; otwarte drzwi, małe okienko i... schody... po prawej stronie od wejścia. To one zaprowadziły do góry tę nieszczęsną dziewczynę... Po co tam poszła?! Sprzątała? W niektórych okienkach są szyby, więc może je myła... a na samym szczycie jest taras widokowy... można z niego wypaść... Ale... tak po prostu? Znalaziono ją już martwą pod wieżą. Ten wypadek jest taki dziwny, niesamowity.

Edyta wzdrygnęła się, kiedy poczuła na policzkach strużki deszczu, zamknęła okno, opuściła rolety, założyła piżamę i wsunęła się pod kołdrę. Do domu postanowiła zadzwonić nazajutrz i oczywiście ominąć wątek z pokojówką, Ola zaczęłaby krakać o strasznym zamku i kto wie, czy matka nie kazałaby jej wrócić.

Małej lampki nie zgasiła. Jej blask rozpraszał ciemność w pokoju, uspokajał, wyciszał, dawał iluzję ciepła domu chociaż na chwilę, zanim wyłączą prąd albo nadejdzie czas snu.

Spojrzała na wiszący nad drzwiami głośnik. Przez chwilę nasłuchiwała. Milczał. Jednak to milczenie wprawiało ją podświadomie w stan oczekiwania na jakiś odgłos, zgrzyt, szum...

Może zapukać do Urszuli? Namówić ją na nocną rozmowę? Nie... Dobrze, że jest lato i wcześniej się rozjaśnia. Trzeba zamknąć oczy i zasnąć!

Sen, pomimo przykrych obrazów dnia kłębiących się w myślach, powoli nadchodził, zamykał coraz cięższe powieki oczu, przez chwilę siłą woli unoszone, w końcu Edyta zgasła lampkę i nakryła się po uszy kołdrą.

W pokoju panowała cisza, przez zamknięte okna dochodził jedynie delikatny, zaledwie słyszalny szum deszczu, z każdą chwilą coraz słabszy, zanikający.

Tylko wiatr się wzmógł, szeleszcząc koronami drzew i świszcząc w porywach, unosił w górę grudki piasku, małe listki, rozganiając ciemne chmury, zza których wyłoniła się srebrna tarcza księżyca.

Minęła godzina, dwie...

W ciszę nocy wkradł się jakiś dźwięk, szmer, który powtórzył się, jakby perełki rozsypywały się na podłodze. Po chwili nastała cisza. Nie na długo. Znowu rozległ się odgłos nachalnego, wyraźnego już pukania, perełki potoczyły się w ciemnościach...

Edyta poruszyła się niespokojnie, przewróciła na drugi bok, podciągnęła kolana, zwinęła się w kłębek, ale nadal pozostała w krainie snu.

Stuk, stuk, stuk...

Dźwięk powoli mącił sen, nie pozwalał dłużej trwać w pełnej spokoju nieświadomości, wkradał się jak nieproszony gość, coraz bardziej natrętnie, aż narastający bezwiednie niepokój zmusił Edytę do otwarcia oczu i nasłuchiwania czegoś nieznanego, co nagle wzbudziło jej lęk i dochodziło spod okna. Przez chwilę, zaspana, zastanawiała się, czy to jeszcze sen, czy w pokoju dzieje się coś dziwnego. Wpatrywała się w atramentową ciemność, starając się stłumić w sobie narastającą panikę. Słyszała, jakby w szyby okien ktoś sypał garściami piasek albo... toczyło się coś po podłodze! Stuk... stuk... stuk... To było nie do zniesienia!

Gwałtownym ruchem ręki włączyła lampkę, ale ta nie zapaliła się! Zdjęta strachem, wychyliła się z łóżka, szu-

kając po omacku straconej przypadkiem z szafki latarki, a kiedy ją znalazła i włączyła, potoczyła snopem światła po pomieszczeniu.

Edyta, odkąd pamiętała, zawsze bała się ciemności, nawet teraz, rozświetlonych blaskiem zwykłej latarki, którą wodziła po ścianach, meblach, po oknach, wreszcie po drewnianych okiennicach.

Stukanie o różnym natężeniu, wzbudzające jej strach, po krótkim wsłuchaniu się w nieprzyjemne odgłosy, dało się wyraźnie zlokalizować.

Edyta wzięła głęboki oddech, odrzuciła kołdrę i nie wkładając kapci, oświetlając sobie drogę, podeszła do okna. Bez zastanowienia podciągnęła do góry roletę. Podmuch wiatru wciskał się w szybę, w szczeliny okna, poruszając drewnianą okiennicą.

To tylko wiatr!

Poczuła, jak wzbiera w niej ogromna ulga, że to tylko stare okiennice napędziły jej strachu, chociaż jeszcze przed chwilą jej wszystkie zmysły nieomal oszalały, a serce dziko łomotało, podchodząc do gardła! Chociaż... skąd pochodził odgłos jakby rozsypujących się na podłodze perełek?!

Skierowała snop światła latarki na posadzkę, szukając źródła tego dziwnego odgłosu, ale w jego zasięgu nic nie znalazła.

Wyłączyła latarkę i przybliżyła twarz do szyby, chcąc lepiej zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz. Po deszczu został tylko mokry krajobraz za oknem. Zza odsuniętej zasłony chmur blask księżyca rzucał poświatę na drzewa, których długie cienie kładły się na trawie, za oknami nie działo się nic niepokojącego.

Edyta, uspokojona, wróciła do łóżka, usiadła na jego brzegu i sięgnęła po zegarek. Tarczę oświetliła latarką. Dochodziła trzecia. Niedługo pobudka. Co za noc! Z rozmachem przykryła się kołdrą, obiecując sobie, że więcej nie da się nabrać na żadne stukanie, pukanie, a okiennice

dobrze byłoby jakoś mocniej przytwierdzić albo przysunąć bliżej do ściany.

Jednak raz rozbudzona w środku nocy do rana zaledwie drzemała. Wstała niewyspana, podciągnęła w drugim oknie roletę i szeroko je otworzyła. Do pokoju wtargnęło wilgotne, nienagrane jeszcze powietrze, ale widok zielonego krajobrazu wynagradzał zarwaną noc i strach, który obezwładniał ciało i wyzwał koszmarny wyobraźni przeczące zdrowemu umysłowi.

Edyta zarzuciła szlafrok, zabrała przybory toaletowe i wyszła z pokoju. Rozpoczął się drugi dzień jej pracy.

Urszula pokiwała głową z aprobatą:

- Wiesz, nawet do twarzy ci w tej czerni. - Patrzyła z uznaniem na Edytę, ubraną w służbową sukienkę. - Teraz załóż ten biały fartuszek, bo dzisiaj zanieśiesz do salonu śniadanie Bohdanowiczom, a ja zajmę się biblioteką. Ten ich synalek zostawia po sobie niezły bałagan, za każdym razem, kiedy tam chodzi - skrzywiła się. - Muszę z powrotem układać na regałach wszystkie książki, którymi raczył się zainteresować - dodała ironicznie.

- Wiesz, mam tremę, jakbym zdawała jakiś egzamin, a jestem tylko zwykłą służącą - Edyta patrzyła w lustro, okręcając się na boki.

- Nie jesteś tu na stałe, możesz odejść, jeżeli nie będzie ci się tu podobało. A... jeżeli chodzi o pierwszą noc, to jak ci się spało? - Urszula spojrzała jej prosto w oczy.

Edyta powiedziała ze spokojem:

- Wiesz, że nawet nie spodziewałam się, że tak szybko zasnę? Bardzo dobrze mi się spało, pomimo... - widząc jej czujne spojrzenie, zrobiła efektowną przerwę, poprawiając w lustrze włosy - tej niespodzianki w wieży, no i oczywiście noclegu w nowym miejscu.

- No widzisz, no to idziemy do roboty. Aha, położyłam już w salonie na stole biały obrus, po śniadaniu zdejmij go i włóż do komody, stoi na wprost drzwi.

- Dzięki.

Urszula została na piętrze, natomiast Edyta zbiegła po schodach do hallu i udała się do kuchni. W windzie stał już serwis śniadaniowy dla siedmiu osób, przygotowany przez Wiesię, wystarczyło tylko nacisnąć guzik i z powrotem udać się na piętro.

Kiedy stała z tacą przed drzwiami salonu, poczuła się niepewnie. Nigdy nie pracowała w restauracji ani nawet nie obsługiwała zarobkowo wesel czy przyjęć i krzątanie się wokół stołu w obecności wielu obcych osób sprawiało, że czuła teraz pewien dyskomfort pomiędzy świadczeniem pracy a rolą zwykłej służącej, bo tak to oceniała.

Niech się zatem dzieje, co chce!

Taca była wielka i ciężka. Zza potężnych, zamkniętych drzwi nie dochodziła żadna rozmowa.

Edyta postawiła tacę na podłodze, otworzyła drzwi salonu i z duszą na ramieniu weszła do środka. Nikogo nie było. Odetchnęła z ulgą, postawiła tacę na stole i z ciekawością rozejrzała się po pomieszczeniu.

Salon był przestronny, z trzema oknami, na których wisały finezyjnie udrapowane firany i zasłony, z kominkiem z jasnego marmuru, wokół którego stały fotele. Nad kominkiem wisiało lustro w złożonych ramach, obok, po bokach, złożone kinkiety. Pod środkowym oknem stała kanapa, z boku stylowy mały stolik i dwa wyściełane krzesła.

Na wprost drzwi znajdowała się komoda, nad nią portret jakiejś kobiety, nieco dalej kredens z bogatymi rzeźbieniami, w którym, w witrynie za szkłem, widoczna była piękna kolekcja kryształów.

Nad długim, prostokątnym stołem stojącym na czerwonym dywanie wisiał duży, kryształowy żyrandol,

podłoga inaczej niż w innych pomieszczeniach, wyłożona była drewnianą klepką w kolorze jasnego brązu.

Na ścianach w ciepłym pomarańczowym kolorze wisiały obrazy. Mogły to być oryginały albo ich kopie; całość wnętrza przywołała Edycie wspomnienia ze starych zamków, które pasjami zwiedzała w czasie wakacji lub ze szkolnymi wycieczkami.

Pomieszczenie ze strefą wypoczynkową i układem mebli sprawiało wrażenie, iż jest to salon połączony z jadalnią.

Edyta wzdrygnęła się, kiedy nagle dobiegł ją dźwięk zegara wybijającego godzinę, i rozejrzała się dookoła, szukając wzrokiem miejsca, z którego dochodził jego mocny, dźwięczny ton.

Zegar stał na podłodze przy ścianie, niedaleko od drzwi. Drewniany i jak wszystkie meble znajdujące się w salonie rzeźbiony; jego górna część z tarczą zegarową wspierała się na figurach dwóch kobiet w antycznych strojach, pomiędzy nimi wisiało wahadło. Dolna część z małą szufladką stanowiła oparcie dla figur. Mógł mierzyć więcej niż półtora metra wysokości.

Zegar wskazywał wpół do ósmej. Zaraz zaczniesz schodzić się gromadka Bohdanowiczów.

Edyta nabrała tempa w rozstawianiu serwisu śniadaniowego na stole. Dokładnie pośrodku postawiła wazon z kwiatami - były świeże, widocznie ogrodnik rano je ścinał i wstawił do kryształowego wazonu. Świecznik przeniosła na komodę w przeświadczeniu, iż zapala się go przy kolacji lub obiedzie, a nie przy tak prozaicznej czynności jak spożywanie śniadania o ósmej rano, chyba że państwo mają inne zwyczaje, więc otrzyma od Winter pierwszą cierpką uwagę. Zabrała tacę i przed wyjściem rzuciła ostatnie spojrzenie na stół, po czym zadowolona z wykonanej pracy poprawiła jeszcze w wazonie kwiaty.

Bardziej wyczuła, niż usłyszała czyjąś obecność za plecami. To przez ten gruby dywan na korytarzu, który skutecznie tłumiał kroki chodzących po korytarzu osób.

- Dzień dobry.

Edyta odwróciła się i zobaczyła dziewczynę, którą widziała na ceremonii w wieży.

- Dzień dobry. Proszę, śniadanie gotowe.

- Widzę, że tylko ja zerwałam się z łóżka tak rano. Pani jest tu nowa?

- Tak. Od wczoraj. Nazywam się Edyta Mroczkowska. Dziewczyna usiadła przy stole i sięgnęła po filiżankę

z herbatą. Miała jasną, wręcz bladą cerę, podkrążone oczy, jasne włosy okalały dość ładną twarz. Upiła łyk i spojrzała na Edytę.

- Mam na imię Kamila - lekko się uśmiechnęła - i jestem córką właścicieli zamku. Jak pani się tu podoba? To dość nietypowe miejsce pracy.

- To moja w ogóle pierwsza praca, w zamkach bywałam jedynie jako turystka - Edyta stojąc przed córką właścicieli posiadłości, czuła pewien dystans dzielący ją od chyba bogatej, młodej dziewczyny. - Praca mi odpowiada, wynagrodzenie również. Życzę smacznego - ruszyła w stronę drzwi.

- Dziękuję, ale proszę zaczekać... chyba... rodzice i... babcia... nie przyjdą na śniadanie... Babcia na pewno, rzadko wychodzi z pokoju, jest chora i w podeszłym wieku - dziewczyna urywała zdanie, popijając herbatę.

- W takim razie zaniósę jej do pokoju - Edyta zawróciła i pochyliła się nad stołem z zamiarem chwycenia filiżanki.

- Och, nie, nie trzeba! Pani Helena tym się zajmie! - Kamila była wyraźnie poruszona, stawiając gwałtownie swoją filiżankę na stole.

Edytę gwałtowna reakcja Kamili zdumiała. To ona była tu służącą, a nie zarządzająca domem, chłodna i szorstka Winter.

- Ale... może wypije chociaż sok pomarańczowy...

-Nie! - ucięła niespodziewanie ostro dziewczyna. - Babcia na pewno jeszcze śpi - dodała łagodniej, z cieniem uśmiechu na twarzy.

- W takim razie jeszcze raz życzę smacznego.

W drzwiach spotkała się z młodym mężczyzną o pochmurnym wyrazie twarzy, bratem dziewczyny. Wyglądał na niewyspanego i z czegoś niezadowolonego. Minał ją bez słowa, po czym z rozmachem usiadł na krześle przy stole.

Edyta, zanim wyszła z salonu, usłyszała, jak nieskrępowany jej obecnością powiedział, że nie ma zamiaru dłużej mieszkać na tym cmentarzu.

-Ciszej! - dobiegł ją cichy, syczący głos Kamili mówiącej przez zęby.

Na korytarzu przystanęła pod drzwiami seniorki rodziny. Wbrew dziwnemu zakazowi jej wnuczki, postanowiła wejść i zapytać, czy przynieść jej ciepłą herbatę i świeży maślany rogalik. Zapytać, jak się czuje, uchylić okno... Już miała złapać za klamkę, kiedy poczuła na plecach dotyk czyjeś ręki. To było tak niespodziewane, aż drgnęła, gwałtownie się odwróciła i zobaczyła surową twarz Heleny Winter.

- Proszę wrócić do swoich obowiązków - zabrzmiało to nawet dość łagodnie. - Seniorka nie wstaje, nie je o tej porze, a posiłkami dla niej ja się zajmuję.

- Nie wiedziałam, a jeżeli chodzi o porządki, to nie mam klucza do tego pokoju obok starszej pani.

- Tam nic nie ma. To wszystko.

Helena weszła do salonu, ale Edyta bez zastanowienia nacisnęła klamkę drzwi do pokoju seniorki rodu. Sama nie wiedziała, co ją do tego skłoniło. To był niewytłumaczalny, nieracjonalny impuls, który pchał ją do otwarcia drzwi, mimo kategorycznych zakazów.

Drzwi nie ustąpiły. Dziwne. Jeżeli seniorka jest poważnie chora, to tym bardziej pokój powinien być dostępny

w każdej chwili. Edyta rozejrzała się po korytarzu. Nikogo nie było. Podeszła do następnych drzwi, tych obok. Nacisnęła klamkę. One również były zamknięte.

- Edyta! - usłyszała.

To Urszula wychyliła głowę zza drzwi biblioteki.

- Pomóż mi. Te książki trzeba porządnie odkurzyć. Aż się z nich sypie. Sama nie dam rady, a trzeba jeszcze zająć się korytarzami i pozostałymi pokojami.

- Już idę, tylko zmienię fartuch.

W bibliotece było czuć zapach dymu papierosowego, a w popielniczce leżało kilka zgaszonych, niedopalonych do końca papierosów.

Edyta krytycznie oceniła pobyt syna Bohdanowiczów w bibliotece:

- Tutaj nie powinno się palić, zwrócę mu uwagę - patrzyła z niechęcią na pety pozostawione w popielniczce.

- Może ciebie posłucha, bo ja niejedną raz zwracałam mu uwagę. Tam leży czysta ściereczka - Urszula machnęła ręką w kierunku fotelika, na oparciu którego wisiała biała szmatka.

- Słuchaj, Urszula, może podzielimy się pracą, ja zajmę się książkami, wykładziną - rozejrzała się. - Zmyję parapety, stoliki, wyniosę śmieci albo zajmę się korytarzem tutaj na piętrze. Co o tym sądzisz?

- W porządku, zostań tu, a ja zajmę się korytarzem, a potem razem odkurzymy tych rycerzy na dole.

Urszula wyszła, by po chwili pojawić się znowu. Stała w progu pomieszczenia.

- Zapomniałam ci powiedzieć, ale dostałam polecenie od Heleny, żebyśmy dzisiaj po obiedzie zajęły się poddaszem.

- A gdzie są schody na poddasze? Nie zauważyłam ich tutaj - zdziwiła się Edyta.

- W wieży!

- Stamtąd wchodzi się na poddasze?

- To jedyna droga. Mnie to też dziwi. Może na strychu są drzwi prowadzące na dół, ale ktoś je kiedyś zamurował? Chociaż to niemożliwe! Przy ścianie szczytowej nie ma nawet śladu po jakimkolwiek zejściu... Kiedy już tam pójdziemy, to rozejrzemy się dokładnie, bo wydaje mi się, że... gdyby było... to... - Urszula weszła do środka i usiadła na foteliku - powinno prowadzić do łazienki! Albo...

Chwyciła Edytę za rękę i pociągnęła ją za sobą na korytarz.

- Do tego pokoju! - pokazała na komnatę usytuowaną naprzeciw łazienki.

- Dlaczego akurat w tym miejscu?

- Nie wiem. Znam rozkład wszystkich komnat, ale nic nie wskazuje na to, że są tam jakieś ukryte drzwi. Może są zamaskowane? A ten pokój jest stale zamknięty - Urszula była podekscytowana, patrząc na drzwi komnaty. - Może któryś z kluczy pasuje do zamka tych drzwi?! - zapaliła się do swojego pomysłu, szukając aprobaty w oczach Edyty.

Nie znalazła jej. Dziewczyna podeszła sceptycznie do jej wynurzeń.

- Ten pokój pewnie jest pusty. To dobrze, będzie mniej do sprzątnia. A pomyślałaś o tym, co będzie, jak ktoś przyłapie nas przy majstrowaniu w zamku? Jeszcze wezmą nas za złodziejki!

- Jednak od dawna nie daje mi to spokoju. To niemożliwe, żeby z poddasza nie można było zejść na piętro!

- Myślisz, że to jest takie ważne? - wydeła usta Edyta. - Jestem tu zaledwie drugi dzień, ale wydaje mi się, że ten zamek został kilka razy przebudowany. Nawet... przyznam ci się, że dziwnie tu się czuję i jakoś... nie będzie mi żal nawet tego wynagrodzenia, kiedy skończy się tu praca i pojedę do domu.

Wróciła do biblioteki i sięgnęła po książkę. Starannie wytarła ją ściereczką, po czym zwróciła się do wchodzącej do pomieszczenia dziewczyny:

-Ci Bohdanowiczowie na pewno długo tu nie pomieszkają - powiedziała z pewnością w głosie. Pewnie zainwestują jeszcze jakąś kasę w ten zamek i sprzedadzą go, bo sama widzisz, że tutaj nic do siebie nie pasuje. Porównaj chociażby wystrój korytarzy, pokoi. Nie wiem, jakie oni mają dokumenty, pewnie legalne. Tylko że tu się nie da mieszkać. Okropnie tu zimno!

- W każdym pokoju są kominki na prąd, ale latem na pewno ich nie pozwolą włączyć. Jedyne seniorka ma stale włączony kominek. Bardzo o nią dbają.

- A światło?

-U niej w pokoju? Zawsze jest. Seniorka jest w podeszłym wieku i nie będzie przyświecać sobie latarką. Najważniejsze, że mamy dobrze płatną pracę. Idę po odkurzacz, a po obiedzie marsz na poddasze, chociaż nie wiem, po co. Byłam już tam z Wiesią i oprócz starych rupieci, które poukładałyśmy, nic tam nie ma. Ale polecenie trzeba wykonać - westchnęła Urszula.

-No to pójdziemy. Trzeba będzie zabrać wiadro z wodą, żeby przy zmiataniu podłogi tak się nie kurzyło. Wiesz, chciałam zanieść śniadanie do pokoju seniorki, ale Winter mi zabroniła. Powiedziała, że sama tym się zajmie.

- Tak? - zdziwiła się Urszula. - Wczoraj... nie, to było wtedy, kiedy znaleziono tę dziewczynę... Byłam u niej rano i... spała... więc zostawiłam śniadanie na tacy i wyszłam. Wczoraj... rano... kiedy wychodziłam z salonu i chciałam jej zanieść posiłek do pokoju, to... - zastanowiła się - Bohdanowiczowa wzięła ode mnie tacę i powiedziała, żebym pomogła Wiesi w kuchni.

- Może jest poważnie chora i chce mieć przy sobie tylko rodzinę? - Edyta podsunęła rozwiązanie sposobu konsumpcji rannych posiłków seniorki. - A co z obiadem i kolacją dla niej?

-To się okaże. Dzisiaj zobaczysz, jaki jest piękny widok z wieży, z tarasu.

Urszula podeszła do drzwi i spojrzała w głąb korytarza.

- Państwo Bohdanowiczowie idą na śniadanie - powiedziała przyciszonym głosem.

- Trochę dziwi mnie to, że nie chcą poznać nowej pracownicy, przecież ten zamek to ich własność, a nie Winter.

Urszula spojrzała na nią z politowaniem

- Od tego mają właśnie ją! Ona w ogóle jest dla nich jakąś szczególną osobą. Jada z nimi śniadania, obiady.

- Może to daleka krewna?

- Nie - pokręciła głową Urszula. - Zwraca się do nich per pani, pan. Trzasnęły drzwi.

- Weszli do salonu. To na razie. Otwórz okno, bo nałykasz się kurzu.

-Zaczekaj. Kiedy mam wejść do salonu i zabrać naczynia?

- Oni rano długo tam nie siedzą. Za godzinę wyjadą z zamku, nie siedzą tu przez cały dzień.

- Pracują?

- Nie mam pojęcia. Na razie.

Po chwili rozległ się szum włączonego odkurzacza. Edyta szybko uporała się z pracą w bibliotece, potem wspólnie z Urszulą zajęły się porządkami w pokojach rodziny Bohdanowiczów.

W pokoju zajmowanym przez Kamilę panował ład, inaczej niż u jej brata Szymona, który wyraźnie nie miał zamiaru ułożyć czegokolwiek na właściwym miejscu. Na przykład zawiesić na wieszaku w szafie nieużywanych tego dnia spodni. U dziewczyny w komnacie unosił się w powietrzu przyjemny zapach perfum i kwiatów z wazonu stojącego na nocnej szafce. Jedyne różowy szlafrok wisiał na poręczy fotela. Na komodzie leżały kolorowe czasopisma, bransoletka w kolorze srebra, czyjeś zdjęcie w ozdobnej ramce oraz

szklany prostokątny pojemnik z jakimiś drobiazgami. Nad komodą wisiało owalne lustro.

Edyta podciągnęła rolety, otworzyła na oścież okno i wyjrzała na zewnątrz. Zapowiadał się ciepły, ale pochmurny dzień. Trawa wchłonęła nadmiar wody, wiatr osuszył korony drzew. Westchnęła. W końcu nie przyjechała do zamku na wypoczynek, a do pracy.

Szlafrok zostawiła na oparciu fotela, poprawiła pościel na łóżku, przetrzała ściereczką meble, na koniec odkurzaczem dokładnie odkurzyła całą podłogę za komodą, pod łóżkiem i udała się do następnego pokoju. Reginy Bohdanowicz.

Ku jej zdumieniu, kobieta leżała na łóżku, na jej czole widoczny był biały okład, na którym trzymała dłoń. Miała bladą twarz i zamknięte oczy. Obok łóżka siedziała Helena Winter, która na widok wchodzącej do środka dziewczyny podeszła do niej, kładąc palec na ustach.

- Pani Regina źle się czuje. Odpoczywa. Proszę dzisiaj tu nie robić porządków - powiedziała szeptem.

-Dobrze. Przepraszam. Nie wiedziałam - odpowiedziała równie cicho Edyta.

Wyszła na korytarz zdziwiona nagłą niedyspozycją kobiety. W pokoju unosił się zapach waleriany. Nie znosiła go. Jej matka po śmierci ojca przez długi czas zażywała ją na uspokojenie nerwów.

Na parterze zastała Urszulę zajętą odkurzaniem zbroi rycerskich, która rzuciła na nią przelotne spojrzenie, pokazując na manekiny stojące po prawej stronie schodów.

- Wytrzymaj je, ale suchą ściereczką - zastrzegła. - Weź tę, co leży na parapecie. Zbliża się pora obiadowa, a z salonu nie zabrałaś jeszcze naczyń po śniadaniu. Musimy się pospieszyć, przecież dzisiaj podajesz do stołu. Nie zapomnij przebrać się w biały fartuszek - dziewczyna zrobiła srogą minę i zaraz parsknęła śmiechem.

-Myślę, że Reginy Bohdanowicz na obiedzie nie będzie. - Edyta wzięła ściereczkę. - Leży w swoim pokoju blada jak ściana i siedzi przy niej kucharka.

-To dziwne, bo rano była w salonie na śniadaniu. Ach! Pewnie to migrena albo gryzie ją sumienie! - Urszula zbagatelizowała niedyspozycję pracodawczyni, podnosząc przyłbicę zbroi. - Faj! Tu zawsze jest pełno kurzu! - skrzywiła się.

- Dlaczego mówisz o jej sumieniu?

- Może powinna pochować tę Jankę w mieście, na normalnym cmentarzu?

- Właśnie. To był dziwny pogrzeb, ale moim zdaniem musiała mieć na to pozwolenie odpowiedniego urzędu.

Na piętrze trzasnęły gdzieś drzwi. Dziewczyny spojrzały po sobie wymownie.

- To na pewno pani zarządzająca - stwierdziła Urszula.

-Idę do tych manekinów, nie chcę, żeby robiła mi jakieś uwagi - Edyta ruszyła do rycerzy, mijając schody, na podeście których stała Helena.

Nie patrząc w jej stronę, starannie polerowała zbroję, słysząc jej powolne kroki na stopniach kamiennych schodów i jak po chwili przypomina Urszuli o porządkach na poddaszu.

-Na pewno będzie pani z naszej pracy zadowolona - przekonywała ją dziewczyna. - Tam są różne stare rzeczy, można je wynieść do śmietnika.

- Na razie nie ma takiej potrzeby. Wystarczy porządnie tam posprzątać, umyć okna - kobieta przez chwilę milczała, po czym dodała: - Wieczorem sprawdzę, które rzeczy można ewentualnie wyrzucić.

Edyta uśmiechnęła się w duchu. Ciekawe, czy po ciemku cokolwiek tam zobaczy, bo w ramach oszczędności na pewno nie ma tam żadnego oświetlenia. Małe okienka za

dnia wpuszczają trochę światła, ale wieczorem? Z pewnością jest tam bardzo nieprzyjemnie w ciemnościach.

Kiedy Helena zniknęła za drzwiami kuchni, podeszła do niej Urszula.

- Słuchaj, zajmij się teraz salonem, zabierz naczynia i połóż na stole nowy obrus. W komodzie jest taki z wyhaftowanymi inicjałami Bohdanowiczów, który kładzie się w czasie obiadu, a ja dokończę za ciebie tę robotę - zaproponowała, zabierając z jej rąk ściereczkę. - Nie będzie ci tam potrzebna, a moja jest już zbyt zakurzona - wyjaśniła.

- Dzięki. Z przyjemnością pójdę na piętro, tam jest trochę cieplej, a tu jest taki chłód! - Edyta wzdrygnęła się. - W lecie! A w zimie? W korytarzach nie ma żadnego ogrzewania.

- Do zimy daleko, może nas do tego czasu zwolnią? -Do zimy? Przyjechałam tu do pracy na miesiąc,

może dwa. Potem jadę nad morze. To nieodwołalne.

- A ja... sama nie wiem... Bohdanowiczowie dobrze płacą... Praca nie jest ciężka - Urszula zasepiła się. - Zostanę, jeżeli będzie taka możliwość - w jej głosie zabrzmiała ulga z lekką nutką niepewności co do dalszego zatrudnienia.

- Zrobisz, jak zechcesz. Idę na górę.

W miarę zbliżania się pory obiadowej na dziedziniec zamku wjeżdżały samochody jego mieszkańców, trzaskały drzwiczki, kilka osób ruszyło w stronę wejścia do posiadłości. Na kamiennych schodach wiodących na piętro zamku słychać było tupot ich nóg, krótkie, zdawkowe rozmowy, potem głośny dźwięk zamykanych ciężkich drzwi komnat, i zaległa cisza.

Helena Winter krążyła z góry na dół po schodach, kontrolując w kuchni czujnym spojrzeniem sprawność podległego jej personelu w przygotowaniu i przebieg podania do stołu dań obiadowych.

Winda z serwisem obiadowym dla sześciu osób pojechała w górę. Edyta udała się na piętro, założyła biały fartuszek i otworzyła drzwi do salonu, pamiętając o swoim porannym gapiostwie, kiedy stawiała tacę ze śniadaniem na podłodze. Z komody wyjęła biały obrus i nakryła nim długi stół, na którym postawiła świecznik. Zapałki albo zapalniczka! Gdzieś muszą być! Sprawdziła zawartość szuflady w komodzie. Nic nie znalazła. Mimowolnie spojrzała na jej blat. Pod portretem kobiety leżały zapałki. Wzięła je do ręki i tknięta jakimś impulsem, spojrzała na portret. Widniejąca na nim kobieta w staroświeckim kapeluszu do złudzenia przypominała tę z fontanny! Taki sam kapelusz, sznur perełek na szyi, nawet wyraz twarzy portretowanej damy był identyczny, jaki uchwycił rzeźbiarz, tworząc postać z szarego kamienia stojącą z psem pośrodku fontanny!

Czyżby to była praprababka albo ktoś z jeszcze dalszej rodziny Bohdanowiczów?! Edyta znowu poczuła się nieswojo, jak wówczas, kiedy stała obok fontanny, czując taki sam stan ogarniających ją emocji.

Odetchnęła głęboko, odeszła od komody, zapaliła świece i po kolei zaczęła wносить i stawiać na stół pachnące, gorące półmiski oraz komplet naczyń do obiadu.

Ciężką wazę z zupą wniosła ostatnią. Bała się, że zsunie się jej z tacy a wtedy nie zdążyłaby przed podaniem całego serwisu wyczyścić płam na dywanie, przynieść następnej porcji zupy, a ponadto być może otrzymałaby wypowiedzenie z pracy z powodu nieudolności w wykonywaniu prostych czynności. A na pracy bardzo jej zależało, nawet w takim niesamowitym miejscu.

Na szczęście nic takiego się nie stało. Zanim opuściła salon, pojawili się Bohdanowiczowie, Helena Winter i krewny rodziny, który... okazał się być mistrzem ceremonii! W czasie ceremonii pożegnalnej zaledwie musnęła go spojrzeniem, ale to był on! Była tego pewna!

- Dzień dobry - Edyta powitała rodzinę. - Jeśli państwo czegoś jeszcze potrzebują, to będę w pokoju obok windy.

Helena potoczyła wzrokiem po obecnych przy stole. Zatrzymała spojrzenie na Kazimierzu Bohdanowiczu. Ten pokręcił przecząco głową.

- Nie sędzę. Dziękujemy pani... - zawiesił głos, patrząc na dziewczynę.

- Nazywam się Edyta Mroczkowska.

- Pani Edyto.

- Chciałabym jeszcze podać posiłek pani Marii, rano też chciałam, ale...

- Nie trzeba jej niepokoić. Zasnęła po zażyciu lekarstw - przerwała jej słabym głosem Regina Bohdanowicz.

- W takim razie życzę smacznego.

Edyta wyszła z salonu z wrażeniem sztuczności całej tej otoczki usługiwania rodzinie, ubranej jakby wrócili właśnie z plaży. Nie spodziewała się jakiejś wyszukanej elegancji w ich ubiorach, jak to widywała w filmach, których akcja rozgrywała się na zamkach, ale krótkie spodenki Szymona, gołe plecy Kamili i rozpięta na wpół koszula Bohdanowicza niemile ją zaskoczyły. Pałace się świece pasowały do tej scenerii jak wół do karety.

To Helena, siedząca obok Reginy Bohdanowicz, wyglądała na prawowitą właścicielkę posiadłości, a pozostałe osoby zajmujące miejsca przy stole sprawiały wrażenie tylko zaproszonych przez nią gości.

Po raz kolejny odniosła wrażenie, iż obecność personelu nie jest w kręgu zainteresowania rodziny Bohdanowiczów. Mogłyby obsługiwać ich chociażby roboty, z pewnością byłoby to im obojętne. Zauważyła, że nie tylko mistrz ceremonii nawet na nią nie spojrział, mówiąc coś prawie do ucha Szymonowi, dla pozostałych też była tylko zwykłą służącą, której płacili bez wdawania się z nią w pogaduszki. Przy-

zwoite wynagrodzenie, które przeznaczy na wyjazd nad morze. Nawet jesienią czy zimą. Każda pora roku ma swoje dobre strony, a „złotą” jesień wręcz uwielbiała. Szelest pod stopami kolorowych liści, drzewa mieniające się w słońcu paletą barw...

- Ach! - westchnęła.

Przypomniała sobie o telefonie do domu. Zbiegła po schodach i w swoim pokoju wyjęła komórkę z torebki. Wybrała numer do matki. Może jest już w domu, bo w pracy nie ma czasu na rozmowy.

Połączenie urwało się po pierwszym sygnale. Spróbowała jeszcze raz. Rozległy się trzaski, jakieś dziwne, niezrozumiałe odgłosy i znowu cisza. Nic z tego. Urszula mówiła jej o trudnościach w połączeniu, ale może na dziedzińcu zamku zdoła dodzwonić się chociaż do Oli.

Na zewnątrz ogarnęło ją ciepłe, chociaż przesycone wilgocią powietrze. Nareszcie, bo w komnatach i korytarzach panował chłód, który przenikał przez cienki materiał jej służbowego ubioru. Rozejrzała się wokoło, szukając dogodnego miejsca do pogaduszek z siostrą. Zdecydowała, że usiądzie na brzegu ocembrowanej fontanny. Szmer wody nie powinien być przeszkodą w rozmowie, o ile w ogóle dojdzie do połączenia. Usiadła na wprost bramy do posiadłości, za posągiem damy, który zasłonił jej szczupłą sylwetkę przed ewentualnym czujnym wzrokiem Heleny, gdyby ta przez czysty przypadek, niespodziewanie wyszła na dziedziniec, na przykład z zamiarem odbycia krótkiego spaceru w głąb posiadłości. Nie lubiła jej cierpkiego głosu, nawet w krótkiej, zdawkowej, chłodnej rozmowie.

Do Oli dodzwoniła się po kilku nieudanych próbach połączenia.

-Cześć. Słuchaj, nie mam teraz czasu na dłuższą rozmowę, ale pracuję tu jako... - Edyta zastanowiła się. - Sprzątaczką i pokojówką. Takie wiesz, dwa w jednym. Powiedz mamie, że jest okay i żeby się o mnie nie

martwiła. W domu wszystko jest w porządku? - wyrzucała z siebie jednym tchem, w obawie przed przerwaniem połączenia.

- Nareszcie się odezwałaś, bo już myślałyśmy, że... zgubiłaś... ja do ciebie... ale nie...

Głos siostry zanikał, słysząc było w telefonie te same trzaski, szумы, kiedy połączyła się z numerem telefonu matki.

- Ola! Ola!

Nastąpiła cisza, przerywana tak przykrymi i głośnymi dla ucha odgłosami i zgrzytami, że z gwałtownie opuszczonej ręki telefon wypadł Edycie na ziemię. Schyliła się, podniosła go i wyjętą z kieszonki sukienki chusteczką starła z niego drobinki piasku. Następną próbę połączenia się z kimkolwiek w domu postanowiła podjąć po południu, po pracy na poddaszu.

Spojrzała w górę na płynące leniwie biało-szare chmury, skrywające tarczę słońca, potem wprost na bramę. Ogarnęło ją dziwne uczucie uwięzienia, jakiś wewnętrzny niepokój, bez zrozumienia jego źródła, bo przecież to nie żelazna brama wywoływała takie uczucie... Chyba. Za kutą bramą był tylko krok do jej domu, do małego, przytulnego pokoiku, który opuściła zaledwie przed dwoma dniami.

Edyta westchnęła, wstała, wsunęła telefon do kieszeni i ruszyła do zamku. Wymagające solidnej naprawy stopnie schodów wejściowych pozostały w tym samym stanie. W zasadzie tworzyły zwartą kompozycję z całym zamkiem, biorąc pod uwagę zniszczenia na froncie budynku.

Na korytarzu, przy oknie, czekała na nią zniecierpliwiona Urszula.

- Zapomniałaś o obiedzie? Nie jesteś głodna? Gdzie byłaś? - pytała raz po raz, otwierając drzwi do jadalni.

- Próbowałam dzwonić do domu, ale... - Edyta machnęła z rezygnacją ręką.

- Mówiłam ci, że komórki tu nie działają, ale próbuj.
- Muszę iść na górę, może trzeba im coś jeszcze podać.
- Teraz jest czas dla nas. Wiesia kazała cię szukać, ogrodnik już dawno wyszedł i czeka tylko na nas.

- Ogrodnik mógłby nareszcie zająć się tymi schodami przed wejściem, bo po ciemku można tam nogi połamać.

- Pewnie nie dostał takiego polecenia, ale lepiej patrzeć pod nogi, jak się po nich chodzi.

W jadalni krzątała się Wiesia, rozstawiając na stole talerze z daniami dla trzech osób.

- Nareszcie przyszłyście - powiedziała z ulgą. - Nie lubię sama jeść, a czeka mnie jeszcze pieczenie ciasta.

- Co będziesz piekła? - zapytała Urszula, siadając przy stole.

- Pani Helena jeszcze nie zdecydowała, ale myślę, że to będzie szarlotka.

- Dla kogo? - dopytywała Urszula.

- Wiesz, jaka ona jest. Za dużo nie mówi, a ja nie pytam. - Chyba sama wszystkiego nie zje - ta powiedziała

z niewinną miną.

- A może zje? - Wiesia niespodziewanie roześmiała się, jakby rozbawiło ją wyobrażenie Winter zjadającej ciasto. - Smacznego - życzyła, siadając przy stole.

- Pan Stefan to ma chyba dużo pracy na terenie zamku? - rzuciła pytająco w jej stronę Edyta, podnosząc łyżkę z zupą do ust.

Ta odpowiedziała po przedłużającej się nieznośnie ciszy przy stole:

- On... nie jest zbyt rozmowny, zagaduję go nieraz, ale zjada wszystko, co podaję, i wychodzi. Nie znam zakresu jego obowiązków - ucięła sucho temat ogrodnika Wiesia.

- Długo tu pracuje? - Edyta nie wyczuwała burzy gromadzącej się niespodziewanie nad jej głową.

- Dlaczego tak o niego wypytujesz?! Pracę tutaj rozpoczęliśmy w tym samym dniu! Wiesz, co?! Lepiej pilnować

własnych spraw i... robić to, do czego zostało się zatrudnionym!

Urszula zaskoczona wybuchem irytacji Wiesi, rzucała spojrzenie znad talerza, to na jedną, to na drugą dziewczynę, i w końcu pojednawczo powiedziała:

-Uspokójcie się. Edyta o mało nie przewróciła się, wchodząc do zamku. Stąd to pytanie. Może trochę tendencyjne, ale doskonale wiesz, że stopnie są uszkodzone i ty też możesz kiedyś w niezbyt przyjemny sposób się o tym przekonać, czego ci nie życzę. I to tyle na ten temat.

Zanurzyła łyżkę w talerzu i podniosła do ust.

- Jaka pyszna zupa! - wydała pomruk zadowolenia.

-Przepraszam cię, sama nie wiem, co mnie napadło - Wiesia zwróciła się pełnym skrucy głosem do Edyty, widząc, jak jest jej przykro.

-W porządku, chyba obydwie mamy dzisiaj zły dzień - ta krótko skwitowała, nie patrząc na nią. Pochyliła się nad talerzem i po chwili dodała:

- Rzeczywiście, jesteś świetną kucharką. Chciałabym tak dobrze gotować, jak ty.

- Dziękuję.

Do końca obiadu w jadalni panowała cisza. Edyta, niemile dotknięta, więcej nie próbowała pytać o cokolwiek, obawiając się następnego wybuchu irytacji kucharki.

Po obiedzie lekkim krokiem wbiegła po schodach na piętro i udała się do służbowego pokoju obok windy. Nie domknęła drzwi. Przez grube ściany nie usłyszałyby wychodzących z salonu osób, a zależało jej na szybkim uporaniu się tam z poobiednimi porządkami, bo pamiętała o pracy na poddaszu. Długo nie czekała, zanim otworzyły się drzwi salonu i usłyszała głosy wychodzących.

- Strasznie się denerwuję! Od rana boli mnie głowa, po prostu to nie jest na moje nerwy!

- Moja droga, nie panikuj! Jak się coś zaczyna, to trzeba skończyć!

Edyta poderwała się z krzesła i stanęła blisko szpary niedomkniętych drzwi. To, co usłyszała, wstrzymało na chwilę jej oddech! Ale na pewno to był głos Reginy Bohdanowicz, a reprimenda padła z ust Heleny!

- Helena ma rację, weź coś na nerwy i idź do swojego pokoju. Resztę zostaw nam.

To mistrz ceremonii!

- Nareszcie! Niech to się wreszcie skończy!

To Szymon! Zapamiętała jego ostry ton głosu, którym zwracał się do siostry podczas śniadania w salonie.

- Ciszej! Nie krzycz!

To znowu Helena Winter! Upomina syna właścicieli zamku... per ty!

- Tu nikogo nie ma - warknął Szymon. - A personel nie ma pojęcia, co tu się dzieje. Nie rozumiem, po co zatrudnialiście służbę?!

-Musieliśmy. Jak by to wyglądało? Zamek bez pokojówek? - wyraził swoje zdziwienie Kazimierz Bohdanowicz. - W naszej rodzinie?

Rozległ się przytłumiony śmiech Szymona. Głosy stopniowo zanikały, stawały się coraz mniej wyraźne, trzasnęły gdzieś drzwi.

Do uszu Edyty dotarł jeszcze słaby, pełen strachu jęk Kamili:

- A ja się boję tu mieszkać! Ten zamek jest taki ponury, zimno tutaj, a ja tak lubię ciepło, słońce. Nie mogę patrzeć na tę wieżę, bo... zaraz przypomina mi się... Janka!

-Nie bój się - przerwał jej łagodnym tonem głosu Szymon. - Już niedługo wszystko się wreszcie skończy.

-Chciałabym wrócić do domu. To był zły pomysł, powinniśmy się wycofać!

- Teraz? Nie! - zabrzmiało z daleka.

Nastąpiła cisza. Edyta ostrożnie wychyliła głowę zza drzwi. Zobaczyła Szymona czule obejmującego siostrę, po chwili skręcili na schody i zniknęli z pola widzenia.

- Co za kochające się rodzeństwo - pomyślała. - Wspaniały brat, opiekuńczy, sama chciałabym mieć takiego. Dziwna ta rodzina. Zarządzająca zamkiem Helena Winter strofuje panią domu, Szymona, chłodna wobec personelu, ale spoufalona z właścicielami zamku, co zręcznie ukrywa.

Szybko uwinęła się z porządkami po obiedzie w salonie. O krótkim śpięciu w jadalni postanowiła zapomnieć i z niecierpliwością czekała na chwilę, w której podzieli się z Urszulą podsłuchaną rozmową. Kiedy winda powoli zjeżdżała na parter z brudnymi naczyniami, zbiegła po schodach i udała się do kuchni. Nikogo w niej nie zastała. W jadalni na stole stała taca z jabłecznikiem. W powietrzu unosił się jeszcze przyjemny zapach niedawno upieczonego ciasta.

Edyta wyjęła naczynia z półek windy i po chwili wahania wstawiła je w kuchni do zmywarki. Przez chwilę zastanawiała się, czy wyręczyć Wiesię i ją włączyć, ale podział pracy w zamku był rygorystycznie przestrzegany. W każdej chwili mogłaby zjawić się niespodziewanie zarządzająca i wyniosłym tonem głosu wyprosić ją z kuchni. Chociażby teraz, bo właśnie ktoś otwierał drzwi do jadalni, przystanął w progu, po czym... do pomieszczenia weszły dwie osoby. Była tego pewna, rozróżniała już kroki osób z najbliższego otoczenia.

Do jadalni na pewno weszła Wiesia i Helena. Edyta w popłochu, aby nie podejrzewano jej o myszkowanie w kuchni, nie ruszała się z miejsca, niewidoczna zza ściany łączącej obydwie pomieszczenia.

-Jak pięknie pachnie! Zastosowałaś się do moich wskazówek? - zapytała Helena.

-Przecież piekę różne ciasta i nawet nie korzystam z przepisów, bo robię to od lat! - hardo zabrzmiało. - Wie pani o tym... bo... mam przecież kwalifikacje... - Wiesi w jednej chwili zmienił się głos, w którym zabrzmiał jakby strach przed karą, łajaniem po dokonaniu przewinienia.

- Nie mówię o tym! Oprzytomniej dziewczyno! - zasyczała Helena.

- Upiekłam według... pani... rady... żeby jak najlepiej smakował. Sama bym zjadła zaraz kawałek. Wybrałam najlepsze jabłka.

-No dobrze. Włóż ciasto razem z tacą do szafki. Podasz przy kolacji. A teraz zajmij się porządkami w kuchni, wszystko musi błyszczeć! Poza tym, wszystkich nas obowiązuje dyskrecja, cokolwiek by się w zamku działo!

- Wiem o tym.

- Proszę pani! - podkreśliła z naciskiem Winter. -Oczywiście. Proszę pani - powiedziała spokojnie

Wiesia.

- Wychodzę. Muszę przypomnieć tym dziewczynom o pracy na poddaszu. Szukam Stefana... ogrodnika, jest mi potrzebny, musi iść tam... z narzędziami... - urwała. - Byłam w piwnicy, ale nie ma go tam.

- Nic mi nie mówił. Może jest w swoim pokoju?

- Pójdę tam.

- Ta nowa... wypytywała o niego, ale... pani wie, że ja nie plotkuję.

- Mam nadzieję, że wszystko się dobrze ułoży, zgodnie z planami państwa. Ale ta „pani” jakoś z trudem ci się wymawia! Takie są zasady! Postaraj się!

- Postaram się - burknęła dziewczyna.

Trzasnęły drzwi. Po chwili rozległy się drobne kroki i... Edyta ujrzała przerażoną twarz Wiesi, która zatrzymała się przed nią jak wryta, z półotwartymi ustami, nie mogąc wydobyć z siebie żadnego dźwięku, słowa. Były prawie równego wzrostu i patrzyły sobie w oczy - Edyta z zakłopotaniem, Wiesia z powoli topniejącym przerażeniem.

Pierwsza ochłonęła Edyta.

-Wstawiłam brudne naczynia do zmywarki i nie zdążyłam wyjść. Przepraszam, że tak cię przestraszyłam -zabrzmiało to szczerze i serdecznie.

Wiesia wciągnęła głęboko powietrze i położyła dłoń na sercu.

- Wali jak szalone! Zaraz mi wyskoczy! - Oparła się o ścianę, głęboko oddychając. - Słyszałaś wszystko?! - Była tak zaniepokojona, jakby ostra wymiana zdań między nią a zarządzającą zamkiem była objęta tajemnicą.

- Niedokładnie - wykręciła się Edyta, nie chcąc robić jej przykrości. - Lodówka szumi, a do tego w tych wielkich pomieszczeniach głos jest trochę zniekształcony.

Między nami... rzadko dochodzi do jakichś spięć... Ona... po prostu... dba o porządek... nie jest taka zła, na jaką wygląda.

Wiesia, blada na twarzy, z trudem dobierała słowa, uciekając spojrzeniem gdzieś w bok. Nerwowym ruchem ręki zdjęła z włosów białą opaskę. Jasne włosy rozsypały się dookoła głowy. Minęła Edytę, poszła w głąb kuchni, po czym gwałtownie zawróciła i włączyła zmywarkę do naczyń.

- Widzisz, zaczynam błąkać się po kuchni po takim potraktowaniu! - rzuciła ze złością do Edyty. - Czasem mam ochotę stąd wyjść i więcej tu nie wracać!

Edyta milczała, zaskoczona tak nieadekwatnym do w gruncie rzeczy krótkiej rozmowy z Heleną emocjonalnym wybuchem dziewczyny. Patrzyła, jak Wiesia drżącymi rękami nieudolnie zakłada opaskę na głowę.

Próbowała ją pocieszyć:

-Wiesia, przecież jesteś świetną kucharką a ten jabłecznik aż tutaj pachnie. Niepotrzebnie się tak denerwujesz... nie ma o co.

- Więc słyszałaś wszystko?! - ta wpiła w nią spojrzenie pełne oczekiwania na odpowiedź.

- Coś do mnie dotarło, ale przestań mnie wypytywać! Czy to takie ważne? Jeszcze nie raz Winter nas ochrzani. Uspokój się, a ja muszę iść teraz z Urszulą na poddasze. Pewnie pełno tam kurzu i rupieci sprzed wieków.

- Po co? Tam już jest posprzątane - zdziwiła się Wiesia.

-Może coś tam się zmieniło. Pewnie wynieśli tam jakieś niepotrzebne rzeczy i byle gdzie rzucili. Zresztą, jest mi to obojętne, gdzie sprzątam. Płacą nam za to, i to dość dobrze.

-Owszem. Ja też jestem zadowolona z płacy, a... z pracy... też - z głosu kucharki nie zniknęły jeszcze nutki rozdrażnienia. - Nie spóźnijcie się na kolację.

- Nie spóźnimy, do zobaczenia.

Edyta po wyjściu z kuchni zastanawiała się, czy przypadkiem nie istnieje inny, głębszy powód tak wielkiego rozdrażnienia dziewczyny. Zbyt krótki pobyt w zamku nie pozwalał jej jednak na wyciągnięcie odpowiedniego wniosku, który wyjaśniłby relacje między dwiema kucharkami.

Relacje dość dziwne! Przerażenie kucharki na jej widok, ogromne! I ten niezbyt zrozumiały sens dialogu pomiędzy zarządzającą a podległą jej pracownicą! Tu dzieje się coś coraz bardziej tajemniczego, a już na pewno dla niej niezrozumiałego!

Na korytarzu owionął ja nieprzyjemny chłód. Za oknem dzień bez słonecznych promieni był szary, smutny, jedynie kolorowe klomby i zielone korony drzew w parku cieszyły oczy i nastrajały optymistycznie.

Edyta przystanęła przed komnatą Urszuli, niepewna, czy zastanie ją tam w godzinach pracy. Wydłużonych o jedną zmianę, co było męczące dla nich obydwu, wobec czego Edyta postanowiła zaproponować jej powrót do podziału pracy na dwie zmiany. Od następnego dnia.

Zapukała w drzwi i zniżając głos, zawołała:

- Urszula!

- Wejdz!

W komnacie przy na wpół zaciągniętych na oknach roletach panował półmrok, na łóżku leżała Urszula, próbując z zaciętą miną połączyć się z kimś przez telefon.

-Niestety, nie ma zasięgu. Czasem słycać jakieś pojedyncze słowa, ale co to daje?! - wściekała się. - Nawet na zewnątrz dzieje się to samo. Wydaje mi się, że ten zamek jest jakiś nawiedzony! Jasne, że żartuję, ale na pewno położony jest w miejscu, gdzie występują zakłócenia fali... może w głębokiej dolinie? Albo wokół są jakieś przeszkody i stąd te urywane połączenia?

Spojrzała na Edytę.

- Co o tym sądzisz? - zagadnęła.

- W szkole z fizyki orłem nie byłam. Pamiętam tylko coś o martwej strefie, ale z przedmiotami ścisłymi miewałam problemy. Udało mi się połączyć z siostrą, ale jej już nie rozumiałam. Słyszałam tylko jakieś urywane co chwilę zdanie.

Usiadła na brzegu łóżka, obok dziewczyny.

- Może z poddasza będzie lepszy zasięg? - podsunęła myśl. - Jeszcze raz spróbuję połączyć się z siostrą. A poza tym... Słuchaj... może już od jutra będziemy pracować na dwie zmiany? Przyznam się, że praca od rana do wieczora jest dla mnie dość męcząca, nawet z większymi przerwami. Przecież przez cały dzień trzeba być do dyspozycji Heleny albo Bohdanowiczów.

-Jak chcesz, jest mi to całkowicie obojętne. Mogę wziąć od jutra ranną zmianę.

- Dzięki. Ale to nie wszystko... - Edyta zrobiła tajemniczą minę, chcąc wzbudzić w Urszuli ciekawość. - Tylko nie mów mi potem, że się przesłyszałam! - całe zdanie mocno zaakcentowała.

- Nie powiem. Co się stało?

- Helena Winter nie tylko jada posiłki z Bohdanowiczami, ale zwraca się do nich per ty i... razem coś knują! To po pierwsze!

-Co?!

Urszula poderwała się i usiadła obok Edyty. Patrzyła na nią szeroko otwartymi ze zdumienia oczami.

- Chyba coś bredzisz! Ja tu dłużej od ciebie pracuję i na pewno coś bym zauważyła!

-To nie wszystko - mówiła dalej Edyta podekscytowanym głosem. - Po drugie, byłam przez przypadek świadkiem kolejnej rozmowy, a właściwie niemiłej wymiany zdań w kuchni, pomiędzy Heleną a Wiesią!

- Co w tym interesującego? Ochrzaniła ją?

-Nie bardzo zrozumiałam, o co właściwie chodzi, bo obydwie odzywały się do siebie dość opryskliwie, a do tego Wiesia - Edyta pokiwała głową z przykrością na twarzy - nagadała na mnie, że wypytywałam o ogrodnika! Jakby to było zakazane!

Urszula wstała, wyjęła z torebki paczkę papierosów i zapalniczkę. Głęboko zaciągając się papierosem, usiadła przy stoliku, gestem głowy przywołując do siebie Edytę.

- Ty palisz? - ta zdziwiła się.

- Uhm, a ty?

- Nie. Jakoś nie nauczyłam się.

- Opowiadaj od początku.

Urszula wsłuchiwała się w jej słowa, raz po raz zaciągając się dymem z papierosa. Na jej twarzy kolejno malowały się: ciekawość, zdumienie, napięcie, na końcu niedowierzanie. W pewnej chwili przerwała jej, wydeła usta, kiwając przy tym na boki głową, i zgasła dopalającego się papierosa w popielniczce stojącej na stoliku.

- Czekam na epilog, bo to, o czym mówisz, jest niedorzeczne! Pewnie mają do rozwiązania jakieś problemy rodzinne, a z Heleną na tyle się zaprzyjaźnili i mają do niej zaufanie, że czują się razem jak w rodzinie! A poza tym, wcale mnie nie dziwi, że Winter upomina Wiesię o należnych jej hołdach - tu Urszula zgryźliwie się skrzywiła - bo nie raz, a co najmniej kilka razy słyszałam, jak ta potrafi burknąć.

Edyta oparła łokcie o blat stolika i pochyliła się ku niej.

- A ja tego, co usłyszałam, nie lekceważę. Powtórzyłam wszystko, co usłyszałam, w miarę dokładnie i uważam, że tutaj coś się wydarzy! Myśl sobie, co chcesz! - wyrzuciła z siebie jednym tchem.

Potem wyciągnęła się wygodnie na krzesło, czekając na replikę ze strony dziewczyny. Urszula nie odzywała się, patrząc przed siebie, jakby w duchu analizowała po kolei dwie budzące w niej jedynie ciekawość rozmowy.

Edyta drążyła dalej.

- Słuchaj, pochodzisz z Bohdan. Czy słyszałaś kiedykolwiek od rodziny lub znajomych o rodzinie Bohdanowiczów? O ich pochodzeniu? Od kiedy tu mieszkają? - padały pytania. - Dlaczego w wolny dzień nie można pojechać do domu i przyjmować w zamku swoich gości? To jest jakaś twierdza! W jaki sposób dostałaś tę pracę, z ogłoszenia?

-Nic nie wiem o tej rodzinie i nie wiem, od kiedy tu zamieszkali. Ani od rodziców, ani od znajomych we wsi - Urszula mówiła wolno, jakby obudziła się z letargu. - Ale dopiero teraz, o dziwo, uświadomiłam sobie, że wolne dni spędzam w zamku, bo - wbiła spojrzenie w Edytę - Helena nie zgadza się na wyjście nawet za bramę!

-Nie dziwi cię to?! Moim zdaniem, oni nie chcą, żeby to, co zauważymy dla nas dziwnego, wydostało się na zewnątrz! - w głosie Edyty zabrzmiał triumf z osiągniętego celu rozmowy. - A pracę w jaki sposób dostałaś? Z ogłoszenia w gazecie?

- Nie! Jakies dwa miesiące temu wybrałam się z bratem do lasu, na konwalie. Doszliśmy do zamku i wtedy zobaczyłam na bramie coś białego. To była dość duża kartka z ofertą pracy. Przyjęli mnie od razu.

- Kto wtedy tutaj pracował?

- Wszyscy, którzy teraz są, oprócz Janki. Ona zatrudniła się miesiąc później.

- Kiedy jechałam tu taksówką, którą wynajęli Bohda-nowiczowie, kierowca opowiadał mi o dziewczynie, którą przywiózł do zamku. To na pewno była Janka. Obawiała się tej pracy.

-I stało się. Wiesz... z każdą chwilą coraz bardziej czuję, jak po plecach przechodzą mi ciarki. Może nakręcamy się niepotrzebnie i nic podejrzanego tu się nie dzieje?

Urszula wyglądała na przejętą rozwijającą się dyskusją. Patrzyły na siebie tak, jakby przed chwilą wyszły z kina po obejrzeniu mrożącego krew w żyłach horroru.

- Nakręcamy się. W końcu nie słyszałam o spisku na czyjeś życie, a nasza wyobraźnia za chwilę zacznie szaleć w tych murach - rozluźniła napiętą atmosferę Edyta.

Wstała i poprawiła przekrzywiony fartuszek.

- Idę sprawdzić, czy można już posprzątać w salonie - rzuciła i ruszyła do drzwi.

- Pomóc ci? - zapytała Urszula.

- Uhm. Szybciej skończymy i pójdziemy na poddasze. -Wiesz... Jakoś zrobiło mi się nieprzyjemnie, zaraz

podniosę rolety, żeby było trochę jaśniej w pokoju - Urszula wstała i podeszła do okna.

Do komnaty wpadło światło dzienne, przygaszone szarzyzną pochmurnej aury.

Edyta przypomniała:

- Trzeba wziąć wiadro z wodą, aż się boję tego wnoszenia na samą górę.

- Damy radę. Ale wkurza mnie ta niepotrzebna robota. Strych to strych!

- Pan każe, sługa musi - Edyta, wzdychając, zacytowała Adama Mickiewicza i otworzyła drzwi. - Idziemy.

Wiesia nerwowo krążyła z kuchni do jadalni i z powrotem. Po wyjściu Edyty nie mogła znaleźć sobie miejsca, niepewna jej deklaracji, że tylko „coś” do niej dotarło, bo Winter nie żałowała swoich strun głosowych. A i ona burczała głośniejsz, niż mogła sobie na to pozwolić.

Oby nastał już następny dzień, budzący ją wkradającymi się do pokoju promieniami słońca, których tak bardzo brakowało w deszczowym lipcu tego roku. Przyjechała do zamku, nie mając wyboru, ponieważ matka tak postanowiła. Ojciec początkowo kręcił głową, niezadowolony z jej i rodziny planów, ale ona - córka, nie miała prawa głosu i zmuszona do przyjazdu, trafiła do kuchni, zresztą zgodnie z jej zawodem.

Usiadła przy stole w jadalni i podparła głowę rękami. Natrętne myśli przywołały obraz milczącej zwykle Janki. Widać było jak na dłoni, że dziewczyna źle się czuje w obcym środowisku, gotowa w każdej chwili spakować swoje rzeczy i wręcz uciec z zamku. Dzień przed wypadkiem pozostała w swoim pokoju, prosząc o dzień wolny, ponieważ źle się czuła i miała niewielką gorączkę. Kiedy ją popołudniu odwiedziła, Janka leżała w łóżku wsparta o złożoną na wpół poduszkę i coś pisała w zeszycie, a na jej widok zmieszała się, chowając zeszyt pod kołdrę.

- Jak się czujesz? - spytała ją wtedy.
- Lepiej, mogę już pomóc ci w kuchni.
- Nie trzeba. Co piszesz?
- Nic takiego - powiedziała niechętnie Janka.
- To do jutra.

Jutra! Wiesia zacisnęła pięści i w geście bezsilności uderzyła nimi w blat stołu. Powinna postawić się Helenie i stanowczo odmówić współpracy z dziewczyną, tłumacząc swoją decyzję jej nieudolnością w pracy, co nie było prawdą, ale być może Janka nie poszłaby do wieży i... No

właśnie, co tak naprawdę się stało? Czyżby legenda o damie z fontanny okazała się być przyczyną jej śmierci? Przecież nikt w to nie wierzy! Po tragicznym odejściu Janki pokój został opróżniony z jej rzeczy, zresztą było tego niewiele, ale... co się stało z zeszytem, w którym coś pisała?

Podерwała się i podeszła do małego lusterka wiszącego na ścianie w kuchni. W takim stanie nie mogą jej zobaczyć! Rozbiegane oczy, nieprzytomny wzrok, bladość policzków, z trudem powstrzymywane drżenie ust! Musi się natychmiast uspokoić! Szklanka zimnej wody na pewno nie wystarczy! Wzięła kilka głębokich oddechów.

Wróciła do jadalni i przystanąła przy oknie. Za nim urzekająca zieleń przyrody, a nad nią szare, smutne chmury. Takie połączenie barw jeszcze bardziej ją przygnębiało.

Z korytarza dochodził stukot pospiesznych kroków. Wiedziała, czyich. Zaraz do niej wejdzie i znowu zacznie się pouczanie, jakby była zupełnie obcą osobą!

Skrzyp otwieranych drzwi i głos zarządzającej zamkiem:

- Chodź na górę.

Wstała i bez słowa wyszła z pomieszczenia.

Drogę do wieży przeszły szybkim krokiem. Mżyło i lekko zawiewał wiatr. Ciężkie wiadro z wodą niosły razem, trzymając za uchwyt i uważając, aby przy nierównym kroku nie przelewała się woda. W drugiej ręce każda z nich ścisnęła miotłę i szmatę. Kieszenie fartuchów wypychały latarki i telefony komórkowe.

Wielkie drzwi wieży zaskrzypiały, kiedy energicznie pchnięte, powoli otwierały się, ukazując przedsionek, w którym zaledwie dzień wcześniej odbywała się ceremonia pogrzebowa. W miejsce woni świec powrócił zapach starzyzny i wilgoci.

Oczy powoli przyzwyczajały się do panującego tam mroku i po chwili dziewczyny ujrzały schody prowadzące na taras, z którego było wejście na poddasze. Edyta omijała wzrokiem miejsce, gdzie stał katafalk. Nie uszło to uwagi Urszuli, która z kolei powiodła spojrzeniem po całym pomieszczeniu.

-Nareszcie zobaczysz z góry całą okolicę, nawet przy takiej pogodzie jest na co popatrzeć - zwróciła się do Edyty, stawiając nogę na pierwszym stopniu krętych kamiennych schodów. - Słuchaj, we dwie nie zmieścimy się na schodach. Do połowy schodów ja niosę wiadro, ty do samej góry, a teraz weźmiesz miotły i szmaty - zdecydowała.

- Trochę tu ciemno i ciasno! - Edyta niepewnie stawiała nogi na wąskich, ale dość stromych schodach, jedną ręką przytrzymując się poręczy, a w drugiej trzymając narzędzia do sprzątania.

- Co kilka metrów z boku są takie same małe pomieszczenia jak na dole i niewielkie okienka, które wpuszczają trochę światła dziennego. Można tam na chwilę po tej wspinaczce odsapnąć. Ta wieża chyba kiedyś pełniła funkcję obronną.

- Brudno tu, te schody wymagają porządnego sprzątania. - Edyta szła za Urszulą, czując, jak brakuje jej tchu. - Ale wspinaczka! - wyrzuciła z siebie, łapiąc głębszy oddech.

-Zaraz będziemy na tarasie. Tutaj zostawimy wiadro - Urszula postawiła je obok jakichś drzwi. A schodów na razie nie będziemy myć, Helena nic o tym nie mówiła. Nie będziemy wychodzić przed szereg! - powiedziała zasapana Urszula.

-Z tarasu wchodzi się na poddasze? Wieża mocno wystaje ponad zamek.

-Nie, ale chcę ci pokazać widok z góry. Będziesz zachwycona. Na poddasze wchodzi się właśnie przez te

drzwi. Jak się napatrzysz, zejdziemy kilkanaście stopni i do roboty.

Kiedy dotarły na taras wyłożony kamiennymi płytami, powiew wiatru rzucił im w twarzę chłodną mgiełkę dżdżu. Przystanęły przy sięgającym pasa murku, głęboko oddychając.

Edyta powiodła wzrokiem wokół wieży.

- Jak wysoko! Z dołu nie wygląda to tak imponująco.

- Szkoda, że dzisiaj jest taka fatalna pogoda i cały horyzont jest zamglony, ale przyjdziemy tu jeszcze, kiedy będzie świeciło słońce - Urszula patrzyła przed siebie, mrużąc oczy przed silniejszymi podmuchami wiatru, ciskającymi teraz drobne kropelki deszczu.

Edyta spojrzała na ścianę lasu, otaczającą zamek. Teraz zamgloną, ale w pogodne dni z pewnością stanowiącą piękną ramę całego obszaru rezydencji. Taras był doskonałym miejscem do wypoczynku po przepracowanym dniu, brakowało tylko wygodnego leżaka czy choćby krzeselka. Głęboko odetchnęła przesyconym wilgocią powietrzem. Wychyliła się i spojrzała w dół, gdzie pod wieżą rozciągała się polana zielonych, bujnych traw. Od podłoża do szczytu wieży była taka odległość, że poczuła, jak wiruje jej w głowie. Przez ułamek sekundy wyobraziła sobie lecącą w dół Jankę. To było straszne!

-Nie wychylaj się! - przestraszyła się Urszula, łapiąc ją wpół.

Edyta odwróciła się i powoli usiadła na posadzce wieży, dając znak ręką, że nic złego się z nią nie dzieje. Oparta o murek przez chwilę milczała, po czym spojrzała na Urszulę, która pochyliła się nad nią z zatroskanym wyrazem na twarzy.

- Nic mi nie jest - ta uspokoiła ją. - Nie mam lęku wysokości, ale kiedy zobaczyłam w takiej głębi zielone trawy, zakręciło mi się w głowie. Sama nie wiem, dlaczego. Bywałam na wyższych tarasach widokowych. Już wstaję.

Podparła się jedną ręką, zamierzając się podnieść, i poczuła pod nią niewielkie zgrubienie. Kiedy cofnęła dłoń, zdumiona, zobaczyła perełkę: lśniącą, czystą, wymytą zapewne przez deszcz. Wzięła ją do ręki, wstała i pokazała Urszuli.

- Spójrz! Skąd tu się wzięła? Jest z naszyjnika, o, tu ma dwa otworki do nawlekania! - Edyta lekko zacisnęła dłoń, aby perełka nie wypadła pod naporem wiatru.

- Pewnie któraś z pań Bohdanowiczowych była tu i rozerwał się jej naszyjnik. Zebrała wszystkie, oprócz tej, innego wytłumaczenia nie ma - skwitowała znalezisko Urszula.

- Podobne perełki widziałam na szyi tej damy na portrecie w salonie. Wiem, wiem, co powiesz, ale tak mi się skojarzyło.

- Podobne! - parsknęła Urszula. - Wszystkie są do siebie podobne. Nawet u tej babki z fontanny! Schowaj ją do kieszeni i idziemy do roboty! - energicznie zdecydowała.

Pokonały kilkanaście stopni w dół wąskimi schodami i podeszły do małych drewnianych drzwi wiodących na poddasze. Edyta chwyciła wiadro z wodą. Urszula nacisnęła klamkę. Drzwi ustąpiły, lekko zgrzytając, a z wnętrza, już w progu, owionął je zapach charakterystyczny dla starych strychów: kurzu, chłodu, starzyzny i lekkiego półmroku.

- Jaki przeciąg! Zamknijmy drzwi! - zawołała Edyta, wchodząc do środka.

Małe otwory okienne, niektóre oszklone, rozpraszały półmrok na tyle, aby można było w miarę dokładnie dostrzec zagracone poddasze.

Wewnątrz znajdowały się jakieś stare meble, niektóre przykryte zakurzonymi płachtami materiału, połamane ramy od obrazów i niezliczone drobiazgi. Po jednej stronie strychu stało kilka regałów z zakurzonymi butelkami i szpargałami, być może starymi gazetami albo nikomu już niepotrzebnymi

książkami. Pomimo zamkniętych drzwi na strychu panowały zimne przeciągi, przenikające do szpiku kości.

- To jest bez sensu! Przecież tu nie ma nic do roboty! - rzuciła ze złością Urszula, rozglądając się dookoła.

Podniosła wiadro za uchwyt, ruszyła w głąb poddasza i postawiła je pod szczytową ścianą strychu. Stały tam różnej wielkości zakurzone starocie, deski, kartony, przed nimi leżał zniszczony dywan i jakieś szmaty.

- Stąd zaczniemy myć podłogę, ale najpierw trzeba przenieść w inne miejsce ten dywan i szmaty! - zawołała do Edyty.

Edyta z ciekawością wodziła wzrokiem po wszystkim, co znajdowało się pod drewnianym stropem strychu, odgarniając ręką unoszące się pod wpływem ruchu odrobiny pyłu. Zwykły strych, a jednak miała wrażenie wtargnięcia w historię setek lat istnienia starego zamku. Krok za krokiem, lekko stawiała nogi, nie chcąc wzniecać kurzu zalegającego drewniane deski podłogi.

Pomyślała, że w chwili przyjazdu do Bohdan, kiedy przekroczyła próg furki w murze i weszła na teren posiadłości, już wówczas ogarnął ją dziwny chłód, nieproporcjonalnie większy niż można by przypisać to panującej aurze. Wszystko, co do tej pory wydarzyło się w zamku, z każdym dniem stanowiło dla niej coraz większą zagadkę: wyniosła zarządzająca posiadłością Helena Winter wyglądająca jak duch Czarnej Damy, ponury korytarz z manekinami na parterze, drugi na piętrze reprezentacyjny, jakże odmienny wystrojem z klasycznymi rzeźbami, pogrzeb, woalka na twarzy Janki, dama z fontanny i jej portret w salonie, wieża, poddasze, z którego jedynym wyjściem był powrót poprzez schody w wieży, seniorka rodziny, do której utrudniano dostęp, zamknięte na klucz niektóre komnaty, wreszcie prawdopodobne koligacje rodzinne właścicieli zamku ze służbą. Oprócz... Urszuli?

Zerknęła na nią. Czy na pewno dziewczyna była tą, za którą się podawała, czy tylko grała swoją rolę? Co wydarzy się jeszcze w tej zimnej, tajemniczej budowli? Wzdrygnęła się, kiedy fala dreszczy zalała jej ciało. To było jak nagły błysk oślepiającego światła w ciemnościach zamkniętej przestrzeni. Nigdy, w żadnym miejscu nie targały nią tak negatywne emocje jak w tej średniowiecznej budowli. Przez chwilę uległa pokusie ucieczki z zamku, porzucenia dobrze płatnej posady, ale zaraz zmitygowała się i w duchu skarciła. Wmawiała sobie, że przecież to tylko stare mury a zamek jest po prostu zaniedbany, jednak z trwogą obejrzała się, czując na sobie czyjeś spojrzenie. Odniosła wrażenie, że na strychu nie są same. Ach! To znowu ta wyobraźnia! Postanowiła pierwszy dzień wolny od pracy częściowo poświęcić na zwiedzanie terenu posiadłości, wdrapanie się na taras wieży i leniuchowanie! Bo zaczyna ogarniać ją panika na wspomnienie minionych wydarzeń w zamku!

- Edyta!

Urszula była zła. Patrzyła na nią takim samym, zimnym spojrzeniem, jakie widywała w oczach Heleny.

- Ile godzin chcesz tu spędzić?! Pomóż mi!

Edyta podeszła do niej żwawym krokiem. W powietrze uniósł się kurz. Osiadał na ubraniu, włosach.

-Nie wściekaj się! Nie ruszaj sama tych desek, bo spadną ci na głowę! Słuchaj - Edyta wyjęła z kieszeni fartucha telefon. - Zanim się porządnie okurzymy, może najpierw spróbujemy zadzwonić?

-Później, na tarasie, a teraz proponuję to - Urszula pokazała na starocie zalegające podłogę pod ścianą - w miarę naszych sił ustawić tam! Obok regałów! - Machnęła energicznie ręką w ich stronę. - Helena od razu zobaczy pustą ścianę, czyli robota wykonana!

Szybko poodsuwały lżejsze przedmioty, pozostało jeszcze kilkanaście desek opartych o ścianę.

- Szkoda, że nie wzięłyśmy rękawiczek - zmartwiła się Edyta, łapiąc ostrożnie deskę. - A tak prawdę mówiąc, to jest robota dla mężczyzny. Ten ogrodnik powinien tym się zająć, a my zmyć podłogę.

- Trudno - mruknęła Urszula, ciągnąc za sobą długą deskę i wzbijając tuman kurzu z podłogi.

Powoli wyłaniała się pusta ściana, pozostało jeszcze kilka desek. Edyta chwyciła jedną z nich i cofając się, zawadziła o wiadro. Zamarła, słysząc jak woda z chlupotem wylewa się na podłogę. Rzuciła deskę, złapała za pałak wiadra, postawiła je prosto na podłodze i zajrzała do środka. Odetchnęła z ulgą. Lustro wody sięgało prawie do połowy wiadra!

- Urszula! - krzyknęła w stronę Urszuli. - Mamy problem! Woda się wylała!

- Nic nie zostało?!

- Zostało, ale... Chodź tutaj! - zabrzmiało głosem pełnym sensacji.

- Co tam jest ciekawego? Dziura w ścianie? - ta nawet nie odwróciła głowy, oglądając butelki na regale.

- Chyba... właz!

- O czym mówisz? Właz w ścianie?!

- W podłodze! Chodź tutaj! Woda go odsłoniła! Przecież byłeś tu już i nic nie zauważyłeś? - Edyta podekscytowana odkryciem, wyrzuciła z siebie jednym tchem.

- A skąd?! Jestem tu dopiero drugi raz. A wtedy, kiedy byłam z Wiesią, poustawiałyśmy te graty pod ścianami i na tym się skończyło. Nie przyglądałam się podłodze. Po co? Wiesia była wściekła na Helenę, bo uważała, że nie należy to do jej obowiązków i chciała jak najszybciej stąd wyjść - dziewczyna gderając, wycierała ręce o poły fartucha i podeszła do Edyty.

Nachyliła się nad mokrą plamą na podłodze, potem wyprostowała i cicho zagwizdała.

- A jednak! Przeczynałam, że musi być drugie wyjście z poddasza! Wiesz, który pokój jest pod nami? - zwróciła się do Edyty.

- Oczywiście! Ten zamknięty, który chciałaś po cichu otworzyć. Tylko że nie mamy do niego klucza.

- Właśnie! Helena by się zdziwiła, gdybym ją teraz poprosiła o klucz, chociaż mogłabym jej powiedzieć, że chcemy tam poodkurzać! - Urszula zapaliła się do pomysłu pozyskania klucza.

- Można spróbować, w końcu jesteśmy tu od czarnej roboty. Tylko... zastanawiam się, czy powinniśmy zawracać sobie głowę tym włazem... Jeżeli nawet pod tą klapą są jakieś schody, to co nas to obchodzi? - Edyta zwątpiła w sens odkrywania drugiego wyjścia z poddasza.

- Od kiedy opowiedziałaś mi tę historię o dziwnych rozmowach, zaczyna mnie to intrygować. Muszę wiedzieć, co jest w tym pokoju!

- Bohdanowiczowie po śniadaniu zazwyczaj gdzieś wyjeżdżają, może wrócimy tu jutro? Będzie większa swoboda, bo zostaną tylko Wiesia i Helena - zaproponowała Edyta. - Ach, i ogrodnik! - dodała niezadowolona.

- Najpierw spróbujmy jakoś podnieść tę klapę! Może się uda! Jestem taka ciekawa, co jest w tym pokoju! - Urszuli z emocji zapłonęły policzki.

Edyta przykucnęła i wpatrywała się w szpary wokół włazu.

- Tu nie ma za co złapać, żeby ją podnieść choćby na centymetr. Trzeba czymś podważyć. Ja poszukam czegoś po tej stronie - machnęła ręką - a ty po tej! Może coś znajdziemy.

Pomimo usilnych poszukiwań na strychu nie znalazły nawet najmniejszego kawałka blachy, metalu, a łom mogły sobie tylko wyobrazić. Chęć otwarcia włazu była tak silna, że na chwilę zapomniały o prawdziwej przyczynie swojej obecności na poddaszu.

- Nic z tego! - Edycie zrzęda mina. - Szkoda. Wydaje mi się, że komuś zależało na drugim wyjściu z poddasza. No właśnie! - w oczach zapaliły się jej iskierki. - Komu? Ten zamek powstał kilkaset lat temu, z jedną wieżą, bez przejścia na drugą stronę budynku!

Patrzyła w napięciu na Urszulę, która włożyła ręce do kieszeni fartucha i wpatrywała się w mokrą podłogę.

- Może w czasie drugiej wojny światowej stacjonował w zamku jakiś sztab wojskowy albo ukrywali się partyzanci, a bez drugiego wyjścia do poddasze byłoby dla nich pułapką - żywo przypuściła dziewczyna.

- To miałyby sens. Nie ma w tym nic tajemniczego. O, kurczę! Chyba przez te szpary zamókł sufit i jeżeli ktokolwiek tam wejdzie, to od razu to zauważy - przestraszyła się Edyta.

-Nie powieszają nas za nogi - uspokoiła ją Urszula. - Spójrz, o, tu! - pochyliła się i przetała dokładnie wypukłe miejsce z boku wjazdu - Na ten kawałek metalu. Tu był przymocowany uchwyt, ale ktoś go oderwał albo uległ zniszczeniu.

- Widzę, jednak przyjdziemy tu innym razem, a teraz pokropimy wodą podłogę i idziemy stąd. Dość już mam wdychania kurzu.

Edyta zanurzyła w wiadrze miotłę i skropiła podłogę. Urszula z westchnieniem podążyła za nią. Powoli, przyskajac oszczędnie wodą, cofały się bliżej wyjścia na taras. Pozostało jeszcze bardzo ostrożnie zamieść drewniane deski, nie wznecając przy tym kurzu, tam, gdzie zabrakło wody.

Nieoczekiwanie z miejsca, w którym odkryły wjazd, dobiegł odgłos przypominający przesuwanie czegoś ciężkiego po podłodze i układanie, a właściwie rzucanie jakichś przedmiotów jeden na drugi.

- Słyszałaś?! Chodź! - Urszula rzuciła miotłę i podbiegła do wjazdu.

Uklęła i pochyliła się nad klapą, przekrzywiając głowę. Przez chwilę nasłuchiwała, dając Edycie znaki, aby po cichu podeszła.

- Słysząc jakieś głosy - rzuciła. - Posłuchaj. Edyta pochyliła się nad podłogą.

- Nic nie słyszę. Chyba ci się wydawało.

- Mam dobry słuch. Teraz rzeczywiście nic nie słyszę, ale na pewno to były męskie głosy! - była poruszona. - Wygląda na to, że ten pokój do czegoś służy, a Helena kłamie!

- Może to jakiś magazyn podręczny? - Niedostępny dla służby? - Urszula podniosła się

i pokiwała głową. - Wiesz, co? Masz rację. Dzisiaj nic tu już nie wymyślimy, ale w jakiś sposób trzeba dostać się do tego pokoju. Teraz dokończymy zamiatanie i wychodzimy na taras. A poza tym chce mi się pić i jestem głodna.

- Może handlują czymś nielegalnym i dlatego nie można tam wejść - powiedziała Edyta, sięgając po miotłę.

- Najlepiej by było podważyć tę klapę łomem, ale skąd go wziąć? - westchnęła Urszula. Z rozmachem zamiała ostatnie deski podłogi, chcąc jak najszybciej opuścić strych.

- Nie wiem, ale chciałabym już zaczerpnąć świeżego powietrza.

Edyta podeszła do drzwi i otworzyła je na całą szerokość. Potężny przeciąg powietrza podniósł drobinki kurzu, które momentalnie sypnęły jej w oczy i potargały włosy.

- Wychodzimy - zdecydowała Urszula. - Helena i tak tu nie przyjdzie, uważam, że to była praca dla samej pracy - dorzuciła z przekonaniem, biorąc puste wiadro.

Wyszły na taras i z przyjemnością, jakby na komendę wzięły głęboki oddech. Jeszcze mżyło i już lekko poszarzało, ale widok z góry i zapach powietrza przesyconego wilgocią był niepowtarzalny.

Spojrzały na siebie i parsknęły śmiechem.

- Przypuszczam, że wyglądam dokładnie tak samo jak ty! - Edyta nie mogła powstrzymać ataku śmiechu, patrząc na umorusaną kurzem twarz i fartuch Urszuli.

-Nie mylisz się. Oby w łazience była ciepła woda. Mam nadzieję, że Winter więcej nas tu nie wyśle.

Urszula pochyliła się, szukając skrawka w miarę czystego fartucha, aby wytrzeć ręce, po czym wyjęła z kieszeni telefon. Już po chwili na jej twarzy pojawiło się niezadowolenie.

- Nic z tego. Same trzaski albo cisza - powiedziała markotnym głosem, trzymając komórkę przy uchu.

-Trudno. W takim razie wracamy. Niedługo trzeba podać państwu kolację, a od jutra mam drugą zmianę, tak jak się umawialiśmy? - upewniła się Edyta.

-Uhm.

Rozdział 3

W salonie, wśród siedzących przy stole ośmiu osób, panowała nerwowa atmosfera. Na twarzy Kazimierza Bohdanowicza, rozpartego na krześle, pojawił się nerwowy tik wokół kącika z jednej strony ust, który próbował powstrzymać, mocno je zaciskając. Palcami prawej dłoni nerwowo pukał w blat stołu, wywołując tym grymas niechęci na twarzy żony.

-Przestań! - zawołała pobladła na twarzy Regina Bohdanowicz, wachlując się dłonią, jakby brakowało jej powietrza. - Od kilku dni nie mogę się uspokoić! Wiedziałam, że ta kobieta nie będzie żyła wiecznie, ale mimo to nie jestem przygotowana na jej odejście! Przyzwyczaiałam się do jej obecności.

- Przecież żyje! Co ty pleciesz! Niedługo przyjedzie lekarz. Nie histeryzuj! - ofuknęła ją Helena.

- Dziwię ci się, Heleno, że możesz być tak spokojna, wręcz obojętna wobec choroby Marii! Zresztą, wy, pielęgniarki, po latach pracy w szpitalu robicie się nieczułe i przyzwyczajone do cierpienia i śmierci ludzi - ta rzuciła do niej z sarkazmem.

Spojrzenia obecnych w salonie skierowały się w stronę kobiety.

- Droga bratowo. Kiedy szukaliśmy prawowitej właścicielki tego zamku w domach opieki społecznej, to ty z moim bratem - Helena spojrzała przeciągle na Kazimierza - wykazywałaś dosyć duże zaangażowanie w sprawę... oszustwa! To był wasz genialny pomysł na podszywanie się pod zmarłych wieki temu Bohdanowiczów, dzięki takiemu samemu nazwisku! O potomnych nic nie wiemy, na szczęście! Teraz, kiedy tracisz poczucie bezpieczeństwa, wpadasz w histerię, bo dopóki żyje ona, Maria - pani na włościach, nie obawiasz się przypadkowej wizyty kogo-

kolwiek! Chociażby konserwatora zabytków albo kogoś z opieki społecznej! Masz atak paniki! - powiedziała drwiącym głosem, pochylając się w jej stronę nad stołem. - Pecunia non olet! dorzuciła z ironią, patrząc jej prosto w oczy.

Po czym powiodła palcem kolejno, po każdym z osobna.

- Każdy z nas ma w tym udział, mniejszy lub większy! Przecież to Szymon miał w sądzie w Grudziądzu dostęp do ksiąg wieczystych i to on odkrył to Eldorado! Mąż Kamili, a nie jej brat! Przybrał wasze nazwisko, a wy nie wyprowadzacie z błędu służby, która bierze go za waszego syna! Po co? Czyżby miał na sumieniu jakieś ciemne interesy i lepiej byłoby, aby te dziewczyny nie kojarzyły jego prawdziwego nazwiska z jakimś przestępstwem? Gdyby Kamila nie poznała go, będąc przejazdem w tym mieście, to nigdy byśmy tu nie trafili! Ja ze Stefanem solidarnie przyłączyłam się do kochanej rodziny!

- To był głupi żart, który w waszych głowach przekształcił się w realny plan! - broniła się Regina, sięgając po kieliszek z czerwonym winem. - Owszem... potem... kiedy wmówiliśmy tej starej kobiecie, że jesteście jej dalszą rodziną, i zabraliśmy ją stamtąd, to... nie było odwrotu, ale tu się coś niedobrego dzieje! A teraz jestem u kresu wytrzymałości nerwowej! Ten zamek jest nawiedzony! Nikt mi nie uwierzył, że widziałam wtedy... Jankę... tak jak was teraz! Ubraną w suknię tej kobiety z fontanny!

Regina jednym haustem opróżniła kieliszek.

- Mamo! - powiedziała z wyrzutem Kamila. - To już drugi!

- Zaraz będzie trzeci! Nie wtrącaj się! Zajmij się lepiej swoim mężem! Masz rację, Heleno... zgubi nas ta chciwość na cudze pieniądze! - Regina rzuciła gniewne spojrzenie na zięcia. - Oglądałabym teraz telewizję we własnym miesz-

kaniu i siedziała na balkonie wśród kwiatów! Po co nam to było? Chcę wrócić do siebie, na Mazury!

- Moja droga! Dobrze się stało, że mamy pełnomocnictwo do jej rachunku bankowego! Zapomniałaś już o naszych kredytach, które zaczynały nas dusić? Teraz nareszcie mamy spokój! Wszyscy, jak tu siedzimy, spłaciliśmy swoje zadłużenia w bankach z pieniędzy tej kobiety, ale mamy gdzie wrócić, jeżeli noga nam się podwinie. Nie możemy sobie zarzucić, że źle opiekujemy się starszą panią. Gdyby miała jakąś rodzinę, to by nie znalazła się w domu opieki społecznej - oświadczył spokojnie Kazimierz.

Szymon ze stoickim spokojem, trzymając rękę na oparciu krzesła Kamili, muskał palcami dłoni jej jasne włosy.

- Mnie nie trzeba pilnować, a poza tym, dobrze się stało, że miałem dostęp do ksiąg wieczystych, ale... - zwrócił się z kwaśną miną do Kazimierza - kochanego teścia to by się pilnować przydało! Bo, o ile mam dobre informacje, to jest hazardzistą! Widziałem jak wchodził do kasyna nielegalnych gier, które funkcjonuje jako zwykła restauracja! Jestem ciekawy, czy ktokolwiek z was wie o tym? - zakończył podniesionym głosem.

- To bezczelne oszczerstwo! Byłem tam tylko na obiedzie, miasta nie znam, skąd mógłbym wiedzieć, że w Grudziądzu jest gdzieś takie kasyno? Natomiast - spojrzał na niego zwięzonymi ze złości oczami - to ty pochodzisz z tego miasta i pewnie dobrze znasz różne meliny?! - Kazimierz poderwał się, gwałtownie odsunął krzesło i rozpoczął nerwową wędrówkę po komnacie, zatrzymując się przy kominku.

Patrzył wrogo na zięcia.

- Słyszałem o tym... przez przypadek. Nie wiem, ile jest w tym prawdy - odparował cios Szymon, wzruszając lekceważąco ramionami.

Bohdanowicz, rozjuszony jego podejrzeniami, kontynuował:

- To raczej ciebie można by znaleźć w takim miejscu! Twoja pensja w sądzie jako referenta nie była porażająca, a szastałeś grubymi sumami na prawo i lewo, dopóki nie wyprowadziliście się po ślubie do Bronowa! Nawet po zwolnieniu się z pracy! Wiem o tym od córki!

-Och! Handlowałem różnymi rzeczami... elektroniką, czasem ktoś mnie poprosił o przysługę w sądzie i na siłę - roześmiał się - po cichu, kładł kopertę na biurko!

- Przestańcie się kłócić! - zawołała Helena. - Dotąd żyjemy z pieniędzy Marii i najbardziej zastanawia mnie to, że ona dość przytomnie sprawdza faktury z banku. Zastanawiam się nad jej zanikami pamięci. Przecież formularz bankowy do udzielenia pełnomocnictwa wypełniła własnoręcznie, owszem, trochę to trwało, ma słaby wzrok, ale nikt jej nie stał nad głową! Czasem sprawia wrażenie dość sprytnej staruszki, a może mam zbyt wybujałą wyobraźnię?

Regina ciężko westchnęła i otarła łzy w kącikach oczu.

- Kochana staruszka - powiedziała cicho. - Myślę, że ona wie, że nie jesteśmy jej rodziną, ale wolała wrócić do siebie, do domu, niż dłużej tam być. Owszem, coś dzieje się z jej pamięcią, w końcu w jej wieku to naturalne. Czasem wspomina swojego zmarłego męża, o którym mówiła dyrektorka tego domu, ale myli się jej data jego śmierci. Ma takie bystre, żywe spojrzenie... ciepły uśmiech. Widać po niej, że czuje się z nami bezpiecznie, o nic nie prosi, nie wymaga niczego... Dostaje na czas wszystkie lekarstwa, które tam zapisał jej lekarz. Pytałam ją, czy pamięta jeszcze kogokolwiek z rodziny, ale zawsze odpowiadała, że nikogo nie ma. Oprócz nas. Czuję się tak... jak ktoś... obrzucony błotem, odarty z przyzwoitości na własne życzenie - łzy popłynęły z jej oczu.

- Miał być skok na kasę i wygodne życie, a powstał dom przytulnej starości - zakpił Szymon i natychmiast umilkł, zgromiony wściekłym spojrzeniem Heleny.

- Milcz! Lepiej powiedz, kto jest twoim informatorem o rachunku bankowym tej kobiety! - wycedziła przez zęby.

- No właśnie! To ty wciągnęłaś nas w ten złoty interes! - rzucił ironicznie Kazimierz. - Ale oprócz nas jest ktoś, kto być może zacznie nas szantażować, chociaż mam legalne pełnomocnictwo?! Kim jest ta osoba? Mam przecucie, że coś przed nami ukrywasz!

- Nic nie ukrywam. Informator o niczym nie wie. Nie utrzymuję z tą osobą kontaktu i nie ma o czym mówić. Zresztą, tej osoby nie ma już w Polsce - uciał ze spokojem Szymon, unikając jednak wzroku teścia.

- Mnie zastanawia fakt, skąd Maria z mężem miała tyle pieniędzy, żeby chociaż w jakiejś części wyremontować zamek? Przecież nie mogliby wziąć kredytu hipotecznego pod zastaw tej ruiny? Musieli mieć inną nieruchomość, albo... bardzo bogatych krewnych! W końcu na jej koncie jest kasa, którą my moglibyśmy tylko wygrać w Lotto albo w ruletkę! - Kazimierz zmarszczył brwi i potarł czoło.

- A gdzie są ci bogaci krewni? Zainwestowali i zniknęli? - odezwała się Helena.

- Kredyt został zaciągnięty pod zastaw jakiejś firmy, pewnie ich, najważniejsze, że zamek nie ma obciążonej hipoteki - wyjaśnił Szymon z miną, jakby rozmowa zaczęła go nudzić.

-Nareszcie rozwiązał ci się język! Pytaliśmy cię o wpisy do księgi wieczystej wiele razy! - zdenerwował się Kazimierz, patrząc na niego ze złością.

- Wydaje mi się, że o tym mówiłem.

- Mówił - gorliwie przytaknęła Kamila, patrząc z czułością na męża.

- Ty poprzecz go we wszystkim, jesteś niewiarygodna - włączył się Stefan, machając ręką.

-Przestańcie się kłócić! Chyba zdajecie sobie sprawę, że w razie śmierci tej kobiety trzeba jak najszybciej

opróżnić konto w banku, dopóki nam na to pozwala pełnomocnictwo! Przecież nie zgłosimy jej zgonu! Po śmierci właścicielki z rachunku bankowego nie można wypłacić ani jednej złotówki! A poza tym musimy zastanowić się, czy konieczne jest powiadomienie o jej śmierci Domu Opieki Społecznej w Grudziądzu?

-Heleno! - krzyknęła Regina. - Jak możesz teraz w taki bezwzględny sposób mówić!

- Gryzie cię sumienie? Dość prędko! - zadrwiła z niej Winter.

-Mów, co chcesz! Zawsze byłaś złośliwa. Zauważyliście, że jej stan zdrowia się pogorszył, kiedy dowiedziała się o śmierci Janki? Dobrze, że nie powiedzieliśmy jej, jak to się stało, że tak nagle zmarła. Lubiła ją, wołała do siebie, nieraz długo ze sobą rozmawiały. Nawet do lekarza wołała jechać tylko z nią.

- Pasowały do siebie. Ciche, małomówne, szczególnie ta dziewczyna - wtrąciła milcząca dotąd Kamila. - Kiedyś próbowałam z nią porozmawiać, kiedy sprzątała mój pokój, ale odpowiadała tak niechętnie, że zrezygnowałam. Sprawiała wrażenie osoby, która nie ma poczucia własnej wartości, była taka... zbyt unizona.

-Wróćmy do ważniejszych spraw - zaproponował mistrz ceremonii, delektując się wonnym dymem z papierosa. - Mam nadzieję, że Maria szybko wróci do zdrowia, chociaż w jej wieku trudno mówić o powrocie do pełni sił. Natomiast najwyższy czas podzielić się tym złotym runem. Tak, Kazimierzu, do ciebie się zwracam, bo to ty masz jej pełnomocnictwo. Dobrze grałeś rolę kochanego krewnego, po prostu artysta! - powiedział z przekąsem, kiwając głową z uznaniem. - Przecież widać jak na dłoni, że to z kredytu na remont pozostały te pieniądze na jej koncie. Słyszeliście, że hipoteka zamku nie jest obciążona, więc żaden bank nie będzie przysyłał monitów i groził wysokimi odsetkami. Sprawdziłem dzisiaj skrzynkę pocztową, nie ma w niej

żadnych pism, nawet reklam. Sprawę uważam za wyjaśnioną. Dość mgliście przypominam sobie przepisy, że... jeżeli w danej nieruchomości miało powstać muzeum albo obiekt użyteczności publicznej, to część kredytu ulega umorzeniu, ale nie chcę nikogo wprowadzać w błąd, zresztą nic tu takiego nie powstało.

- Tego nie wiemy - wtrąciła Helena. - W zamku gołym okiem widać przeróbki.

- Owszem, ale jak już mówiłem, wróćmy do ważniejszych spraw. Słuchaj - mistrz ceremonii zwrócił się do Kazimierza. - Ile można było wydać na te rzeźby, zbroje, wyposażenie komnat, na obowiązkowe ubezpieczenie nieruchomości od ognia? - patrzył wyczekująco na Bohdanowicza.

- Wiktorze! A skąd mam to wiedzieć? Przeszukałem wszystkie dostępne miejsca w całym zamku, ale nie znalazłem żadnych dokumentów na ten temat! - ten rozłożył bezradnie ręce.

- Szkoda... No trudno. Dyrektorka mówiła, że Maria sama zgłosiła chęć zamieszkania w domu opieki społecznej po śmierci męża, więc wygląda na to, że tak jak mówiła, nie ma dalszej rodziny albo... - Wiktor zamyślił się - rozpięzchli się po świecie i być może żyją w dobrobycie, bo inaczej już dawno rościliby sobie prawa do tej posiadłości.

- A my, w razie wpadki, jesteśmy krewnymi z nieprawego łoża! - zaśmiał się ironicznie Szymon.

Zgromiony znów wzrokiem Heleny, zamilkł z kwaśną miną.

- Ile zostało na koncie? Trzeba się spieszyć - spojrzenie Wiktora zawisło na ustach Kazimierza.

- Nie pamiętam dokładnie... jakieś siedemset tysięcy, ale wiesz doskonale, że nie wypłaci się ich, ot tak, na pstryknięcie palcami. Nie mogę brać zbyt często większych sum, nie chcę, żeby mnie zapamiętali w banku.

Ten przytaknął:

-Wiem, ale rzuciłbym tę robotę w ubezpieczeniach i zajął się tym, co przynosi większe dochody, a mianowicie ceremoniami pogrzebowymi.

- A ja wam mówię, że siedzimy na beczce prochu! - zawołała lękliwie Regina, kładąc dłoń na piersi. Ty - zwróciła się do Heleny - i Stefan możecie być spokojni, nie jesteście jej rodziną, tylko służbą. Tak to tej kobiecie przedstawiłmy. No i te dziewczyny, co jest jedyną prawdą w tym okropnym zamku! Natomiast znając was na wylot, podejrzewam, że w razie wpadki ze wszystkiego będziecie się wykręcać! Aleja i tak nie zostawię Marii, dopóki będzie żyła! Mogłaby być moją matką!

Kazimierz nie zwrócił uwagi na żonę i zaczął mówić, ważąc każde słowo:

- Słuchajcie. Nie wspominałem wam o tym, bo... uznałem to za jakieś brednie tej staruszki, ale Maria - zmarszczył czoło - jakiś tydzień... może półtora tygodnia temu, kiedy siedzieliśmy na ławce w parku, powiedziała coś, na co wtedy nie zwróciłem uwagi... a mianowicie... że ona, czy on... też jest... a może tylko tak mi się wydaje, że... I nie dokończyła. Mówiła tak cicho, że nie zrozumiałem o kim mówi, o kobiecie, czy mężczyźnie? Wydawało mi się, że coś sobie przypomina, miała takie zagubione spojrzenie... Nagle wstała i nie zwracając na mnie uwagi, ruszyła do zamku!

- A co w tym dziwnego? Ma kłopoty z pamięcią, pewnie myli się jej przeszłość z rzeczywistością - odezwał się Stefan, wzruszając ramionami.

Zaległa cisza.

- Może to o ciebie, Wiktorze, chodziło? - powiedział zaczepnie Stefan, ale Helena ruchem dłoni uciszyła go.

- Co masz na myśli?! - ten zawołał ze złością. - Co ma znaczyć, „też jest”? Kim? Może... złodziejem?! Przecież Maria uważa nas za rodzinę! Na pogrzebie nie była, więc

nawet nie wie, że to ja odprawiałem ceremonię! W tym czasie rozchorowała się i leżała w łóżku!

- Och! Tylko głośno myślę! A poza tym, przyszło mi na myśl, że pochodzisz z Grudziądza, jesteś wujem Szymona - rzucił długie spojrzenie na chłopaka, słuchającego go z lekkim uśmiechem na twarzy - i być może, zanim tu wszyscy przyjechaliśmy... wy... już wiedzieliście sporo o posiadłości. Wiesz doskonale, że tylko przez pokrewieństwo z nim i twoją skłonność do przekrętów wciągnęliśmy cię do interesu.

- Co ci chodzi po głowie! - obruszył się Wiktor. - Pracuję w ubezpieczeniach i dzięki mnie wiecie, że ta ruina w ogóle jest ubezpieczona! I to na pokaźną sumę! Ale o tym możemy zapomnieć, nie będę się narażał! Nie przyłożę nawet palca do jakiegoś tajemniczego pożaru czy zalania wodą! To nie jest taka prosta sprawa! Natomiast będzie problem z polisą ubezpieczeniową na wypadek jej śmierci. Obydwoje z mężem nawzajem się ubezpieczyli. Jej mąż nie żyje. Pozostaje sfalszowanie dokumentu cedującego przez Marię na kogoś z Bohdanowiczów wypłatę pieniędzy na okoliczność jej śmierci. Na ciebie mój drogi - wycelował w niego palcem z miną, jakby to on decydował o jego wyborze.

- Taak... - przeciągnął Kazimierz, marszcząc brwi. Ale to już twoje zadanie. Masz przecież - chrząknął znacząco - kumpli, którzy bezbłędnie to zrobią, za odpowiednie pieniądze.

- Za odpowiednie.

-Oczywiście. Dobrze, że ten zamek znajduje się w rejestrze zabytków i nie trzeba płacić podatku od nieruchomości. Jak najmniej naszych śladów bytności, podpisów. Rachunki za energię zapłacone. Zakład energetyczny się nie przyczepi.

-Słuchajcie, mówcie trochę ciszej, bo ściany mają uszy - zaniepokoiła się Regina. - Czy te dziewczyny na pewno są na strychu? - zwróciła się do Heleny.

- Nie ma obawy. Byłam tam. Mają sporo roboty. Na pewno nie spotkają się z lekarzem i nie będą go o nic wypytywać.

- Dobrze opłacona służba jest wierna jak pies i głucha jak pień! - stwierdził lekceważąco Szymon.

- Ostrożności nigdy za wiele. One mają dostęp nie tylko do każdego zakamarka zamku, ale również do całego terenu - Kazimierz ostudził wypowiedź zięcia, odszedł od kominka i usiadł przy stole. - Kiedy wreszcie przyjedzie ten lekarz? - spojrzał na zegarek. - Chyba już powinien być w pobliżu zamku.

- Zaraz wyjdę przed bramę. To mój kolega, jak to się mówi, z podwórka - Wiktor zgasił papierosa, którego niedopałek parzył mu już palce.

Nieoczekiwanie Wiesia zawołała drżącym głosem:

- Słucham was i nie mogę wręcz uwierzyć, że spokojni obywatele z niedużego miasteczka stali się przestępcami! Czekać na śmierć tej kobiety?! Nienawidzę was! Ja chcę stąd wyjechać, i to natychmiast! Nawet dzisiaj! Do ciebie mówię, mamó! - zacisnęła dłonie w pięści, patrząc na Helenę.

-Natychmiast?! To się uspokój! - ta syknęła przez zęby. - Siedź i nie wtrącaj się!

- Może mi wytłumaczysz, dlaczego w pustej jadalni tak mnie zdołowałaś?! Przecież tam nikogo... - Wiesia zająknęła się - nie było - dokończyła cicho.

-Na wszelki wypadek. Ostrożności nigdy za wiele. Dla tych dziewczyn jesteś jedną z nich.

-A... co naprawdę stało się z Janką?! Po co szła do wieży, kiedy już się ściemniało?! - zawołała, a na jej policzkach zakwitły z emocji rumieńce.

- To była dziwaczka. Nieraz tam szła właśnie o zmroku. Widziałem, ale co nas to obchodzi? - na twarzy Szymona pojawił się wyraz zniecierpliwienia.

Kamila zdziwiona spojrzała na niego.

- Skąd wiesz, że ona tam chodziła? - zapytała podejrzliwie.

- Bo widziałem! - powiedział krótko.

- Hieny! Wszyscy źle skończymy! Zestarzejemy się za kratami! A dzisiejszy dzień przyprawia mnie o mdłości! Mam nadzieję, że nikt... tego... nie zobaczy! - krzyknęła Wiesia, wodząc załzawionymi oczami po wszystkich obecnych przy stole. - Wolę być kucharką w obskurnej restauracji niż liczyć na cudze pieniądze! Brzydzą się wami i okropnie czuję się przed tymi dziewczynami, wobec których gram inną osobę, niż nią jestem!

-To co mówisz i czujesz, nie ma znaczenia! Jesteś z rodziną i najlepiej będzie, jak przestaniesz się wtrącać! - Helena wyraźnie miała dość narzekania córki.

Atmosfera w salonie stała się nie do zniesienia. Zaskrzypiały krzesła odsuwane gwałtownie od stołu, jakby wszyscy naraz chcieli wstać, ale po chwili rozległ się spokojny głos Wiktora:

- Wyjdę przed bramę i zaczekam na lekarza.

Cicho zamknął za sobą drzwi, jakby obawiał się, że ich trzaskiem zaniepokoi leżącą obok w komnacie staruszkę.

Wiesia niesiona falą oburzenia mówiła dalej podniesionym głosem:

-Chcę was zapytać, szanowno rodzinko, co będzie się działo, jak już opróżnicie konto? Zostawicie Marię tutaj samą, na łasce losu?! Zwyrodnialcy! Plan się nie powiódł, bo nie zadaliście sobie trudu ustalenia radosnego come backu!

Regina poruszona słowami Wiesi powiedziała:

- Ona ma rację. Dobrze, że nie żyją moi rodzice. Nigdy by mi tego nie wybaczyli. Ja tu zostaję, do końca moich dni, albo Marii. Staliśmy się przestępcami! My, spokojna, normalna rodzina z małego miasteczka. Za łatwo to poszło i źle się skończy. Pokochałam tę staruszkę, jakby była moją prawdziwą matką. A wy?! Możecie iść wszyscy do diabła!

Zapadła cisza, w której zdawać się mogło, iż za chwilę rozlegnie się w komnacie bicie siedmiu serc. Wiesia rzuciła z goryczą:

- To złota klatka z więziennymi kratami!

Po chwili posępnego milczenia w salonie zawołała z determinacją:

- Ja też tutaj zostaję! Nieważne, jak to szaleństwo dalej się potoczy!

Helena Winter, wodząc zmrużonymi ze złości oczami po członkach rodziny, wycodziła:

- Nie bardzo rozumiem, o co tu chodzi? Przecież nikt Marii nie miał zamiaru opuścić!

- Oczywiście! - zawołała z goryczą Wiesia. - Bo liczyliście na to, że...
- zatrzęśły się jej usta - może... umrzeć, zanim ograbicie ją z majątku! Nie mogę patrzeć na siebie w lustrze! Czuję wstręt do samej siebie! Wszyscy jesteśmy zwykłymi, pospolitymi złodziejami!

-Dość tego! - krzyknął Stefan Winter, patrząc na córkę nieprzyjaznym wzrokiem. - Nie jesteśmy takimi draniami, jakich chcesz z nas zrobić! Będziemy tutaj tak długo, jak będzie trzeba!

Rozległ się nerwowy, pełen ironii śmiech Wiesi. Umilkła, widząc wbite w nią stalowe spojrzenia.

Regina wstała i powiedziała cicho:

- Idę do Marii. Należy się jej nasz szacunek, a nade wszystko wdzięczność za uwolnienie od poważnych problemów finansowych, chociaż... chciałabym, żeby czas się cofnął i żebyśmy nigdy tu nie trafili. Kto idzie ze mną?

Wstała i nie oglądając się, ruszyła do drzwi.

Nawet latem, jeśli aura jest w ciągu dnia pochmurna, wieczorny mrok nadchodzi szybciej; zakrywa zielen drzew, niebo ciemnieje a nieznana, nieoświetlona blaskiem księżyca

otwarta przestrzeń staje się tajemnicza, groźna, zaś strach przed wkroczeniem w nieznane ścisła gardło.

Zamek w Bohdanach spowity ciemnościami w oglądających go zza bramy mógł wywoływać właśnie takie odczucia. Dopiero wyteżając wzrok, można było dostrzec blade punkty świetlne w oknach na parterze posiadłości.

Edyta przemierzająca korytarz przy takim oświetleniu czuła się nieswojo, mijając manekiny w średniowiecznych zbrojach. Zapukała do drzwi Urszuli, po czym je uchyliła.

- Idę już - usłyszała.

Drzwi do jadalni stały otworem, wydobywając światło, które wewnątrz, wraz z kuchennymi zapachami nadawało pomieszczeniu przytulny, prawie rodzinny klimat. Nastrój zniknął, gdy wracało się do komnat, idąc wzdłuż rzędu blaszanych rycerzy, rzucających cienie na ściany.

-Nareszcie jesteście - powitała ich z pretensją w głosie Wiesia, kiedy weszły do środka. - Dlaczego tak późno?

- Miałyśmy zajęcie na strychu, a potem długi prysznic - wyjaśniła Urszula, siadając przy stole. - Jesteśmy wściekle głodne, na pewno nic nie zostawimy na talerzach.

- Mam nadzieję, bo upiekłam dzisiaj ulubione ciasto Bohdanowiczów. Połowa jest dla nas.

Po kolacji, zakończonej wspaniałym jabłecznikiem, któremu Edyta nie mogła oprzeć się i zjadła kilka jego porcji, w jadalni pojawiła się Helena. Jak zwykle wyniosła i nieprzystępna. Przystanęła przy drzwiach, omiatając wzrokiem trzy dziewczyny siedzące przy stole.

-Byłam na poddaszu. Dobrze wykonałyście swoją pracę. Myślę, że przez dłuższy czas nie trzeba tam nic robić - oświadczyła chłodno.

- Pani Heleno, zdecydowałyśmy z Edytą, że od jutra pracujemy na zmiany, jeżeli pani nie ma nic przeciwko temu - Urszula wychyliła się zza pleców Edyty i czekała na odpowiedź.

- Nie mam. Proszę bardzo. Która ma ranną zmianę?

Urszula podniosła rękę, jak uczennica w klasie. -Ja.

- Dobrze. Ciasto smakowało?

-I to bardzo. Nie mogłam się oprzeć i zjadłam chyba najwięcej - oświadczyła Edyta, patrząc na talerzyki dziewczyn.

Porcja jabłecznika Wiesi była nietknięta, natomiast ona siedziała z zachmurzoną twarzą, obejmując kubek dłonią, jakby chciała ją ogrzać.

- Macie panie już wolne, możecie czas do zakończenia drugiej zmiany przeznaczyć na własne potrzeby - oświadczyła Helena, siląc się na nikły zaledwie uśmiech, i wyszła z jadalni.

- Wiesia, upiekłaś takie pyszne ciasto i nawet go nie spróbowałaś - zdziwiła się Urszula, odsuwając na bok pusty talerzyk.

- Nie mam apetytu. Jestem dzisiaj do niczego. Podać wam jeszcze coś do jedzenia?

- Ja dziękuję. Idę się położyć. Jestem okropnie zmęczona i chce mi się spać - oświadczyła Edyta, spoglądając w czerń za oknem. - A ty? - odwróciła głowę do Urszuli.

- Rano muszę wstąpić, a z Wiesią nie ma dzisiaj kontaktu. Chodź, idziemy, ja też zaraz się położę.

Przy drzwiach Urszula przystanęła i zwróciła się do Wiesi:

- Słuchaj. Jak się dzisiaj czuje pani Maria? Wiesz coś o tym? Podobno jest chora?

Dziewczyna zbierając naczynia ze stołu, przez dłuższą chwilę milczała, mięśnie jej twarzy stężały, po czym spokojnie odpowiedziała:

- Lepiej. Tak słyszałam.

- To dobrze, bo Helena zabrania nam wchodzenia do jej pokoju.

- To jej sprawa, ja się do tego nie wtrącam.

- Jasne, to dobranoc.

- Dobranoc.

Korytarz już tonął w mroku przy zgaszonym świetle, a na tle okien widoczne były jedynie kontury manekinów. W zamku panowała cisza, ożywiona na chwilę stukotem obcasów dziewczyn i ich krótkim pożegnaniem „do jutra” przed drzwiami komnat.

Edyta była zmęczona. Bolały ją wszystkie mięśnie i głowa, jakby cały dzień spędziła w jakiejś fabryce, w ogłuszającym warkocie maszyn. W pokoju szybko rozebrała się i wsunęła pod kołdrę. Ogarnął ją niepowstrzymany sen, zapadała się coraz głębiej w jego cichą otchłań.

Była druga w nocy.

Edyta niespokojnie poruszyła się w łóżku, zbudzona tętniącym bólem głowy i przemożną chęcią ugaszenia pragnienia. Odrzuciła kołdrę na bok i powoli otworzyła oczy. Leżała w bezruchu, wpatrując się w czerń pokoju, którą potęgowały zamknięte drewniane okiennice, uniemożliwiające nawet dostrzeżenie zarysów umeblowania. Mętlik myśli nie pozwalał jej na przypomnienie sobie ostatnich godzin, zanim wróciła do swojego pokoju.

Odniosła wrażenie, jakby czas i miejsce, w których się znajdowała, umknęły spod kontroli, a ona musiała, zaniepokojona trudnością z ich ustaleniem, coś zrobić!

Zamrugła oczami i przetarła palcami dłoni powieki, jakby ta czynność miała jej w tym pomóc.

W pokoju było duszno.

Edyta podniosła się, ale zaraz opadła na poduszkę. Czuła ociężałość ciała i suchość w ustach. Pić... pić...

Mobilizując siły, usiadła na łóżku i po omacku nacisnęła włącznik nocnej lampki. Nie zapaliła się. Sięgnęła po latarkę i skierowała snop światła na butelkę stojącą na nocnej szafce. Była pusta. Ani kropli wody gazowanej.

Westchnęła i położyła się na łóżku, przyciskając twarz do poduszki. Chciała z powrotem zasnąć, ale pragnienie

było nie do zniesienia. Pomyślała, że kuchnia może być zamknięta i czekają marsz do łazienki, wśród tych okropnych manekinów.

Usiłowała uzmysłwić sobie, co mogłoby być przyczyną jej okropnego samopoczucia, jednak szum w uszach i odgłos tabunu galopujących koni w głowie uniemożliwiały zebranie myśli i ułożenie ich w logiczną całość.

Ponownie podniosła się, usiadła na brzegu łóżka i powoli wstała. Komnata zawirowała razem z nią, chwilę stała, usiłując złapać równowagę, po czym krok po kroku, z latarką w dłoni dotarła do okna i rozsunęła okiennice.

Coś z szelestem spadło na podłogę. Nie zwróciła na to uwagi i otworzyła na oścież skrzydło okna. Na parapet odłożyła zgaszoną latarkę.

Chciwie wciągała rześkie powietrze, patrząc na tańczące cienie drzew. Ucisnęła dłońmi skronie, chcąc złagodzić ból głowy, po czym zabrała latarkę i niepewnie stawiając kroki, odeszła od okna. Zmagając się ze słabością i oszołomieniem, założyła szlafrok.

Wyjście na korytarz wymagało teraz sporego wysiłku i... odwagi! Przy drzwiach zatrzymała się z dłonią na klamce, zastanawiając się, co ją powstrzymuje przed wyjściem z pokoju... Przecież zobaczy tylko stojące pod oknami manekiny! Czowała ogarniającą ją panikę, miała niesamowite wrażenie, że coś nieokreślonego czyha na nią za drzwiami!

To było nie do zniesienia! Ten dziwny strach musi pokonać, bo i tak nie zaśnie do rana! Gwałtownym ruchem otworzyła drzwi i nie bez uczucia lęku wyszła na korytarz, kierując snop światła w kierunku łazienki.

Było cicho. Znikąd nie dobiegał żaden dźwięk. Zamykając drzwi, czuła, jakby wpatrywało się w nią wiele par oczu. Odwróciła się i zmartwiała z przerażenia!

Ze zgrozą patrzyła na sunące ku niej manekiny w połyskujących rycerskich zbrojach! Słyszała ich ciężkie kroki i chrzęst blachy! Chciała krzyknąć, ale głos uwiązł jej

w gardle. Oparła się o ścianę, poczuła, jak nogi uginają się pod nią, zsunęła się, szorując plecami po ścianie, i przykucnięta zakryła dłońmi twarz. Była bliska omdlenia na skutek doznanego szoku. Upuszczona latarka potoczyła się po posadzce i zgasła. Zapanowały ciemności, w których otaczały ją upiorne manekiny!

Zamknęła oczy. Serce wyrywało się z piersi ze strachu! Zimne ciarki wpełzły na każdy centymetr kwadratowy ciała, dygotała, jakby nagle spadła temperatura powietrza!

Wmawiała sobie, że to tylko halucynacje i zaraz, jak tylko złapie oddech, ten niesamowity marsz rycerzy okaże się złudą, przywidzeniem.

Nie wiedziała, jak długo trwała w takim stanie, ale kiedy otworzyła oczy, manekiny stały pod oknami, jedynie rycerskie przyłbice błyszcząły, oświetlone blaskiem księżyca.

Panowała cisza.

Edyta przyłożyła dłoń do serca. Już się nie wyrywało, ucisk w gardle zelżał, jeszcze w głowie kołatał się strach, ale powoli wstała i przełamując lęk, podeszła do okna. Widok klombów, fontanny i nieco oddalonego parku uspokajał, wyciszał emocje, nawet obecność tuż obok manekinów już nie wydawała się tak niesamowita jak przed chwilą. Wyciągnęła rękę i próbowała nawet dotknąć zbroi, ale nie potrafiła wykrzesać z siebie odrobiny... odwagi?

Nagle w ciszę, od strony wielkiej, żelaznej bramy, wdarł się jakiś szum, który powoli narastał, aż na dziedziniec wjechał bez włączonych świateł ciemny bus, z którego wysiadło kilka osób w kurtkach z narzuconymi na głowy kapturami. Postacie te ruszyły na tył auta.

Edyta instynktownie przesunęła się w bok okna, aby być mniej widoczną, i zdziwiona nocnym przyjazdem samochodu obserwowała, co będzie dalej się działo.

Po chwili usłyszała głuchy łoskot i z ciemności wyłoniły się postaci niosąc na ramionach... jakieś długie pudło! Powoli zbliżali się do wejściowych drzwi zamku.

Edyta ukryła się za manekinem, kiedy usłyszała skrzyp otwieranych drzwi i jakieś ciche, niewyraźne głosy. Postaci z kapturami na głowie nie rozpoznała, na korytarzu było zbyt ciemno. Patrzyła z rosnącym przerażeniem na przedmiot przypominający skrzynię, przykrytą zwisającą płachtą materiału!

Pragnęła, aby to, co widzi, okazało się przywidzeniem w tej okropnej nocy, zamruwała oczami, przetarła je, ale nie miała wątpliwości. To budzące lęk widowisko nie zniknęło. Słyszała wyraźne, ciężkie kroki postaci wchodzących po schodach na piętro, które ucichły na czerwonym dywanie.

Nastąpiła cisza. Po chwili skrzyp jakichś drzwi.

Edyta podniosła upuszczoną latarkę, ale jej nie włączyła. Obawiała się ujawnienia swojej obecności, intuicyjnie wyczuwała zagrożenie ze strony tych, którzy w środku nocy zakrywali swoje twarze. Usłyszała szum zapalnego silnika samochodu. Kiedy podeszła do okna, bus jechał w stronę bramy.

Przez chwilę stała niezdecydowana, czy obudzić Urszulę i opowiedzieć jej, że w zamku dzieje się coś niezwykłego, niezrozumiałego, nienaturalnego...

A może to tylko chory wytwór jej wyobraźni?! Przecież przez cały czas czuje, jakby przeniosła się w inny wymiar czasu, że to, co widziała, to tylko pasmo zdarzenia, które przewinęło się jej przed oczami, jak filmowy kadr!

Mimo to, zapukała do jej drzwi. Przez chwilę nasłuchiwała jakiegokolwiek ruchu po drugiej stronie, odgłosu kroków... nic... głucha cisza.

Spojrzała w głąb korytarza. Szok minął, ale suchość w gardle upomniała się o ugaszenie w końcu pragnienia.

Kuchnia była zamknięta, w łazience, pijąc wodę z kubeczka, w którym trzymała pastę do zębów, spojrzała w lustro. Z twarzy nie znikł jeszcze wyraz lęku, oczy błyszczały żywiej niż zazwyczaj, ale bladość policzków i ust czyniła z niej maskę.

Co za upiorna noc!

Kiedy wróciła do pokoju, zamknęła okno i z ulgą nakryła się kołdrą. Poczowała ogarniające ją ciepło i zmęczenie. Za oknami powoli ustępowała ciemność nocy.

Nastał ranek.

Do komnaty wkradły się pierwsze od wielu dni promienie słońca. Edyta z przyjemnością patrzyła w jasną plamę okna, zadowolona, że nie musi jeszcze wstać, bo pierwszą zmianę w pracy objęła już Urszula. Przypomniała sobie niedawne, nocne wydarzenie i zaczęła wątpić w jego prawdziwość. Odurzony czymś albo przemęczony umysł potrafi stworzyć nieprawdopodobne obrazy, wymyślać zdarzenia, mylić fakty. Przeplatać realia z fikcją.

Edyta przeciągnęła się, mrużąc oczy jak kotka. Spojrzała na zegarek. Dochodziła dziesiąta. Gdyby nie uczucie głodu, wstałaby za godzinę, dwie, wszak pracę rozpoczynała o wpół do trzeciej.

Zerwała się z łóżka. Szkoda tak słonecznie zapowiadającego się dnia. Postanowiła, że spędzi go w parku, na ławce i do zamku wróci dopiero w porze obiadowej! Założy krótkie spodenki i bluzkę z największym dekoltem, które to rzeczy oby znalazła w torbie! Szybko sprawdziła. Były. Podeszła do okna.

-Chyba nie nastąpi nagły zwrot w pogodzie i nie zaciągnie nieba deszczowymi chmurami? - zaniepokoiła się, patrząc na błękit nad zielonym morzem parkowych drzew.

A teraz marsz do łazienki!

W drodze do jadalni spotkała Urszulę, która na jej widok pokiwała z uznaniem głową.

- Jutro to ja wstanę o tej porze, a może jeszcze później - rzuciła, nie zatrzymując się przy niej.

-Zaczekaj! Chcę cię o coś zapytać - złapała ją za rękaw Edyta.

-Nie teraz! Nie mam czasu. Idę do seniorki. Może chce wyjść na spacer. Później pogadamy.

- Dobrze spałaś?

- Bardzo dobrze. Jeszcze nigdy tak szybko nie zasnęłam. Na razie.

Edyta prowadziła ją spojrzeniem, aż ta zniknęła na schodach. Wchodząc do jadalni, pomyślała, że zaraz usłyszy narzekanie Wiesi, że ta musi oderwać się od swojej pracy i zrobić spóźnialskim śniadanie. Z kuchni dochodziły odgłosy krzątania, a nade wszystko smakowite zapachy, budzące jeszcze większy głód.

- Dzień dobry - zawołała.

Wbrew domysłom, Wiesia pojawiła się z pogodną miną i wycierając ręce w białą ściereczkę, od razu zaproponowała:

- Wybieraj. Bułeczki, biały ser, jajecznica, omlet. -Wszystko w rozsądnych porcjach - wyrecytowała

jednym tchem Edyta. -1 herbata z cytryną.

- Zaraz przyniosę.

- Dziękuję.

Edyta, czekając na jedzenie, z przyjemnością patrzyła na oświetlone promieniami słońca konary drzew za oknem.

- Smacznego - Wiesia postawiła na stole zestaw śniadaniowy z przewagą ciepłych jeszcze, pachnących bułeczek.

- To ty je pieczesz? - Edyta wzięła do ręki bułeczkę.

- Uhm. Co drugi dzień.

Słonecznie zapowiadający się dzień i z apetytem pałaszowane śniadanie oddaliły na chwilę w niebyt nocne makabryczne doznania. Omlet rozpląwał się w ustach, bułeczki zniknęły z talerza w błyskawicznym tempie jedna po drugiej, a herbata z cytryną dopełniła rozkoszy spóźnionego śniadania. Dopiero pytanie Wiesi siadającej przy stole naprzeciw niej przypomniało niesamowite wydarzenia. A może tylko omamy?

- Dobrze tutaj ci się śpi? Wygodnie?

- Wygodnie, chociaż wolę do spania mniejsze pomieszczenia. W domu mam dla siebie mały, przytulny pokój. Słuchaj, Wiesia, czy... zdarzyło ci się kiedyś takie... poplątanie... czy raczej widzenie czegoś, co wydaje się być naprawdę, ale jest raczej skutkiem... halucynacji?

Wiesia wpatrywała się w nią tak wnikliwie, z takim dziwnym wyrazem twarzy, że Edyta instynktownie zrezygnowała z opowiadania całości wydarzeń i powiedziała niedbale:

- Nic wielkiego się nie stało. Po prostu za dużo zjadłam na kolację i prawie śpiąc, musiałam iść do łazienki. A wiesz, jak przyjemnie po ciemku przechodzi się obok tych manekinów.

- Przestraszyłaś się? - dopytywała Wiesia.

- I to bardzo! - udała śmiech Edyta. - Nawet wydawało mi się, że jacyś ludzie wchodzi do zamku, ale tak nie było.

- Widziałaś kogoś?

- Nie. Chociaż w nocy można wszystko zobaczyć, ze strachu. A ja zawsze bałam się ciemności - wykręciła się Edyta.

Wiesię widywała tylko w czasie posiłków, nigdy nie wdały się dłuższą rozmowę i nie miała do niej takiego zaufania jak do Urszuli. Obawiała się, że ta z większym stażem pracy w zamku, bardziej ośmielona w kontaktach z Bohdanowiczami i Heleną, opowie to komuś z nich i może stać się pośmiewiskiem.

Ale na pewno widziała postacie niosące skrzynię!

- Dziękuję ci za wspaniałe śniadanie. Pójdę do parku na ławkę. Może się trochę opalę, jestem taka blada.

- Do zobaczenia przy obiedzie.

Na dziedzińcu gorące promienie słońca przypomniały, że trwa jeszcze lato. Edyta wolnym krokiem ruszyła w stronę parku. Zatrzymała się przy pierwszej, zacienionej ławce,

ale po chwili zrezygnowała z siedzenia w cieniu i rozejrzała się za odsłoniętym, nasłonecznionym miejscem. Upłynęło tyle deszczowych dni, że szkoda byłoby teraz nie skorzystać z wystawienia ciała, a przede wszystkim twarzy na palące słońce.

Wybrała ławkę stojącą w znacznej odległości od zamku, zalaną słonecznymi promieniami, z widokiem na wieżę prześwitującą przez pnie drzew.

Usiadła, oparła głowę o deski ławki i zamknęła oczy.

-Czas, stop! - pomyślała, rozkładając ramiona na oparcie ławki.

Czuła spokój, ogarniające ją miłe lenistwo, jakie zazwyczaj towarzyszyło jej na ulubionym miejscu nad Wisłą, nad brzegiem rzeki, kiedy z grupą przyjaciół opalała się w dni wolne od nauki.

Po raz pierwszy odkąd przyjechała do pracy w zamku, mogła cieszyć się tak wspaniałą pogodą, daleko od zamkowych murów, chłodnych korytarzy i widoku szorstkiej Heleny Winter zarządzającej posiadłością.

Było tak spokojnie, przyjemnie, czasem zaszeleściło listowie poruszone delikatnym wietrzykiem, dobiegł ptasi głos, czas płynął...

Nocne wydarzenie w całej okazałości pojawiło się nieproszone przed oczami Edyty nagle... i siłą woli wyparte na chwilę z pamięci. Tylko nie teraz, nie tutaj! Jednak ta chwila zburzyła jakże przyjemny relaks w pełni słońca, jednocześnie wydobywając z zakamarków pamięci rozmowę w kuchni Heleny z Wiesią.

Otworzyła oczy i wachlując się dłonią, pomyślała o... pysznym, rozpluwającym się w ustach jabłeczniku. Obudziła się w nocy z objawami... odurzenia... przejedzenia...? Nie! Od dziecka bała się ciemności, a w tym ponurym zamku wyobraźnia szaleje! W nocy wszystkie koty są czarne! Czytała nawet kryminał o takim tytule.

Urok samotności w oszałamiającym krajobrazie barw lata prysł. Nieoczekiwanie w przestrzeń wdarł się czyjś głos, potem drugi. Dobiegały z oddali i nie można było ich rozpoznać, ale jeden z nich na pewno przypominał... Urszulę.

Edyta wstała i rozejrzała się, szukając wzrokiem potwierdzenia swoich domysłów, ciekawa, kim jest druga osoba. Z trudem, wysilając wzrok, pomiędzy pniami drzew dostrzegła Urszulę prowadzącą pod rękę jakąś kobietę. Nawet z daleka po charakterystycznym, powolnym chodzie można było stwierdzić, iż prowadzi starszą osobę. Bez wątplenia była to seniorka, której jeszcze nie poznała. Na pewno będą szukały cienia, więc tutaj nie przyjdą, ale wracając do zamku, nie będzie mogła udawać, że ich nie widzi.

Edyta usiadła, ale nie dane jej było długo pozostać samej, zobaczyła sunącą ku niej Urszulę!

- Chodź ze mną! - zawołała i czekała, aż dziewczyna podejdzie do niej. - Widziałam cię i powiedziałam o tobie pani Marii! Chce cię poznać.

- Jestem taka spocona... trochę niepewnie się czuję, pewnie wyglądam byle jak. Spójrz - Edyta okręciła się przed nią dookoła, niepewna swojego wyglądu.

- No co ty! Na balu jesteś? Mówiłam seniorce, że na pewno się opalasz. Chodź, nie chcę jej dłużej samej zostawiać.

- Jeszcze jest chora?

- Nie. Nawet chciałam przywieźć ją na wózku inwalidzkim, ale stanowczo odmówiła.

Maria siedziała na ławce tyłem do nadchodzących dziewczyn. Siwe włosy spięte z tyłu głowy w malutki koczek, nieco pochylone plecy i laska w rękę zapowiadały poznaną zmarszczkami twarz i zmęczone podeszłym wiekiem oczy.

Rzeczywistość okazała się zaskakująca. Starsza pani z uśmiechem przywitała Edytę, pokazując ręką, aby usia-

dła przy niej. Miała bystry wzrok, ciekawość malowała się na jej twarzy, kiedy patrzyła na speszoną swoim nieświeżym wyglądem dziewczynę.

- Dzień dobry pani. Nazywam się Edyta Mroczkowska i pracuję tutaj... trzeci dzień.

-Wiem. Urszula mi powiedziała - Maria mówiła cichym, ale wyraźnym głosem starszej osoby. - Jest pani taka młoda, więc będę zwracała się do pani po imieniu.

- Będzie mi bardzo miło.

Zadowolona jesteś z pracy? Dobrze cię tu traktują?

- Bardzo dobrze, dzisiaj mam drugą zmianę i przyniosę pani kolację do pokoju.

Seniorka pokręciła głową.

- Do salonu. Będę jadła z... - zrobiła przerwę, patrząc przed siebie - rodziną.

-Dobrze. Czy ma pani jakieś ulubione danie, bo powiedziałabym zawczasu kucharce?

-Nie mam, ale po kolacji przynieś mi do pokoju szklankę gorącego mleka. Bez cukru - zastrzegła, unosząc nieznacznie dłoń.

Maria głęboko westchnęła i umilkła. Milczenie przedłużało się, kobieta patrzyła gdzieś w dal, na jej twarzy malowało się przygnębienie.

- Przypomnij mi, od kiedy tutaj pracujesz? - na twarzy staruszki malowało się zakłopotanie niepamięcią.

- Od kilku dni, a dokładnie to od dwudziestego siódmego lipca - Edyta podała dokładną datę przyjęcia do pracy.

- Więc... nie znasz Janki?

- Nie... ale wiem, że zajęłam jej miejsce. Mieszkam w tym samym pokoju, który ona zajmowała.

- Tak jest mi jej brak... czasem wydaje mi się, że wejdzie do mojego pokoju i usiądzie przy mnie.

Chwila ciszy, która zapadła, była nad wyraz nieprzyjemna i wisiała jak gradowa chmura, która z impetem

zrzuci z góry kaskadę grudek lodu! Kobieta nagle posmutniała, przygarbiła się, postawiła laskę przed sobą i oparła na niej dwie ręce, jakby nagle opadła z sił. Urszula przytrzymała laskę, która zachwiała się w rękach staruszki.

Edyta patrząc na Marię, pomyślała, że starsza pani musiała być w młodości piękną kobietą. Miała regularne rysy twarzy, kształtny nos, wykrój ust pomimo upływu lat zachował dawny kształt. Siateczka drobnych zmarszczek na twarzy wraz z bijącym od niej ciepłem sprawiała, iż w obecności staruszki czuło się coś więcej niż zwykłą grzeczność. To był szacunek i chęć opieki nad osobą, w obecności której można było zapomnieć o Helenie Winter, manekinach czy o tajemniczej nocy.

- Urszulo, Janka długo cierpiała? - drżącym głosem zapytała staruszka.

Urszula spojrzała porozumiewawczo na Edytę i powiedziała:

- Nie... odeszła w spokoju... we śnie.

- Zostawiła mnie... tak jak mój mąż Konrad... a teraz... ona. To ja powinnam... przed nią... pogodzić się z losem i... zasnąć - w oczach Marii pojawiły się łzy. - Odeszła... tak... bez słowa? - zwróciła się do Urszuli.

Jej oczy napełniły się łzami.

- Pani Mario, proszę się nie martwić. Ona jest tutaj z nami, niedaleko.

- Pójdziemy do niej?

- Dzisiaj nie, nie może pani tak się wzruszać, bo to zaszkodzi pani zdrowiu. Zresztą musimy już iść, zbliża się pora zażycia lekarstw.

Urszula starała się odciągnąć kobietę od spaceru na mały cmentarzyk na tyłach posiadłości. Obawiała się, iż kobieta może zasłabnąć, wiedziała, że Janka była jej ulubienicą. Spojrzała porozumiewawczo na Edytę, aby ta potwierdziła jej słowa.

- Tak, Urszula ma rację.

- Jeszcze chwilę chcę tu posiedzieć. Tutaj jest spokojnie, pięknie - mówiła staruszka tak cicho, że trzeba było wsłuchać się w jej słowa.

Przez chwilę zaległa cisza, po czym zwróciła się do Edyty:

- Powiedz mi, jak będzie ci tu źle. Nie pozwolę na złe traktowanie pracowników.

- Dobrze, proszę pani.

Niespodziewanie, wywołując zdumienie Edyty, staruszka zapytała:

- Jesteś tutaj od kilku dni, więc zdażyłaś poznać Jankę? Edyta zaskoczona spojrzała na Urszulę. Ta odchyliła

się na ławce i za plecami Marii, dała jej mimiką twarzy znak, aby niczemu się nie dziwiła.

- Nie... ja jej nie znam...

- Przecież... mówiłaś, że mieszkasz z nią w pokoju.

- Nie... mówiłam, że... zajęłam po niej pokój... Kobieta patrzyła na nią z wyrzutem, jakby dziewczyna

z jakichś powodów nie chciała przyznać się do znajomości z Janką. W jej oczach widać było zagubienie, niepewność miejsca, w jakim się znajduje, a brak spójności dialogu wskazywał na starczy zanik pamięci.

Urszula położyła palec na ustach. Edyta nieznacznie skinęła głową.

- Pani Mario, Edyta naprawdę nie zna Janki. Przyjechała, jak jej już nie było. Trochę... mylą się pani fakty, to skutek pani niechęci do regularnego zażywania lekarstw - Urszula cierpliwie tłumaczyła staruszce.

Maria pokiwała głową.

- Czasem mam taki mętlik w głowie - powiedziała cicho. - Wydaje mi się, że zaraz wejdzie do pokoju Konrad i zacznie opowiadać jakąś ciekawą historię - westchnęła. - Niestety, on już nie przyjdzie.

Minęło sporo czasu, zanim staruszka zdecydowała się wrócić do zamku.

-Muszę częściej wychodzić do parku, ale teraz chciałabym przed obiadem na chwilę się położyć. Chodźmy - z trudem podniosła się z ławki.

Urszula chwyciła Marię pod ramię, pokazując wzrokiem, aby Edyta zrobiła to samo.

Powoli, krok za krokiem dotarły do wejścia do zamku. W drodze milczały. Po schodach na piętro przystawały, pozwalając starszce odpocząć, choć ta i tak w swoim pokoju usiadła w fotelu, ciężko oddychając.

- Dziękuję wam, chcę zostać sama - powiedziała słabym głosem.

-Dobrze, zaraz podam pani lekarstwa, a później przyniosę do pokoju obiad - Urszula podeszła do komody i wyciągnęła szufladę.

- Obiad zjem w salonie - zabrzmiało stanowczo.

Edyta wyszła z pokoju Marii i szybko zbiegła po schodach. Żał jej było seniorki. Zaniki pamięci nie wróżyły nic korzystnego dla stanu jej zdrowia. Chociaż jej wiek usprawiedliwiał taką kondycję, to życzyła kobiecie, żeby stan jej umysłu przynajmniej nie pogarszał się. Pierwszy raz ją widziała i od razu poczuła do niej sympatię, była zadowolona, że seniorka samodzielnie porusza się, co oznaczało, że nie jest zależna od opieki drugiej osoby. A to jest bardzo ważne.

Ze swojego pokoju zabrała przybory do kąpiel i udała się do łazienki. Woda była bardzo ciepła, kąpiel ją odświeżyła, pachnące kosmetyki dodały energii, poczuła przypływ optymizmu, czego bardzo potrzebowała nie tylko po nocnych przeżycia, lecz również po spotkaniu seniorki i jej nagłym psychicznym załamaniu się po śmierci Janki.

W pokoju założyła szlafrok i sprawdziła godzinę na zegarku. Do podjęcia drugiej zmiany pozostała niecała godzina. To mało czasu na ogarnięcie pokoju i jeszcze mniej na obiad. Rozejrzała się krytycznie po pomieszczeniu. Niezasłane łóżko, zaczepiona o okiennicę roleta, a przede wszystkim niezamieciona podłoga.

Podchodząc do okna, poczuła pod nogą jakieś kartki. Nachyliła się i podniosła z podłogi... cienki zeszyt! Przewertowała kartki zapisane drobnym, nieregularnym pismem i ze zdumieniem stwierdziła, że to jest czyjś pamiętnik. Co prawda niewiele kartek zostało zapisanych, ale bez wątplenia były to zapiski... kobiety!

Edyta z wrażenia wstrzymała oddech.

Zanim przyjechała do zamku, pokój zajmowała Janka! Może przed nią mieszkała tu jeszcze inna kobieta?!

Ciekawe, skąd się znalazł u niej na podłodze?! Czy przez cały czas jej pobytu był ukryty w pokoju, w miejscu dostępnym tylko dla właścicielki zeszytu? Przypomniła sobie szelest, kiedy rano otwierała okno.

Spojrzała na zaczepioną o okiennicę roletę. Odłożyła zeszyt na nocną szafkę, przysunęła krzesło do okna i szarpnęła roletę, mocno ją odchylając od szyby. Jakiś przezroczysty strzępek folii albo taśmy klejącej przykleił się do okiennicy.

Edyta obejrzała roletę od strony okna i zrozumiała. Na granatowym tle widniały ślady po kleju i resztki taśmy, która z pewnością użyta została do ukrycia zeszytu.

Na zapoznanie się z tajemniczym zeszytem przeznaczyła wieczór, po pracy, chociaż już teraz wręcz zżerała ją ciekawość, która ją... pokonała!

Edyta usiadła na brzegu łóżka, otworzyła zeszyt i... zdumiona przeczytała kilka wierszy na pierwszej kartce pamiętnika:

Wspomnienie...

Nazywam się Janina Kowalska. To znaczy takie imię i nazwisko zostało mi nadane w Domu Dziecka w Grudziądzu, do którego podrzuciła mnie jako noworodka moja matka. Z karteczką, na której widniała jedynie data moich urodzin. Jak niepotrzebne zakupy! Nigdy jej nie pozna-

łam ani ojca. Moim domem został na długie lata ten dom, a rodziną wychowankowie, tacy jak ja. Niektórzy znali swoich rodziców, ja nie.

Pamiętam tylko twarze wychowawców, do których jako dziecko mówiłam „ciociu”, potem, kiedy zrozumiałam, gdzie jestem, „proszę pani”. Najmilej wspominam dyrektorkę tego niby domu, panią Hannę Dybowską. Była ciepłą, wyrozumiałą kobietą. Czasem wołała mnie do biura i próbowała rozmawiać ze mną o mojej przyszłości. Słuchałam tego obojętnie, bo jaką mogłabym mieć przed sobą przyszłość? Sama?

Świat za bramą miał dla mnie inne kolory niż ten widziany w telewizji, barwny, pełen szczęśliwych ludzi, roześmianych, bo tak to odbierałam. Był szary, nijaki, wrogi.

W budynku były duże sale niezapewniające intymności, bycia samej, jedynie praca w ogrodzie, do której nikt się nie kwapił, dawała mi skrawek nieba tylko dla mnie.

Nie zaznałam prawdziwego ciepła rodzinnego, uśmiechu matki, która przyniosłaby mi wieczorem do łóżka kubek gorącego mleka z miodem.

Nie rozumiem powodu, dlaczego rodzice tak mnie skrzywdzili. Dom dziecka to wychowalnia niechcianych dzieci do ich pełnoletniości. Po co więc się rodzimy?

Lepiej nie być!

Tak! To znaczy nie urodzić się, nie istnieć, nie być w niczyjej świadomości, nie obciążać niczyjego sumienia, pozwolić być wolnym tym, którzy nas nie chcą!

Nie traktowano nas tam źle, ale brakowało mi rodziny, tęskniłam do... Właśnie, do kogo?! Oskarżam, tak, oskarżam wszystkie matki o zbrodnię urodzenia niechcianego dziecka! Oskarżam o to moją matkę!

Pogardzam ojcem, którego nie znam i nie chcę poznać!

Nie płaczę za nikim, bo za kim mogłabym płakać?

Edyta oderwała wzrok od linijek nieregularnego, drobnego pisma dziewczyny. Wzruszyła się zaledwie krótkim urywkiem zapisków, a zeszyt był w połowie zapisany i z pewnością dalszy ciąg tekstu nie obfitował w radosne wiadomości. W domu wpojono jej, że nie powinna czytać cudzych intymnych zapisków, ale nie potrafiła się powstrzymać. Tajemnicze wydarzenia w zamku, a przede wszystkim śmierć dziewczyny wyzwoliła w niej jakby usprawiedliwienie do dalszego zapoznania się z jej... smutkiem, z tą krótką opowieścią o jej życiu.

Na korytarzu rozległy się szybkie kroki, coraz bliższe. .. Instynktownie schowała zeszyt pod poduszkę. Sama nie rozumiała swojej decyzji, przecież każdy z domowników mógł go znaleźć przez przypadek, tak jak ona.

Ktoś zatrzymał się przed jej drzwiami, usłyszała pukanie i po chwili w szparę uchylonych drzwi wsunęła głowę Urszula.

- Chodź na obiad! - zawołała ponagłajaco. - Już późno. Zaraz przejmiesz drugą zmianę. Zapomniałaś?

- Zaraz przyjdę, muszę się przebrać. Przecież nie pójdę w szlafroku.

Urszula otworzyła szerzej drzwi i patrzyła na Edytę podejrzliwym wzrokiem.

- Co ci jest? Masz takie zaczerwienione policzki i... oczy.

- A co w tym dziwnego? Za długo byłam na słońcu i twarz mnie piecze - ta szybko wybrnęła z kłopotliwego pytania.

-Ach, rzeczywiście. Idę do jadalni, pospiesz się -powiedziała niecierpliwie Urszula i wyszła z pokoju.

Edyta przebrała się w służbowy strój, zamknęła na klucz pokój i udała się do jadalni, gdzie zastała ogrodnika ucinającego sobie pogawędkę z Urszulą.

- Dzień dobry - przywitała się i usiadła przy stole.

Ogrodnik skinął głową, ale nie podjął już przerwanej jej wejściem rozmowy z dziewczyną, nabierając z wazy stojącej pośrodku stołu jeszcze dymiącą, pachnącą zupę. Wiesia krzątała się, donosząc z kuchni talerze z drugim daniem i dzbanek z kompotem wiśniowym.

Zajęła miejsce naprzeciw Edyty i powiedziała z ulgą:

- Nareszcie usiądę. Od rana na nogach, między kuchnią, spiżarnią i jadalnią.

- Za to jaką masz satysfakcję, kiedy wszystko znika z talerzy, bo ja nigdy nic nie zostawiam - pochwaliła ją Edyta.

- Dziękuję. Mogłam wybrać inny zawód, ale stało się, jak stało. Może kiedyś się wzbogacę? - zabrzmiało to ironicznie.

Ogrodnik spojrzał na nią spode łba, co nie uszło uwagi Edyty.

- Och, panie Stefanie, może Wiesia wygra w Lotto? Pan tak na nią spojrzał, jakby w to nie wierzył - zagadnęła go. - Niech wygra - mruknął i zajął się jedzeniem. Obiad minął, pierwszy wyszedł z jadalni ogrodnik,

Urszula nie ruszała się z miejsca, jej zmiana skończyła się, miała czas tylko dla siebie.

- Zaczynaj od salonu i zbierz zastawę - poradziła Edycie. - A potem rób porządki według swojego planu. Nie zapomnij odkurzyć dywanu w korytarzu - dorzuciła.

Jej podpowiedzi jakby trafiły w próżnię. Edyta nie odezwała się, potem pokiwała głową, ale wyraz jej twarzy przeczył zrozumieniu rad koleżanki. Myśli miała zajęte zupełnie czymś innym niż odkurzanie i zbieranie brudnych talerzy.

- Co się z tobą dzieje? Chora jesteś? Coś cię boli? - dopytywała zdumiona jej zachowaniem Urszula.

Edyta powiedziała zdawkowo:

- Nic mi nie jest. Idę na piętro - wstała i ruszyła do drzwi.

- Może pogadamy wieczorem u ciebie?

Edyta zatrzymała się i powoli odwracała się do niej, gorączkowo szukając pretekstu, aby wykręcić się od spotkania. Wieczór miała już zajęty. Czekają na nią smutne opowiadanie, które dziwnym trafem to właśnie ona znalazła albo ściślej mówiąc, które spadło do jej stóp. Czowała nad wyraz dogłębnie, że nie powinna o znalezisku nikomu mówić, nawet Urszuli, przynajmniej nie teraz.

- Wieczorem? - udała, że się zastanawia. - Zobaczymy, będę wolna dopiero około jedenastej, zapukam do ciebie.

Szybko wyszła z jadalni, nie czekając na odpowiedź. Nie chciała wdawać się w rozmowy, które i tak nie zmieniłyby jej postanowienia.

Na schodach spotkała Helenę Winter, która zatrzymała ją i powiodła palcem po balustradzie poręczy. Wynik był zadowolający, na palcu nie było śladu brudu.

-Jestem z was zadowolona - powiedziała łaskawie. - Ale proszę więcej nie wychodzić z panią Marią, kiedy jest tak gorąco. Ma słabe zdrowie.

- Siedziała na ławce w cieniu i była zadowolona, że jest na świeżym powietrzu. Nie wyglądała na chorą.

- Ale jest osobą w podeszłym wieku i trzeba o tym pamiętać.

-Na pewno będę pamiętać. Zaraz spytam seniorkę, czy czegoś potrzebuje.

Helena zawahała się, skierowała spojrzenie na drzwi komnaty Marii, po czym sucho rzuciła:

- Teraz odpoczywa. Proszę jej nie przeszkadzać. Minęła Edytę i stukając obcasami, ruszyła na parter

zamku. Sztywna, wyniosła, niesympatyczna.

Edyta nie mogła doczekać się końca zmiany. Odkurzyła długi, czerwony dywan w korytarzu, miotełką wyczyściła z niewidzialnego kurzu rzeźby, kinkiety. W salonie jak

zaprogramowany automat czyściła ściereczką poręcze krzesel, foteli, zegar, kominek, portret damy, włączyła odkurzacz i nagle... coś dotknęło jej ramienia! Podskoczyła z wrażenia, serce podeszło jej do gardła! Odwróciła się i zobaczyła Marię, która uśmiechała się przepaszająco.

- Nie chciałam cię przestraszyć - powiedziała, kiedy Edyta wyłączyła odkurzacz. - Chodź do mnie, chcę cię o coś poprosić.

- Oczywiście, pani Mario, już idę.

Szła za seniorką, która dreptała małymi kroczkami, a kiedy weszły do jej pokoju, Maria usiadła w małym foteliku stojącym blisko uchylonego okna. Obok znajdował się okrągły stolik, przy nim drugi fotelik.

Pokój starszej pani różnił się od pozostałych w zamku. Ściany pokryte były jasną tapetą, umeblowaniem bardziej przypominał styl lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku: orzechowa meblościanka, rozłożona wersalka, przy niej ława, z prawej strony wersalki stała nocna szafka z małą lampką, przed kominkiem dwa ciężkie fotele, nad komodą wisiało owalne lustro, na podłodze barwny dywan.

- Zamknij drzwi, dziecko, i podejź bliżej, nie chciałabym, żeby ktokolwiek słyszał naszą rozmowę - powiedziała zagadkowo staruszka znużonym głosem.

- Słucham panią - Edyta podeszła do kobiety, która wskazała jej miejsce na drugim foteliku.

- Usiądź i posłuchaj.

Starsza pani długo przypatrywała się Edycie, jakby zastanawiała się, czy powierzyć jej sprawę, o której chciała zapomnieć na tak wiele lat. Miała ujmujący sposób patrzenia. Z lekkim uśmiechem, pełnym ciepła spojrzeniem, które nadawały twarzy pokrytej siateczką zmarszczek dostojny, a zarazem łagodny wyraz. Patrzyła prosto w oczy, co przy przedłużającym się milczeniu krepowało Edytę.

- Jesteś Edyta? Dobrze zapamiętałam? - spytała staruszka, lekko przekrzywiając głowę.

- Tak. Edyta Mroczkowska.
- Od razu cię polubiłam, kiedy cię poznałam, tam, w parku. Masz taką miłą twarz, jest w tobie coś... - Maria szukała odpowiednich słów - sympatycznego.
- Dziękuję bardzo. To miło z pani strony, że tak pani o mnie myśli.
- Skąd przyjechałaś?
- Z Grudziądza. Szukałam pracy i znalazłam ją właśnie tutaj, w zamku.
- Jak długo tu będziesz pracować?
- Miesiąc, z możliwością przedłużenia. Może pani rodzina zatrudni mnie na dłużej, bo Urszula tu pracuje chyba już trzeci miesiąc.
- Urszula... - staruszka pokiwała na boki głową, co sprawiało wrażenie, jakby nie akceptowała jej - jest... starsza od ciebie?
- Chociaż wyglądało to na pytanie, Edyta pomyślała, że Maria chciała zupełnie co innego powiedzieć i w ostatniej chwili zrezygnowała.
- Nie, jesteśmy w tym samym wieku. Mamy dziewiętnaście lat.
- Maria uniosła brwi i spojrzała na nią wzrokiem pełnym niedowierzania.
- Tak ci powiedziała?
- Tak. Pochodzi ze wsi, z Bohdan, z gospodarstwa rolnego.
- Ach... taak - seniorka przeciągnęła. - Edyto... -zaczęła wolno mówić.
- Czy... mogę mieć do ciebie zaufanie? To bardzo dla mnie ważne.
- Oczywiście, ale nie bardzo rozumiem, co miałabym zrobić? - Edyta była zaskoczona i zdumiona pytaniem seniorki.
- Maria pokazała na ścianę sąsiadującego z jej pokojem pomieszczenia.
- Chodzi mi o ten pokój.

- Jeżeli chodzi o sprzątanie, to nie mam do niego klucza. Co tam jest?
- Tam jest kawałek mojego życia - oczy starszej pani zaszkliły się.
- Przepraszam, ale nie bardzo rozumiem - Edyta miała zakłopotaną minę.

Wbrew temu, co widziała w parku, seniorka nie sprawiała wrażenia osoby zagubionej, bezradnej, prowadziła z nią logiczną dyskusję, jedynie jej głos nie pozostawiał wątpliwości, iż jest osobą w podeszłym wieku.

- Tam są moje osobiste rzeczy, niektóre jeszcze nie-rozpakowane. Więc mogę ci zaufać? - spojrzenie Marii zawisło na ustach dziewczyny.

- Potrafię dochować dyskrecji - zapewniła ją Edyta.
- W komodzie, w szufladzie jest klucz do tego pokoju. Weź go i idź tam, ale najpierw upewnij się, czy nikt cię nie widzi. Pod oknem stoją kartony z różnymi rzeczami. Są ponumerowane, żebym wiedziała, co się w nich znajduje.

Maria wzięła głęboki oddech, jakby długi wywód ją zmęczył, i przez chwilę milczała.

- Proszę pani, jeżeli pani źle się czuje, to...
- Nie, nie - seniorka zaprzeczyła i podjęła dalszy ciąg wyjaśnień. - W kartonie numer trzy znajdują się osobiste rzeczy, między nimi płaska paczuszka... wyglądem przypomina jakieś stare broszurki... mam nadzieję, że jeszcze tam jest...

Na twarzy Marii pojawiło się wzruszenie, zadrżały plecy, jakby owiał je zimny powiew powietrza.

- Zamknę okno - poderwała się Edyta.
- Nie trzeba, dzisiaj jest taki piękny dzień. Lato w tym roku jest wyjątkowo niesprzyjające starym ludziom - starsza pani westchnęła. - Usiądź. Wyjmij z kartonu paczuszkę i przynieś mi. To są listy. Nikt nie może cię widzieć, szczególnie ta... Winter! - nazwisko zarządzającej Maria wypowiedziała z niechęcią.

- Będę uważać, proszę się nie obawiać.
- Wiem, że nie będziesz ich czytać - w głosie seniorki zabrzmiało przekonanie co do uczciwości dziewczyny, pewność w powierzeniu jej tak ważnej dla niej misji odszukania listów.
- Pani Mario! - powiedziała z wyrzutem Edyta.
- Na pewno dziwisz się, dlaczego sama tam nie pójde?
- Nieee...
- Jesteś młoda i zwinna, masz lepszy wzrok. I pamiętaj, nikt nie może zobaczyć, że tam wchodzisz. Idź już, dziecko.

Seniorka oparła głowę o oparcie fotelika i zamknęła oczy.

Edyta wyjęła z szuflady komody klucz i powoli otworzyła drzwi, rozglądając się dookoła. Na korytarzu nikogo nie było. Szybko przekręciła klucz w zamku tajemniczego pokoju i weszła do środka.

W środku, oprócz kartonów stojących na podłodze, znajdowała się okazałych rozmiarów szafa, kilka krzeseł i zrolowane dywaniki, przez co pomieszczenie przypominało tymczasowy magazyn różnych rzeczy. Było schludne, czyste, bez śladów kurzu, wyraźnie zadbane.

Edyta bez trudu znalazła paczuszkę i kiedy upewniła się, że może opuścić pokój niezauważona, wyszła na korytarz.

Powierzone jej zadanie intrygowało ją, listy musiały mieć ogromne znaczenie dla staruszki, tym bardziej była ostrożna, aby jej nie zawieść. Nie było ich wiele. Trzymała w dłoni niewielki plik, który przypominał zbiór... chociażby przepisów kucharskich. Tak właśnie wyglądała paczuszka, zawinięta w kolorowy papier jakiegoś czasopisma. Wyglądała tak nieciekawie, niepozornie, że nikt nie pokusiłby się o przegląd... zbioru jakichś wycinków z gazet.

Kiedy wręczyła ją staruszce, ta pogłaskała ją po policzku.

-Dziękuję ci, dziecko. Podaj mi okulary, leżą na szafce, obok lampki - powiedziała seniorka wzruszonym głosem, zaciskając palce na listach.

- Czy ma pani jeszcze jakieś życzenie? - spytała Edyta, podając okulary.

- Wieczorem, po kolacji, przynieś mi kubek gorącego mleka.

Mleka! Edycie zabiło serce. Co za skojarzenie! Całkiem niedawno czytała o kubku gorącego mleka z miodem! Musiało odbić się to na jej twarzy, bo Maria patrzyła na nią skupionym wzrokiem.

- Kucharki zapomniały o kupnie mleka? - zapytała, nieświadoma reakcji dziewczyny.

-Ależ nie! Z przyjemnością pani przyniosę. Ja też lubię mleko, w każdej postaci. Może to być kakao, jogurty, zupy - szybko wyliczała Edyta.

- Tak jak Janka - powiedziała staruszka ze smutkiem na twarzy.

- Tego nie wiem. Jestem tutaj bardzo krótko, nie znałam jej. Czy mogę już wrócić do obowiązków?

- Oczywiście.

Seniorka odprowadzała ją wzrokiem do momentu opuszczenia przez nią pokoju. Potem z wysiłkiem podniosła się i lekko przygarbiona podeszła do drzwi i zamknęła je na klucz.

Nikt nie mógł jej przeszkodzić w tej pełnej emocji chwili, otworzenia pierwszej z brzegu poźółkłej już koperty, z listem sprzed... dziewiętnastu lat! Ze Szwecji.

Palce jej rąk zadrżały, kiedy wyjęła na wpół złożony list i powoli go rozkładała. Przeczytała pierwszą linijkę tak bardzo znanego, kochanego charakteru pisma... córki! Jedyne dziecko.

Kara dla niej musi się wreszcie skończyć. Z dnia na dzień opuszczały ją siły, najbardziej bała się chwilowych zaników pamięci, które z pewnością były wynikiem nie tylko jej podeszłego wieku, chorób i przyjmowania wielu leków, ale wielu stresujących sytuacji i negatywnych emocji. Chociażby odejście Konrada, dawne problemy finansowe, konflikty rodzinne i niespodziewana śmierć jej ulubienicy, Janki.

Rodzina każdemu jest potrzebna, nawet na chwilę, ale najlepiej na całe życie. Tylko że nie każdemu jest to dane. Tak jak zagubionej w życiu Jance.

Z biciem serca zaczęła czytać poszarzały list.

Kochana Mamo

Jestem bardzo o Ciebie niespokojna. Nie odpowiadasz na listy, jak długo jeszcze będziemy dla siebie wrogami? Dlatego, że wyrzuciłam z domu córkę narkomankę, która otoczyła się najgorszym elementem z marginesu społecznego, sprowadzała do domu kryminalistów i razem z nimi okradała nas z pieniędzy i wynosiła cenne rzeczy z mieszkania, by mieć na narkotyki i alkohol? Jak mogliśmy funkcjonować z nią pod jednym dachem?

Tak naprawdę, to wyszła któregoś dnia z mieszkania i już nie wróciła. Miała dopiero osiemnaście lat! Ja tylko jej nie wpuściłam, kiedy pojawiła się przed drzwiami pijana z nieprzytomnym spojrzeniem. Jedynie dałam jej trochę pieniędzy. Nie jestem złą matką, ale zaczęłam leczyć się na ciężką nerwicę.

Stach nie mógł już dłużej tego znieść i wiele razy stawiał ultimatum: albo on, albo Ewa.

Nasza córka znalazła „dom” u meneli, czasem zadzwoniła, żądając pieniędzy na narkotyki, ale byłam bezlitosna. Z córką nie utrzymujemy kontaktów, ona jest dla nas stracona. Sama zepchnęła się na społeczny margines, nie wiem, gdzie przebywa i z czego się utrzymuje.

Wylałam wiele łez, ale nie pozwolę, aby narkomanka rozbiła nasz dom. Wiele razy namawiałam ją na leczenie, ale tylko się śmiała. Dopiero tutaj, w Szwecji, odzyskałam spokój, bo był taki okres w moim życiu, dzięki własnej córce, że zaczęłam wątpić w sens dalszego... życia! Gdyby nie Stanisław... ale nie chcę Mamy martwić.

Mąż namawia mnie, abyśmy do Mamy przyjechali na jakiś czas, ale waham się i boję się naszego spotkania i Twoich wymówek.

Wiem, jak bardzo jesteś przywiązana do zamku, ale tam nie ma dobrych warunków do mieszkania dla osoby w Mamy wieku, jeszcze dużo pracy potrzeba, aby przywrócić go do dawnej świetności. Chcielibyśmy, aby Mama zamieszkała z nami w Szwecji, albo, jeżeli nie zechce, to kupimy Mamie mieszkanie w Grudziądzu.

Co do pieniędzy, które zostawiliśmy Mamie na koncie po remoncie zamku, to prosimy, żeby Mama dysponowała nimi według własnego uznania. My pomnożyliśmy dość szybko pieniądze, które uzyskaliśmy po sprzedaży firmy w Polsce. Stach ma talent do robienia dobrych interesów.

Kochana Mamo! Proszę Cię, odpisz.

Kochająca Teresa i Stanisław Tarnowscy

List wypadł staruszce z rąk na kolana, jakby zabrakło jej sił w drżących dłoniach. Za długo to trwa. Jej życie nie będzie ciągnęło się w nieskończoność, czuła, jak z dnia na dzień ubywa jej sił, jak bardzo chce zobaczyć Teresę i usłyszeć jej głos. Poczuć ściskające ją ręce i zapewne ujrzeć takie same ciepłe łzy sunące po twarzy, jak właśnie teraz u niej.

Tak, bardzo chce jej przyjazdu i szczerą rozmowę o swojej wnuczce. Być może zrozumie rodzinny dramat, z którym Teresa i zięć borykali się zaledwie kilkanaście kilometrów od zamku, w Grudziądzu. Do Szwecji wyjechała mając... pięćdziesiąt dwa lata, więc teraz ma

siedemdziesiąt jeden. Wnuczka... trzydzieści siedem! A ona... dziewięćdziesiąt dwa!

Maria wytarła dłonią mokre policzki. Zaprażyła bliskości rodziny, ale tutaj, w zamku, który kochała i który był od wielu pokoleń w rodzinie Bohdanowiczów. Rodzeństwa nie miała. Najbliższymi osobami byli Teresa i założona przez nią rodzina.

W czasie drugiej wojny światowej zamek zajęli Niemcy, zakładając w nim siedzibę sztabu wojskowego. Miała wtedy szesnaście lat. Ponieważ w budynku nie było drugiego wyjścia w razie nagłej ewakuacji, niemieccy żołnierze wybili właz w podłogę na strychu. Przydał się im dość prędko, widziała, jak uciekali z wieży w popłochu.

Zamek rodzice stracili zaraz po zakończeniu wojny. Zmarli krótko po tym, nękani chorobami i brakiem odpowiednich lekarstw. Dopiero po wielu latach odzyskała go z mężem, Konradem, w opłakanym stanie. Zięć zastawił dobrze prosperującą firmę i zaciągnął kredyt w banku na jego odrestaurowanie. Szybko go spłacił i zostawił sporą kwotę na jej rachunku bankowym. Teresa nie lubiła mieszkać w zamku, wołała nowoczesne wnętrza pełne słońca, wygodę. W końcu pożegnały się i wyjechała z mężem do Szwecji.

Maria ze smutkiem pomyślała o wnuczce.

Rzadko ją widywała i za późno dowiedziała się o jej narkotycznym dramacie. Myślała, że wyjechała z Teresą do Szwecji... wówczas... od jej jedynej córki... być może dostałaby list o zupełnie innej treści...

Kochana Mamo... życie straciło dla mnie sens!

Miała do niej głęboki żal, ale przecież o niczym nie wiedziała. Żal był tak głęboki, że nawet pieniądze, którymi dysponowała po jej wyjeździe z mężem, wręcz parzyły Marię w ręce, ale zamek wymagał dalszych nakładów finansowych. Teresa nawet nie wie, że jej ojciec nie żyje. Nie powiadomiła jej o śmierci Konrada, a słaba i schorowana,

postarała się o miejsce w domu opieki społecznej. Żal i wrogość do córki nawet tam ścisnęły jej serce, dopiero kiedy pojawili się... Bohdanowiczowie, zatęskniła do zamku.

Kazimierz mógłby być jej krewnym... Mógłby... ale nie jest?! Wówczas nie chciała o niczym myśleć, tylko wrócić do własnego domu, otoczona opieką... rodziny! Niechęć do postępu Teresy była wówczas w niej tak silna, że z obojętnością patrzyła jak... okradają ją obcy ludzie, których zresztą zaakceptowała. Są dla niej dobrzy, dbają o jej zdrowie, a ona nie jest sama.

Polubiła Reginę, podczas rozmów widziała w jej oczach niepewność, ostrożność w wypowiedziach, nerwowe wyczekiwanie na nieznane jej przecież fakty z historii rodziny... Bohdanowiczów. Jej, Marii, rodziny.

Chwilami, kiedy poszukuje w pamięci wydarzeń sprzed wielu lat, wydaje się jej, że kiedyś... łączyły ją z obecnymi domownikami jakieś koligacje rodzinne. Ach, ta pamięć starego, blisko stuletniego człowieka!

Maria zdjęła okulary i trzymając je w dłoni, podniosła się z fotelika i przystanęła przy oknie. Było parno, zanosilo się na deszcz. Już wiatr przynosił jego zapach.

W takie dni czasem dzieją się w zamku tajemnicze, niewytłumaczalne wydarzenia. Widziała je, myśląc, że to sztuczki Konrada, który uwielbiał teatr i czasem gościli w zamku aktorów, którzy przebierali się w stroje z epoki, aby sprawić mu przyjemność. Oczywiście, nie żałował na to pieniędzy.

Tylko że jego już nie było, kiedy dama z fontanny, jej praprababka, szła do wieży, szukając swojej tragicznie zmarłej córki. To było w lipcowy, smutny, dżdżysty dzień.

Tę legendę opowiadała jej matka, a Maria nie wierzyła w nią, dopóki sama nie zobaczyła idącej pod parasolką damy, kroczącej jakby w powietrzu, z psem u boku. To była smutna, tragiczna historia, jej córka zginęła, skacząc z tarasu wieży w deszczowy dzień. Podobno z powodu braku

akceptacji rodziny, która nie pozwoliła jej poślubić mężczyzny z niższych sfer.

Plecami seniorki wstrząsnęło łkanie. Współczesna historia jej rodziny też jest nie mniej dramatyczna. U schyłku życia, który nieubłaganie nadchodził, trzeba się spieszyć, żeby połączyć nici, które tak lekko się zrywa.

Maria odeszła od okna i z listem od córki usiadła przy kominku. Założyła okulary i przebiegła wzrokiem adres nadawcy.

Teresa Tarnowska, Szwecja...

Edyta z niecierpliwością czekała końca zmiany. Kiedy wieczorem w kuchni poprosiła o kubek gorącego mleka, na twarzy Wiesi odbiło się zdziwienie. Stała przy kuchence i gotowała właśnie mleko.

- Gdybym wiedziała, że ty też pijesz o tej porze mleko, to bym ugotowała go więcej - powiedziała, zerkając na rondel, w którym już powoli unosił się biały płyn.

- To nie dla mnie. Pani Maria prosiła, żebym jej przyniosła.

-Kiedy?!

- A jakoś, w ciągu dnia. Czy to ważne?

- Nie, skądże, tylko tak pytam. Seniorka zawsze wieczorem pije mleko. Przeważnie zanoszą jej Helena.

Której raczej nie lubi, pomyślała Edyta, przywołując w myśli pełną niechęci minę staruszki.

- Zaniesiesz na tacy? - Wiesia powoli przelewała parujące mleko z rondelka do kubka.

-A po co? Do jednego kubka winda nie jest mi potrzebna.

- Tylko się nie oparz! Uważaj!

- Przecież nie będę biegła po schodach.

W korytarzu na piętrze Edyta spotkała Szymona, który w piżamie, z przewieszonym przez ramię ręcznikiem, stał w progu pokoju Kamili. Rzucił na nią przelotne, obojętne spojrzenie, jak zwykle. Dziewczyny nie widziała, jedynie doszedł do jej uszu strzępek zdania wypowiedziany przez nią pełnym pretensji tonem. A raczej wyszczykany. Chyba brzmiało to jak... „Mam cię dość!”. Wchodząc do pokoju seniorki, kątem oka zauważyła jeszcze, że chłopak oparł się ramieniem o framugę drzwi, nie przerywając monologu Kamili.

Maria leżała już na wersalce, przykryta kołdrą, przy lekko uchylonym oknie. Edyta zatrzymała się na środku, szukając wzrokiem miejsca na kubek z mlekiem. Seniorka skinęła do niej dłonią, aby podeszła bliżej.

- Postaw tutaj, na szafce - wskazała wzrokiem.

- Jest jeszcze gorące - powiedziała z troską Edyta.

- Nie martw się, Edyto. Usiądź obok mnie. Mam do ciebie pewną sprawę... poważną... - Maria podparła się dłońmi i dźwignęła się z wysiłkiem wyżej na poduszkę.

Znowu długo patrzyła na Edytę, jak wówczas, kiedy prosiła ją o przyniesienie listów.

- Edyto, tak krótko cię znam... ale jest w tobie coś, co pozwala mi wierzyć, że mogę ci ufać - nie odrywała od niej uważnego spojrzenia.

- Proszę pani, zapewniam panią, że na pewno nie powtórzę nikomu naszej rozmowy.

- Dziękuję. Muszę wysłać list, ale sama sobie z tym nie poradzę. Nie mam ani papieru, ani koperty... - Maria mówiła bezradnym głosem - ani możliwości... jego dyskretnej wysyłki. Nikt nie może o tym wiedzieć, nawet Urszula.

- Dobrze, ale...

Staruszka zrobiła dłonią ruch oznaczający, żeby jej nie przerywać.

-Najpierw przynieś mi to, o co cię proszę. Potem będziesz musiała pójść z listem na wieś, tam jest najbliższa poczta, i nadać jako priorytet. I pamiętaj, nikomu ani słowa. Nie pytaj dlaczego, przyjdzie czas, to się dowiesz.

- Dobrze, pani Mario, ale będę musiała poprosić panią Winter o przybory do pisania. Na pewno będzie zdziwiona. .. Ach, coś wymyślę. Gorzej będzie z wyjściem za bramę. Wiem, że pani Helena zabrania opuszczania terenu zamku. Gdybym widziała listonosza, to mogłabym go poprosić o...

- Nikomu nie powierzaj mojego listu - seniorka zaniepokoiła się. - Musisz wyjść za bramę, na pewno ci się to uda, dziecko.

Maria patrzyła na Edytę takim błagalnym wzrokiem, że ta powiedziała pewnym siebie głosem:

- Proszę się martwić. Na pewno mi się uda wysłać ten list do... - patrzyła ze współczuciem na bladą twarz staruszki.

- Do Szwecji - ta powiedziała znużonym głosem. -Dobrze, znajdę jakieś wyjście, żeby spełnić pani

prośbę. Czy życzy pani sobie coś jeszcze?

- Już nic. Idź, połóż się spać, na pewno jesteś zmęczona. Jeszcze zamknij okno, chyba nadchodzi burza. I zgaś lampkę.

- A mleko?

-Mam jeszcze na tyle dobry wzrok że - Maria uśmiechnęła się - znajdę je. Dziękuję ci, dziecko, masz dobre serce.

Edyta opuściła pokój Marii, pełna współczucia dla starszej pani, która nie wiedząc czemu, to jej, a nie któremuś z domowników powierzyła sekretne zadanie. Przez cały czas rozmowy staruszka ani razu nie błędziła myślami, wydawać by się mogło, że jest o wiele młodsza, niż wskazywałyby na to jej wygląd, sposób poruszania.

A jeśli to były jakieś jej mrzonki, fantazja i to umysł płatał takie figle?

Edyta odrzuciła takie przypuszczenia. List będzie z pewnością wysłany do osoby, której listy, również w tajemnicy przed innymi, przyniosła Marii po obiedzie.

Na korytarzu paliły się jeszcze kinkiety, na parterze również. Niedługo zamek pogrąży się w ciemności. Edyta pomyślała, że wyłaniająca się z latarką z piwnicy Helena mogłaby przyprawić o zawał serca kogoś nieznającego zwyczajów panujących w zamku.

W progu swojego pokoju poczuła, że ktoś łapie ją za rękaw.

Wiedziała, kto, i odwracając się, przywołała na twarz zmęczoną minę:

- Urszula, dzisiaj nie pogadamy. Idę spać - udała ziewanie, kładąc palce na usta. - Do jutra.

- Jak chcesz. Myślałam, że opowiemy sobie jakieś prywatne historie, ale nie ma pośpiechu. Do jutra - dziewczyna była zawiedziona.

- Jutro też mam drugą zmianę?

- Do końca tygodnia. Cześć.

Edyta zamknęła drzwi na klucz, zapaliła nocną lampkę i sprawdziła, czy w latarce działają jeszcze baterie. Uspokojona rozebrała się, wyjęła spod poduszki pamiętnik Janki i wsunęła się pod kołdrę.

Otworzyła zeszyt i zaczęła czytać od miejsca. bo za kim mogłabym płakać?"

... Bałam się ukończenia osiemnastu lat, bałam się tak bardzo, że ludziłam się, iż nigdy nie dojdę do pełnoletniości z powodu rzekomego błędu w dacie urodzenia, a mianowicie, że z każdym rokiem dane mi będzie pozostać jeszcze następny rok w tym domu, bo... co dalej?!

Brama się przede mną otworzy i wyjdę na... ulicę, wyposażona na odchodne przez panią dyrektor w finansową wyprawkę! Być może pójdę do mieszkania chronionego, ale i tak ciągle sama, bez prawdziwej rodziny.

Nie chciałam o tym myśleć. Zaczęłam dużo czytać, w zasadzie wszystko, co było dostępne w bibliotece. To pomagało mi przenosić się w inny świat, nie ten z telewizji, inny, czasem prawdziwy.

Szkołę, a właściwie półtoraroczny kurs krawiecki, wybrała za mnie dyrektorka. Marzyłam o zawodzie złotnika, w myślach widziałam siebie przy warsztacie złotnika, w dłoniach trzymałam szlachetne kamienie i oprawiałam je w złoto, srebro. Najbardziej podoba mi się rubin, jego krwisty, czerwony kolor przypomina mi o mocniejsze bicie serca, nie wiem, dlaczego. Podobnie niebieska barwa akwamaryny, ta z kolei wywołuje skojarzenia z taflą wody w jeziorze, morskimi falami. Z wolnością, taką, jaką mają w górze ptaki.

Zostałam więc krawcową. Na kursie źle się czułam. Otaczały mnie koleżanki, które miały normalne domy, rodziców. Były ładnie ubrane, wyglądały na szczęśliwe, bo śmiech, łatwość nawiązywania w grupie kontaktów, swoboda, z jaką rozmawiały z panią od nauki, były z pewnością miarą ich normalnego życia w rodzinie.

Jedynie fakt, że byłam jedną z najlepszych uczennic w klasie, dodawał mi wiary w trochę lepsze jutro. Z zawodem w rękę.

I stało się!

24 czerwca 20...

Dzisiaj skończyłam osiemnaście lat. Tego samego dnia wezwana zostałam do gabinetu dyrektorki. Kiedy weszłam, podeszła do mnie i uściskała mnie, jakbym była jej córką. O mało się nie popłakałam. Ona też była wzruszona. Złożyła mi życzenia, zaprosiła do stojącego w rogu biura, zastawionego słodkościami i napojami stolika i oznajmiła, że znalazła mi dobrą pracę i bezpieczny dom. Nazajutrz

miałam wyjechać. Widziała, jak mną to wstrząsnęło, głaskała mnie po włosach, uspokajała. Obiecywała wizyty w tym domu, powoli godziłam się z odejściem na zawsze z miejsca, w którym prawie się urodziłam. Miałam tak ściśnięte gardło, że mówiłam jakimiś półsłówkami, oczy przesłaniała mi mgła siłą wstrzymywanych łez. Bałam się samodzielnego życia. Nie jestem przebojową osobą, jak niektóre moje koleżanki, które opuszczały dom. Bo... jak to jest, mieć 18 lat?

Czy następnego dnia człowiek automatycznie staje się dorosły?

Tak! W moim przypadku tak właśnie miało się stać.

Całą noc nie spałam, przeżywając wyjazd w nieznane miejsce. Owszem, znam okolice Grudziądza, ale w Bohdanach nigdy nie byłam. W zamku!

Na pożegnanie koleżanki podarowały mi naszyjnik z perełek. Byłam wzruszona, nie wiedziałam, że znają moją tajemnicę chęci zostania złotnikiem. Pewnie kiedyś się z tym zdradziłam. Będę go nosiła przez cały dzień. To najpiękniejszy prezent, jaki dostałam. Szczery, niewymuszony, od takich samych dziewczyn jak ja.

25 czerwca 20... Zostałam służącą.

Taksówka przywiozła mnie tutaj do zamku, który od razu wzbudził we mnie nieuzasadniony strach. Może dlatego, że wyglądał tak ponuro, nieprzyjaźnie, wewnątrz wielkie korytarze, pustka, za to panowała tam cisza, której tak brakowało mi przez cały pobyt w tamtym domu. Ta cisza mnie uspokoiła, już nie słyszę wrzasków wychowanków, biegania po pokojach... czekam, co będzie dalej.

Pierwsze noce w zamku przeplakałam, bez powodu. Nareszcie mam tylko dla siebie pokój, wynagrodzenie za

pracę, nikt mną nie pogardza, że jestem znikąd. Trochę się bałam tych ludzi, ich spojrzeń, traktowania, ale moja praca nie wymaga ich obecności, poza podawaniem do stołu, potem wracam do obowiązków. Do służbowego stroju noszę perelki od dziewczyn, trochę nie pasują, ale nie chcę się z nimi rozstawać.

W wir pracy wprowadziła mnie Urszula. Starła się być wobec mnie miła, ale nie widziałam w niej sprzymierzeńca, przyjaciółki. Czasem, kiedy myślała, że tego nie widzę, patrzyła na mnie dziwnym wzrokiem. Dopiero po kilku dniach uświadomiłam sobie, że już gdzieś ją widziałam...

W banku!

Ale to chyba niemożliwe, żeby zrezygnować z pracy w banku i zostać służącą! Byłam kiedyś w tym banku z wychowawczynią i widziałam w kasie podobną do niej osobę. Na pewno się mylę, było to dosyć dawno, pamięć może zawodzić. Nie będę dalej się tym interesować.

10 lipca 20...

Od samego początku, kiedy podjęłam pracę w zamku, najbardziej polubiłam panią Marię, seniorkę. Z wzajemnością! Seniorka często wołała mnie do siebie, jest dla mnie miła, uśmiechnięta, po prostu dobra. Nawet wtedy, kiedy siedzę przy niej i milczymy, czuję jakąś więź, pewnie dlatego, że ona jest taka... bliska, jakbym ją znała od lat.

Czasem ma kłopoty z pamięcią. Pewnego dnia wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do salonu. Przystanęłyśmy przy portrecie damy i pani Maria wzruszona długo patrzyła na tę piękną kobietę. Potem na mnie, jakby nas porównywała ze sobą. Niczemu się nie dziwiłam. Była w takim wieku, że mogła mieć różne skojarzenia, myliły się jej twarze. Po jakimś czasie przyjrzałam się kobiecie na portrecie

i być może zasugerowałam się spojrzeniami pani Marii, ale rzeczywiście, odkryłam podobieństwo między nami. Nikt z właścicieli zamku tego nie zauważył, tylko seniorka. Pewnie dlatego, że na służącą nie zwraca się uwagi.

15 lipca 20...

Tej nocy bardzo się przestraszyłam. Obudził mnie jakiś huk, przez chwilę byłam dezorientowana, dopiero po chwili usłyszałam szum deszczu za oknami i zobaczyłam zygzaki błyskawic. Nie boję się burzy, lubię patrzeć na tak potężne prawa natury, fascynują mnie. Wówczas stoję w oknie i przyglądam się, jak niebo rozdzierają błyskawice, huk grzmotów zagłusza całą przestrzeń, kłaniają się drzewa z rozwichrzonymi, mokrymi koronami.

Kiedy burza ucichła, wyszłam na dziedziniec zamku. Było cicho, rześko, nawet księżyc świecił na niebie, czasem przestłonięty wędrującymi chmurami.

To, co nagle zobaczyłam, wstrząsnęło mną z przerażenia!

Od fontanny ku wieży szła pod parasolką z psem u boku kamienna dama! Pomimo deszczu nie mokła! Stałam jak skamieniała i nie mogłam się ruszyć z miejsca. Widziałam ją wyraźnie, miała na sobie te same szaty, co na fontannie. Wydawało się, że płynie w powietrzu. Nagle odwróciła głowę w moją stronę, ale nie przystanęła! Byłam jak odrętwiała, chciałam uciec, ale coś jakby trzymało mnie w miejscu.

Niespodziewanie i niezrozumiale dla mnie samej spłynął na mnie spokój, odprężenie, bez strachu patrzyłam na oddalającą się damę, która zniknęła za drzwiami wieży.

Wróciłam do pokoju i skarciłam się w duchu. Przecież to było tylko zjawisko wynikające z praw fizyki, o których w ogóle nie miałam pojęcia.

Jednak od tej pory coś zostało w mojej świadomości z nocnego zjawiska. Tylko że wcale nie bałam się tej damy, czułam z nią jakiś dziwny związek, a może to był tylko sentyment do baśni z dzieciństwa o królowych, księżniczkach?

Nikomiu o tym nie powiedziałam. Natomiast moim ulubionym miejscem stał się taras na wieży. On mnie przyciąga, jest w nim coś magicznego. Tam jestem wolna!

20 lipca 20...

Dowiedziałam się od pani Marii o legendzie Bohdanowiczów. Każdy zamek ma swoją legendę. W tej z wieży rzuciła się dziewczyna. Skończyło się jej cierpienie. Nie wiem, czy bym tak... potrafiła.

Edyta wzdrygnęła się. Do komnaty przez otwarte okno ze świstem wdarł się powiew powietrza przesycony wilgocią, niebo rozdarły błyskawice. Potężny grzmot huknął gdzieś bardzo blisko. Wściekły podmuch wiatru otworzył drugą połowę okna, przynosząc ze sobą krople deszczu.

Edyta przerwała czytanie i z trudem, pod naporem wiatru zamknęła okno. Zaciągnęła rolety. A było tak słonecznie, jasno, gorąco. Wróciła do łóżka i wzięła do ręki zeszyt Janki.

... Dni pracy w zamku niczym nie różnią się od siebie. Sprzątam, usługuję właścicielom, rozmawiam z panią Marią, a właściwie to ona ze mną, bo bym nie śmiała narzucać się swoją osobą. Znam swoje miejsce w szeregu. To smutne, ale z każdym dniem czuję się coraz bardziej samotna. Może powinnam odmówić wyjazdu tutaj i pójść do mieszkania chronionego? Nie! Kiedy pomyślę, że dzieliłabym je prawdopodobnie znowu z wychowankami tego domu, to wolę pozostać tutaj.

Któregoś dnia jak zwykle wybrałam się do wieży, na taras. Było już późno, ściemniało się, szłam do góry po krętych schodach, prawie po ciemku.

Już... miałam zrobić krok dalej, na taras, kiedy... oniemiałam! Na tarasie, pod murkiem siedzieli... Szymon i... Urszula... i... całowali się! Byli tak zajęci sobą, że nawet mnie nie tylko nie usłyszeli, ale i nie zauważyli! Dopiero kiedy cofnęłam się i zaczęłam schodzić szybko ze schodów, ktoś za mną wyjrzał. Nie chciałam, żeby wiedzieli, że to ja, więc obeszłam wieżę i wróciłam z tyłu budynku do pokoju. Milczałam, zresztą komu miałabym o tym powiedzieć! W końcu obydwójce są wolni, mogą się spotykać, ale dlaczego po kryjomu?

Ach! To przecież panicz i pokojówka!

Namyśliłam się! Rozmawiałam o tym wydarzeniu z panią Marią. Swoim zwyczajem długo na mnie patrzyła, potem powiedziała coś, w co z początku nie mogłam uwierzyć.

Szymon jest mężem Kamili! Nie bratem! Nie zdradzę się przed nią, że wiem o romansie jej męża.

Nie jestem okrutna. Ale zaczęłam coraz bardziej wątpić w ludzi. Po co te tajemnice? Sam zamek jest wystarczająco tajemniczy, odpychający. Nie mam w zamku żadnej przyjaznej osoby. Pani Maria się nie liczy, jestem poza zasięgiem jej przyjaźni, a raczej więzi bardziej rodzinnych. Ale ją bardzo, bardzo lubię i szanuję.

Edyta z niedowierzaniem, jeszcze raz przeczytała „Szymon jest mężem Kamili"! W zamku kłamstwo goni kłamstwo! Chłopak spotyka się z Urszulą, której seniorka nie dowierza, poddając w wątpliwość jej pochodzenie ze wsi! Co się tu dzieje?! Kim tak naprawdę jest dziewczyna mieszkająca tuż obok, przez ścianę?

Czy Janka naprawdę widziała idącą ku wieży damę z fontanny? Obudzona w nocy grzmotami burzy, być może jeszcze zaspana, w świetle błyskawic zobaczyła coś poru-

szającego się... To niemożliwe, posągi nie chodzą! Chyba że w chorej wyobraźni, ale zapiski Janki są logiczne, jasne, dokładnie opisujące jej niewesołe życie. Czy tamtej nocy miała halucynacje?!

Edyta przypomniała sobie swoje niedawne przeżycia, ale ona widziała postacie niosące skrzynię! Potem schody na piętro rozjaśniły się na chwilę, zaledwie widocznym, bladym blaskiem jakby... światła latarki?!

Uff!

Edyta wróciła do czytania zapisków Janki. 23 lipca 20...

Wieża mnie fascynuje, przyciąga, kusi widokami, przestrzenią, czystością natury. Chciałabym stanąć na balustradzie, rozpostrzeć ramiona i wznieść się wysoko jak ptak! Wolny ptak!

Tak bardzo pragnę poczuć radość, uniesienie, nieograniczoną wolność... chciałabym sunąć w powietrzu, muskana wiatrem, pędem...

Co ja wypisuję! Boję się samej siebie. Jutro napiszę, że to żart, wyobraźnia wyzuta z możliwości ludzkich!

Jutro napiszę więcej.

Nie napisała. Nazajutrz znalezioną ją bez oznak życia, z rozbitą głową, pod ulubioną wieżą.

Edycie ciarki przeszły po plecach. Czyżby Janka popełniła... samobójstwo?!

Cały tekst jej zapisków aż krzyczy rozpaczą, goryczą, poczuciem bycia gorszą, nieradzeniem sobie w nowym środowisku. Brakiem miejsca w życiu.

Zmaganie się z własną osobowością, poczucie ciągłego osamotnienia, nawet wśród ludzi, to niebezpieczne oznaki depresji!

Zamknięta w ponurym zamku służąca. Z kompleksami od urodzenia. Edyta nie widziała jej twarzy. Była zasłonięta białą woalką. Jeżeli Maria porównywała jej urodę z urodą damy na portrecie, musiała być ładną dziewczyną.

Co się stało z jej psychiką w dniu tragicznej śmierci? Lata spędzone w domu dziecka uczyniły z niej zamkniętą w sobie dziewczynę, tęskniącą za lepszym losem, ale czy mogłaby targnąć się na swoje życie?!

A jednak coś w niej pękło! Dwudziestego czwartego lipca!

Edyta odłożyła na bok zeszyt. Była wstrząśnięta tym, co przeczytała. Przypomniła sobie kpiny Urszuli z Reginy, której Janka przypominała damę z fontanny.

Wróciła do fragmentu opisującego schadzki Szymona z Urszulą. Pamiętnik zrobił na niej tak przygnębiające wrażenie, że w obliczu tragedii Janki ich schadzka wydała się jakimś nieważnym epizodem. Nie mniej jednak, koniec wobec niej ze szczerością, dziewczyna nie jest osobą, którą udaje. Według zapisków pracowała prawdopodobnie w banku i być może wcale nie pochodzi ze wsi. Do tego przez cały czas udaje, że nie lubi Szymona, krytykuje go, mówi o nim z lekceważeniem.

Szymon jest mężem Kamili, ale flirtuje z pokojówką! „Mam cię dość”, to usłyszała, wchodząc do Marii.

Perełka, którą znalazła na tarasie w wieży, była z naszyjnika Janki. Czyżby rozerwał się, kiedy przechyliła się przez balustradę... czy stało się to w innych okolicznościach? Może perełki leżą gdzieś w trawie, od czasu kiedy spadła... To straszne.

Edyta schowała zeszyt pod poduszkę i zgasła lampkę. Za oknem błyskało i grzmiało. Lał gęsty deszcz. Upiorna pogoda, z równie przerażającym swoją zawartością pamiętnikiem.

Nagle ogarnął ją lęk przed ciemnością w pokoju. Pod głową miała pamiętnik dziewczyny, jeszcze kilka dni

temu... śpiącej w jej łóżku! Zrobiło się jej nieprzyjemnie. Niedawno dotykała go zmarła dziewczyna. Szybko wyjęła go i schowała w szufladzie szafki.

Nacisnęła włącznik lampki, ale ta nie zapaliła się. Czuła, jak powoli ogarniają ją macki paniki. Włączyła latarkę. Z ulgą, głęboko odetchnęła. Potoczyła snopem światła po komnacie, wydobywając z ciemności znane kształty wyposażenia.

Odłożyła zapaloną latarkę na szafkę i zamknęła oczy, próbując zasnąć. Ale nie po takiej lekturze, przy wtórze szalejącej burzy i trzasku łamiących się gałęzi drzew za oknami.

Przez całą noc przewracała się z boku na bok, czekając świtu. Kiedy nadszedł, podniosła rolety i otworzyła skrzydło okna. Do pomieszczenia wpadło rześkie powietrze, pachnące mokrą ziemią, liśćmi drzew i kwiatami z klombów przed zamkiem, których delikatny aromat przynosił lekki wiatr.

Edyta wróciła do łóżka i sięgnęła po latarkę. Nie paliła się, wyczerpały się baterie. Nawet się tym nie zmartwiła. Będzie pretekst, aby udać się do Heleny i przy okazji poprosić o kopertę i papier dla seniorki.

Wstała o jedenastej i po powrocie z łazienki postanowiła wyjść do parku. Musiała odreagować nocny stres długim spacerem na powietrzu. Założyła dzinsy i cienki sweterek. Do kieszeni włożyła telefon.

Ach! Śniadanie. Pomimo nieprzespanej nocy i emocji wywołanych pamiętnikiem, apetyt jej dopisywał.

Na korytarzu nikogo nie spotkała. Oprócz manekinów w zbrojach, jak co dzień. Gdzieś na piętrze trzaskały drzwi, słychać było szum odkurzacza.

- Dzień dobry - Edyta głośno zawołała, wchodząc do jadalni.

- Siadaj, zaraz przyjdę - głos dochodził z kuchni.

Po chwili zjawiała się Wiesia z tacą zastawioną zestawem śniadaniowym, z której zestawiała na stół kubek z gorącą herbatą i talerzyki z trzema pachnącymi bułeczkami z żółtym serem.

- Dzisiaj nie ma wyboru. Dopiero jadę z panem Stefanem do miasta, po zakupy - oznajmiła i zawróciła z pustą tacą do kuchni.

- W domu też jadam takie śniadania. Nie czekam na nic nadzwyczajnego.

- To dobrze - zawołała z kuchni Wiesia - bo niektórzy mają wymagania.

-Kto?

- Aa... ogrodnik.

- A... Kamila, Szymon?

-Tak prawdę mówiąc, nie obchodzi mnie to -zabrzmiało szorstko.

Edyta postanowiła skorzystać z okazji, że jest sama i głosem, któremu starała się nadać obojętny ton, zapytała:

- Wiesia?

- Mów głośniej, nie mam czasu teraz na rozmowy, nie przyjdę.

- Och, to nic ważnego. Pytam z ciekawości. Kto jest starszy z rodzeństwa? Szymon czy Kamila?

Edyta dłuższą chwilę czekała na odpowiedź, popijając herbatę i zajadając z apetytem bułkę. Zdawać by się mogło, iż dziewczyna nie usłyszała pytania. Po chwili ukazała się w progu kuchni, opierając się o framugę drzwi. Edyta postawiła kubek i patrzyła na nią z niewinną miną.

Mierzyły się wzrokiem.

- Nie wiem. Bliźniakami nie są, więc któreś z nich jest starsze. Wydaje mi się, że Szymon. Dlaczego pytasz?

- Mówiłam już, z ciekawości.

- No to już wiesz - Wiesia patrzyła na nią podejrzliwym wzrokiem. - A co, on ci się podoba?

- Szymon? - wydeła usta Edyta. - Nie jest w moim typie. Ale nie będę ci już zawracać głowy i dziękuję za jak zwykle smaczne śniadanie. Wezmę te dwie bułki ze sobą, tylko dopiję herbatę.

- Weź talerzyk.

- Nie trzeba, bułki zaraz zjem w parku. Edyta spojrzała w okno.

- Rozjaśnia się, może pogoda się poprawi. Tak mi brakuje słońca - westchnęła. - Acha! Nie wiesz, czy Winter jest w biurze?

- Nie wiem... chociaż, wydaje mi się, że jakieś pół godziny temu widziałam ją na korytarzu. Chcesz uzgodnić z nią wolny dzień?

Edyta szybko podchwyciła.

- Uhm. Nawet jutro.

-Ale... wiesz o tym, że Helena raczej... niechętnie zezwala na opuszczanie terenu zamku.

- Wiem i nie rozumiem, dlaczego?

- Pewnie chce mieć pracowników pod ręką.

- Gdyby tutaj działały komórki, to by miała w każdej chwili. Jestem ciekawa, jak Bohdanowiczowie radzą sobie z rozmowami telefonicznymi. Wychodzą albo wyjeżdżają poza teren zamku? Mają laptopy?

We wzroku Wiesi błysnęły złe ogniki.

- Nie wiem - powiedziała chłodno - i nie chcę wiedzieć. Chyba miesiąc wytrzymasz bez telefonu?

-Nie ma sprawy. Zresztą, mogę napisać... ale... jak wysłać list? - Edyta spytała chytrze, mając na myśli wysyłkę listu seniorki.

-Ale masz pomysły! - kucharka prychnęła. - List! Próbuj połączyć się przez komórkę. Mnie się udawało.

-Masz rację. Idę do Heleny, uzgodnić z nią dzień wolny od pracy. Zostawię bułki, nie będę do niej szła ze śniadaniem. Zaraz wrócę.

Edyta wstała i kiedy zamykała za sobą drzwi jadalni, podświadomie czuła, że Wiesia nie ruszyła się z miejsca.

W biurze Helena Winter siedziała przy biurku i coś podliczała na kalkulatorze.

- Dzień dobry - przywitała się Edyta i podeszła do kobiety.

- Słucham - Winter odwróciła głowę w jej stronę i patrzyła wyczekująco.

- Wyczerpały mi się baterie w latarce i chciałam zapytać, czy mogę otrzymać nowe.

- Sprawdzę.

Helena przeszukała szuflady biurka. Nie było.

- Pan Stefan jedzie do miasta. Zaraz mu zlecę zakup. Proszę pytać.

- Dobrze, dziękuję. Chciałam jeszcze poprosić o papier listowy i kopertę.

- Proszę?!

- Koleżanka ma niedługo urodziny i chcę złożyć jej życzenia, a tutaj przecież nie działają telefony.

- No tak...

Winter z wyraźną niechęcią wręczyła Edycie papier i kopertę, zaznaczając, że dopiero przy wyjeździe któregośkolwiek z domowników do miasta będzie możliwa wysyłka listu.

- Bardzo pani dziękuję. I jeszcze jedna sprawa. Chciałabym jutro wziąć wolny dzień.

- Już? Po kilku dniach pracy?

- Jeżeli nie można, to... - Edyta zawiesiła głos.

- Dobrze, jutro. Ale żadnego wyjazdu - Helena uściśliła warunki dnia wolnego od pracy.

- Oczywiście. Dziękuję.

Edyta wychodziła z biura z poczuciem dobrze spełnionej obietnicy danej Marii. Dzień wolny od pracy, co prawda nieplanowany, w zasadzie był jej potrzebny do odreagowa-

nia wszystkich wydarzeń, które nastąpiły od jej przyjazdu do zamku. Z konsumpcji bułek zrezygnowała i przeprosiła Wiesię, że zawraca jej głowę.

Przybory do pisania schowała w swoim pokoju, w szufladzie szafki nocnej obok pamiętnika Janki i wyszła na dziedziniec zamku.

Wokół klombów krzątał się ogrodnik, usuwając połamane przez wieczorny żywioł kwiaty. Spustoszenia wśród róż nie było widać, nadal cieszyły oczy żółtymi i czerwonymi barwami. Tak jak morze parkowej zieleni.

- Dzień dobry panu - rzuciła Edyta, mijając go.

Mruknął coś pod nosem, co przypominało „dobry, dobry”, nie zwracając na nią uwagi. Obok klombów leżała mała sterta usuniętych chwastów, wymieszanych z wyrwanymi, zniszczonymi kwiatami z jeszcze kolorowym, niezwiędniętym kwiatostanem.

Edyta przechodząc obok fontanny, w której pływały strącone z drzew liście, spojrzała z ciekawością na kamienną postać. Nic w niej nadzwyczajnego, ale w jakiś sposób na nią oddziaływała. Przyciągała piękną formą? Miała w sobie coś magicznego? Z pewnością mroczna legenda dodawała jej pewnego rodzaju mistycyzmu... budziła lęk z powodu zasłyszanych opowieści o damie przechadzającej się w deszczowe noce.

Edyta spojrzała na wieżę. Wysoka... z małymi okienkami. .. z ponurą historią. Pod nią murawa, w której..; być może leżą perełki z naszyjnika Janki.

Przyspieszyła kroku, ale po chwili zreflektowała się. To ma wyglądać na spacer dla ewentualnych, postronnych obserwatorów, a nie wizja lokalna miejsca... samobójczej śmierci?!

Przez chwilę kluczyła parkowymi alejkami, po czym udała się na stronę wieży, niewidoczną od frontu zamku. Pochyliła się nad trawą i wypatrywała srebrnych kuleczek. Znalazła! Kilka lśniących, wymytych przez deszcz perełek.

Schowała je do kieszeni dzinsów i udała się w głąb parku. Ławki jeszcze nie wyschły, pozostał spacer, myszkowanie tam, gdzie jeszcze nie była, czyli zakątek, gdzie znajduje się... cmentarzyk... Nie! Dzisiaj nie!

Edyta wyjęła telefon z kieszeni i próbowała połączyć się najpierw z matką, potem z Olą. Brak zasięgu.

Zniechęcona, zaniechała dalszych prób, przeszła kilka razy alejki i wróciła do swojego pokoju. Przybory do pisania postanowiła w dyskretny sposób przemycić Marii podczas pory obiadowej.

Ta nadeszła niebawem.

Do pokoju wsunęła głowę Urszula.

- Przejmujesz zmianę - zawołała i wycofała się, zanim Edyta zdążyła ją o cokolwiek zapytać.

Obiad został podany w rutynowy sposób. Winda. Salon. Nakrycie białym obrusem stołu i rozstawienie talerzy z daniami.

Do obiadu zeszli się wszyscy Bohdanowiczowie, Wiktor - mistrz ceremonii i Helena Winter.

- Pani Maria nie przyjdzie do salonu? - Edyta zwróciła się do Heleny.

- Nie, proszę podać posiłek seniorce do pokoju. Lepiej być nie mogło.

Edyta wróciła do swojego pokoju, papier i kopertę schowała w kieszeni białego fartuszka, po czym na tacy zaniósła zestaw obiadowy staruszce.

Maria siedziała w fotelu przy ciepłym kominku i przeglądała jakieś czasopismo. Na widok wchodzącej Edyty na jej twarzy pojawił się ciepły uśmiech.

- Nie zjem tego wszystkiego - pokiwała głową, patrząc na zastawioną tacę. - To jest porcja dla młodego, zdrowego człowieka.

- Proszę zjeść tyle, ile pani może. Po resztę przyjdę później.

Edyta rozstawiła talerze na ławie i z tajemniczą miną zwróciła się do seniorki:

-Pani Mario, obiecałam pani, że przyniosę papier listowy i kopertę. Proszę - wyjęła przybory do pisania z kieszeni fartuszka i podała seniorce.

- Wiedziałam, Edyto, że mogę na tobie polegać. Ten list jest dla mnie bardzo ważny. Zbyt późno dotarło do mnie, że już dawno powinnam to zrobić - w głosie staruszki zabrzmiał głęboki smutek. - Kiedy go napiszę, wyślesz go? - tym razem Maria z niepokojem patrzyła na dziewczynę.

- Na pewno znajdę jakiś sposób, żeby pójść na pocztę. Proszę się nie martwić. Ma pani czym napisać ten list? Długopis albo pióro? - zainteresowała się Edyta. - Ja zawsze mam w torebce coś do pisania. Mogę pani przynieść.

- Dziękuję ci, dziecko, nie trzeba. Mam. Jesteś tak samo dobra, jak Janka. Żałuję, że tak późno tu się zjawiała - Maria wsunęła papier do koperty i położyła ją na kolanach.

Edyta ze współczuciem patrzyła na staruszkę. Może i ona czuje się samotna w tym starym zamku? Tak jak Janka?

Starsza pani zacisnęła drgające usta. Oczy zaszklily się. Ręce oparte na poręczach fotela poruszyły się niespokojnie, ramiona zdrząły.

-Pani Mario... obiad stygnie - Edyta postanowiła zmienić przykry temat. - Pomogę pani podejść do ławy, proszę mnie chwycić pod ramię.

- Nie jestem jeszcze tak słaba, ale dziękuję ci za troskę. Możesz już wrócić do obowiązków, dam sobie radę - Maria wstała z fotela. - Wiem, jaka jest ta Winter, pewnie już sprawdza, gdzie zniknęłaś. Powiadomię cię, kiedy list będzie gotowy. Chodź, niech cię uściskam. Bardzo cię polubiłam.

Staruszka wyciągnęła do Edyty ręce. Serdecznie się uściskały, jak przyjaciółki.

Edyta wzruszyła się. Nie spodziewała się tak ciepłego gestu ze strony właścicielki zamku.

- Pani Mario, ja też panią bardzo lubię - wykrztusiła z siebie cicho. - W każdej chwili może mnie pani zawołać.

- Dziękuję ci, Edyto, dobrze, że tutaj trafiłaś. A teraz coś zjem - seniorka zdobyła się na figlarną minę i usiadła przy ławie, przysuwając talerz bliżej jej brzegu. - A ty idź teraz do jadalni. Praca nie zajac, nie ucieknie.

-Jeszcze mam pytanie, czy wieczorem mam przynieść pani kubek mleka?

Maria pokręciła przecząco głową.

- Dzisiaj nie, nie mam ochoty na mleko.

- To życzę smacznego.

Edyta wyszła z pomieszczenia, jak najciszej zamykając za sobą drzwi.

Obiad w jadalni przeszedł w miłej atmosferze. Ogrodnik poprosił o powtórzenie porcji zupy, Urszula zachwalała mizerię w śmietanie, nawet Helena, wchodząc po owoce, życzyła smacznego z ledwo dostrzegalnym cieniem uśmiechu w kącikach warg.

W pewnej chwili Wiesia swoim pytaniem skierowanym do Edyty wywołała zdziwienie w oczach Urszuli.

-I co, masz jutro wolny dzień?

-Tak, Helena zgodziła się, szkoda, że nie można opuszczać terenu zamku. Mogłabym przejść się na wieś, pochodzić po lesie, ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. To będzie cały dzień lenistwa, po sam czubek głowy - Edyta zrobiła ruch ręką na czole.

Kątem oka widziała znieruchomiałą, wpatrzoną w nią z widelcem w dłoni Urszulę, ale z udanym zapałem wróciła do pałaszowania drugiego dania.

- Wzięłaś wolny dzień? Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? - w głosie dziewczyny zabrzmiało wyraźne rozdrażnienie.

Edyta zrobiła skruszoną minę.

- Kiedy? Dopiero teraz się widzimy. Nie miałam okazji ci powiedzieć. Obudziłam się niewyspana, z bólem głowy i postanowiłam wziąć wolny dzień. A przerwa w pracy jest mi potrzebna. Nigdy nie pracowałam, czuję się zmęczona. No, nie bądź taka zła - powiedziała pojednawczo, przymilnie się do niej uśmiechając.

Urszula zaprzeczyła:

-Nie jestem zła, ale zaskoczyłaś mnie. Trudno, będę musiała zrezygnować ze swoich planów. Chciałam pojechać z Wiesią po resztę zakupów do miasta i przy okazji zadzwonić do domu.

-Byłabym zapomniała! - zawołała z niepokojem Edyta. - Baterie do latarki! Kupił pan?! - zwróciła się do ogrodnika.

- Cholera! - ten zaklął i podrapał się w głowę. - Zapomniałem. Zobaczą w moim magazynku, czasem coś tam chowam, ale nie jestem pewien, czy znajdę baterie. Jak znajdę, przyniosę pani.

- Dobrze, dziękuję. W najgorszym razie będę je miała jutro. Wiesia, nie zapomnij kupić, chodzenie tutaj po ciemku nie należy do przyjemności.

- A po co pani chodzi? - burknął Stefan. -Ostatnio widziałam... - Edyta ugryzła się

w język. - Och, nieważne, to było którejś nocy... szłam po ciemku do łazienki i przestraszyłam się... - nagle nabrała odwagi, a właściwie przeświadczenia, aby uchylić rąbka tego, co widziała owej przerażającej nocy - jakichś ludzi wchodzących do zamku.

-O czym pani mówi? - zainteresował się ogrodnik, Wiesi stężały rysy twarzy, a Urszula wbiła w nią spojrzenie.

-O ludziach niosących jakiś mebel. I to wszystko - Edyta wzruszyła ramionami i dokończyła pałaszowanie z apetytem porcji kurczaka.

Nie widziała szybkich spojrzeń, które biesiadnicy wymienili między sobą.

Stefan głośno roześmiał się.

- A tych ludzi... to widziała pani... tak wyraźnie, po ciemku? Pod drzwiami łazienki? Może to były manekiny i ich cienie?

Edyta uznała, że za bardzo brnie w to dziwne wydarzenie i odsuwając talerz, skwapliwie potwierdziła:

-Oczywiście, że to były manekiny. Chciałam przestraszyć Urszulę, ale ona nie da się tak łatwo nabrać.

-A co z tym meblem? - uśmiechnął się ogrodnik, wymieniając spojrzenie z Wiesią.

-Nic. Strach ma wielkie oczy. Wróciłam do pokoju i do rana spałam jak we własnym domu.

Wiesia wstała i zbierając talerze ze stołu, potwierdziła:

- Edyta mówiła mi o tym. To prawda, tych zbroi rycerskich na manekinach można się po ciemku przestraszyć. Wyglądają jak ukryci w nich ludzie.

- No i wyjaśniło się. Przepraszam, ale ja już muszę wracać do swoich obowiązków.

Edyta podziękowała jak zwykle za smaczne dania i wyszła z jadalni. Popołudniowa zmiana, wypełniona tymi samymi czynnościami, powoli stawała się rutyną, niczym wieloletnia praca w fabryce czy biurze, i kończyła się o określonej w umowie godzinie.

Edyta przez cały wieczór starała się uniknąć spotkania z Urszulą, najpierw musiała wszystko sobie poukładać, jak w pudełku.

Jednak żeby nie wzbudzać u niej niepotrzebnych podejrzeń o unikanie spotkań po pracy, zapukała do niej i nacisnęła klamkę. Drzwi nie ustąpiły, zapukała jeszcze raz. Cisza. Pewnie już śpi.

- Jestem już! - nagle usłyszała jej głos.

Urszula zamykała za sobą drzwi wejściowe zamku i z pogodną miną szła korytarzem, po drodze stukając palcem dłoni w przyłbice rycerzy.

- Gdzie byłaś?

- Przejść się po parku. Jest tam tak pięknie o tej porze, jakie cudowne powietrze - mówiła rozmarzona, przeciągając kocim ruchem ręki po włosach. - Wejdiesz do mnie? - zaproponowała, lecz wyraźnie liczyła na odmowę.

Edyta, zadowolona, szybko to wychwyciła.

- Chciałam tylko przeprosić, że nie uprzedziłam cię o jutrzejszym dniu, ale tak prawdę mówiąc, to wyszło to trochę niespodziewanie.

- Nie ma o czym mówić. Tutaj i tak przez cały dzień jesteś na miejscu.

- No właśnie. To dobranoc.

- Na razie.

Leżąc już w łóżku, Edyta próbowała posklejać wydarzenia, które budziły w niej niepokój lub chociażby zastanowienie od przyjazdu do zamku. Nie wszystkie wypadały na tyle korzystnie, aby od razu je skreślić, przejść nad nimi do porządku dziennego albo je w jakiś racjonalny sposób wytłumaczyć. Chociażby poufałe rozmowy Heleny z właścicielami posiadłości, romans Urszuli z chłopakiem, o którym mówiła, że jest bratem Kamili, tajemnicza śmierć Janki, niesamowite przechadzki damy z fontanny, czy wreszcie prośba seniorka o dyskrecję w sprawie listu, który musi wysłać. Do tego ludzie ze skrzynią!

Jak bardzo Janka chroniła swoje zapiski, że zadała sobie tyle trudu, by przyklejać je do rolety! Musiała pisać pod wpływem różnych stanów emocjonalnych, bo miejscami pismo było nieregularne, koślawe, jakby pisała w pośpiechu, a miejscami równe, proste, co świadczyło o spokoju i pogodzie ducha.

Ciekawe, czy za każdym razem po naniesieniu na papier swoich przeżyć przyklejała zeszyt do rolety? Chyba tak, bo jest kilka miejsc po taśmie klejącej.

Edyta zgasiła lampkę i zakryła się po czubek głowy kołdrą. Mury zamkowe były znacznej grubości, nie przepuszczały ciepła tak, jak ściany w blokach na osiedlu.

Zamknęła oczy i zwinęła się w kłębek, jak w domu. Zanim zasnęła, słyszała jeszcze wydobywające się z głośnika jakieś szumy, to zanikające, to wzmagające się, coś zachrypiało. Przypomniała sobie ostrzeżenia Urszuli, że to zdarza się w pochmurne dni. Zacisnęła powieki. Spać!

Coś musnęło jej włosy, poczuła chłodny powiew obok łóżka, który po chwili rozpułynał się w powietrzu, ale zasypiając, nie zwróciła na to uwagi. Pewnie to mucha przeleciała blisko włosów, a zimno w pokoju nie dziwiło jej, to wina starych, wiekowych, grubych murów.

Tylko że nie słyszała brzęczenia muchy.

Rozdział 4

Statek szkoleniowy „Widnokreśli” zawinął do portu w Gdyni, gdzie na studentów drugiego roku Wydziału Nawigacji Akademii Morskiej czekały rodziny, przyjaciele i turyści oczarowani pięknym trzymasztowcem.

Praktyki szkolne umożliwiały studentom zdobywanie niezbędnej wiedzy praktycznej z zakresu żeglugi morskiej, zdarzało się, że w warunkach jak dla twardych wilków morskich, a statek przez miesiąc był dla nich drugim domem. Umożliwiały zdobycie pierwszych „szlifów” na morzu i pozwalały przełożyć wiedzę zdobytą podczas wykładów na uczelni na działanie praktyczne.

Odbywanie praktyki na statku to również przystosowanie się do działania w zespole, okazja do zwiedzania ciekawych portów, niektórych tak egzotycznych, że na długo pozostają w pamięci.

To również przygoda, piękne widoki, słońce, plaże, poznanie ciekawych ludzi.

Przygoda, owocująca praktycznym poznaniem zawodu marynarza, a po miesiącu studenci z radością wracali do domu, stęsknieni za bliskimi. I stałym lądem pod stopami.

Z trapu lekkim krokiem, z workiem marynarskim na ramieniu, zszedł opalony, ciemnowłosy chłopak, wypatrując kogoś w tłumie ludzi na nabrzeżu.

Wmieszkał się między nich, przeszedł kilkanaście metrów i przystanął niezdecydowany, w którą stronę iść dalej. Na jego twarzy pojawiła się irytacja, cisnął worek na kamienne płyty koło nóg i czekał, coraz bardziej zły i znużony, ale osoba, której oczekiwał, nie pojawiała się.

Dzień był słoneczny, gorący i chociaż lekka bryza od morza chłodziła rozgrzane ciało, to trudno było stać w nagrzanym miejscu. Chłopak rozejrzał się dookoła,

szukając cienia, ale wszelkie osłonięte miejsca opanowali turyści. Mijały długie chwile.

Wreszcie odetchnął z ulgą, kiedy zobaczył, jak zbliża się ku niemu z szerokim uśmiechem na twarzy długowłosa blondynka, trzymając w dłoni jakiś przedmiot i potrząsając nim. Na jej ramieniu wisiała na długim pasku torebka.

- Nareszcie jesteś! Pewnie coś cię jak zwykle zatrzymało! - rzucił z sarkazmem.

-Cześć, Bartek. Przepraszam cię, ale naprawdę nie mogłam przyjść wcześniej, wiesz, jaka jestem-dziewczyna zarzuciła ręce na jego szyję i pocałowała w usta. - Zawsze wydaje mi się, że jeszcze mam dużo czasu, a potem spieszę się i mogę mieć stłuczkę.

Dziewczyna paplała, nie zwracając uwagi na zniecierpliwienie chłopaka.

- W porządku. Po miesiącu bez ciebie, lądu pod nogami i ciągle w tym samym towarzystwie chce się wrócić do kogoś, kto czeka - przygarnął ją do siebie. - A ty, Marto, czekałaś? - powiedział jej cicho do ucha.

Dziewczyna delikatnie wysunęła się z jego objęć, wyraźnie zakłopotana, omijając jego wzrok. Starła się nie patrzeć mu w oczy, patrzyła na statek, jakby ten w tym momencie stanowił dla niej najważniejszy punkt spotkania.

Pierwsza chwila, wydawało się szczerego powitania, minęła bezpowrotnie.

Bartek wyraźnie to czuł. Marta przed jego wypłynięciem w rejs długo nie mogła się z nim rozstać, przeciągała spotkanie, była taka słodka, czuła. A teraz była spłoszona, starła się nienaturalną swobodą ożywić spotkanie.

- Byłabym je schowała do torebki. Proszę, to kluczyki do twojej Hondy. Samochód jest zatankowany, dojedziesz do Grudziądza - Marta wręczyła mu kluczyki z miną, jakby pozbywała się niechcianego, niemilego balastu.

Dopiero teraz spojrzała na chłopaka, wolna od rzeczy, która w jakiś sposób do niedawna ich łączyła.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz? Przecież jestem - spytała, zaglądając mu w oczy. - No, rozchmurz się, nie lubię, jak tak na mnie patrzysz - przyłożyła na chwilę głowę do jego ramienia i zaraz cofnęła.

Zacząła obojętnie przypatrywać się ludziom przemierzającym się po nabrzeżu.

- Marta, co się dzieje? Stało się coś? Nie poznaję cię, zmieniłaś się przez ten miesiąc, od kiedy tu, w tym miejscu żegnaliśmy się przed moim wypłynięciem. Nie wiem

o czymś? Nie jestem w temacie?

Bartek chwycił ją za ramiona i zmusił, aby stanęła naprzeciw niego.

- Nic się nie stało. Nie rozumiem, o co ci chodzi - dziewczyna z kokieterijnym spojrzeniem pochyliła na bok głowę.

- Chciałbym w to uwierzyć. Długo mnie nie było, stęskniłem się za tobą.

- Właśnie. Muszę się do ciebie na nowo przyzwyczać - zaśmiała się sztucznie. - Na pewno będzie między nami jak dawniej. Chodźmy już na parking - wysunęła się z jego ramion.

Bartek zarzucił worek na ramię i ruszyli w stronę wyjścia z portu, przeciskając się między poruszającymi się w dwie strony ludźmi.

Marta wcisnęła dłoń w rękę chłopaka, ale nie było w tym nic intymnego. Od razu to wyczuł. Brakowało mu delikatnego zaciskania jej palców, przytulania się do jego ramienia i łaskotania go w policzek, jej długich, lśniących w promieniach słońca włosów, kiedy wiatr podrywał je i ciskał nimi we wszystkie strony.

To był zły znak. W zasadzie nie powinien być zaskoczony jej chłodem, maskowanym kokieterią. Od jakiegoś czasu relacje między nimi psuły się; spotkania bywały krótsze, cho-

ciaż nie mniej czułe, przestali zwierzać się sobie z marzeń po ukończeniu studiów, jakby wszystko już było ułożone, jasne, oczywiście zawsze razem, we dwoje. Wynajmował w Gdyni, w pobliżu uczelni mieszkanie, więc przez cały byli nieskrępowani, prawie mieszkali ze sobą... może... powinni odpocząć od siebie? I Marta próbuje mu to przekazać?

Szli obok siebie w milczeniu. Płatny parking już był w zasięgu wzroku.

-Dzień dobry panu. Odbieramy samochód, na dłużej - Marta podeszła do okienka budki parkingowego, podała swoje dane personalne i numer rejestracyjny samochodu.

-W porządku - mężczyzna zajrzał do grubej księgi. - Można jechać. Opłacone.

Kiedy podeszli do samochodu, dziewczyna ociągała się z wsiadaniem.

-Usiądź. Podrzucę cię do domu - Bartek otworzył przed nią drzwiczki.

- Wiesz, przejdę się. Mieszkam w pobliżu, a chciałabym jeszcze pochodzić po marketach. Muszę kupić sobie coś nowego na wyjazd.

-Na wyjazd?! - Bartek zeszywniał zaskoczony. - Dopiero wróciłem, a ty mówisz o jakimś wyjeździe?!

-Wsiądźmy i porozmawiajmy. Nie będę opowiadała wszystkim dookoła o swoich planach.

- Tu nikogo nie ma.

Kiedy zajęli miejsca w samochodzie, Bartek spokojnie zapytał:

- Kiedy się zobaczymy?

-Wyjeżdżam do ciotki do Zakopanego, więc... jak wrócę. Ale przez cały czas będziemy w kontakcie.

-Pogadamy sobie przez telefon - rzucił chłopak z ironią. - A ja myślałem, że do nowego roku akademickiego spędzimy ten czas razem, w Chorwacji albo tam, gdzie będziesz chciała. A ty wybrałaś piękne widoki górskie u ciotki.

- Bartek...

- Co, Bartek?! Kiedy wyjeżdżasz? Martę pytanie zaskoczyło.

Otworzyła usta, przez chwilę wyglądało to tak, jakby namyślała się, co odpowiedzieć, po czym wyjąkała:

- No... jestem już... prawie spakowana... pojutrze... aż do końca września. Przyjadę dopiero na rozpoczęcie roku na uniwerku.

Mrugała przy tym oczami, jakby ta czynność pomagała jej sprecyzować dokładną odpowiedź.

- Chciałem zarezerwować miejsca w hotelu, w Warszawie, moglibyśmy trochę się powłóczyć wieczorami... ale... jeżeli...

- Uhm... a na jak długo?

- Przecież wyjeżdżasz. Zmieszła się.

- Gdybyś wcześniej...

Bartek przerwał jej zniecierpliwiony.

- Marta! Nie kręć! Jedź do tego Zakopanego i zastanów się, kiedy naprawdę wracasz. A może ta ciotka w ogóle nie istnieje? - zacisnął dłoń na kierownicy, patrząc przed siebie.

- Bartek, nie mów w taki sposób do mnie. Już dawno chciałam tam jechać, ale ze względu na ciebie odkładałam wyjazd. Nie mogę jechać z tobą, moja ciotka ma staroświeckie zasady. To tylko niecałe dwa miesiące - położyła rękę na jego dłoni.

- W porządku - objął ją za szyję. - Jeśli chcesz się ze mną zobaczyć przed wyjazdem, to do Grudziądza jest bliżej niż do Zakopanego. Masz dobrej marki samochód.

Zapalił silnik.

- Podwiozę cię do domu.

- Naprawdę dziękuję. Muszę kupić sobie nowe ciuszki. Musiałbyś co ulicę się zatrzymywać, a z wolnym miejscem do zaparkowania zawsze są problemy. Wiesz o tym

doskonale. Do zobaczenia - Marta przysunęła się do niego i mocno pocałowała w usta.

Bartek przytrzymał ją i powiedział:

- Dziękuję ci za opiekę nad samochodem. Musiałbym wracać do domu autobusem.

- Nie ma sprawy.

-Zostań jeszcze chwilę. Zgaszę silnik i po prostu posiedzimy obok siebie - szepnął jej do ucha.

- Musimy zwolnić miejsce, parkingowy do nas idzie. Bartek pokiwał głową.

- Ale ma wycucie.

- Bartek... do zobaczenia... ja też za tobą tęskniłam.

Marta zabrała torebkę, wyszła z hondy i kręcąc biodrami, powoli ruszyła w stronę bramy wyjazdowej z parkingu. Bartek długo za nią patrzył, wiedząc, że następnego spotkania już nie będzie. Szkoda, że wymyśliła ciotkę, zamiast w partnerski, szczerzy sposób rozstać się, obojętnie z jakiego powodu. Ale bez kłamstwa, prosto w oczy.

Wyjechał z parkingu w podłym nastroju. Jeszcze czuł zapach jej perfum, spojrzał, czy nie zostawiła jakiegoś drobiazgu na siedzeniu albo w skrytce, miałby pretekst, żeby do niej pojechać i zaraz uśmiechnął się gorzko. Z pewnością zadbała o każdy szczegół, zabrała z samochodu wszystko, co ją z nim łączyło. Po dwóch latach związku.

Marta była dla niego ostoją ciepła, spokoju, odwzajemnionego uczucia. Dla tej długonogiej blondynki z cudownym uśmiechem wiele razy rezygnował z własnych planów spędzenia z nią czasu, kiedy widział cień niezadowolenia na jej twarzy. Wówczas ulegał i nudził się na jakiejś marnych lotów komedii w kinie albo w towarzystwie jej przyjaciółek paplających o modzie, swoich chłopakach, czyli kto, z kim, gdzie i kiedy.

Na statku, w niewygodnej koi zasypiał codziennie z myślą, że już niedługo znowu się spotkają i jak to bywało, Marta zasypie go opowieścią, jak czekała, tęskniła...

Ogarnęła go mieszanina żalu i goryczy. To nie tak powinno się skończyć. Czyżby zastąpiła go nową miłością? Wszystko na to wskazywało. Chłód, wykręty, być może nieistniejąca ciotka. Chociaż, dobrze, że nie ma złudzeń co do trwałości związku, bo nie zniósłby zerwania przez telefon. To byłoby z jej strony nie tylko tchórzostwo, ale i nieliczenie się z jego uczuciami, przekreślenie lekką ręką czasu spędzonego razem, obietnic bycia na dobre i złe.

W drodze do Grudziądza to dociskał pedał gazu, to zwalniał, karcąc się w duchu za piracką jazdę. W końcu zatrzymał się w zatoczce pod lasem, wysiadł z samochodu i usiadł na drewnianej ławce, przy stole zbitym z takich samych desek. Leśne powietrze i wszechobecna zieleń drzew wpływały kojąco na rozedrgane emocje, wyciszały, pozwalały chociaż na chwilę nie myśleć o niej, dziewczynie, która... Na pewno już jest z innym!

Odjechał, kiedy przy sąsiednim stole usiadło hałaśliwe towarzystwo i zburzyło ciszę lasu, w którą nawet wkomponował się szum przejeżdżających samochodów.

Zrezygnował z najkrótszej trasy wiodącej do Grudziądza. Postanowił jechać przez Bohdany, tam ruch pojazdów był niewielki, a od strony szosy mógł zobaczyć zamek, który niestety nie był udostępniony do zwiedzania przez turystów.

Włączył radio z jakąś muzyką. Nie był wielkim miłośnikiem ogólnie pojętej muzyki, radio w samochodzie bardziej zastępowało obecność drugiej osoby niż dostarczało przyjemności słuchania.

Dojeżdżając do wsi, widział zaledwie kontury zamku i górującą nad nim wieżę. Podjechał pod żelazną bramę i wysiadł z samochodu. Przez kraty widział krótko przystrzyżony żywopłot, fragment parku i alejkę prowadzącą w głąb posiadłości, ku budowli.

Wokół żywej duszy.

Nagle z cienia drzew wyszła dziewczyna w krótkich spodenkach i kolorowej bluzce. Za chwilę jej drobna postać zniknie między drzewami, a mógłby przecież zapytać...

O co? Błyskawicznie podjął decyzję. Nieważne, o co zapyta, po prostu musi z nią chociaż przez chwilę porozmawiać!

- Proszę pani! - zawołał.

Dziewczyna, zatrzymała się, rozglądając się wokół siebie.

- Tutaj! Stoję przed bramą!

Patrzył na nią z nadzieją, że podejdzie. Widział jej niezdecydowanie, kiedy zrobiła krok w stronę żywopłotu i przystanąła.

- Proszę podejść. Chcę tylko o coś zapytać.

Dziewczyna przesłaniając dłonią oczy przed promieniami słońca, powoli podeszła do żywopłotu, zasłaniającego ją do połowy. Od nieznajomego dzieliło ją kilka metrów.

-Dzień dobry pani. Przepraszam za natręctwo, ale chciałbym dowiedzieć się, czy ten zamek można zwiedzać? - patrzył na nią przez kraty, doskonale wiedząc, jaką otrzyma odpowiedź. Czuł przy tym niesmak, że próbuje w ten sposób odreagować stres, który ścisnął gardło i który jeszcze nie odpuszczał po wyjeździe z Gdyni.

- Nie. To prywatny teren - powiedziała dziewczyna i odwróciła się, zamierzając odejść.

- Proszę nie odchodzić. Czy pani tu mieszka? Bo... pomyślałem, że... mógłbym kiedyś... za zgodą pani lub... rodziców, obejrzeć z bliska ten piękny zabytek. Interesują mnie takie budowle.

To było niegodne, poniżej jego dobrego smaku, nie tak został wychowany, by prowadzić podobną konwersację z nieznajomymi dziewczynami. Nie musiał uciekać się do podstępów, zmyślenia historyjek, był poważnym facetem.

- Ja tu pracuję. Co jeszcze pana interesuje? - padło suche, wyraźnie niecierpliwe pytanie.

- Przepraszam, nie wiedziałem, że właściciele zatrudniają. ..
- Służbę?
- Tak bym tego nie nazwał, raczej pracowników.
- Więc pan już wszystko wie. Do widzenia. Chłopak chwycił się ostatniej deski ratunku. Nie chciał jeszcze odejść, dziewczyna podobała mu się. Nie, nie tak jak Marta. Ale podczas tej krótkiej wymiany zdań poczuł, jak spływa na niego spokój, ustępuje ten cholerny ucisk w klatce piersiowej, gardle i znów oddychał pełną piersią.
- Przepraszam, ale nie przedstawiłem się. Jestem Bartek. Wyciągnął rękę przez kratę i po chwili konsternacji oboje uśmiechnęli się.
- Pani nie przeskoczy żywopłotu, a ja mam za krótką rękę. Jak pani ma na imię? To chyba może pani powiedzieć?
- Mogłabym powiedzieć, że nie zawieram znajomości przez kratę... - niespodziewanie roześmiała się - ale... jestem Edyta. I to jest koniec naszej rozmowy - to już zabrzmiało kategorycznie.
- Pewnie musisz już wrócić do pracy? Szkoda - Bartek był zawiedziony. - A może umówimy się? Przyjadę tu jutro i przeskoczę przez mur, jeżeli nie można wejść na teren zamku.
- I narobisz mi kłopotu. Nie, nie przyjeżdżaj.
- Edyta nie była zainteresowana nową znajomością. Niedawno rozstała się z chłopakiem i nie chciała popełnić błędu, umawiając się z kimś, kogo nawet widzi niezbyt wyraźnie, przez kraty bramy. Spojrzała ostentacyjnie gdzieś w przestrzeń, ponad jego głowę.
- Powiedz, że bym już sobie poszedł, chociaż wcale nie chcę.
- Do widzenia.
- Przyjadę tu jutro o tej samej porze! - zawołał Bartek za oddalającą się dziewczyną.

Nie odpowiedziała. Odeszła od żywopłotu i zniknęła między drzewami.

Wsiadł do samochodu i z mocnym postanowieniem powrotu nazajutrz wyjechał na szosę prowadzącą do miasta. Tym razem muzyka płynąca z radia kołysała, napawała radością a niespodziewane spotkanie z dziewczyną pozwalało z optymizmem patrzeć w przyszłość, na następny dzień. Bez Marty. Być może z Edytą. Ale to nie tylko od niego zależy. Być może do jutra wywietrzeje mu z głowy pomysł przyjazdu do Bohdan. Dziewczyna nie była zbyt miła, a jego propozycję spotkania przyjęła obojętnie. Chłodna i ładna. Jeszcze widział przed oczami jej drobną sylwetkę, kiedy niechętnie podchodziła do żywopłotu. Nie był typem podrywacza, mierzyły go opowiadania kolegów z roku o zaliczaniu dziewczyn, szczególnie te opowiadane wulgarnym językiem. Korzystał z młodości, bawił się, nie pogardził dobrym alkoholem, chodził na koncerty rockowych zespołów, na które zaciągała go Marta, ale najbardziej odpowiadały mu kameralne spotkania u niego, w wynajętym mieszkaniu, w dobrze znanym gronie przyjaciół.

Włączył klimatyzację. Za szybami samochodu rozciągały się rozświetlone słońcem pola, zagajniki, lasy. Przed nim dwa miesiące wolności od książek, wykładów, oby tylko dopisała pogoda.

Kilkanaście kilometrów przejechał, nucąc od czasu do czasu znane melodie płynące z radia, i wjechał na ulice Grudziądza. Nareszcie koniec podróży. Przyhamował, wjeżdżając przez bramę i zatrzymał samochód przed okazałym budynkiem z czerwoną tablicą na ścianie, przy wejściu.

Dom Dziecka w Grudziądzu.

Edyta nie zdążyła jeszcze nacisnąć klamki drzwi wejściowych do zamku, kiedy otworzyły się i w progu sta-

nęła Helena Winter. W czarnej sukience, z cierpką miną, patrzyła na dziewczynę z zamiarem wygłoszenia kazania wypisanym na twarzy.

-Nie muszę przypominać pani, że w czasie trwania świadczenia pracy nie przyjmuje się w zamku swoich znajomych ani rodziny - ton jej głosu brzmiał sucho, nieprzyjemnie dla uszu. - Mówię o tej osobie przed bramą - wyjaśniła, widząc, że Edyta patrzy na nią zdumiona.

-Ach! To był jakiś mężczyzna, przyjezdny, pytał o drogę do Grudziądza. Wy tłumaczyłam mu, jak ma tam dojechać - Edyta szybko wybrnęła, zmyślając z satysfakcją nieprawdziwą historyjkę.

- Uhm. Ale proszę o tym pamiętać.

Helena zeszła po schodkach i z podniesioną sztywno głową pożeglowała wprost w stronę bramy.

- Pewnie będzie sprawdzać, czy nie wyłamalam zamków - pomyślała złośliwie Edyta, wchodząc do środka.

Wszędobyłska baba, nic nie ujdzie jej uwagi! Jakie tajemnice można zdradzić, pracując jako pokojówka? O sprzątaniu, podawaniu do stołu i tak w kółko?! Jedynie Janka, gdyby to było możliwe, wyjaśniłaby swoją śmierć!

W drodze do swojego pokoju Edyta przystanąła przy oknie w korytarzu. Heleny przy bramie nie było, gdzieś w alejce mignęła jej czarna postać.

-Na co tak patrzysz? - zainteresowała się Urszula, wyrastając jej za plecami.

- Na Helenę. Robi obchód posiadłości - powiedziała Edyta, uważając na każde swoje słowo, bo miała w pamięci notatki Janki.

- Nieważne - Urszula machnęła lekceważąco ręką. -Słuchaj, jeżeli chodzi o jutro, to o ile nie masz nic przeciwko temu, to wolałabym mieć ranną zmianę. Chcę po południu zrobić małe pranie swoich rzeczy.

- W porządku. Jest mi to obojętne. Robota jest taka sama.

- To dzięki. Idziesz na obiad?

-Za chwilę. Zaczekaj! Co z bateriami do latarki? Na pewno po ciemku nigdzie nie pójde, choćby wzywała mnie sama Bohdanowiczowa! - zaniepokoiła się Edyta.

- Cholera! Ogrodnik chyba znowu zapomniał kupić. Dam ci swoją latarkę.

- Nie chcę. Chyba drugi raz nie przytrafi mi się sen na jawie.

- Jaki sen? - Urszula wbiła w nią spojrzenie i zaraz wykrzywiła usta. - Ach, pamiętam! Nie objadaj się na noc. Chodź już do jadalni - doradziła i pomaszzerowała w głąb korytarza.

Popołudnie minęło, nie przynosząc żadnych nowych, zasługujących na uwagę zdarzeń, oprócz zwykłej nudy, przerywanej spacerami w parku i wylegiwaniem się na łóżku, w pokoju. Dopiero wieczór, przy świetle lampki nocnej, stworzył nastrój do odtworzenia sobie spotkania z Bartkiem.

Edyta podciągnęła kołdrę pod brodę i nie dowierzając samej sobie, dokładnie, minuta po minucie, rozpamiętywała niespodziewane poznanie chłopaka. Zjawił się nie wiadomo skąd i odjechał... też nie wiadomo dokąd! Pozostawił po sobie wspomnienie, które w dość przyjemny sposób błąkało się w myślach, a przecież nawet nie widziała go z bliska, jedynie docierał do niej jego głos...

Ciekawe, czy przyjedzie jutro, jak obiecywał... No tak, ale żeby to stwierdzić, musiałyby znaleźć się w tym miejscu... oczywiście przypadkowo! Chyba miał... ciemne włosy... Aaa...

Co to za problem, pójść w pobliże bramy ze zwykłej ciekawości? Jeżeli nawet się nie pojawi, to przecież nie umawiała się z nim.

Edyta zgasiła lampkę, zwinęła się w kłębek i zamknęła oczy. Pomyślała, że Bohdanowiczowie mogliby chociaż na godzinę włączyć elektryczne kominki, bo w pokoju pano-

wał nieprzyjemny chłód. O wiele cieplej niż w budynku było na dworzu.

Nad ranem zbudziły ją dudniące kroki na korytarzu. Edyta przewróciła się na drugi bok, zasłaniając głowę kołdrą. To pewnie Urszula albo Helena tak wałą obcasami, aż dudni. Nie upłynęło wiele czasu, kiedy uniosła się na łóżku i sprawdziła na leżącym na szafce zegarku, która jest godzina. Dopiero siódma. Z impetem opadła na poduszkę, jeszcze nie do końca rozbudzona, zadowolona, że nie musi jeszcze wstać. Do jadalni i tak pójdzie spóźniona na śniadanie, najwyżej Wiesia pogdera, zanim postawi przed nią pachnące świeżością bułeczki i gorącą herbatę.

Urszula już jest w salonie, rozstawia na stole talerze i talerzyki z porannym posiłkiem dla państwa. Seniorce na pewno poda do pokoju.

Hm. Ciekawe, czy Maria napisała już list... chyba nie, bo zawołałaby ją do siebie, dała jakieś znaki, żeby przyszła.

Ogarnęło ją ziewanie. Tej nocy tak dobrze jej się spało, więc skąd to ziewanie? Mama powiedziałyby, że to nerwowe. Niemożliwe. Jest taka spokojna, pokojowo nastawiona do całego świata za oknem.

Druga zmiana zaczyna się o wpół do trzeciej, po co już wstawać? To już szósty dzień pracy, a pierwszy dzień sierpnia. Zwykły kierat, nic nowego, oprócz...

Serce zabiło jej mocniej. Niepotrzebnie! Nic z jej zmysłami się nie dzieje!

Ale to był już koniec beztróskiego wylegiwania się w łóżku. Po prostu za bardzo sprzyja to rozmyślaniom!

Edyta zerwała się i nie wkładając kapci, podeszła do okna. Szeroko je otworzyła. Wychyliła głowę i poczuła na twarzy ciepłe tchnienie powietrza.

Było słonecznie, pachniało świeżością poranka, wspaniale zapowiadający się dzień do spędzenia w parku, na ławce, na tyle blisko bramy, żeby w razie pojawienia się chłopaka wyglądało to naturalnie. Po raz pierwszy pomy-

ślała, że... lubi tę tajemniczość i niesamowitość miejsca, do którego trafiła, szukając pracy.

Podświadomie czuła, że nie powinna zachowywać się jak spłoszone zwierzątko albo obrażona dama, bo poznawanie nowych osób jest normalną kolejną rzeczą wśród ludzi.

„Przyjadę jutro, o tej samej porze” dość przyjemnie brzmiało, ale wtedy potraktowała to jako narzucanie się chłopaka, wtargnięcie w jej prywatne życie, naruszenie kruchej granicy wyboru przez nią... następnej znajomości? Tylko znajomości! Nie sprawdzała wówczas godziny, ale mogła to być... dwunasta... trzynasta?

Edyta odeszła od okna i pomaszerowała do łazienki. Po powrocie do pokoju ubrała się zgodnie z panującą aurą, w krótkie spodenki, t-shirt, potem w jadalni wysłuchiwała westchnień, podkreślonych cierpiętniczą miną Wiesi i wyszła na dziedziniec zamku.

Słońce mocno grzało, rozświetlając rozległy teren posiadłości. Nowo posadzone kwiaty na klombach cieszyły oczy, cichy szmer wody w fontannie przypominał delikatny deszczyk, taki, który w upalny dzień przyjemnie chłodzi rozgrzane ciało.

Edyta przeszła obok fontanny, weszła w pierwszą parkową alejkę i usiadła na ławce, mając widok na bramę.

Po kilku zaledwie minutach jakby ocknęła się ze snu. Co się z nią dzieje?! Na pewno nie będzie wystawiać się na widok jakiegoś faceta, który jeśli się pojawi, to może po to, aby sprawdzić siłę swojego męskiego uroku!

Poderwała się i wybrała ławkę z daleka od bramy, zalaną słońcem, cudowne miejsce do opalania się. Położyła głowę na jej oparciu, wyciągnęła nogi i zamknęła oczy, poddając się słonecznej kąpieli.

Przed jej oczami przewijały się kadry jak z filmu: z Olą, domem, pożegnaniem ze szkołą, wreszcie z radością przyjęcia do pracy i smutnym, krótkim pamiętnikiem dziewczyny z domu dziecka. Ona, Edyta urodziła się

w „normalnej” rodzinie i chociaż ojciec zmarł w młodym wieku, zostawiając rodzinę w trudnym położeniu finansowym, nigdy z siostrą nie zaznała chłodu ze strony matki, zapracowanej nieraz ponad siły w sklepie. Nieraz marzyła się jej wielka wygrana w Lotto, ale nigdy nie trafiła nawet marnej trójki.

Pomyślała, że trzeba doceniać to, co się ma, i nie wyciągać ręki po więcej, bo to los ułoży karty z wygraną, albo przegraną, życiową szansą.

Gdzieś w pobliżu coś zazgrzytało, stuknęło, trzasnęły gałązki, ale nie zwróciła na to uwagi. To pewnie jakiś kot z pobliskiej wsi zapuścił się w lasy otaczające zamek i wskoczył na mur posiadłości.

Zmroził ją głos, który zabrzmiał tuż koło ławki:

- Dzień dobry.

Poderwała się gwałtownie, wsunęła nogi pod ławkę i przesłaniając ręką oczy od słońca, zobaczyła uśmiechniętego. .. Bartka. Osłupiała, przez dłuższą chwilę patrzyła na chłopaka, zaskoczona jego nagłym pojawieniem się, nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

- Przepraszam, jeżeli cię przestraszyłem, ale dość długo stałem przed bramą i ponieważ musiałem cię zobaczyć, przeszedłem przez mur - uśmiech zniknął z jego twarzy na widok miny dziewczyny, która nie wróżyła przyjaznej pogawędki. - Mogę usiąść? - zapytał ostrożnie.

Edyta zdążyła już ochłonąć z pierwszego, niezbyt korzystnego dla chłopaka wrażenia, jakie na niej wywarł. Nie spodziewała się, że zacznie jej szukać i była niezadowolona z jego bezceremonialnego sposobu dotarcia do niej. To świadczyłoby o jego pewności siebie, wierze w łatwy podbój dziewczyny, którą sobie upatrzył!

Gdyby Helena go teraz zobaczyła, pewnie miałyby tym razem wypowiedzenie z pracy, a nie kazanie, które zaraz po wysłuchaniu wymazałaby z pamięci.

Pokręciła głową, dając wyraz swojemu niezdecydowaniu.

- Mogę mieć przez ciebie problemy. Pracownikom nie wolno przyjmować gości ani wpuszczać ich na teren zamku. Mogę stracić przez ciebie pracę - powiedziała chłodno, chociaż podświadomie... czekała na niego. - Usiądź, ławka jest długa - usiłowała nadać dystans spotkaniu.

-Nie wiedziałem, że panuje tutaj taki rygor, bo na pewno nie chciałbym narazić cię na kłopoty - powiedział szczerze Bartek, siadając obok Edyty. - Jeżeli powiesz, że mam odejść, to zaraz wskakuję na te cegły i znikam - zajrzał jej w oczy.

- Zostań, jak już sforsowałeś ten zabytkowy mur. Chyba nikt nas tu nie zobaczy.

Patrzyli na siebie z ciekawością. Bez ograniczających ich krat, blisko siebie, z pewną dozą niepewności, jak to bywa przy pierwszym spotkaniu vis-à-vis.

Ciemnowłosy, opalony chłopak w błękitnej koszulce spodobał się Edycie i chociaż usiłowała nadać twarzy obojętny wyraz, z pewnością jej oczy przeczyły temu.

W jego spojrzeniu widziała śmiałość, determinację, szczerłość i ciekawość, kiedy jego wzrok wędrował po jej rozwichrzonych włosach, spoconej twarzy, zaczerwienionych od promieni słonecznych ramionach i nogach.

No cóż, nie czekała na niego, tylko korzystała z czasu wolnego od pracy, więc jej wygląd nie ma nic wspólnego z randką i powinien to zrozumieć. A to, że gdzieś biegały mrówki po jej ciele, to skutek zwykłego strachu, zaskoczenia, a nie jego bliskości!

- Kiedy jechałem do ciebie - zaczął mówić Bartek, przenosząc spojrzenie na gąszcz drzew - to nawet chciałem zawrócić. Wczoraj nie byłaś zbyt rozmowna, odniosłem wrażenie, że przyjeżdżając, będę w twoich oczach, o ile byśmy się spotkali, zwykłym nachalnym facetem, który

chce poderwać dziewczynę, bo trafiła się okazja - odwrócił głowę w jej stronę.

Edyta najeżyła się.

-I trafiła się? - spytała cierpko.

-Nie! - zaprzeczył gorąco-Przyjechałem, bo... po prostu, gnało mnie tu! Musiałem! I dlatego pokonałem ten szacowny mur. Dla ciebie. A teraz oddaję się w twoje ręce - nachylił się ku niej i dodał żartobliwie: - Proszę o łaskawy wyrok.

Spojrzała na niego z ukosa.

- Mieszkasz w pobliżu, w Bohdanach? Jesteś z gospodarstwa?

-Z gospodarstwa... rolnego? Skąd to przypuszczenie? - zdumiał się.

- Przecież nie przyjeżdżałbyś dziesiątek kilometrów, żeby ze mną się spotkać.

- Jesteś tego pewna? - zapytał z powagą Bartek.

- Nie wiem, co mam o tym sądzić. Przecież dopiero się poznaliśmy i nic o sobie nie wiemy. Ja tu pracuję, mam drugą zmianę i niedługo będę musiała iść do pracy. W wolnych chwilach, jak widzisz, korzystam ze słońca, którego tak mało tego lata.

Edyta powiodła wzrokiem po jego opalonych ramionach i twarzy.

- Gdzie można się tak opalić? W Egipcie? W Grecji? - zapytała zaciekawiona jego czekoladową barwą opalenizny.

- Na morzu - Bartek uśmiechnął się. - Studiuję nawigację na drugim roku Akademii Morskiej w Gdyni - wyjaśnił, widząc znak zapytania w oczach dziewczyny - i wczoraj wróciłem ze szkoleniowego rejsu. Na wodzie opala i wiatr, i słońce. Mieszkam w Grudziądzu, a podczas studiów w Gdyni.

- Ja też mieszkam w Grudziądzu! - zawołała spontanicznie Edyta. - Po maturze szukałam pracy i znalazłam ją

właśnie tutaj, jako pokojówka, a w zasadzie jako pomoc do wszystkiego. Sprzątania, prania, podawania do stołu.

- Dojeżdżasz tutaj codziennie? To męczące.

- Mieszkam w zamku. Mam pokój do swojej dyspozycji, dobrą płacę, więc nie mam powodów do narzekania. Nie jestem sama, pracuje tu jeszcze kilka osób.

Bartek kiwnął głową w stronę wieży.

- Masz wspaniały widok z góry. Gdyby nie ten dziwny zakaz, chętnie popatrzyłbym na okolicę, ale nie będę narażać ani ciebie, ani siebie. Od dawna miałem ochotę na zwiedzenie tego zamku i wiedziałem, że nie jest otwarty dla turystów, ale to był dla mnie pretekst, żeby zacząć z tobą rozmowę. Owszem, jestem miłośnikiem zwiedzania zabytków, ale bez przesady. Bardziej interesuje mnie astrologia, astronomia.

- Marynarz ma takie hobby? - zdziwiła się Edyta, przesuwając się na ławce w jej zacienioną stronę.

- Można to tak nazwać, chociaż nazwałbym to raczej przyjemnością, odskocznią od wybranego zawodu - Bartek również przesunął się we wkradający się powoli na ławkę cień. - Jak długo tu pracujesz? - zapytał.

- Szósty dzień, już to liczyłam. Tutaj dni trochę się dłużą, właśnie z powodu niemożności pojechania do domu w wolny dzień albo chociażby spaceru po okolicy. Pójścia na wieś, bo to chyba niedaleko?

- Edyta czekała na potwierdzenie swoich przypuszczeń.

- Samochodem niedaleko, ale pieszo... kawałek drogi. Edyta zrobiła zatroskaną minę.

- Szkoda. Jutro albo pojutrze, jeszcze dokładnie nie wiem, muszę iść na pocztę na wsi. I to raczej... - ugryzła się język, nie chcąc zwierzać się chłopakowi z misji, którą ma do spełnienia wobec seniorki - będzie dość trudne, bo... ach... nie ma o czym mówić - była zła na samą siebie, że nie potrafiła wybrnąć z sytuacji, w którą sama się zapędziła.

- Jeżeli mógłbym ci w tym pomóc, to możesz na mnie liczyć - zaoferował swoją pomoc Bartek.

- Dzięki, sama nie wiem. Która jest godzina? - Edyta zaniepokoiła się.

- Wpół do drugiej - spojrzał na zegarek. - Musisz już iść?

- Jeszcze chwilę mogę zostać.

-Edyta - Bartek patrzył na nią z powagą, kładąc ramię na oparciu ławki i zagładając dziewczynie głęboko w oczy. - Powiem to bez żadnych głupich wstępów, że jak cię zobaczyłem itd., itp., to wszystko wokół przestało się liczyć i tylko twój obraz pozostał mi w pamięci. Nie wygłaszam takich frazesów dziewczynom. Spotkamy się? Jutro, pojutrze, kiedy tylko będziesz chciała. Jeżeli nie, to... i tak tutaj będę przyjeżdżał i wypatrywał cię.

Patrzyła mu prosto w twarz, już wiedząc, że tego chce, bo nie zapaliła się gdzieś w głębinach pokładów jej myśli nawet najmniejsza czerwona ostrzegawcza lampka, więc... powie tak! Oczywiście, bez entuzjazmu, tak, normalnie, jakby tylko ulegała jego prośbie! Na plecach czuła dotyk jego ramienia, to było takie przyjemne! Tak, chce jego przyjazdów, spotkań, rozmów, dotyku rąk!

- Edyta. Odpowiedz.

-Przyjedź - powiedziała, odwracając w bok głowę, żeby nie dostrzegł w jej twarzy narastającej radości i powstrzymanego w kącikach ust uśmiechu. - Tylko komórki tu nie działają, nie ma zasięgu. Nie mogę nawet powiadomić rodziny, żeby się nie martwili, że dotarłam tutaj i pracuję - spojrzała na Bartka, jakby szukała u niego rozwiązania problemu.

- Nie ma sprawy. Podasz mi numer i zadzwonię z miasta albo odjadę kawałek i sprawa załatwiona.

-Wolałabym sama. Muszę się zastanowić... może skorzystam...

Edyta z żalem pomyślała, że musi wracać do zamku, a rozmowa z Bartkiem tak dobrze się rozwijała. Okazał się

być sympatycznym, ciepłym, przystojnym młodym mężczyzną.

Wstała z ławki.

-Bartek, niestety muszę już iść. Cieszę się, że cię poznałam. Do zobaczenia.

- O której mam jutro przyjechać? - chłopak poderwał się, chwycił ją za rękę i patrzył wyczekująco.

- Jeżeli nie będzie padał deszcz, to o tej samej porze co dzisiaj.

- A jeżeli będzie padał?

- To... przyjdę pod parasolką. Chociaż na chwilę.

- Dziękuję ci. Teraz mogę to powiedzieć. Jestem szczęśliwym facetem, bo poznałem cię! - zawołał, robiąc ruch, jakby chciał przygarnąć Edytę do siebie, ale powstrzymał się, czując jak wysuwa rękę z jego dłoni i sztywnieje.

Chciał tylko przysunąć ją bliżej do siebie opiekuńczym gestem. Drobna dziewczynę z rozwichrzonymi włosami, ze słonecznymi rumieńcami na twarzy.

-Do jutra - powiedziała Edyta, ruszając w stronę zamku.

Po chwili przystanąła, odwróciła się i przytłumionym głosem zawołała:

-Uważaj, żeby nikt cię nie zauważył, jak będziesz przechodził przez mur!

-Nie martw się. Nie zauważy. Jutro przyjdę tą samą drogą. Miłego popołudnia!

Edyta, podekscytowana nową znajomością i rozpamiętywaniem spotkania z Bartkiem, do wieczora chodziła z głową w chmurach. Jak automat robiła porządki w pokojach, podawała obiad w salonie, nawet zostawione przez Szymona w popielniczce w bibliotece niedopałki papierosów nie wywołały w niej żadnego negatywnego uczucia. Niech Kamila go nauczy, że w takim miejscu papierosów się nie pali. Albo Urszula!

Kolację zaniósła seniorce do jej pokoju. Maria siedziała na fotelu przy kominku, z narzuconym na plecy miękkim pledem.

- Dobry wieczór pani. Przyniosłam smaczną kolację. Wiesia specjalnie dla pani ją przygotowała - Edyta jedną ręką trzymała tacę, drugą zamykała drzwi.

Na dźwięk jej głosu Maria odwróciła się i ciepło uśmiechnęła. Spojrzała na zastawioną posiłkiem tacę.

- Jak zwykle za dużo. I to na wieczór.

-Dbają o panią. W pani wieku trzeba odpowiednio się odżywiać. Wiesia jest dobrą kucharką, zna się na dietetycznym jedzeniu. Ale za to ja zupełnie zapomniałam o gorącym mleku - zmartwiła się Edyta, zestawiając posiłek z tacy na ławę. - Zaraz przyniosę.

- Nie odchodź. Nie trzeba. Podejdź bliżej i usiądź tu, obok, na fotelu - seniorka wskazała drugi fotel przy kominku. - Nie chcę, żeby ktokolwiek słyszał naszą rozmowę. Jutro albo pojutrze dam ci list. Musisz - zaakcentowała - znaleźć sposób, żeby go wysłać. To bardzo ważny list.

Głęboko odetchnęła i dokończyła:

- Mam już tak mało czasu. Czuję to z każdym dniem coraz bardziej - mówiła z wysiłkiem, słabym głosem. -Chcę zdążyć... zanim... - pogroziła żartobliwie palcem Edycie, której zaszklily się oczy - zanim przestanę rozumieć to, co się dookoła mnie dzieje. Do lekarstw organizm się przyzwyczaja i z czasem przestaną działać.

- Pani Mario, proszę tak nie myśleć. Przed panią jeszcze długie życie, i to w dobrej kondycji - pocieszyła ją Edyta, myśląc przy tym ze współczuciem, iż to staruszka ma rację, a ona może tylko wygłaszać nieprawdziwe opinie.

Maria pokiwała ze smutkiem głową.

- Wiem, co mówię, dziecko, ale to mnie nie martwi. Tylko list! Wiesz już, jak dotrzesz na pocztę? - patrzyła na Edytę z nadzieją coraz bardziej tracącymi blask oczami.

- Ja... - zacięła się dziewczyna.

I nagle, jak błysk światła dotarło do niej, że spełni prośbę staruszki, ma ku temu doskonałe warunki, bo... uświadomiła sobie, że... przekaże list... Nie! Nikomu nie przekaże! Pokona nieufność w stosunku do chłopaka, którego dopiero poznała, i to on zawiezie ją na pocztę! Bartek objawił się jako wybawca, osoba, która pojawiła się w jej życiu, żeby mogła wywiązać się z obietnicy danej Marii!

Po prostu, przejdzie przez mur!

- Edyta - wyrwało ją z zamyślenia.

- Pani Mario, list wyślę zaraz, jak tylko pani mi go wręczy. Nikt o tym nie będzie wiedział. Znalazłam już sposób, żeby go wysłać. Chciałam panią jeszcze o coś spytać, ale... nie mam śmiałości.

-Pytaj, Edyto. Jeżeli odpowiedź będzie dla mnie za trudna, to nie odpowiem -zachęciła ją staruszka.

-Dobrze, ale najpierw proszę wypić herbatę, bo wystygnie.

Edyta podała seniorce kubek i czekała, aż ta upije chociaż łyczek.

- Pani Mario... mieszka z panią rodzina i... oni wyjeżdżają codziennie do miasta...

Seniorka powstrzymała ją ruchem dłoni.

- Powiedziałaś... rodzina? Czasem ma się więcej zaufania do obcych niż do... rodziny - powiedziała z dziwnym wyrazem twarzy. - Ale... niedobrze być samemu, a ta... rodzina... - robiła przerywniki przy „rodzinie” - opiekuje się mną, nie mam jej nic do zarzucenia.

- Pani Regina jest dość miłą osobą, nie wtrąca się do niczego, w przeciwieństwie do Heleny Winter, która pojawia się nagle, jakby śledziła nas, pracowników - pożaliła się Edyta.

Staruszka pokiwała głową.

- Tak, pani Regina jest dobrą osobą - potwierdziła. Edycie wydało się dziwne określenie „panią” kogoś, kogo ze staruszką wiążą więzi rodzinne, chociaż stylistyka

zdania była jasna. Maria zwracała się do niej, więc określenie „pani” było jak najbardziej na miejscu.

- Muszę już wrócić do pracy - Edyta wstała i sięgnęła po tacę. - Za pół godziny przyjdę po talerzyki i kubek.

- Nie musisz dzisiaj tego zabierać. Jutro - Maria machnęła pobłażliwie ręką.

- To spokojnej nocy, pani Mario, i proszę się nie martwić listem.

- Dziękuję ci, dziecko. Janka też była dla mnie taka dobra i wyrozumiała.

Staruszcze na wspomnienie Janki zadrżał głos. Musiała być do niej bardzo przywiązana. Gdyby przeczytała jej pamiętnik... Nad tym trzeba się głęboko zastanowić, bo treść zapisków dziewczyny wzbudza tyle emocji, refleksji, współczucia i zarazem przerażenia. Szczególnie ostatnie linijki, kiedy Janka zadaje sobie pytanie, czy ona też by ... potrafiła... skoczyć z wieży?!

- Chcesz mi o czymś powiedzieć? To zostań jeszcze na chwilę, masz jakiś problem? - Maria patrzyła na nią zachęcająco.

-Nie. Myślałam o czymś, ale to nic takiego, może kiedyś zwrócę się z tym do pani, ale teraz muszę sobie wszystko poukładać - Edycie było przykro, że nie może otwarcie opowiedzieć Marii o zeszytcie, który leży u niej w szufladzie.

Zeszytcie, z którego treścią mogłaby zapoznać się jedynie seniorka. To o niej z sympatią i przywiązaniem pisała Janka. Jednak emocje towarzyszące czytaniu dla osoby w wieku Marii mogłyby bardzo niekorzystnie wpłynąć na stan jej pogarszającego się zdrowia. A widać dzień po dniu, jak słabnie, mówi coraz ciszej, z wysiłkiem.

-Zrobisz, jak będziesz chciała - seniorka nieświadoma jej rozterki, podała jej pusty kubek, który Edyta odstawiła na ławę. - Jestem taka zmęczona, nogi nie chcą mnie już nosić, Edyto - pokiwała głową - a chciałabym

jutro przejść się na ten mały cmentarzyk. Wiesz, że tam leżą moi przodkowie? - nie czekając na odpowiedź Edyty, dodała: - Długo tam nie byłam.

Jej wzrok, kiedy spojrzała na dziewczynę, był pełen niepokoju o spełnienie prośby.

- Pójdiesz tam ze mną? - zapytała.

- Oczywiście. Jeżeli jutro będzie pani dobrze się czuła, to proszę mnie zawołać i przejdziemy się tam. Może usiądzie pani na wózku inwalidzkim, będzie wygodniej.

Staruszka nie zaprotestowała.

- Tak, to dobry pomysł. Jak będę gotowa, to poproszę cię.

- Pani Mario, przepraszam, ale muszę już wrócić do obowiązków.

- Nie zatrzymuję cię już, idź, dziecko... Zaczekaj. Zajmujesz pokój po Jance... może znajdziesz coś... jakąś rzecz... drobnostkę... po niej... chciałabym mieć jakąś pamiątkę... nieważne, co to miałyby być... To tylko moja prośba, ale pamiętaj o tym.

Maria mówiła z wyraźnym wzruszeniem, cierpieniem, jakby zmarła dziewczyna była dla niej kimś ważnym, kochanym i jakaś zapomniana, leżąca gdzieś rzecz, pomogłaby jej ukoić ból po jej śmierci.

- Dobrze, że długo nie chorowała - powiedziała cicho, kładąc dłonie na pobladłe policzki, jakby zasłaniała ciekące łzy.

A więc seniorka nie wiedziała, co spowodowało śmierć dziewczyny! Zapewne oszczędzono jej wstrząsu, jaki z pewnością by przeżyła, znając prawdę!

- Pani Mario! Nie wyjdę stąd, dopóki pani się nie uspokoi. Nie wolno tak angażować się we wspomnienia - powiedziała stanowczo Edyta, pochylając się nad staruszką. - A co będzie, jeżeli znajdę jakąś rzecz... na przykład... kolczyki... grzebień... albo... - kluczyła, zastanawiając się nad określeniem pamiątnika dziewczyny-

ny - chociażby... plik jakichś kartek, zapisków, notatek z jej pobytu tutaj... i co wtedy? Przyniosę je pani i na mnie spadnie odpowiedzialność, jeżeli stan pani zdrowia się pogorszy.

- Polepszy, dziecko, tylko polepszy - Maria odjęła dłonie od twarzy, już uspokojona.

- W takim razie poszukam. Może Urszula coś przeoczyła, niedokładnie sprzątała pokój. Przepraszam, ale teraz już muszę wrócić do pracy. Mogę panią zostawić samą? - zatroszczyła się Edyta, poprawiając pled na plecach seniorki.

- Idź, ja zaraz położę się spać.

- Jutro na cmentarz?

- Jeżeli będę miała na to siły, to powiadomię cię.

- Dobranoc pani.

Edyta wyszła od staruszki ze skołataną głową. Miotły nią rozterki, rozważała za i przeciw oddaniu tak przygnębiającego pamiętnika osobie, która tylko na wspomnienie dziewczyny wpadała w jawną rozpacz. Miałaby do końca życia wyrzuty sumienia, gdyby Maria zasłała i trzeba byłoby wzywać do niej pogotowie. Ogarnęło ją przerażenie na myśl, że wówczas ktoś z domowników mógłby znaleźć zeszyt... Oby to nie była Urszula!

Z posępną miną dotrwała do końca zmiany i z ulgą wróciła do swojego pokoju. Wyjęła z szuflady zeszyt, by tworzyć go na ostatniej kartce, tej... najważniejszej: „Jutro napiszę więcej”.

Musi głęboko zastanowić się nad powierzeniem go starej, schorowanej kobiecie, która tak pokochała obcą dziewczynę z domu dziecka. Zapiski Janki o seniorce również były pełne sympatii, a nawet jakby podświadomej... miłości do... rodziny, a raczej tęsknoty do prawdziwej rodziny, którą uosabiała w jej oczach staruszka.

Edyta westchnęła. Gdyby mogła z kimś o tym porozmawiać. Chociażby z Olą... nie, to nie byłby dobry pomysł,

ani z matką. Zaraz doszukałaby się jakiegoś wymyślanego zagrożenia ze strony właścicieli zamku i kazałaby jej wrócić do domu.

Schowała do szuflady zeszyt, rozebrała się i wsunęła pod kołdrę. Najlepiej z problemem się przespać!

Zasypiała już zwinięta w kłębuszek, kiedy z głośnika zaczęły wydobywać się jakieś trzaski, szумы i głosy! Urszula ostrzegała ją przed takimi przypadkami, ale teraz doświadczyła tego na własnej skórze!

Usiadła na łóżku i nacisnęła włącznik lampki. Nie zapaliła się, po latarce Edyta nawet nie sięgnęła, bo wyjęła z niej już zużyte baterie. Podniesione rolety w oknach sprawiały, że w pokoju było minimalnie jaśniej.

Szумы w głośniku nasiliły się i usłyszała czyjeś niewyraźne głosy. W duchy nie wierzyła, nigdy nie była świadkiem zdarzeń paranormalnych, niedawne nocne koszmary z manekinami były wynikiem... halucynacji, wywołanych... właśnie, czym?

Tym razem to nie były przywidzenia, nocne mary, wyraźnie słyszała rozmowę dwóch osób!

Wśluchiwała się w dialog, którego szумы nie zdołały na tyle zakłócić, aby nie mogła zrozumieć sensu wymiany zdań, pomiędzy... Heleną Winter a... Stefanem, ogrodnikiem!

Z pewnością nie myliła się! Głos Heleny rozpoznała od razu, ogrodnika po chwili nasłuchiwania!

Część rozmowy umknęła jej, kiedy próbowała rozpoznać męski głos, ale dalsza wprawiła ją w osłupienie!

- Mam już dość usługiwania jej! Ona zaczyna wierzyć w to, że jest tu panią! - warczała Helena.

-Uspokój się! Co chcesz zrobić? Wyjechać? Teraz? Trzeba to jakoś zakończyć! A Regina zawsze taka była. Uważała się za kogoś lepszego, tylko dlatego, że zaliczyła dwa lata jakichś studiów - uspokajał ją ogrodnik. - Mnie do tej pory nie zaakceptowała w rodzinie jako twojego męża. Tylko że ja to mam gdzieś!

- Wiesia jest po jej stronie. Nie spodziewałam się tego po własnej córce! Tak nam się odwdzięcza, po wyrwaniu jej z łap tego żonatego cwaniaka! Naciągnął ją na kredyt w banku i zwiął z pieniędzmi!

- Trzeba przycisnąć Kazimierza, żeby w końcu poszedł do banku i zrobił, co trzeba. To twój brat, wpłyn na niego i wynieśmy się stąd, dopóki możemy! - podniósł głos Stefan. - Wiktor jest tego samego zdania. Woli utrzymywać się z celebracji pogrzebów niż przyjeżdżać tu i czekać na łaskę Kazika!

- Jak nie będzie po mojej myśli, to... podpale ten przeklęty zamek razem z parkiem i tym cholernym cmentarzem! Brakuje tam niestety jednej osoby!

- Helena! Przerażasz mnie! Co ty wygadujesz?! Wzięłaś tabletki?

- Wzięłam, wzięłam, ale to wszystko zaczyna mnie przerastać! Wydaje mi się, że nieźle zaplątaliśmy się w tę historię z Marią!

- Tak - chwila ciszy, jedynie głośnik szumiał. - Przyszło mi do głowy, że... gdybyśmy stąd wyjechali, to przecież Regina tu z nią zostanie... przynajmniej tak postanowiła. Myślę, że nie zmieni zdania.

- Czyli urny wam w ręce?

- Musimy to przemyśleć.

- O cholera! Mikrofon jest włączony! - zawołała Helena wyraźnie przerażona.

- Głośniki są tylko u służby, czyli u nas i tych dziewczyn, a one z pewnością już śpią. Zaraz wyłączę.

Nastąpiła cisza.

Edyta siedziała bez ruchu, jak sparaliżowana. Powoli docierał do niej sens podsłuchanej rozmowy. Wróciła pamięcią do sceny w kuchni, kiedy Helena pouczała Wiesię, jak ma się w stosunku do niej zachowywać! Do własnej matki! Żeby uwiarygodnić, iż jest dla niej obcą osobą, a z właścicielami posiadłości wiążą ich wyłącznie relacje

pracownik - pracodawca! Uwiarygodnić się przed nimi, pokojówkami!

Chociaż... Po zapoznaniu się z notatkami Janki nie dałaby złamanego grosza, za prawdziwość opowiedzianej przez Urszulę historii jej pochodzenia z Bohdan, gdzie musiałaby z opowiadań rodziny, znajomych, słyszeć o Bohdanowiczach, dawnych właścicieli zamku i wsi!

Uściślając, rzekoma służba jest rodziną, Bohdanowiczowie, włącznie z mistrzem ceremonii, ich krewnymi, Szymon, mąż Kamili, związany jest romansiem z Urszulą, a... seniorka Maria... kim dla nich jest?! Prawdziwą krewną... czy... obcą osobą?! Kto z nich jest prawowitym właścicielem posiadłości?!

Maria! Edyta przypomniała sobie rozmowę z taksówkarzem, który przywiózł ją do zamku. To ona jest właścicielką zamku! Co prawda mieszka z nimi, toleruje ich obecność, nie wypiera się pokrewieństwa, ale jakie znaczenie mają te dziwne rozmowy, których dziewczyna była przypadkowym świadkiem?!

Co ma się wreszcie skończyć?! Myśli, które nagle ogarnęły jej wyobraźnię, przeraziły ją. Skrzynia, którą wносиły nocą, nie rozpoznane przez nią postacie, mogłaby być... trumną! Bohdanowiczowie spodziewali się czyjeś śmierci! Chorowała tylko seniorka! Czyżby chodziło o spadek? Zapewne po sprzedaży całej, rozległej posiadłości byłaby to znaczna suma.

Edyta przyłożyła dłonie do gorących policzków. Wstała i otworzyła szeroko okno. Oparła łokcie o parapet i głęboko wdychała rześkie, nocne powietrze.

Postacie ze skrzynią to nikt inny, tylko Bohdanowiczowie! Halucynacje, jakich doznała, nie pozwoliły jej wówczas ich rozpoznać, ale kto mógłby nocą wejść na teren zamku przez zamkniętą szyfrowym zamkiem bramę?! Tylko domownicy!

Natomiast jabłecznik, który tak z apetytem zajadała, był nafaszerowany jakimiś środkami powodującymi

nie tylko senność, ale... również okropne, dziwne wizje! Wiesia go nie jadła, a na Urszulę nie zwracała uwagi... coś zjadła... ale czy był to jabłecznik?!

Edyta odeszła od okna i usiadła na łóżku. Poczuli się, jakby znalazła się na własne życzenie w pułapce. W zamku nie miała żadnego sprzymierzeńca, zupełnie jak Janka! Oprócz samotnej staruszki... jak Janka! Mogłaby zwolnić się z pracy w każdej chwili, nie pobrać nawet wynagrodzenia, za te zaledwie kilka dni pracy... a co z Marią?

Nie może jej zostawić! Polubiła ją, jest taką słodką staruszką. Skrzyżowała ręce na piersiach, jakby samą siebie... przytulała... pocieszała...

Zapra gnęła, żeby to... Bartek przygarnął ją do siebie... wówczas poczułaby się bezpieczna, przytuliła by się do niego... może nawet opowiedziałaby mu o swoich lękach, o braku decyzji, którą powinna podjąć w związku z tym, co dzieje się w zamku...

Żeby już nadszedł ranek i pora spotkania z nim!

Edyta położyła się, przykryła się kołdrą po sam czubek głowy i jedynie wystraszone oczy błyszczały sponad jej brzegu.

Strach i napięcie długo nie pozwalały zasnąć, dopiero nad ranem zdrzemnęła się, a kiedy obudziła się, była niewyspana, rozkojarzona i zmęczona.

Kiedy weszła w parkową alejkę, już z daleka spostrzegła siedzącą na ławce znajomą sylwetkę. Zabiło jej mocniej serce. Przyszedł! I to wcześniej, niż byli umówieni.

Bartek, widząc Edytę, wstał i zaczął iść jej na spotkanie. Patrzyli na siebie bez słowa, inaczej niż przy pierwszym spotkaniu. Nie mogli od siebie oderwać wzroku. Trochę spłoszeni, nie tak pewni siebie, ale to ich oczy mówiły za niewypowiedziane jeszcze słowa, za uścisk dłoni, dłuższy,

niż to bywa przy powitaniach. Wreszcie z wolna pojawiający się uśmiech obojga rozluźnił napięcie towarzyszące spotkaniu i padły pierwsze słowa, z ust Bartka.

- Bałem się, że nie przyjdiesz. Jestem tu prawie od godziny. To była najdłuższa godzina w moim życiu. Mówię to bardzo poważnie. Czekałbym na ciebie do wieczora, a potem bym przyjechał jutro, pojutrze, do skutku.

Przez cały czas trzymał jej rękę, dopóki delikatnie nie wysunęła jej i powiedziała głosem, w którym pobrzmiwał niepokój:

-Ja też się bałam, że więcej tutaj nie przyjedziesz, a mam do załatwienia bardzo pilną sprawę. Usiądźmy na tej samej ławce, jest niewidoczna od strony zamku. Sprawdzalam.

Bartek położył rękę na jej ramieniu i nie czując oporu, poprowadził do ławki. Usiedli blisko siebie, czując swoje ciała. Edyta oparła się chęci położenia głowy na jego piersi i tak trwania do końca spotkania. Czowała ogromną potrzebę przytulenia się do chłopaka, znalezienia się w jego objęciach teraz, dzisiaj, kiedy czuje się taka samotna. Pozostawiona samej sobie z tajemnicami zamku.

- Edyto, muszę ci się do czegoś przyznać. Czekaając na ciebie, podszedłem bliżej zamku, nie obawiaj się, na pewno nikt mnie nie widział - Bartek szybko zastrzegł, widząc niezadowolenie na twarzy dziewczyny. - Stałem za drzewami. Wiesz, ten zamek wywarł na mnie dość przykre wrażenie. Jest taki ponury, a jaki jest w środku?

- Taki sam. Na parterze, w korytarzu, straszą manekiny, a kroki odbijają się echem po całym zamku, za wyjątkiem piętra, gdzie na podłodze leży długi chodnik. A po ciemku, kiedy wyłączany jest prąd, lepiej z pokoju nie wychodzić - Edyta mówiła obojętnym, przyciszonym głosem.

- Dlaczego wyłączany jest prąd? - zdumiał się Bartek. - Właściciele takiego obiektu chyba stać na płacenie rachunków.

- Właściciele... tak... chyba tak. To na pewno w ramach oszczędności, ale mamy latarki, więc jakoś sobie radzimy w ciemnościach, zresztą ja nie mam po co chodzić nocami po zamku.

-To dziwne. Być w posiadaniu takiego okazałego obiektu i chodzić z latarkami. Co to za ludzie, chyba jacyś dusigrosze.

-Nie wiem, ale właścicielka, starsza pani, rzadko wychodzi z pokoju. Poza tym, u niej zawsze jest prąd i włączony kominek. W zamku jest wilgoć i jest dość chłodno.

Bartek objął Edytę za szyję i uważnie się jej przyjrzał.

- Nie cieszysz się, że jestem tu z tobą? - zapytał ciepło.

-Ależ cieszę się, nawet nie wiesz, jak bardzo - zapewniła gorąco Edyta. - Jestem trochę niewyspana, bo dowiedziałam się przez przypadek o kilku sprawach, które mnie niepokoją.

- Powiesz mi o nich?

- Nie... nie mogę... nie teraz. Zastanowię się... to nie jest takie proste, a raczej zagmatwane... niejasne... - Edyta posmutniała.

-Zaczekam. Ale teraz rozchmurz się, chociaż troszeczkę, proszę - Bartek szepnął jej do ucha.

-Postaram się, chociaż przychodzi mi to z trudem. Być może jutro będę musiała pojechać na pocztę. Na wieś. Przyrzekłam, że nadam list, i nadam! Muszę!

- Nie ma problemu. Zawiozę cię, gdzie tylko zechcesz. Edyta potrząsnęła głową i uśmiechnęła się krzywo.

- Właśnie, że jest problem. Nie mogę wyjść przez bramę, bo nikt mi nie otworzy.

- To jak chcesz wyjść? - zdziwił się Bartek.

- Tą samą drogą, którą ty wchodzisz na teren zamku i wychodzisz. Nie patrz tak na mnie. Są sprawy, o których nie mogę ci powiedzieć, chociaż... bardzo chcę.

Edycie zadrżał głos, odwróciła głowę, żeby nie zobaczył jej zaszklonych oczu i zaciskanych ust, aby w przypiływie

powstrzymywanych siłą woli emocji, nie zdradzić więcej, niż mogłaby mu wyznać. Chłopakowi, którego zna zaledwie trzy dni.

Bartek opiekuńczym gestem przygarnął ją do siebie, położył dłoń na jej policzku i delikatnie zmusił, aby spojrzała na niego.

- Co ci jest? Wyrzuć to z siebie, będę uważnym słuchaczem. Przecież widzę, że coś się z tobą niedobrego dzieje. Może mógłbym w czymś pomóc, doradzić.

- Nie, dzisiaj chcę tylko... siedzieć obok ciebie i czuć się przy tobie spokojna, bezpieczna... i boję się, że... możesz jutro już nie przyjechać. Ale przyjedziesz? - Edyta patrzyła mu z niepokojem w oczy. - Bo... musisz.

- Przyjadę. Będę czekał tu, na tej ławce - Bartek uspokoił ją. - Czy ty przypadkiem nie masz jakichś problemów z właścicielami? Może powinnaś pożegnać się z nimi, jeżeli są zbyt wymagający.

- Nic z tych rzeczy, z pracy jestem zadowolona. Wiesz, trochę obawiam się tego przechodzenia przez mur. Jest dość wysoki, ale myślę, wspinaczka że po tych dużych kamieniach nie jest zbyt trudna.

- Ze mną na pewno nie jest, ale zanim odjadę, najpierw obejdę go dookoła, może gdzieś w jakiejś części jest niższy, wyburzony, łatwiejszy do sforsowania.

- Oby, ale i tak muszę przez niego wyjść.

Bartek pokazał na część parku, wysuniętą w głąb terenu.

- Co tam jest?

- Cmentarz.

- Niemożliwe! - Bartek wstał i wyteżył wzrok, usiłując cokolwiek dostrzec poprzez gąszcz drzew. - Nie mylisz się?! - patrzył niedowierzaniem na dziewczynę.

- Nie myślę się, ale nigdy tam nie byłam. To mały, legalny cmentarzyk. Tam są pochowani przodkowie właścicieli zamku i... - Edyta nie dokończyła.

-1? - Bartek usiadł i czekał na dalszą część zdania, zaciekawiony.

- Dziewczyna, która tu pracowała, ale teraz nie chcę o tym mówić. Najważniejszy jest dla mnie jutrzejszy dzień, żeby wysłać list i dodzwonić się wreszcie do domu.

- No i masz to załatwione.

Bartek oparł łokcie na kolanach i wpatrywał się w ubity piasek alejki. Trwało to na tyle długo, że zdawać by się mogło, iż temat rozmowy i zarazem spotkania został wyczerpany.

Nagle wyprostował się i z powagą na twarzy wyznał:

- Lubię jasne sytuacje. Tego dnia, kiedy stałem tutaj przed bramą, spotkałem się z moją dziewczyną.

Edycie zamarło serce. Po co to powiedział? Było tak pięknie. Zaufała mu, z trudem powstrzymała się od wyżalenia się na jego ramieniu, przytulenia do niego. Przecież mógłby, o ile źle go nie osądza, pożegnać się, odjechać... na zawsze. I więcej nie zawracać jej głowy!

Czyżby kolejny poznany chłopak okazał się niegodnym zaufania zwykłym samcem, krętaczem, sezonowym podrywaczem, po prostu facetem! W obraźliwym tego słowa znaczeniu! Tak przez nią rozumianym!

Już miała parsknąć z pogardą, wyrazić swoją niezbyt pochlebną opinię o takich jak on, kiedy chwycił ją za rękę i poprosił o wysłuchanie kilku krótkich zdań, które jest jej winien.

Miał przy tym wręcz błagalne spojrzenie.

- Zaskoczyłeś mnie - powiedziała z przekąsem Edyta.

- Zaraz wszystko zrozumiesz. Kiedy wróciłem z rejsu szkoleniowego...

Edyta słuchała chłopaka nie do końca przekonana, że uczucia do byłej już dziewczyny całkowicie w nim wygasły. Wydawał się być szczery, nie zakłamywał rzeczywistości, nie twierdził, że o tamtej już zapomniał, skreślił

z listy znajomych, kochanych, po prostu, spotkał ją, Edytę i... zakochał się!

- Jak wariat! Edyta! Ja się w tobie zakochałem! - ścisnął jej rękę, wpatrzony w nią skupionym spojrzeniem, jakby badał jej reakcję na wyznanie jego uczucia.

Edyta patrzyła na niego, rozchylając usta, po czym wyjąkała głupio:

- Ale... dlaczego?

Bartek wybuchnął szczerym śmiechem.

-Dlaczego? - powtórzył. - Tego się do końca nie wie! Edyta! Jesteś taka słodka z tym „dlaczego”. Byłbym szczęśliwie zakochanym facetem, gdybyś powiedziała mi to samo!

Spoważniał.

- Narzucam ci się? Powiedz. A potem mnie przegoń. Edyta nabrała odwagi i na jednym oddechu wyrzuciła z siebie:

-Myślałam o tobie od pierwszego dnia, tego, kiedy rozmawialiśmy przez bramę, owszem, było za i przeciw, ale za było więcej. Nie jesteś mi obojętny i... ja też zakochałam się w tobie.

Bartek gwałtownie porwał ją w ramiona. Całował pachnące słońcem włosy, zamknięte oczy, policzki... rozchylone usta.

Edyta poddawała się jego uściskom, gorącym pocałunkom, chciała, żeby to trwało jak najdłużej, czuła się przy nim bezpieczna, kochana. Nagle zniknął ponury zamek, byli tylko we dwoje, pod zielonym parasolem koron drzew, otuleni ich cieniem.

-Bartek - powiedziała cicho, kładąc głowę na jego ramieniu, kiedy po namiętym uniesieniu siedzieli objęci obok siebie. - Muszę już iść do pracy. Zbliży się moja zmiana.

- Siedziałbym tutaj z tobą do wieczora, ale ty tu pracujesz. Będę do ciebie codziennie przyjeżdżał, to już jest

moje ulubione miejsce. Choćby ten mur był dwa razy wyższy, to i tak przejdę przez niego, żeby się z tobą spotkać.

Edyta wysunęła się z jego ramion, poprawiła zmierzwione włosy i zapytała:

- Jutro będzie dla mnie ważny dzień. Musisz przyjechać, bo w przeciwnym wypadku sama wdrapię się na mur i pójde pieszo na wieś.

- Po raz kolejny zapewniam cię, że nie masz czym się martwić. Co to za ważny list? Twój? Do chłopaka?

-Nie mam chłopaka, pożegnaliśmy się dawno temu. To list seniorki. Ona sama nie jest w stanie go wysłać i poprosiła o to mnie.

- Więc niech ci otworzą bramę.

- To bardziej skomplikowane, niż myślisz. Może przyjdzie taki dzień, w którym wszystko ci opowiem.

- Zaczynam bać się o ciebie. Na pewno nic ci tu nie grozi? - Bartek zaniepokoił się.

Edyta nic nie odpowiedziała, robiąc nieokreśloną, nic nie mówiącą minę.

- Przecież ja tu tylko pracuję - powtórzyła głosem przypominającym kogoś, kto biernie poddaje się losowi.

- Jutro spotkamy się o tej samej porze? - Bartek ujął ją za rękę.

- Tak, w tym samym miejscu. Musimy się spotkać.

- Chyba nie tylko dla listu? Zaczynam się bać... tak bardzo akcentujesz to „musimy”.

-Przecież wiesz... Powiedziałam już, że nie jesteś mi obojętny. Przyjdę jutro dla listu i dla ciebie. Albo na odwrót, najpierw dla ciebie, potem dla listu. Chciałabym jeszcze tutaj z tobą zostać, ale nie mogę - powiedziała z żalem Edyta, patrząc w stronę zamku.

Wstała, za nią podniósł się Bartek.

- Do jutra - powiedziała.

- Będę czekał.

Przygarnął ją do siebie, po czym Edyta szybkim krokiem ruszyła w stronę zamku. Zanim weszła do środka, spojrzała w stronę parku. Pomyślała, że pojawienie się w jej życiu Bartka teraz to jak wylosowanie szczęśliwego losu z główną wygraną. Poczwała ogarniający ją spokój, pewność siebie, śmiałość, bo był przy jej boku młody mężczyzna.

W korytarzu spotkała Urszulę, która przekazała jej niemiłą wiadomość:

- Słuchaj, weź jutro pierwszą zmianę, bo chciałabym w końcu trochę dłużej pospać.

- Mogłaś mnie uprzedzić, bo... - Edyta miała pustkę w głowie. - bo... tak nagle...

- O co ci chodzi? Nie rozumiem. I tak jesteśmy cały czas w zamku, obojętnie, czy na ławce, czy w pokoju. Nie mamy nawet radia, nie mówiąc o telewizorze.

-Nie miałam niczego na myśli, w porządku, jutro mam pierwszą zmianę.

- No to dogadałyśmy się.

Urszula wyminęła ją i weszła do jadalni. Po chwili wychyliła się i zawołała:

- Chodź na obiad! Już późno!

- Zaraz przyjdę.

Edyta była wściekła. Rzadko doznawała takiego uczucia, ale Urszula całkowicie zepsuła jej jutrzejsze plany. Ważne z dwóch powodów: listu i Bartka, który będzie na nią czekał, a ona musi znaleźć choćby chwilę, żeby wymknąć się z zamku i umówić na późniejszą godzinę. Znajomości z chłopakiem nie miała zamiaru ujawniać przed Urszulą. Straciła do niej zaufanie, którym darzyła ją po przybyciu do pracy, ale po zapoznaniu się z pamiętnikiem Janki wołała zachować wobec niej ostrożność, trzymać lekki dystans.

W jadalni siedzieli już przy stole ogrodnik, Wiesia i Urszula. Pachniało zupą ogórkową i pieczonym mięsem. Oraz... świeżo upieczonym ciastem.

Edyta usiadła naprzeciw Stefana i... jego córki, Wiesi. Zapach ciasta niemile ją dotknął. Przypomnił koszmarną noc i wyzwolił tłumione podejrzenia.

Z niewinną miną zwróciła się do Wiesi:

- Jakie tym razem upiekłaś ciasto? Bo ten jabłecznik był pyszny, ale za dużo wsypałaś tam... - Z premedytacją, nabierając raz po raz łyżką zupę zrobiła pełną ciszy przerwę.

- Chyba zjem dodatkową porcję, bo tak dobrej ogórkowej jeszcze nie jadłam - mówiła dalej, z satysfakcją nie wyjaśniając, czego według niej było za dużo w jabłeczniku.

- O czym mówisz? - zimny ton głosu Wiesi dolał oliwy do ognia.

Edyta wbiła w nią wzrok.

- Wiesz, nie dawały mi spokoju, te okropne wizje, tej nocy po kolacji i doszłam do wniosku, że po prostu w cieście było za dużo proszku do pieczenia. Widocznie jestem uczulona na większą ilość i to mi zaszkodziło. Nie mam o to pretensji, ale drugiej takiej nocy nie chciałabym przeżywać. Uważaj na proporcje, bo jeszcze nas wszystkich zatrujesz, a przynajmniej położysz do łóżka. Co dzisiaj upiekłaś? Też jabłecznik?

Edyta zaśmiała się, mrużąc do niej oko. Wiesia patrzyła na nią niezbyt przyjaźnie.

- To babka cytrynowa dla pani Marii. Na kolację. Bardzo ją lubi. Wy nie dostaniecie ani jednego kawałka i... nie wsypałam tam za dużo proszku. Zachowałam proporcje, o które tak się troszczysz - powiedziała ironicznie.

Edyta zamarła. Nadrabiała miną, ale świadomość, że to ona będzie wieczornym posłańcem być może... zatrutego ciasta... odebrała jej nie tylko apetyt, ale i ochotę do wszelkich aluzji. Maria nie może zjeść nawet jednego kęsa! Powie jej, że w cieście jest zakalec, albo... upuści na podłogę talerzyk!

Było oczywiste, że nie dali się nabrać na jej wygłup z proszkiem!

- Ma pani dziwne poczucie humoru, takiego... czarnego humoru - powiedział oschle ogrodnik.

- To tylko żart. Przepraszam cię, Wiesia, jeżeli cię uraziłam. Mam dzisiaj taki nastrój, pewnie za bardzo cieszę się pogodą. Było tyle deszczowych dni, a w takie dni...

Edyta ugryzła się w język. Bez szczegółów o damie z fontanny, wystarczy na dzisiaj. Z pewnością cała rodzina na czele z Heleną przeanalizuje jej dzisiejszy występ przy obiedzie. Może nawet skojarzą jej gadatliwość z włączonym mikrofonem, przy którym dokumentnie się zdradzili.

-W takie dni kto ma dobry nastrój? - dokończyła, zwracając się do ogrodnika.

- Nie wiem. Dobrze pani spała? Bo po nieprzespanej nocy miewa się różne nastroje, szczególnie w upalne noce.

To był znak! Sondował, czy nie zdradzi się gadulstwem o włączonym głośniku! Widocznie uznał ją za naiwną dziewczynę, która chce popisać się przed nimi analizą minionych wydarzeń!

-Bardzo dobrze. Nie mam problemów z zasypianiem, zresztą w pokoju jest dość chłodno, więc upalne noce mnie nie męczą - Edyta blefowała zbyt gorliwie, wywołując podejrzliwe spojrzenia ogrodnika rzucone na nią znad talerza.

-Uhm - mruknął. - Zaraz przyniosę pani baterie. Niech pani na mnie zaczeka - Stefan wstał, odsuwając krzesło, i wyszedł z jadalni.

- Zaraz podam drugie danie, nie wychodźcie - Wiesia zabrała puste talerze i zniknęła w kuchni.

Spośród obecnych w jadalni jedynie Urszula nie zabierała głosu, jakby w ogóle dyskusja przy stole do niej nie docierała. Dopiero po konsumpcji drugiego dania odłożyła sztucę na pusty talerz i z pogodną miną rozparła się na krześle.

-Druga zmiana zaraz się zaczyna. Przebierz się - zwróciła się do Edyty.

- Przecież muszę poczekać na ogrodnika. Zaraz przyniesie mi baterie. Chyba już idzie.

Za drzwiami zadudniły ciężkie kroki i do jadalni wszedł Stefan.

- Proszę - podał Edycie opakowanie z bateriami do latarki.

-Dziękuję panu. Wiesia, dziękuję za pyszny obiad i nie gniewaj się na mnie. Czasem coś głupio palnę.

- Nie ma o czym mówić - ta krótko skwitowała. Przez cały wieczór Edyta chodziła z promienną

twarzą. Euforia ją opuściła i zdjął ją nagły strach, kiedy uświadomiła sobie, że swoją niefrasobliwością może ściągnąć na siebie zbyt wielką uwagę Bohdanowiczów, którzy będą śledzić jej każdy krok!

Opowiadanie o skrzyni, którą wówczas widziała i paplanie o proszku do pieczenia właśnie postawiło ją w nieciekawym położeniu. Głupi i ślepy by się domyślił, o czym z taką ochotą rozprawia!

Odtąd Helena będzie wyrastać za jej plecami w najbardziej nieoczekiwanym momencie! Nikt przy zdrowych zmysłach nie dopuściłby do ujawnienia swojej przestępczej działalności, a Bohdanowiczowie, pomimo że nie wiedzą o odkryciu przez nią ich rodzinnych koligacji i podsłuchanej rozmowie, już zostali nieopatrznie ostrzeżeni!

W zamku była sama. Nawet milczenie Urszuli przy obiedzie było nader wymowne. Zapewne z uwagi na romans z Szymonem, a może z zupełnie innych powodów!

Wieczorem, z duszą na ramieniu i z tacą zastawioną posiłkiem, zapukała do pokoju seniorki.

- Proszę - usłyszała.

Nacisnęła klamkę i weszła do środka. Staruszka siedziała przed telewizorem, a na jej widok ożywiła się, sięgając na ławę po białą kopertę.

- Dobry wieczór. Przyniosłam pani ciasto, ale...

- Nie będę go jadła. Skąd ten pomysł? - Maria potrząsnęła głową. - Zabierz je z powrotem albo wrzuć do kosza. Rzadko jem ciasta, bo są za ciężkie na mój stary żołądek. Kucharka powinna o tym wiedzieć.

Edycie kamień spadł z serca. Problem sam się rozwiązał.

- Postaw tą tacę i usiądź. Zostaw tylko mleko. Nareszcie uporałam się z napisaniem listu. Oczy i ręce odwykły od długopisu, a list jest dość obszerny - Maria z radością wypisaną na twarzy patrzyła na trzymaną w dłoni zaadresowaną kopertę. - Nadasz go jutro jako polecony i priorytetem, żeby szybko doszedł, mam nadzieję, że ona nie zmieniła adresu - nagle zaniepokoiła się, przyciskając list do piersi. - Jak myślisz, Edyto? - patrzyła na dziewczynę, jakby ta znała odpowiedź.

- Gdyby ta osoba zmieniła adres, z pewnością by panią o tym powiadomiła - Edyta uspokoiła staruszkę.

- Tak. Na pewno by tak zrobiła. Dobra córka by tak zrobiła - seniorka pokiwała głową.

- Napisła pani do córki?!

Edycie głos uwiązł w gardle. Myślała, że to Regina jest najbliższą dla niej osobą, pomimo dziwnego nazwania jej „panią”, nawet jej wiek wskazywał na bliskie pokrewieństwo z Marią. Przecież seniorka jest przy zdrowych zmysłach, Bohdanowiczowie muszą być w jakiś sposób z nią spokrewnieni. Nie przyszło jej do głowy, że w Szwecji mieszka jej córka!

-Do córki - Maria uśmiechnęła się zagadkowo. -Proszę - podała jej list. - Schowaj go w kieszeni. Nie chciałabym, żeby ktoś go zobaczył.

Edyta wsunęła kopertę pod fartuszek do kieszeni służbowej sukienki.

- Zaufałam ci, Edyto. A tam leżą pieniądze na wysyłkę - staruszka wskazała miejsce w segmencie.

- To za dużo - Edyta trzymała w dłoni pięćdziesięciozłotowy banknot.
 - Resztę oddasz. Lepiej mieć przy sobie więcej pieniędzy. Tylko jak wyjdiesz z zamku? Wiem, że nie otworzą ci bramy, a jeżeli nawet Helena pozwoli ci wyjść, to co jej powiesz? - zapytała z troską Maria.
 - Mam gotowy plan i wiem, że mi się uda.
 - Dziękuję ci, dziecko, szkoda, że zatrudniłaś się tylko na miesiąc. Może zostaniesz dłużej? - spytała staruszka z nadzieją.
 - Trudno mi teraz jednoznacznie powiedzieć... sama nie wiem...
 - Rozumiem cię, nikt nie chce być w zamknięciu, to dobre na krótki czas. Chyba że jest się właścicielem. Wtedy jest się we własnym domu.
- Edyta wstała, zabierając pełną tacę z ławy.
- Pani Mario, czy ma pani jeszcze jakieś życzenie, jest już późno... - nie chciała powiedzieć, że jest zmęczona i marzy się jej ciepłe łóżko.
 - Zawracam ci tylko głowę, ale lubię z tobą rozmawiać. Czy... znalazłaś w pokoju jakąś rzecz... po Jance...
 - Tak... gdzieś widziałam jakieś kartki... muszę sobie przypomnieć... jak znajdę, zaraz je pani przyniosę, o ile to dotyczy Janki.
- Edyta nagle postanowiła, że odda zeszyt seniorce, ale wymusi na niej, że będzie obecna choćby przez chwilę przy niej, kiedy ta będzie czytała zapiski dziewczyny. Z obawy o jej zdrowie. Nabrała przekonania, że nie może być właścicielką pamiętnika kogoś, kogo nie miała okazji poznać... za życia.
- To byłaby jedyna po niej pamiętnika - westchnęła Maria.
 - Bardzo ją pani polubiła.
 - Ona była dla mnie jak rodzina. Była cicha, miła, trochę za pokorna, ale w jej wieku można być jeszcze onie-

śmielonym wśród obcych ludzi. Zawsze przepraszała, że nie chce o sobie opowiadać, a ja nie nalegałam. Maria umilkła.

- Mam żal do samej siebie, że nie przyszło mi do głowy, żeby zamieszkała w tym pokoju obok. Wystarczyłoby go tylko wysprzątać i wyposażyć w meble. Miałabym ją blisko siebie, może bym zauważyła, że jest chora, wezwała pogotowie.

Staruszka była bliska łez. Edyta słuchała Marii ze smutkiem. Wspomnienie o dziewczynie wprowadzało ją w stan przygnębienia, który zwykle towarzyszy ludziom bardzo bliskim zmarłej osoby.

Janka chorowała na samotność, jak Maria. Może to tak bardzo je do siebie zbliżyło, były jak dwie bratnie dusze, które nic o sobie nie wiedziały ponad to, że jedna była służącą, a druga właścicielką posiadłości.

Kim naprawdę była dziewczyna z domu dziecka? Jakie było jej prawdziwe imię, nazwisko? Kim jest jej matka?

Okrutna matka, która porzuca swoje nowonarodzone dziecko i nigdy nie zjawia się, aby je odzyskać?!

-Pani Mario, jeszcze dzisiaj dokładnie przeszukam pokój i jeżeli te kartki należały do tej dziewczyny, na pewno je pani przyniosę - jeszcze raz Edyta zapewniła seniorkę, widząc ogrom cierpienia w jej oczach.

-Janka nosiła perełki na szyi, pewnie leżą gdzieś... Poszukasz?

Perełki! Odda je staruszce z czystym sumieniem, powie, że tylko tyle znalazła w pokoju, bo widocznie Jance przerwał się naszyjnik i po prostu pogubiła.

-Przyrzekam. A teraz życzę pani spokojnej nocy i proszę wypić mleko. Zgasić telewizor?

- Jeszcze chwilę posiedzę, sama wyłączę.

- Dobranoc.

Edyta cicho zamknęła za sobą drzwi. Weszła do salonu, ogarniając wzrokiem pomieszczenie, czy zostawiła je

w należyтым porządku, żeby gospodarskie oko Heleny nie wypatrzyło jakiegoś uchybienia, choćby w niewłaściwym miejscu postawionego świecznika. Przystanąła obok komody, przyglądając się z ciekawością damie na portrecie.

Maria porównywała ją z dziewczyną z domu dziecka. Nie mogła tego stwierdzić na własne oczy. Janka... tam, miała na twarzy białą woalkę.

- Co pani robi tu z tacą?

Na niespodziewany dźwięk głosu Winter Edyta odwróciła się tak gwałtownie, że taca zachybotła się niebezpiecznie w jej rękach i talerzyk z ciastem przesunął się na sam brzeg, omal nie spadając na podłogę.

- Seniorka chciała, żeby zostawić jej tylko mleko, a ciasto zostawię w kuchni - Edyta wytłumaczyła się, widząc niezadowolenie na twarzy kobiety z jej obecności w wysprzątanym już salonie.

- To proszę tam iść, tu już nie ma pani co robić.

- Już idę. Zawsze na koniec pracy jeszcze raz sprawdzam dostępne pomieszczenia, czy wszystko dobrze zrobiłam, czy niczego nie zaniedbałam.

- To dobrze o pani świadczy - powiedziała cierpko Helena, czekając, aż Edyta wyjdzie z salonu.

- Dobranoc pani.

- Dobranoc.

Schodząc na dół, Edyta wiedziała, że Winter stoi przy balustradzie schodów, jakby pilnowała, dokąd pójdzie. Czyżby obserwowała jej wizyty u seniorki? Prawie namacalnie czuła jej spojrzenie na plecach.

Mąż, rzekomy ogrodnik, zdążył już ją zapoznać z niefortunnymi komentarzami Edyty, aż nadto wyraźnie oskarżającymi o udział w wydarzeniach upiornej nocy! Chyba niepotrzebnie się odkryła, powinna powściągnąć swój długi język! Noce na korytarzu mogą okazać się niebezpieczne, kiedy gaśnie światło, a w latarce brak baterii!

W kuchni zostawiła tacę, z pokoju zabrała szlafrok, przybory do kąpieli i udała się do łazienki, gdzie z przyjemnością poddawała się strumieniowi ciepłej wody, spływającej po ciele wraz z żelem pachnącym cytrusami.

Po powrocie do pokoju zapaliła lampkę, wyjęła z szuflady zeszyt Janki, usiadła na łóżku i jeszcze raz przebiegła wzrokiem jego kartki.

Instynktownie czuła, że powinna, że musi przekazać go staruszce. Nie potrafiła zrozumieć, jaki kieruje nią powód, żeby tak wstrząsający w swojej wymowie, krótki pamiętnik oddać starszej, schorowanej kobiecie.

Postanowiła uprzedzić Marię o zawartości zapisków, zanim staruszka zacznie czytać. Poprosi ją, o ile będzie to możliwe, żeby podeszła do tego bez emocji, bo ją, Edytę, zadrczyłoby sumienie, gdyby coś jej się stało.

Uspokojona, zamknęła w szufladzie zeszyt i wyjęła z kieszeni sukienki list do wysyłki. Na kopercie widniał adres: Teresa Tarnowska Szwecja.... Na odwrocie: Maria Bohdanowicz Bohdany k. Grudziądz ul. Leśna 1.

Edyta zamyśliła się.

List musi zawierać na tyle ważne wiadomości, że Maria z jakichś powodów nie powierzyła go nikomu z domowników, a właśnie jej, obcej osobie, której zaufała. Tego zaufania nie może zawieść. Włożyła go do szuflady, obok zeszytu Janki. Ogarnęło ją ziewanie, sprawdziła godzinę na zegarku. No tak, pora na sen, rano trzeba wcześniej wstać.

Zbliżała się północ.

Wzdrygnęła się, czując wokół zimny powiew, jakby nagle został włączony wentylator. Ale nie było go w pokoju. Chłód był tak nieprzyjemny, że rozejrzała się dookoła, szukając jego przyczyny. Nie znalazła. Okno było lekko uchylone, a na zewnątrz po upalnym dniu temperatura pewnością tylko lekko się obniżyła, nie aż tak, żeby do

pokoju wpadł powiew chłodu kładący się na policzki, szyję, przenikający pod szlafrok.

Nie trwało to długo, uspokojona wyciągnęła rękę, aby zgasić lampkę i wtedy...

Poczuła... dotyk jakby.. .czyjeś dłoni na ramieniu!

Wrażenie czyjeś obecności w pokoju było niesamowite!

Przerażona poderwała się, podbiegła pod drzwi, oparła się o nie plecami i rozglądała po pomieszczeniu, czując, jak gardło ściska się jej ze strachu a serce omal nie wyrwie się z piersi!

Ale nic złego się nie działo. Ciepłe światło lampki uspokajało, zza okna dochodził subtelny, jakże miły dla uszu szum drzew, ale owładnięta nagłym paralizem, nie mogła ruszyć się z miejsca. Świadomość... czyjeś obecności, wirtualnej, wprawiła Edytę w stan omalże paniki!

Bardzo powoli, tłumacząc sobie, że to był zwykły skurcz mięśnia szyi, zbliżyła się do łóżka i usiadła w miejscu, w którym doznała szokującego zdarzenia. To tylko nerwy! Nagromadzone emocje, które znalazły ujście w tak koszmarny sposób!

Jeszcze nogi pod nią dygotały, w głowie kołatała myśl o ucieczce do Urszuli, ale po upływie wielu długich minut zakpiła z samej siebie.

Na cały głos:

- Idiotko! Może zaczniesz widzieć duchy?! Dodawszy sobie tym otuchy, zgasiła lampkę, nakryła się kołdrą i zamknęła oczy.

Było cicho, głośnik milczał.

Pomyślała o Bartku, jego wyznaniu miłości do niej, wtulaniu się w jego ramiona, pocałunkach. Byłą szczęśliwa. Jutro znowu go zobaczy, tym razem na dłużej. Pojadą na wieś, będą razem, bez obawy odkrycia ich spotkań przez Helenę albo Urszulę. Reszta domowników gdzieś znika na cały dzień albo siedzi przed telewizorem. Kazimierza

widuje najrzadziej. Czasem Reginę, kiedy wchodzi do jej pokoju z odkurzaczem. Dziwna rodzina, która unika rozmów z pracownikami, a może po prostu uważają się za lepszych, z wyższej warstwy społecznej, z pękatymi portfelami?

Noc minęła spokojnie. Bez niespodzianek.

Edyta obudziła się o świcie, kiedy wschodzące słońce nie zdążyło jeszcze ogrzać powietrza i wkraść się do pokoju. Przykre zdarzenie minionej nocy wyrzuciła z pamięci. Dla własnego spokoju. W końcu czeka ją jeszcze wiele dni pracy, a o zmianę pokoju nie poprosi Heleny. Ze wstydu! Przełożona wypytywałaby o powód takiej decyzji, o którym Edyta nigdy nikomu by nie opowiedziała. Ziewając, wstała, podreptała do łazienki, po powrocie do pokoju założyła służbowy strój i udała się do kuchni.

Krzątała się tam już Wiesia, pachniało świeżo sparzoną kawą, słychać było szcęk talerzy i gwizd czajnika.

- Dzień dobry - zawołała Edyta.

- Zaraz przyjdę!

Po chwili Wiesia stanęła w progu i pokiwała głową, udając współczucie.

- Za wcześnie dla ciebie? - zapytała, widząc smętną minę Edyty.

- Nie, ale wczoraj dosyć późno kładłam się spać i trochę jestem niewyspana.

- Proponuję mocną kawę.

- Poproszę. Nie jestem jej wielką amatorką, ale z chęcią wypiję.

- Zaraz przyniosę.

-Zaczekaj - powstrzymała ją Edyta. - Wiesz, źle się czuję, z powodu wczorajszych wygłupów, wyspanych z przysłowiowego palca... no tych... bajeczek o proszku, cieście i tym podobnych. Taka już jestem, czasem niepoważna, coś wyolbrzymiam... głupio mi.

To była próba odwrócenia od siebie uwagi, zrobienia z siebie zwykłej, paplającej bez sensu dziewczyny, która przy najbliższej okazji znowu może palnąć coś, w co niekoniecznie trzeba uwierzyć.

Wiesia słuchała jej z kamienną twarzą.

-Tak? - uniosła brwi. - Odniosłam wrażenie, że mówisz poważnie, ale to nie ma znaczenia. Każdy może opowiadać na lewo i prawo, co mu się tylko podoba. Chociaż jesteśmy w zamku, to nie zamyka się tu nikogo w lochu za bajeczki.

- Ulżyło mi. Zapomnijmy już o tym.

- Edyta... jeżeli chciałabyś... kiedyś... ze mną pogadać. .. to jestem po twojej stronie - padło niespodziewanie z ust Wiesi.

Edyta, zaskoczona jej propozycją, udała całkowite jej niezrozumienie.

- Jeżeli nie powściągnę swojego długiego języka? -udała pierwszą naiwną, ulubione powiedzenie siostry.

- Powiedzmy. Idę zrobić ci kawę, a śniadanie dla Bohdanowiczów jest już w windzie. Herbatę zaparzę później, żeby nie wystygła.

- O! Dzięki.

Dla Bohdanowiczów! Edyta rozkoszowała się aromatyczną kawą, podaną przez... osobę z rodziny Bohdanowiczów! Propozycję Wiesi skojarzyła z nie tak dawną podsłuchaną przez przypadek rozmową w jadalni pomiędzy nią a jej matką. Wówczas dziewczyna, wyraźnie przerażona, odkryła jej obecność w kuchni! Tłumaczyła się z prawie pyskówki w sposób dość niewiarygodny.

Po naradzie rodzinnej połączyli ze sobą wszystkie wydarzenia, które mogły ujawnić ich prawdziwą tożsamość, a teraz dziewczyna z jakichś powodów składa jej tak osobliwą deklarację!

Uff!

Edyta odstawiła pusty kubek na stół i wychodząc z jadalni, rzuciła w stronę krzątającej się w kuchni, Wiesi:

- Dziękuję za wspaniałą kawę!
- Śniadanie o tej porze co zawsze!

Godziny pracy wlokły się, Edyta z niepokojem sprawdzała, która jest godzina, myśląc o spotkaniu z Bartkiem, na które może albo się spóźnić, albo obserwowana przez Helenę, w ogóle nie będzie mogła wyjść z zamku.

Zbliżała się pora spotkania.

Edyta odkurzając na parterze manekiny, co chwilę patrzyła w okno, pomimo że z tej perspektywy nie zobaczyłaby ani Bartka, ani jego samochodu, który parkował dalej od bramy zamku, aby nie został dostrzeżony.

Już powinien być w umówionym miejscu!

Edyta przez chwilę nasłuchiwała dostojnych kroków Heleny, ale wokół panowała cisza. Uspokojona, odłożyła miotłkę do odkurzania, podeszła do wyjściowych drzwi, nacisnęła klamkę i wyszła na zewnątrz.

Oniemiała, kiedy zobaczyła stojącą tuż przy wejściu Helenę!

- Słucham panią? - ta wbiła w nią przenikające na wskroś spojrzenie.

To była deska ratunku, podrzuciona przez samą Winter! Edyta błyskawicznie podjęła ryzykowną grę, która zmusiłaby kobietę do wejścia do zamku.

- Szukałam pani... bo nie wiedziałam, gdzie pani jest... ponieważ... jakiś czas temu... pani Maria prosiła panią do siebie.

- Co się stało?

- Nie wiem... chyba nic.

-Jakiś czas temu - powtórzyła zgryźliwie Helena. - Do niektórych spraw ma pani szybszy refleks. Proszę mnie powiadamiać natychmiast!

- Oczywiście, postaram się.

Zarządzająca posiadłością zniknęła za drzwiami, Edyta nie chcąc być widoczną z okien, przeszła wzdłuż budynku, minęła wieżę i weszła w alejkę parku.

Miała wyrzuty sumienia, że musiała posłużyć się kłamstwem i wciągać w to nic nie wiedzącą o jej wybiegu Marię, ale nie miała wyboru. Nawet jak staruszka zdziwiona zaprzeczy, to Helena zrzuciła na karb jej choroby. Później seniorkę przeprosi i wytłumaczy się z tego małego kłamstwa, ale w tej chwili najważniejszy jest list! A żeby go wysłać, musi spotkać się z Bartkiem!

Już jest! Chłopak przechadzał się po alejce, pewnie znudzony siedzeniem na ławce, odwrócony do niej plecami. Dopiero kiedy Edyta podbiegła do niego, odwrócił się i zadowolony rozpostarł ramiona.

- Już zacząłem wątpić, że przyjdiesz - przytulił ją do siebie. - Chodź, znalazłem łatwiejsze przejście przez mur.

Edyta zaczęła szybko mówić:

- Nie mam teraz czasu. Słuchaj, mam teraz ranną zmianę. Moja zmienniczka mnie zaskoczyła, z ledwością wydostałam się z zamku. Musimy spotkać się później, za jakieś dwie, trzy godziny... jeżeli... zaczekasz... albo... wrócisz do domu i... przyjedziesz - patrzyła mu w oczy z niepokojem.

- Co ja tu będę robił przez ten czas? - Bartek zasepił się. - Trudno, przyjadę jeszcze raz. O której?

- Pewna jest godzina... szesnasta. Przyjedziesz? Na pewno?

- Nawet w nocy. Przyjechałem tutaj nawet wcześniej, niż się umówiliśmy. Nie mogłem znaleźć sobie miejsca, kręciłem się w kółko w domu, aż wsiadłem do samochodu i jestem.

- Więc o szesnastej. Muszę już iść - Edyta powiedziała z żalem i wysunęła się z jego uścisku.

- Tak się nie rozstaniemy - Bartek objął ją za szyję i pocałował w usta.

- Będę czekał. Idź już. Nie chcę, żebyś miała przeze mnie nieprzyjemności.

Edyta rozejrzała się wokoło, wypatrując ewentualnych świadków ich spotkania, potrzebnych jak piąte koło u wozu i odchodząc, rzuciła do Bartka:

- Bardzo się cieszę, że się poznaliśmy i zanim zasnę, myślę o tobie.

Przyłożyła palce do ust, imitując pocałunek, i szybkim krokiem ruszyła do zamku. W głowie kołatała jej tylko jedna myśl! Oby po drodze nie spotkać Heleny! Czowała z emocji mrowienie końca palców dłoni, oczy wpatrywały się z napięciem w drzwi wejściowe budynku, nawet przygotowała wersję złapania świeżego oddechu w parku i kiedy wreszcie weszła do środka, odetchnęła z ulgą.

Dopiero w salonie podczas nakrywania stołu białym obrusem usłyszała skrzypnięcie drzwi i dobrze rozpoznawalne kroki Heleny. Czekwała na porządną burę, ale ta w milczeniu obeszyła salon, po czym bez słowa wyszła.

Edyta usiadła przy stole, patrząc przed siebie, odreagowała najście Winter; kobiety zarządzającej majątkiem, który chce rozgrabić! Wszelkie zasłyszane rozmowy i własne domysły aż nadto na to wskazywały!

Kiedy się uspokoiła, zeszła do kuchni, nacisnęła włącznik windy i wyszła, budząc swoim milczeniem zdziwienie Wiesi.

Gdy zaniósła obiad do pokoju seniorki, poinformowała ją o wybiegu, którym posłużyła się, chcąc mieć swobodę działania w sprawie wysyłki listu.

- Nie wiem, Edyto, czy była u mnie, bo bardzo smacznie spałam - pokręciła z rozbawieniem głową Maria, siadając przy lawie. - Teraz nie będę zaskoczona, kiedy Helena zapyta mnie, czego od niej chciałam. Tylko powiedz mi, bo trochę jestem o ciebie niespokojna, jaki wymyśliłaś sposób na wyjście z zamku, bo przecież nie przez bramę.

- Pani Mario, wszystko pani opowiem później -zapewniła ją Edyta. - Wieczorem przyniosę pani perełki i zeszyt z zapiskami Janki, ale... notatki tej dziewczyny są bardzo

smutne, nie chciałabym, aby pani się nimi przejęła i... żeby pani zbyt nie wzruszyła.

-Nie bój się o mnie, dziecko. Owszem, jestem już w podeszłym wieku, ale moje serce jeszcze niejedno wytrzyma. Zapewniam cię. Nawet nie wiesz, jaką sprawiłaś mi radość - twarz Marii rozjaśniała, oczy zabłysnęły, usta rozciągnęły się w lekkim uśmiechu.

- Pomyślałam, że... o ile pani nie miałaby nic przeciwko temu... mogłabym chwilę u pani posiedzieć, kiedy będzie pani czytała...

- Edyto - powiedziała z wyrzutem staruszka. - Ty też uważasz mnie za tak słabą kobietę, że trzeba mnie na każdym kroku pilnować? A właściwie sprawdzać, czy jeszcze żyję?

- Nie to miałam na myśli - ta zmieszła się pod wpływem karcącego spojrzenia Marii. - Przepraszam, ale kiedy zapoznałam się z tymi zapiskami, to byłam bardzo poruszona, różne myśli przychodziły mi do głowy.

- Pewnie i ja tak to odbiorę. Nie martw się, a teraz idź do jadalni, bo wystygnie i twój, i mój obiad - staruszka powiodła wzrokiem po rozstawionych z obiadem talerzach. - Tak to wszystko pięknie pachnie, Wiesia bardzo dobrze gotuje.

Edyta życzyła smacznego, zeszła na parter i udała się do jadalni, gdzie w towarzystwie Urszuli, ogrodnika i Wiesi z apetytem skonsumowała podany posiłek, nie zabierając głosu między jednym a drugim daniem, co wzbudziło zdziwienie obecnych przy stole.

- Nic nam dzisiaj ciekawego nie opowiesz? - zapytała kąśliwie Urszula, badawczo się jej przyglądając.

- Nie, bo nic ciekawego się nie wydarzyło. Bajek nie będę ani opowiadać, ani wymyślać - Edyta udała, że nie zrozumiała jej aluzji. - Idę do salonu, pewnie tam już nikogo nie ma, i do pani Marii po talerze. I na dzisiaj koniec pracy.

- Pójdiesz do parku? Dzisiaj też słońce mocno grzeje. Skorzystaj - rzuciła Wiesia. - Kwiaty na klombach pięknie kwitną. Dzięki naszemu panu ogrodnikowi - spojrzała na Stefana.

Na swojego ojca! Edyta patrzyła na oboje, z trudem ukrywając niechęć. Z każdą godziną narastała w niej złość, bunt przeciwko niemożności przeciwdziałania temu, co działo się w zamku. Nie tylko z obawy o własne bezpieczeństwo, ale i seniorki, która być może nie zdawała sobie sprawy z wydarzeń, które rozgrywały się w murach jej zamku. Nigdy w rozmowie z Marią nie padła z jej ust żadna sugestia dotycząca zauważonych przez nią lub usłyszanych niepokojących zdarzeń.

Podpowiedź Wiesi natychmiast wykorzystwała. Będzie miała większą swobodę poruszania się po terenie posiadłości.

-Panie Stefanie, czy pozwoli mi pan zerwać kilka kwiatów z klombu, do pokoju? Wstawię je do... - Edyta zastanowiła się - do słoika.

- Może pani, ale niech pani nie ogołoci go do ostatniego kwiatka - ogrodnik starał się być dowcipny.

- Wiesia, znajdziesz jakiś słoik albo wazon?

- Znajdę.

- Dzięki.

Po przejściu przez Urszulę drugiej zmiany Edyta wróciła do swojego pokoju i otworzyła szafę. Do przechodzenia przez mur konieczne są długie spodnie. Wyszukała wśród fatałaszków dzinsy i cienki sweterek z długim rękawem, który można podwinąć powyżej łokcia. Teraz, bo po południu pogoda może się gwałtownie zmienić, więc cieplejsza rzecz przyda się na ewentualny chłód, nawet pomimo tego, że będą jechać samochodem. Chciała wykorzystać wydostanie się z zamku i pooddychać leśnym powietrzem, ale na „wolności”. No i oczywiście adidas. Nikt nie chodzi po murach w sandałkach. Tuż przed wyjściem do Bartka

zrobiła lekki makijaż, bo... chciała być po prostu ładniejsza! Podkreśliła niebieską kredką kolor oczu, przyciemniła brwi, położyła błyszczący na usta, wszystko w granicach umiaru, dobrego smaku.

List złożyła w połowie, ale nie mieścił się w kieszeni spodni. Złożony w kostkę będzie wyglądał nieelegancko, wręcz niechlujnie i pognieciony zapewne wzbudzi na poczcie u pani zza okienka niesmak, ale w samochodzie zaraz go wyprostuje. Załamania zostaną, ale wysyła go w warunkach tajnych, „wojennych”, co usprawiedliwi jego wygląd. Do drugiej kieszeni włożyła telefon. Cieszyła się na myśl, że wreszcie powiadomi matkę i siostrę o swoim pobycie w Bohdanach i wytłumaczy, dlaczego tak długo się nie odzywała.

Kilka minut przed szesnastą wyszła na dziedziniec. O mały włos by zapomniała o zerwaniu kwiatów z klombów!

Z każdego zerwała kilka kwiatów i zanurzając twarz w pachnącym bukicie, spacerowym krokiem poszła w głąb parku.

Bartka nie było.

Edyta była bliska załamania. Zaufała mu, uwierzyła w słodkie słówka, które okazały się warte tyle, co zeszłoroczny śnieg. Ale nie to było najważniejsze. Bez niego nie ma szans na wysłanie listu, owszem, jakoś wdrapałaby się na mur po wystających kamieniach, ale nie знаła drogi do wsi, nawet nie miała pojęcia, w którą stronę miałyby się udać. Przez las jakąś dróżką, czy szosą, po drodze pytając kierowców o właściwy kierunek albo prosząc ich o podwiezienie? Tego chciała uniknąć. Nigdy nie wsiadała do samochodu nieznanym osobom, bez względu na ich płeć. Taką zasadę wyniosła z domu, dodatkowo pogłębiły ją oglądane w telewizji ostrzeżenia o pijanych za kierownicą czy dewiantach seksualnych i migawki z wypadków drogowych.

Bartek nie należał do żadnej z tych kategorii, znali się co prawda zbyt krótko, aby pisać o nim peany, ale serce podpowiadało jej, że z nim może czuć się bezpiecznie.

Do dzisiaj.

Edyta rozglądała się wokoło, przeszła na drugą alejkę, w końcu wróciła i bliska płaczu usiadła na ławce... czekając...

Z bezsilności wobec nieoczekiwanego zwrotu sytuacji, zaczęła wyrywać płatki kwiatów: przyjdzie, nie przyjdzie, przyjdzie...

Usłyszała jakiś szelest za plecami, po chwili jakieś ramiona mocno ją objęły i poczuła cichy szept przy uchu:

- Jestem!

Zanim zdążyła oburzyć się, powiedzieć mu kilka przykrych słów na temat niesłownych facetów, już siedział przy niej i całował włosy pachnące wiatrem, gorące policzki, oczy, które jeszcze nie tak dawno błyszczały zbierającymi się łzami i w kółko powtarzał:

- Przepraszam i kocham...

- Bartek, gdybyś wiedział, co przeżywałam - Edyta łapała oddech między kolejnymi gorącymi pocałunkami. - Nawet chciałam iść pieszo, bo przyrzekłam seniorce... jak mogłeś kazać mi czekać?

Trzymała głowę na jego ramieniu i patrzyła mu rozżalona w oczy.

- Z dwóch powodów - Bartek nadal ją czule obejmował. - Moja honda od dawna powinna stać w warsztacie u mechanika, a po drugie jeszcze raz obszedłem mur od strony szosy, bo jest najbliżej, i znalazłem dość łatwe miejsce do przejścia na drugą stronę. Nawet dziecko dałoby sobie radę.

- To chodźmy, nie mogę zniknąć na dłużej, bo Helena, wiesz, ta zarządzająca, zacznie coś podejrzewać - Edyta wstała i pociągnęła Bartka za rękę. - Od pewnego czasu czuję jej oddech na plecach.

- Dlaczego? Nie podoba się jej twoja praca?
- To o wiele poważniejsze. Zastanawiam się, czy mogę ci to, co się dzieje w zamku, opowiedzieć.
- Możesz. Nawet będę nalegać, nie chcę, żeby coś ci się niedobrego tutaj przydarzyło, a widzę po twojej minie, że wesoło to tu nie jest.
- Nie jest, ale teraz musimy jechać na pocztę.
- Idź za mną.

Bartek ruszył wzdłuż muru, przytrzymując gałęzie, aby nie poraniły Edyty. Przeszli kilkadziesiąt metrów, potem na przełaj między drzewami i po chwili ukazał się wykruszony miejscami mur, a pod nim... kilka starych nagrobków!

- To ten cmentarzyk! - zawołała Edyta. - Jaki zapuszczony!

Podeszła bliżej, wiodąc z ciekawością wzrokiem po pionowych płytach z nazwiskami pochowanych osób. Kamienie były zanieczyszczone, miejscami pokryte mchem, a napisy trudne do odczytania. Wszystkie nagrobki pokryte były zeschniętymi liśćmi, niepielęgowane od lat.

W niewielkiej odległości od starych nagrobków Edyta spostrzegła usypany z piasku kopczyk, przykryty jedyną, uschniętą już wiązanką kwiatów, nad nim drewniany krzyż, bez tabliczki, którą prawdopodobnie zerwał wiatr podczas szalejącej burzy.

- Edyta! Chodźmy już!
- Zaraz. Tu leży ta dziewczyna, o której ci mówiłam, że tu pracowała. O! Tu leży jakaś tabliczka!

Edyta podniosła metalową tabliczkę, i przeczytała:

- Janina Kowalska. Lat 18. I to wszystko.
- Trzeba ją przybić do krzyża. Poproszę o to ogrodnika.
- Ja też to mogę zrobić, ale czas ucieka - Bartek stał przy murze, ponaglaając Edytę. - Chciałbym być dłużej z tobą, na groby przyjdzie czas. Chodź już.

Wspinaczka po wystających kamieniach była dziecinnie łatwa. Po drugiej stronie muru czekał Bartek, który asekurował ją przy schodzeniu, a właściwie cały czas trzymał w pól, dopóki nie stanęła na ziemi.

Edyta otrzepała ubranie z kurzu i ruszyli lasem do zaparkowanego przy jego skraju samochodu.

Bartek otworzył drzwiczki, wsiedli, zapalił silnik i odjechali.

- Wiesz, jak dojechać na pocztę? - zapytała Edyta, wyjmując list z kieszeni spodni.

-Wiem, ale zastanawiam się, czy jest jeszcze czynna. Na wsiach chyba zamykana jest wcześniej niż w mieście, ale mogę się mylić.

-To pojedziemy do Grudziądza, jest mi to obojętne - Edyta wygładzała ręką pogniecioną kopertę. - Jestem już po pracy, a z prywatnego czasu nie muszę się tłumaczyć. Z zamku nie wychodziłam - zachichotała. - Nikt mi bramy nie otwierał i nikomu do głowy by nie przyszło, że właśnie sforsowałam mur i jadę na wieś!

- Wiesz, ten zakaz opuszczania zamku w wolny dzień jest taki dziwny. Zupełnie tego nie rozumiem.

-Zrozumiałbyś, gdybyś tam pracował. Muszę to wszystko jeszcze raz przemyśleć i wtedy porozmawiamy. Dzisiaj chcę spełnić prośbę seniorki i wreszcie mieć to za sobą.

Na pocztę, mieszczącą się w starym, parterowym budynku przyległym do sklepu spożywczego, dotarli tuż przed zamknięciem. Na jedynym oknie poczty widniała metalowa krata. W środku za okienkiem siedziała młoda kobieta.

- Dzień dobry - Edyta wsunęła list pod szybę okienka. - Poproszę priorytetem i poleconym.

- Ma pani szczęście, bo za kilka minut nic już by pani nie załatwiła. Proszę jeszcze wypełnić potwierdzenie nadania - kobieta podała Edycie mały druczek.

- Kiedy dojdzie do adresata?
- Z głównej poczty szybciej, a dzisiaj już od nas nie ma wysyłki. Myślę, że za kilka dni. Polecony idzie dłużej.
- Edyta opłaciła przesyłkę, podbity pieczątką druczek nadania listu schowała do kieszeni spodni i wyszła z Bartkiem z budynku.
- Seniorka będzie zadowolona, że list wkrótce dojdzie do jej córki. Jeszcze w taki sposób nie wysyłałam listów - odetchnęła głęboko Edyta, wsiadając do samochodu.
- Musisz już tam wrócić? Chciałbym wreszcie nacieszyć się tobą, bez obawy, że ktoś nas z zamku zobaczy - Bartek spojrzał na nią błagalnie.
- Nie muszę, nie sędzę, żeby ktoś za mną tam tęsknił, szczególnie Helena. Zaczyna mnie męczyć to jej gderanie i wyniosłość, jakby to ona była właścicielką zamku - powiedziała z niechęcią Edyta, zapinając pasy bezpieczeństwa.
- Do kiedy masz umowę o pracę?
- Nie mam umowy, tylko takie pisane na kolanie oświadczenie, że podejmuję pracę na miesiąc.
- Hm... - Bartek zapalił silnik i wyjechali na ubitą, wiejską drogę. - No cóż, nie chcą ponosić żadnych kosztów, teraz to jest na porządku dziennym.
- Za to oferują przyzwoite wynagrodzenie, a na umowie mi nie zależy. Za zarobione pieniądze chcę pojechać nad morze, od dawna o tym marzę i oby się spełniło.
- Pojechałabyś ze mną? Znam doskonale wybrzeże, byłbym dobrym przewodnikiem.
- Bartek pieszczotliwie musnął dłonią jej krótką czuprynkę.
- Zaskoczyłeś mnie. Nie wiem, co mam ci powiedzieć - Edyta zastanawiała się nad propozycją. - Wyjechałabym na tydzień, dwa, bo chyba tylko na tyle starczyłoby mi kasy na opłatę pokoju w pensjonacie.
- Mam lepszą propozycję. W Gdyni wynajmuję mieszkanie. Możesz tam zamieszkać, bez ponoszenia żadnych

opłat. Oczywiście ze mną - Bartek uśmiechnął się szelmowsko.

- Za miesiąc dam ci odpowiedź, ale to byłoby dobre rozwiązanie. Nawet z tobą - Edyta przysunęła się i cmoknęła go w policzek.

- Zawiozę cię, gdzie tylko będziesz chciała - chłopak miał zadowoloną minę. - Spójrz tam - pokazał na leśny dukt. - Samochodem nie wjadę, ale zrobimy sobie spacer z daleka od jakichkolwiek murów.

-W ciszy, słuchając jedynie świergotu ptaków, wdychając leśne, cudowne powietrze - rozmarzyła się Edyta. - Brakowało mi tego. Mam nadzieję, że tutaj jest zasięg i komórka będzie działała.

- Zaraz się przekonasz.

Bartek zatrzymał samochód na wąskim pasku murawy ze śladami kół innych pojazdów. Edyta wysiadła, odeszła kilka kroków i wyjęła z kieszeni komórkę. Bartek czekał, oparty o drzwiczki hondy.

Zasięg jest! Nareszcie! Edyta odetchnęła z ulgą. Najpierw połączy się z matką. Na pewno denerwuje się jej milczeniem.

- Mama? To ja.

- Edyta! Wydzwaniam do ciebie kilka razy dziennie! Już chciałam do ciebie przyjechać! Co się z tobą dzieje?!

- Wszystko jest w porządku, mamo. Pracuję, za niecały miesiąc przyjadę do domu, a nie dzwonię, bo tam nie ma zasięgu. Teraz jestem poza terenem zamku i możemy rozmawiać.

- Chociaż zadowolona jesteś z pracy, bo jeżeli przepracujesz się, to wracaj! Wiesz, że byłam przeciwna temu wyjazdowi.

- Praca jest na dwie zmiany, a do moich obowiązków należy to samo, co się robi w domu. Wszystko, oprócz gotowania, więc nie martw się. Jeżeli będę miała jeszcze okazję, to zadzwonię.

Usłyszała zaniepokojony głos matki.

- To gdzie teraz jesteś?

Edyta z żalem wykręciła się od podania prawdziwych okoliczności, sprzyjających połączeniu się z matką. Nie zrozumiałaby, dlaczego jej córka chodzi po murach, a już zakaz opuszczania terenu posiadłości przyprawił by ją o palpację serca!

- Właśnie poza zamkiem, niedaleko. Służbowo - podkreśliła żartobliwym tonem głosu. - Będę kończyć mamó, całusy - cmoknęła do słuchawki.

- Dzwoni tak często, jak będziesz mogła.

- Dobrze, do zobaczenia. Zadzwoń jeszcze do Oli. W telefonie siostry odezwała się poczta głosowa. Edyta nagrała kilka zdań i wróciła do Bartka.

- Możemy już iść? - chłopak przygarnął ją do siebie i zajrzał w oczy. - Sarenko z błyszczącymi, pięknymi oczami. Mógłbym je całować, całować...

Miał takie zniewalające spojrzenie, ciepły tembr głosu a jego usta błędzące po jej szyi, włosach wywoływały tak przyjemny dreszcz, że mogłaby tak stać wtulona w niego i poddawać się jego pocałunkom i uściskowi ramion. Spotkanie z nim rekompensowało wszystkie niepokoje, przykre wydarzenia, których była świadkiem w zamku, a świat wokół wydawał się bardziej przyjazny, atrakcyjny, kolorowy.

- Edyta - Bartek ujął jej twarz dłońmi. - Powiem to bardzo poważnie. Czekała na...

- Kocham cię. Od pierwszego spotkania przy bramie. Patrzyłem na ciebie przez kraty w bramie i już wiedziałem, że nie odpuszczę. Będę prosił, zebrał chociaż o przyjaźń... ale to za mało.

Edyta słuchała go z zapartym tchem, przytulona, szczęśliwa.

Bartek patrzył pytająco.

- Chcesz mi coś powiedzieć? - zapytał cicho. Skinęła głową.
- Tak i... boję się.
- Boisz się powiedzieć, że... też mnie kochasz? Ponownie skinęła głową.
- Dlaczego? Ludzie wyznają sobie miłość. Nie jesteś pewna swojego uczucia? - dopytywał gorączkowo.
- Jestem i dlatego boję się, że minie czas twoich wakacji, wrócisz na studia, a odległość nie sprzyja żadnemu związkowi.
- Czasem nie sprzyja, ale my o tym jeszcze nie wiemy. Kocham cię i nie wypuszczę cię z ramion, dopóki nie usłyszę, że nie boisz się i... - Bartek zawiesił głos.
- Kocham cię.
- Kochana.

Stali przytuleni do siebie, owiani delikatnym tchnieniem wiatru przynoszącym zapach mchu, świerkowych gałązek, muskani prześwitującymi przez korony drzew, słabnącymi już promieniami słońca.

Czas nieubłaganie płynął.

Edyta oderwała się od Bartka i pociągnęła go za rękę za sobą.

- Chodź, przejdziemy się jeszcze i muszę wracać. Przy tobie zapominam o całym świecie, a raczej o powrocie do zamku.

Trzymając się za ręce, ruszyli wąską leśną dróżką. Po jakimś czasie wyszli na polanę.

-Usiądziemy na tym pniaku? - zapytał Bartek, ruchem głowy wskazując niewielką kłodę leżącą pod rzędem drzew otaczających polanę.

- Ale tylko na chwilę. Przypomniałam sobie, że na ławce zostawiłam kwiaty i jeżeli przez przypadek znalazłaby je moja zmienniczka albo Helena, to z pewnością byłabym w ogniu wścibskich pytań, dlatego je zostawiłam.

- Nie martw się o nic, chociaż przez chwilę. Proszę.

Bartek mocniej ścisnął jej rękę. Potem objął i powoli, w milczeniu szli przez polanę. Edyta czuła się przy nim, jakby znali się od lat, a nie zaledwie od kilku dni. Tak dzieje się między ludźmi darzącymi się szczerym uczuciem miłości i przyjaźni.

Kochała i była kochana!

Chciała rozpostrzeć ramiona i wykrzyczeć to, zakłócić dostojną ciszę lasu, biec przed siebie, poczuć na twarzy pęd, muskanie wiatru...

Jak Janka! Tylko że ona pisała o wysokiej wieży... To porównanie zmroziło ją! Dość tego! Jest z Bartkiem, czuje się bezpieczna, kocha go!

Pniak okazał się częścią ściętego drzewa. Było ich w pobliżu więcej. Usiedli, obejmując się.

- To chyba legalna wycinka? - spytała Edyta, patrząc na leżące ścięte na równe części kłody.

- Na to wygląda. Przy jakiej ulicy mieszkasz w Grudziądzu? - zapytał Bartek.

- Na Mozarta. A ty?

- Dalej od ciebie. Na Chrobrego.

- Nie przedstawiłem się do końca. Jestem Dybowski.

- Mroczkowska. Wydaje mi się, że gdzieś już słyszałam takie nazwisko... być może podobne.

- Pewnie Dybowskich jest tylu, ilu Kowalskich.

Bartek pochylił się do jej ust, zaczął całować... Edyta zarzuciła ręce na jego szyję i zamknęła oczy. Tak lepiej obierała pocałunki, coraz bardziej namiętne, gorące... Mogłoby tak trwać i trwać...

Gdzieś w oddali zagrzmiało. Spadły pierwsze, drobne krople deszczu. Ochłodziło się.

Z żalem, z ociąganiem odsunęli się od siebie i spojrzeli do góry. Niebo zasnuły szare chmury.

Bartek wstał i wyciągnął do Edyty rękę.

- Wracajmy, dopóki nie leje. Znosi się na porządną burzę.

W drodze do samochodu dosięgnęły ich już grube, ciężkie krople, z każdą chwilą przybierające na sile. Szli, kryjąc się pod drzewami, słycać było szum deszczu.

Bartek podbiegł do samochodu i otworzył pilotem drzwiczki. Edyta, siedząc na fotelu, przetarła dłońmi mokre włosy.

- Dobrze, że są krótkie, to szybko wyschną, ale potem będzie gorzej. Kamienie w murze będą śliskie i brudne -zmartwiła się.

- Mur otoczony jest drzewami, nie będzie tak źle -pocieszał ją Bartek, ruszając z miejsca postoju. - Zanim dojedziemy do zamku, może przestać padać. A swoją drogą, jeszcze nie miałem okazji wchodzić przez płot na randkę, a w zasadzie przez zabytkowy mur.

Edyta zaśmiała się.

-Gdyby teraz, przy powrocie do zamku, ktoś nas z boku obserwował, pomyślałby, że się włamujemy.

- Następnym razem kiedy będziesz wybierała się na pocztę, przyniosę drabinkę, taką sznurową. Marynarską - zażartował Bartek, mrugając do niej.

- O właśnie! Już dzisiaj mogłeś się w taką zaopatrzyć -Edyta śmiała się, wyobrażając sobie siebie wspinającą się po jej stopniach.

- Wiesz, szkoda, że dzieli nas taka odległość. Dla jazdy samochodem niewielka, ale co innego mam na myśli. Tylko że musiałbym być wtedy blisko zamku.

- Co wymyśliłeś?

- To nie ja. Pokażę ci znaki alfabetu Morse'a, a konkretnie S.O.S, wiesz o czym mówię?

- Nawet dziecko wie - obruszyła się Edyta.

- Trzy znaki krótkie, pięć długich i znowu trzy krótkie. Latarką albo... lusterkiem. Z wieży.

- Myślisz, że byłabym w takich opałach? Pewniejsze by było przejście przez mur i telefon do ciebie, albo... wolę o tym nawet nie myśleć, ale te znaki zapamiętam.

- Lepiej wiedzieć więcej niż mniej - stwierdził filozoficznie Bartek.

Do zamku było już blisko. Deszcz tylko siąpił, zrobiło się mroczno, na niebie wisiały ciężkie, szare chmury. Zatrzymali się przy najbardziej odległym od zamku odcinku muru, pod którym znajdowały się nagrobki.

- O której mam jutro przyjechać? - zapytał Bartek.

- O szesnastej. Nie wezmę drugiej zmiany, nie dam się namówić. To się ustala z góry. Chodźmy, nie ominie nas wspinaczka, a właściwie mnie, ty już nie musisz przechodzić na drugą stronę. Dobrze, że w tym miejscu brakuje kamieni i mur jest dość niski - Edyta wysiadła z samochodu, weszła pod drzewa otaczające ogrodzenie i zaczęła na Bartka.

- Myślisz, że pozwoliłbym ci samej tam się wdrapywać? - chłopak wziął ją za rękę i kryjąc się pod drzewami, razem doszli do wyłomu w murze.

Edyta z obawą spojrzała na kamienie. Wbrew oczekiwaniom Bartka były mokre i zapewne śliskie.

- Wybrudzę się. Obym po drodze do zamku nikogo nie spotkała ani tym bardziej w środku - zatrwożyła się.

- Wkurza mnie to! Żeby nie można było wyjść przez bramę, tylko po kryjomu, po płotach! - rzucił wyraźnie zdegustowany Bartek. - Wejść pierwszy i podciągnę cię.

Kiedy oboje znaleźli się po drugiej stronie muru, przedstawiali żałosny widok. Zgodnie z przewidywaniem Edyty zmoczone deszczem kamienie pozostawiły na ich ubraniach brudne i mokre plamy.

- Ktokolwiek mnie by teraz zobaczył, nabrałby podejrzeń co do stanu mojego umysłu. Mokra i ubłocona - Edyta patrzyła ze zgrozą na przyklepiony do ciała brudny sweterek i spodnie. - A ty wyglądasz nie lepiej ode mnie. Dzięki mnie - powiedziała przepraszająco do Bartka.

- To nie ma znaczenia. Ja wsiądę do samochodu, a Ty masz kawałek drogi do zamku.

- Idę. Do jutra. Coś wymyślę, gdybym kogoś spotkała. Wezmę jeszcze kwiaty z ławki, pewnie wyglądają tak samo jak my. Pożegnamy się na odległość, bo się przykleimy do siebie.

- Mnie to nie przeszkadza - Bartek objął ją i pocałował. - Przyjadę jutro, nawet w deszcz.

- Przyjdę z parasolką. Do zobaczenia.

Edyta trzymając zmokniętą wiązaną kwiatów i chowając się pod koronami drzew, wyszła na dziedziniec zamku. Minęła klomby i fontannę.

Pełna nadziei, że uda się jej przemknąć do pokoju niezauważonej, weszła do korytarza zamku.

Nagle drzwi biura Winter, skrzypiąc i wywołując jej przerażenie, otworzyły się i... pierwsza wyszła... Regina, a za nią Helena.

Stały naprzeciw siebie w równym stopniu zaskoczone, patrząc na siebie z niedowierzaniem potęgowanym zdumieniem Reginy, narastającą złością w oczach Heleny i głupią miną Edyty z pękiem zwisających, ociekających wodą kwiatów.

Trwało to tak długo, iż zdawałoby się, że dłużej niż jazda w tą i z powrotem na pocztę.

Pierwsza ochłonęła Regina Bohdanowicz.

-Pani Edyto! Jak pani wygląda?! Co się pani stało?! - zawołała, mierząc ją wzrokiem od czubka głowy po kostki nóg.

- Ja... przewróciłam się, po deszczu jest ślisko... -Coraz bardziej mnie pani zadziwia - powiedziała

uszczypliwie Helena. - Nie przypuszczałam, że ma pani taką fantazję, żeby chlapać się w błocie! A do tego pani widzi i słyszy dziwne rzeczy!

- Wróciłam po kwiaty, bo jak zaczęło padać, zapomniałam o nich... zostawiłam na ławce w parku i... stało się - Edyta z satysfakcją łągała, rozkładając bezradnie ręce i patrząc prosto w oczy Winter.

- Proszę szybko się przebrać, bo się pani jeszcze rozchoruje - powiedziała z troską Regina. - Mam u siebie tabletki przeciwgorączkowe, w każdej chwili może pani do mnie przyjść.

- Dziękuję, na pewno skorzystam, jeżeli coś się będzie niedobrego ze mną działo. Pójdę zdjąć te mokre rzeczy.

Edyta wyminęła kobiety, otworzyła kluczem drzwi swojego pokoju, cicho zamknęła je za sobą i z ulgą zdjęła z siebie brudne ubranie. Dowód nadania listu i resztę pieniędzy położyła na stoliku, zanieś je razem z pamiętnikiem i perełkami seniorce.

Podeszła do lustra i przyjrzała się sobie. Z mokrymi, rozrzuconymi na wszystkie strony smętnie wyglądającymi włosami i resztkami makijażu nie wygrałaby nawet konkursu na ekscentryczną gwiazdę choćby podwórka i doskonale rozumiała reakcję dwóch kobiet na jej widok.

Wybuch złości Heleny dobitnie świadczył o niechęci, którą wobec niej żywiła. Zapewne od czasu, kiedy zaczęła popisywać się w jadalni przy jej rodzinie swoimi wywodami na temat nocnych odkryć, które w gruncie rzeczy były oskarżeniami, niezbyt udolnie ukrytymi.

Powinna trzymać język za zębami, bo S.O.S jej nie pomoże, kiedy Helena naprawdę w ataku złości podpali zamek, jak to wykrzykiwała do Stefana, swojego męża.

Podeszła do szafy, wyjęła rzeczy do przebrania się i poszła do łazienki. Po powrocie jeszcze raz wycisnęła umyte już, mokre włosy w ręcznik. Były krótkie, więc szybko schły.

Usiadła na łóżku i wyjęła z szuflady szafki pamiętnik Janki i perełki. Otworzyła zeszyt i przewertowała kartki. Nie czytała, nie chciała po raz kolejny wkładać się w czyjeś życie, w zapiski, które przez przypadek trafiły do jej rąk.

Do zeszytu włożyła karteczkę z poczty, z torebki wyjęła notes, wyrwała z niego kartkę zawinęła w nią perełki i resztę pieniędzy.

Wstała i zaczęła chodzić po pokoju, roztrzepując włosy, aby pręcej wyschły. Myślni była przy Bartku, chłopaku, który zjawił się, aby zburzyć jej ustabilizowane życie prywatne, trochę nudne, ale pozbawione rozterek i niepotrzebnych emocji, od których nie tak dawno uwolniła się, zrywając z chłopakiem.

Bartek przywrócił jej radość z każdego dnia, cieszyła się na samą myśl, że jest, że znowu go zobaczy. Była mu wdzięczna, że nie zachowywał się wobec niej nachalnie i z seksualnym podtekstem, bo uważała, że właściwa kolej rzeczy musi być zachowana. Nie była przeciwniczką seksu, ale nie była też zwolenniczką byle gdzie, byle było!

Włosy już wyschły, przeczesane grzebieniem układały się miękko, na twarz powróciła opalenizna, ciało pachniało balsamem po kąpieli.

Edyta sprawdziła, która jest godzina. Zbliżała się pora kolacji i po korytarzu zaczęła się kręcić domownicy i Urszula.

Tak czy owak, musi iść do seniorki, w końcu zatrudniła się, aby usługiwać, więc jej obecność u kogokolwiek nie powinna dziwić. Zeszyt wsunęła pod ramię, w dłoni zacisnęła kartkę z perełkami i pieniędzmi.

Na piętrze drzwi do salonu były otwarte i słyhać było szcęk rozstawianej przez Urszulę zastawy. Edyta zapukała do drzwi pokoju seniorki i usłyszawszy „proszę”, weszła do środka.

Marii na jej widok rozjaśniła się twarz. Siedziała przy kominku, jak zwykle z pledem na kolanach.

- Już jesteś, dzieciaku? Chodź, usiądź tutaj - wskazała ręką drugi fotel - i opowiadaj. Jestem ciekawa, czy udało ci się wyjść z zamku. Już niedługo będziesz wchodzić i wychodzić, kiedy tylko będziesz chciała - powiedziała zagadkowo.

Edyta przysunęła fotel bliżej seniorki, usiadła i podała staruszce zeszyt.

- Proszę, pani Mario, właśnie to znalazłam. To bardzo smutne zapiski, nikomu nie pokazywałam tego zeszytu. A tu - położyła na ławie zawartość zwiniętej kartki - jest reszta pieniędzy i kilka perełek.

Staruszka położyła zeszyt na kolanach i wyciągnęła do niej ręce.

- Chodź do mnie. Muszę cię uściskać. Nawet nie wiesz, jakie to jest dla mnie ważne.

Edyta wzruszyła się reakcją seniorki. Uściskały się serdecznie, jak rodzina, która od wielu lat nie miała ze sobą kontaktu i wreszcie nadszedł czas, aby rozłąkę przypieczętować gorącymi uściskami.

-Bardzo cię lubię, dzieciaku. Nikomu innemu nie powierzyłabym tak ważnego listu - powiedziała staruszka, kiedy Edyta usiadła w fotelu. - Muszę ci odsłonić rąbka mojej tajemnicy, otóż w Szwecji mieszka moja rodzona córka z mężem. Chcę się z nimi pojednać, zobaczyć raz jeszcze, a czas nie działa na moją korzyść, lecz jak sama wiesz, zupełnie odwrotnie. Mam nadzieję, że w niedługim czasie albo Teresa odpisze, albo przyjedzie z mężem... Bardzo bym chciała... jestem coraz bardziej niecierpliwa... czas ucieka...

Maria miała pogodną twarz, biła od niej radość i gdyby nie starość wymalowana w rysach twarzy, jej werwa, logika wypowiedzi wskazywałyby, iż jest to osoba o wiele młodsza.

Edyta nie chciała wnikać w zamkowe życie obecnych domowników, jeśli seniorka uzna za stosowne opowiedzieć jej o Bohdanowiczach, to któregoś dnia być może to zrobi.

- Pani Mario - zapytała ostrożnie. - Kiedy pani zamierza przeczytać ten pamiętnik? Jeszcze dzisiaj?

- Wiem, Edyto, co ci leży na sercu. Przeczytam jeszcze dzisiaj. Zostawię sobie to na później. W moim wieku nie odczuwa się już większej potrzeby snu, zresztą trochę drzemię w ciągu dnia.

Spojrzała bystro na Edytę.

-Czytanie to intymna czynność - pokiwała głową i lekko się uśmiechnęła.

- Nie narzucam się, ja też wolę czytać, kiedy jestem sama. Obecność innych osób rozprasza moją uwagę.

- A teraz opowiedz mi wszystko od początku, gdzie dzisiaj byłaś, z kim i w jaki sposób wyszłaś z zamku. Chociaż domyślam się, ale mogę się mylić. Kiedy byłam młoda, to też robiłam różne niepoważne rzeczy. - Maria oparła się wygodnie o fotel i czekała na opowieść Edyty.

Popłynęła z ust Edyty historia o poznaniu Bartka, spotkaniach, natomiast część opowieści o pokonywaniu muru, ubłoceniu się, spotkaniu z Heleną i Reginą, szczerze rozbawiła seniorkę.

-Wiesz, Edyto, nie wyglądasz na osobę... taką... - Maria z chochlikami w oczach szukała odpowiedniego określenia - przebojową, odważną!

- Raczej taką nie jestem, dużą zasługę ma w tym Bartek, bo prawdę mówiąc, musiałabym sama przejść przez mur i na piechotę iść na wieś.

- Co to za chłopak? Wiesz coś o nim?

- Studiuje w Akademii Morskiej w Gdyni i teraz ma wakacje. Poznaliśmy się przez przypadek. Przy bramie i tak się zaczęło.

- Oby to była dobra znajomość - zatroszczyła się staruszka.

- Jest! - powiedziała gorąco Edyta.

- Zakochałaś się? Widzę to po twoich rumieńcach na policzkach.

-Taak... spotykamy się w parku. Ale po kryjomu, żeby nikt nas nie widział.

- To dobrze. Niech nikt o tym nie wie. Nie chcę, żebyś miała ze strony Heleny jakieś nieprzyjemności. Ona tak się wczuła w rolę zarządzanej posiadłością, że nawet ja czasem odnoszę wrażenie, że tak musi być.

-Pani Mario... ja wiem, że Szymon i Kamila nie są rodzeństwem... Janka napisała o tym w pamiętniku. Dowiedziała się o tym od pani.

Staruszka westchnęła i zatrzymała spojrzenie na leżącym na kolanach zeszycie.

Po chwili zaczęła mówić:

- Ludzie, szczególnie młodzi, myślą, że stary człowiek jest już inwalidą umysłowym, niedowidzi, niedosłyszy, nie skojarzy faktów. Któregoś dnia słyszałam, jak się kłóca ze sobą. Nie jak rodzeństwo, a małżeństwo. Nigdy nie zdradziłam się przed domownikami, że wiem, kim oni dla siebie są. I tak jest do dzisiaj.

- Dlaczego ich małżeństwo ukrywa się przed pracownikami?

- Jak się gra pewną rolę, to nie można z niej wypaść. Ród Bohdanowiczów zawsze miał służbę, dobrze jest ogrzać się w czyichś herbach i w znamienitym nazwisku. Poza tym, ten młody człowiek z jakiegoś powodu przyjął nazwisko żony... Wszystko wkrótce się wyjaśni.

- Szymon i Urszula mają romans ze sobą... wiem o tym z notatek Janki.

- No cóż... muszą sami to jakoś rozwiązać.

- A pani Helena i ogrodnik... Maria położyła palec na ustach.

- Cii... czasem bystrość nie popłaca.

Edyta była już pewna, że seniorka wie więcej, niż chce mówić. Przynajmniej do przyjazdu córki. Wyglądało na to, że obecność Bohdanowiczów jest dla niej zupełnie naturalna i traktuje ich jak kogoś bliskiego.

Usłyszały skrzyp drzwi i do pokoju weszła z tacą Urszula. Widok Edyty siedzącej obok Marii wyraźnie zaskoczył ją. Kiedy ich spojrzenia spotkały się, w oczach Urszuli niemal można było zobaczyć wielkie znaki zapytania.

- Dobry wieczór, pani Mario, przyniosłam kolację.

Urszula postawiła tacę na lawie i rozstawiła zastawę zjedzeniem.

- Dziękuję. Dzisiaj zjem wszystko, ale brakuje kubka z mlekiem - seniorka spojrzała na Urszulę.

- Wiesia właśnie gotuje mleko. Zaraz pani przyniosę - Urszula zabrała tacę i wyszła z pokoju.

- Ja już też pójdę - Edyta wstała. - Zjem kolację i położę się spać. Ach! Muszę jeszcze w pralni przeprać brudne ubrania.

- Nie zatrzymuję cię już, Edyto, i bardzo ci dziękuję za załatwienie mojej sprawy.

- Jeżeli będzie trzeba, to jestem gotowa przejść każdy mur.

- Myślę, że już nie będziesz musiała - w głosie seniorki zabrzmiała pewność, iż tak się stanie.

- Dobranoc pani.

- Dobranoc, dziecko.

Z salonu, zza otwartych na oścież drzwi, dochodziły odgłosy rozmów. Stonowany głos Reginy, mocniejszy Kazimierza i Wiktora.

Edyta zeszła na parter i przystanęła przy oknie w korytarzu, widząc na wprost samochody domowników. Na dworzu powoli zapadał wczesny zmrok. Początek sierpnia zapowiadał się nieciekawie. Pewnie będzie przeplatanka dni ciepłych, chłodniejszych, deszczowych.

Ciekawe, co teraz robi Bartek? Siedzi przed komputerem, je kolację z rodziną, a może czyta jakąś książkę, leżąc na kanapie, ale co chwilę odrywa wzrok i myśli o niej, Edycie?

Dybowski... zna to nazwisko! Przypomniała je sobie w nagłym olśnieniu! O dyrektorze domu dziecka Janka pisała, że nazywa się... Hanna Dybowska! Ach! I co z tego?

W jednej chwili opuściło ją podniecenie. To tylko zbieżność nazwisk. Mroczkowskich też może być wielu, mimo to, zapyta go wprost, czy ta kobieta jest jego krewną.

Nieoczekiwanie wpadł jej do głowy pomysł wejścia na taras wieży. Z lornetką teatralną, którą zabrała ze sobą z domu. Nie rozumiała swojej decyzji, to nie był dobry czas na obserwację okolicy, spowitej zapewne parującymi, ustępującymi już opadami deszczu.

Za to trochę romantyczny... wysoka wieża, zbliżający się wieczór... ogromna przestrzeń...

Weszła do pokoju i sięgnęła do torebki po lornetkę. Przez chwilę w myślach rozważała kolejność czynności: najpierw przepierka ubłoconych rzeczy, czy wieża. Wybrała wieżę, dopóki jest względnie jasno. Spojrzała w okno. Deszcz już nawet nie siąpił.

W drodze do wieży nie omieszkała podejść do fontanny i spojrzeć na damę z parasolką. Mogłaby być praprababką kogoś z Bohdanowiczów, w salonie wisi bez wątpienia jej portret, podobieństwo jest wręcz uderzające. Stojąc obok damy, zawsze odczuwała jakąś dziwną, przenikającą ją energię, fluidy, chłód, czuła się nieswojo.

Edyta spojrzała w górę. Niebo zaciągnięte szarymi chmurami nie zapowiadało na następny dzień słonecznej aury.

Ruszyła w stronę wieży. Ciężkie drzwi wejściowe zaskrzypiały, kiedy je energicznie pchnęła. Żałowała, że nie wzięła latarki. Odcinki krętych schodów pozbawione okienek były ciemne, nieprzyjemne. Edyta nawet chciała zawrócić, ale po każdym kilkunastu stopniach, kiedy stłumione już światło dnia wlewało się przez umieszczone w równych odległościach okienka, pięła się coraz wyżej, aż dotarła na taras.

Powiało chłodnym powietrzem. Edyta podeszła do murku i oparła się o balustradę. Taki widok zapierał dech w piersiach, nawet teraz, szary na horyzoncie, niżej cudowny, zielony.

Przyłożyła do oczu lornetkę. Nie przybliżała na tyle, żeby czerpać przyjemność z oglądania krajobrazu, ot, taki teatralny gadżet.

Samotność na tarasie w taki pochmurny dzień na pewno nie sprzyja radosnym rozważaniom takich osób jak Janka, dziewczyna z domu dziecka. Bez poczucia własnej wartości, bez przyjaciół, z pamiętnika nie wynikało, żeby w gronie dziewczyn z tamtego domu znalazła przyjaciółkę. Może nie potrafiła albo nie czuła potrzeby bliższego kontaktu z takimi samymi osobami jak ona?

Edyta przeszła na stronę tarasu z widokiem na najdalszy zakątek parku, gdzie wśród drzew położony był cmentarzyk. Przypomniała sobie prośbę Marii, która chciała, aby z nią tam pójść, owszem, pójdzie, ale zanim zaprowadzi tam seniorkę, to zrobi tam porządki, a przynajmniej zgarnie z nagrobków opadłe, suche liście. Bartka poprosi, aby przybił z powrotem na krzyż tabliczkę z nazwiskiem Janki. Marii byłoby przykro, gdyby zobaczyła leżącą byle gdzie blaszaną tabliczkę.

Powoli zapadał zmrok. Trzeba wracać, dopóki schody są jeszcze jako tako widoczne. Edyta głęboko odetchnęła rześkim powietrzem, przeszła kilka kroków i poślizgnęła się na mokrej posadzce. Opady deszczu już spłynęły z posadzki rynienką ściekową, ale w zagłębieniach znajdowały się jeszcze niezbyt duże ilości wody, które wedle wszelkiego prawdopodobieństwa przy nieostrożnym stąpieniu mogły spowodować bolesny upadek.

Edyta poczuła zimne ciarki na ciele. Co by było, gdyby była bliżej balustrady? Brr! Wstrząsnęła się jak psiak. Wyszła na schody, uważnie stawiając nogi na wąskich stopniach.

Przed wieżą przystanęła, nie chcąc wracać jeszcze do pokoju. Na kolację się spóźni, ponieważ nadchodzący wieczór przynosił przecudowne zapachy mokrego lasu, a ciemniejące niebo, które wisiało nad posiadłością jak rozpostarty parasol, z prześwitującymi jasnymi plamkami gwiazd, nie pozwalało jeszcze na powrót do zamku. Było tak romantycznie, chciałoby się dotknąć dłońmi skraw-

ka chmury, zatańczyć zaimprovizowany szalony taniec, potem położyć się na mokrej, zielonej murawie i... przestać myśleć! Na chwilę. Zamknąć się przed światem, pogrążyć w nicości.

Ocknęła się z rozmyślań.

Przeszła kilka alejek, zatrzymała się przy ławce, przy której spotykała się z Bartkiem, wreszcie zawróciła do zamku. Na dziedzińcu minęła samochody domowników i weszła do środka.

W pokoju położyła lornetkę na szafce, zabrała brudne rzeczy i udała się do pralni, znajdującej się po drugiej stronie schodów wiodących na piętro. Pralnia nie była zamykana na klucz. Każdy mógł w dowolnej porze z niej korzystać. Nacisnęła klamkę i weszła do pomieszczenia. Paliło się tam mdle, słabe światło.

Usłyszała jakieś szuranie, coś spadło na podłogę, poruszyło się w kącie...

Edyta przestraszyła się. Nie bała się myszy, ale brzydziła się ich. A może to szczury?! Nie ruszając się z miejsca, potoczyła dookoła wzrokiem.

To, co zobaczyła, wprawiło ją w osłupienie! Od strony wejścia, po lewej stronie, w kącie pralni stali... Szymon i Urszula!

Patrzyli na siebie bez słowa. Cała trójka zaniemówiła, każde z innego powodu, ale dwoje z nich z minami winowajców, stali wystraszeni nieoczekiwanym spotkaniem w dość dwuznacznej sytuacji.

- Przestraszyliście mnie - ochłonęła Edyta. - Gdybym wiedziała...

- Wyjdź, Szymon - nakazała mu Urszula, przygładzając dłonią włosy i wychodząc z kąta. - Zostaw to mnie.

Kiedy wyszedł, nie patrząc na Edytę, Urszula pociągnęła ją na znajdującą się w pomieszczeniu starą kozetkę.

- Muszę ci to wyjaśnić, my... szukaliśmy...

-Przestań! Czego szukaliście w pralni?! We dwoje, w kącie?! O tej porze?! - powiedziała ostro Edyta. - Wyglądam na głupią i naiwną?! Przez cały czas mnie oszukiwałaś, szkalowałaś go, a teraz... szukaliśmy! Myślisz, że obchodzą mnie wasze schadzki?! Miej odwagę i przyznaj się, że macie romans! Albo przelotny flirt! Nie musicie się ukrywać, przecież on jest wolny!

Edyta nie mogła powstrzymać ironii, nie znosiła kłamstwa i to w dodatku kogoś, kto w tak przemyślany sposób łąał od początku, na temat „brata” Kamili. Ciekawe, czy powie, że Szymon jest mężem dziewczyny.

Urszula zagryzła wargi.

-Słuchaj, Edyta... my... spotykamy się... od jakiegoś czasu... wiesz, jak to jest... poczujesz do kogoś coś więcej niż... zwykle podobanie się, on też... zwróci na ciebie uwagę i jak to bywa w życiu... zaczynacie się spotykać - dziewczyna sprytnie kluczyła, nie podejmując tematu stanu cywilnego Szymona.

- Po kryjomu?! O ile wiem, nie masz męża, a może masz?!

- Nie mam. Są pewne powody, dla których nie chcemy na razie ujawniać naszego związku. Mam nadzieję, że to zostanie między nami? - Urszula zapytała z nadzieją, ściskając Edycie rękę.

- A skądże! Będę biegać od pokoju do pokoju, żeby obwieścić wszystkim, że ściskasz się z nim po kątach w pralni!

- Dziękuję ci, wiem, że żartujesz i mogę na tobie polegać. Zależy mi na pracy, a Helena wywaliłaby mnie na zbity pysk! - Urszula syknęła przez zęby. - I tak niedługo pójdę stąd!

- Tak jak i ja, a teraz muszę przeprać parę rzeczy. Jest tu jakaś duża miska, przecież nie włożę do pralki dwóch rzeczy?

- Jest. O, tam. Pójdę już, ale... proszę cię...

- Nie ma o czym mówić.

- Gdzie się tak wybrudziłaś? - Urszula wbiła ciekawe spojrzenie w rzeczy Edyty do uprania.

- Przecież wiesz, że lało, a ja opalałam się w parku na ławce.

- No tak, rzeczywiście. Nie widziałam cię prawie cały dzień, dopiero u seniorki. Ach, i przy obiedzie.

- Po południu mogę robić, co chcę - Edyta wrzuciła ramionami, wstała i sięgnęła po miskę. - Byłam na wieży i o mało nie przewróciłam się na tarasie. Pełno tam na tej nierównej posadzce wody po deszczu.

Urszula zawahała się. Patrzyła na Edytę wzrokiem, jakby nad czymś się zastanawiała.

- Słuchaj, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, to przyjdę do ciebie na chwilę. Muszę ci o czymś powiedzieć... jak uporzysz się z praniem, to zapukaj w ścianę, tak jak się umawialiśmy. Trzy razy.

- Jak chcesz. Jutro mam ranną zmianę - zastrzegła Edyta.

- W porządku, ale musimy zrobić jakiś grafik i zanieść Helenie, bo już mnie pytała, dlaczego pracujemy jak nam się podoba.

- Zrobimy - machnęła ręką Edyta.

- To na razie. Jak to wypierzesz, idź na kolację. Wiesz, jak Wiesia się wścieka, kiedy przychodzimy pojedynczo.

- Zaraz tam pójde.

Edyta szybko uwinęła się z praniem, mokre rzeczy powiesiła na lince pod małym okienkiem i poszła do jadalni. Była zmęczona, nawet nie zjadła całej porcji sałatki z talerzyka, a czekała ją jeszcze wizyta Urszuli, która wprosiła się na późną, wieczorną rozmowę.

Wieczorem zapukała do jej pokoju, uchyliła drzwi i wsunęła głowę.

- Jak chcesz pogadać, to chodź teraz, bo jest już późno, a rano muszę wcześniej wstać.

- Już idę, tylko założę szlafrok - Urszula poderwała się z łóżka.

Edyta jeszcze nie dotarła do swojego pokoju, kiedy dobiegły ją szybkie kroki za plecami i zmieniony głos dziewczyny:

- Nareszcie wyrzucę to z siebie, bo zaczyna mnie to dręczyć.

- Jestem ciekawa, jaką opowieścią uraczysz mnie na dobranoc. Wejdz - przepuściła ją przed sobą. - Siadaj na łóżku albo przy stoliku, gdzie chcesz.

Urszula wybrała miejsce przy stoliku, Edyta zapaliła lampkę nocną i usiadła naprzeciw dziewczyny.

- O czym chcesz mi powiedzieć? O Szymonie albo... Kamili? - Edyta przeciągnęła z niewinną miną.

Na twarzy Urszuli nie zobaczyła żadnej reakcji. Jakby z góry zakładała zadanie takiego pytania i wyćwiczyła w sobie odruch obronny poprzez unikanie odpowiedzi, jakby nie usłyszała pytającego.

Zacząła mówić.

- Jesteś drugą osobą, po Jance, która wie, a raczej dowiedziała się przez głupi przypadek o moich spotkaniach z Szymonem. Ona... przyszła kiedyś do wieży, na taras.. a my byliśmy tam... no, wiesz... i jak to dwoje ludzi, którzy coś czują do siebie, całowaliśmy się, jak dzieciaki siedzieliśmy na posadzce. Ona nie wpadła na nas bezpośrednio, ale widziała nas ze schodów, nie wiem, jak długo tam stała i kiedy zorientowaliśmy się, że ktoś nas obserwuje, Szymon wstał i wyjrzał na schody, ale ona zaczęła uciekać.

- Skąd wiesz, że to była Janka?

- Szymon biegł za nią i kiedy był już na dole, widział, jak biegnie do zamku. Baliśmy się, że opowie komuś, że nas widziała, ale nic się nie wydarzyło, więc milczała.

Nieprawda! Opowiedziała o tym seniorce i dowiedziała się, że Szymon jest żonaty! Edyta patrzyła na blednącą z każdą chwilą twarz Urszuli, jakby zwierzanie się sprawiało jej fizyczny ból.

- Chyba byłaś jej wdzięczna, mogłaś dalej udawać, że go nie lubisz.

- Przepraszam cię, ale tak bywa... Nie wiem dlaczego, ale ta dziewczyna upodobała sobie spacerować na wieżę! - na twarzy Urszuli pojawił się grymas złości. - A to było idealne miejsce na nasze spotkanie! Zawsze można było wytłumaczyć się, że spotkaliśmy się przypadkowo, żeby popatrzeć na okolicę - dodała spokojniejszym tonem.

- Urszula, nie rozumiem, dlaczego tak bardzo ukrywacie swój związek. Przecież Szymon jest kawalerem i nie wykręcaj się już, że tak bywa, że coś wam stoi na przeszkodzie, bo coś mi tu nie gra. Skończyły się czasy mezaliansów, zamkniętych sfer ludzi dobrze urodzonych, a ja nie jestem aż tak łatwowierna, żeby przyjąć to, co mi opowiadasz, jako prawdę i tylko prawdę! - Edyta zdenerwowała się jej oczywistymi kłamstwami.

- Masz rację. Jest pewna przeszkoda! - powiedziała z determinacją Urszula.

- No dobrze. Nie możesz albo nie chcesz opowiedzieć o tej przeszkodzie, to nie mów. I to wszystko? O tym chciałaś ze mną porozmawiać?

-Nie! Chciałam się przed tobą wytłumaczyć z tej sytuacji w pralni, bo jest mi głupio, a to wcale nie jest najważniejsze.

Urszula oparła łokcie o blat stolika i podparła dłońmi brodę. Wbiła wzrok w blat stolika. Edyta milczała. Była ciekawa dalszej części opowieści dziewczyny. Musiało to jej sprawiać pewną trudność, ponieważ otwierała usta, potem zaciskała je, aż w końcu gwałtownie odchyliła się na oparcie krzesła z determinacją na twarzy.

Głosem pełnym sztucznego animuszu powiedziała:

- Tylko ja i Szymon znamy prawdę o śmierci Janki!

- Co?!

- To był, jak zwykle tego lata, pochmurny dzień, trochę padało, wychodziło słońce i znowu padało. Bliżej wieczoru już tylko mżyło. Dla nas, to znaczy dla mnie i Szymona, to był dobry dzień. W taką pogodę nikt z Bohdanowiczów nie wychodzi z pokoju, zazwyczaj zbierają się u Reginy i do północy, czasem dłużej, oglądają telewizję, piją, każdy to, co lubi, czasem kłócą się - Urszula odgarnęła włosy z policzka. - Wówczas Szymon to wykorzystywał i wychodził z pokoju, mówiąc, że nie chce słuchać ich pretensji i kłótni.

- O co się kłócili? Mówił ci?

-Nie, a ja nie byłam zbyt zainteresowana rodzinnymi sprzeczkami. Ciężko mi mówić o tym... co się stało.

Edyta nie wątpiła w szczerość Urszuli, kiedy załamał się jej głos.

- Już zaczęłaś, musisz dokończyć.

- Szliśmy na taras, było jakieś kilkanaście minut po północy, byliśmy już u góry... minęliśmy drzwi na poddasze. .. potem jeszcze w górę kilkanaście stopni i jak wiesz, żeby wyjść na taras, trzeba najpierw otworzyć drzwi. Zdziwiliśmy się, bo były szeroko otwarte, myśleliśmy, że ktoś po prostu ich nie zamknął, kiedy zobaczyliśmy... Jankę!

Urszula wypuściła powietrze. Potrząsnęła głową, jakby chciała wyrzucić złe wspomnienia.

- Nie słyszała nas. Dziwnie się zachowywała. Stała przy murku z rozpostartymi ramionami... głowę miała odchyłoną do tyłu... jakby wpatrywała się w niebo... Wyglądała niesamowicie... jak ptak zrywający się do lotu... albo jak szaman odprawiający egzorcyzmy... modły...

Edytę przeszły dreszcze. Janka chciała być wolna jak ptak!

- Chcieliśmy zawrócić, zostawić ją tam... i wtedy... ona poruszyła się, zachwiała... nawet pomyślałam, że stała

na mokrej plamie na posadzce i poślizgnęła się, tak jak ty dzisiaj... i runęła do przodu, upadła na balustradę i... poleciała w dół! O mało serce mi nie pękło z przerażenia!

Urszula zakryła twarz rękami. Była blada jak papier. Długo trwało, zanim odjęła dłonie od twarzy i kontynuowała opowieść.

- Nie mogliśmy z siebie słowa wydusić, patrzyliśmy na siebie z nadzieją, że to nam się tylko zdawało! To... wyglądało tak... jakby ona nie próbowała się bronić przed upadkiem z wieży... jakby oczekiwała tego! Byliśmy w pewnej odległości od niej, może gdybyśmy byli bliżej... Sama już nic nie wiem, może trzeba było podejść do niej... wówczas ona na pewno uciekłaby z wieży. Ona... była taka niedostępna, jak dzikie zwierzątko. Wybiegliśmy na taras i Szymon wychylił się... ja nie miałam odwagi. Na posadzce zostały perełki z jej naszyjnika... zebrałam je i później wyrzuciłam do śmieci. Jedną ty znalazłaś.

Więcej! Edyta pomyślała o wymytych deszczem perełkach znalezionych w trawie.

- I co zrobiliście?! Może tylko straciła przytomność?! Sprawdziliście, czy żyje... chociaż... to byłoby niemożliwe...

- Szymon pobiegł na dół, ale ona nie miała żadnych szans...

- Na jakiej podstawie on to stwierdził? Nie jest lekarzem?

- Ma obowiązkowe przeszkolenie medyczne. U niego w dawnej pracy trzeba było to przejść. Mówił mi o tym.

- Kogo powiadomiliście?

- Nikogo! - Urszula rozplakała się. - I to mnie przesładuje! Nie wiem, co w nas wstąpiło, ale baliśmy się powiedzieć o tym wypadku komukolwiek z jego rodziny!

- On ci zakazał?!

Dziewczyna wytarła brzegiem szlafroka oczy i przytaknęła:

-On.

- Co było dalej? Przecież Janka leżała pod wieżą!

- Szymon kazał mi wrócić do pokoju... Powiedział, że się tym zajmie. Całą noc nie spałam, nasłuchiwałam jakiegoś ruchu na korytarzu, rozmów... warkotu samochodu... ale nic takiego się nie wydarzyło. Domyśliłam się, że on ją tam zostawił! Ze strachu przed pytaniami policji, rodziny... Ja też się bałam, nie chciałam, żeby komuś przyszło na myśl, że to nie był przypadek... no wiesz, nasza obecność w wieży, ale kto z nas, do cholery, chciałby jej śmierci?! - w jej głosie brzmiał strach.

- Kto ją znalazł?

- Ogrodnik, nad ranem, po kilku godzinach od upadku. Przyjechała policja, prokurator i oczywiście pogotowie. Potem zabrał ją zakład pogrzebowy i przywiózł w dzień, w którym przyjechałaś do zamku.

- Przesłuchiwali was?

- Wszystkich, ale prokurator po zbadaniu okoliczności i krótkim dochodzeniu wydał opinię, że to był nieszczęśliwy wypadek. Wiem to od Szymona. To wszystko. Ona czasem śni mi się... jak leci w dół! Tylko ty znasz teraz prawdę i... proszę cię o zachowanie tajemnicy... bo to i tak nie przywróci jej życia.

- Nie przywróci, ale jak mogliście zostawić ją tam... na noc!

Urszula zawołała:

- To on! Nie oskarżaj mnie! Poza tym to była zimna noc! Owszem, mogłabym pobiec z tym do Heleny albo do kogokolwiek, ale Szymon powiedział, że zajmie się tym. I zajął! - rzuciła z sarkazmem.

Po jej policzkach popłynęły łzy. Nie mogła udawać, łzy nie płyną na zamówienie. Cała jej postać to był kłębek nerwów, siłą powstrzymywanej hysterii, która czaiła się w jej głosie.

- Nikt nie zauważył jej wcześniej?

- Kto? O tej porze nikt nie wychodzi z zamku, w dodatku kiedy mży i na zewnątrz nie palą się żadne lampy. Nawet ta przy wejściu jest gaszona na całą noc.

- Jeżeli spotykasz się z nim, to rozumiem, że urywasz się z pracy?

- Nie, nie. Mamy swoje porozumiewawcze znaki, kiedy, gdzie, o jakiej godzinie mamy się spotkać.

Edyta postanowiła wykorzystać okazję rozmowy z dziewczyną i zapytała:

- Znaliście się przedtem, zanim tu trafiłaś?

Pytanie zaskoczyło Urszulę. Za to dało jej chwilę wytchnienia od przedstawiania przebiegu tragicznego popołudnia.

- Czy to takie ważne?

-Dla mnie nie, może dla kogoś z... rodziny Bohdanowiczów - Edyta wiedziała, co mówi, Urszula nie miała pojęcia o pamiętniku Janki. - Jak długo spotykasz się z Szymonem?

- Edyta! To przesłuchanie?!

- Nie, pytam z ciekawości. Wiesz, czasem chodzę z moją mamą do banku, na Wiatrakową, gdzie ma konto - Edyta zagrała va banque. - Tam pracuje, albo pracowała, dziewczyna podobna do ciebie. W kasie. Nawet myślałam, że to ty, kiedy przyjechałam do pracy w zamku, ale nie możesz być jednocześnie w dwóch miejscach.

Urszula zeszywniała. W jej oczach pojawiły się nieprzyjazne błyski.

-Nigdy nie pracowałam w żadnym banku! Co ci przyszło do głowy?!

- odzyskała pewność siebie. -Powiedziałam ci wszystko jak przyjaciółce. Sprawa jest zakończona i mam nadzieję, że już do niej nie wrócimy. Możesz mi to przyrzec?

- Mogę, chociaż wolałabym nie znać przebiegu tej tragedii. Teraz ja nie będę spać po nocach.

- Ale nie widziałaś tego na własne oczy. I to jest ta różnica. Widzieć, a wiedzieć!

Urszula wstała, zaciskając poluźniony pasek szlafroka.

- Pojdę już, dziękuję ci za wysłuchanie mnie i... nie myśl o mnie źle. Dobranoc... a jeżeli chodzi o Szymona, to... będziemy się spotykać. Kochamy się.

Nie patrząc na Edytę, wyszła z pokoju. Po chwili trzasnęły drzwi jej pokoju.

Edyta nie ruszała się z miejsca, czując ciężar przytłaczającej ją tragedii opowiedzianej przez Urszulę. Oczywiście, że lepiej wiedzieć, a nie widzieć! Tylko że można to sobie wyobrazić, a ona miała bujną wyobraźnię.

Wstała i uchyliła okno. Pachniało nocą, snem, spokojem. Za oknem.

W pokoju, kiedy kładła się do łóżka, nagle poczuła czyjąś obecność, wzdrygnęła się, przycisnęła rękę do serca, które wpadło w szalony rytm, zaciskając gardło. Strach momentalnie zrosił jej czoło potem, kleił się do twarzy, rąk, przenikał całe ciało. Siedziała jak skamieniała na łóżku, bojąc się wykonać jakikolwiek ruch, wszystkimi zmysłami nasłuchiwała jakiegoś szelestu, zgrzytu, szurania...

Było cicho, jedynie zza okna dochodził szmer poruszanych wiatrem gałęzi drzew. Jednak w pokoju wręcz namacalnie wyczuć można było osaczającą ją, niewidoczną mgłę niepokoju, wzmagającą odczucie powoli nadchodzącej paniki.

Edyta wpatrywała się w lustro wiszące naprzeciw, jakby podświadomie oczekiwała w nim czyjś odbicia! Mogłaby, zanim otrząśnie się z otaczającej ją coraz ciaśniej kurtyny przyziemnego strachu, pójść do Urszuli, posiedzieć u niej, dopóki nie minie ten głupi, nieuzasadniony niczym strach, który w szarych komórkach mózgu robi zamęt i sprawia wrażenie odczuwania czegoś, czego po prostu nie ma! Zrobiła kilka głębokich wdechów, głośno wypuszczając powietrze z płuc.

Sprawdziła godzinę. Było wpół do pierwszej. Dość tego!

Ponownie wzięła głęboki oddech, zgasiła lampkę i wsunęła się pod kołdrę. Była bardzo zmęczona i pomimo napięcia odczuwała potrzebę snu. Powieki zamykały się, otwierała je jeszcze na siłę, usiłując przeniknąć ciemność, ale nic się w pokoju nie działo. Pomyślała ciepło o Bartku, jego pocałunkach i powoli, starając się zatrzeć choć na chwilę zbitkę otrzymanych od Urszuli dramatycznych informacji, powoli zapadała w sen.

Obudziła się, gdy za oknem noc była jeszcze głęboka i do pokoju wpadało chłodne powietrze. Przez chwilę nasłuchiwała... głosu, który... był wytworem snu, marą?

Nie?!

Edyta usiadła na łóżku.

- Edyta... Edyta... Spojrzała na głośnik. Milczał.

- Edyta...

Nie знаła tego głosu. Był delikatny, dziewczęcy, szepczący, wzywający... Świadomość nierozpoznania nawołującego głosu przyprawiła ją o dreszcze. Była odrętwiała, niezdolna do sprawdzenia źródła tego przejmującego wołania. Zaczęła głęboko oddychać, bo nagle zabrakło jej tchu. Sięgnęła ręką do włącznika lampki, ale ta nie zapaliła się. Na szczęście w latarce były nowe baterie. Zapaliła ją, ale z latarką zaczęły dziać się dziwne rzeczy. Gasła i zapalała się, w końcu całkiem przestała świecić. Nie pomogło pukanie, potrząsanie, włączanie i wyłączenie. Latarka gasła za każdym razem, kiedy pojawił się snop światła, jakby... ktoś lub coś... ją gasiło. W pokoju było o wiele chłodniej, niż mogłoby być przy uchylonym oknie. Tuż przy łóżku zimno.

- Edyta...

Wydawało się jej, że szepty dochodzą z każdego kąta pokoju. Chciała wstać, uciec na korytarz, walić do drzwi

Urszuli, ale musiałyby najpierw pokonać odległość do drzwi swojego pokoju, gdzie... coś... stało!

Schowała się pod kołdrę, jedynie czoło i spanikowane oczy wyglądały zza jej brzegu.

- Edyta...

To na pewno z głośnika, może Helena urządza sobie kiepską zabawę. Zaczęła nasłuchiwać, ale głośnik milczał.

W takim razie to Urszula... Nie, to nie Urszula.

Zamglony kształt koło drzwi właśnie przez nie przeniknął. .. Lęk zmienił się w panikę!

Upłynęło sporo czasu, zanim zdecydowała uporać się ze strachem, oprzeć się koszmarowi, który jednocześnie wyzwolił w niej chęć odrzucenia czegoś, co nie miało racji bytu.

Edyta odkryła kołdrę i bosymi nogami podeszła do drzwi. Wzrok przyzwyczał się na tyle do ciemności, że pozwolił ją przeniknąć, dostrzec dobrze znane kształty szafy, komody. Poczowała nieodpartą potrzebę wyjścia na korytarz, coś nią kierowało, wręcz zmuszało, wiedziała, że poczuje ulgę, kiedy to zrobi.

Ciemność w pokoju stała się bardziej przyjazna, wyciszała nieznośny zamęt w głowie, pozwalała przekręcić klucz w zamku, nacisnąć klamkę i wyjść na korytarz.

Za drzwiami ciemność wydawała się bardziej gęsta, nieprzenikniona, wroga, jedynie rycerskie przyłbice na manekinach stojących przy oknach lśniły w mdłym blasku księżyca.

Usłyszała jakby czyjeś westchnienie. Nie. To chyba tylko przeciąg.

Edyta ruszyła w stronę okna. Poczowała zimno posadzki. Jeszcze jeden krok, drugi... Jak nieprzyjemnie, nieswojo znaleźć się samej w środku nocy wśród rozstawionych wzdłuż korytarza manekinów, które sprawiają wrażenie, iż ich w zbrojach ukrywają się żywi ludzie. Edyta oparła się o parapet i patrzyła na fontannę owianą mroczną legendą.

Poczuła przemożną chęć wyjścia na dziedziniec, wiedziała, że musi koniecznie to zrobić, wówczas przestanie się bać tego, cokolwiek zobaczy. Była o tym przeświadczona, z pewnością poczuje ulgę, jakby zdjęto jej z ramion ciężkie brzemie.

Drzwi wejściowe zaskrzypiały, kiedy je otwierała, do środka wpadł chłód nocy, na zewnątrz bose stopy wyczuły drobne, kłujące drobinki zbitego piasku lub niewielkich kamyczków.

Edyta przystanąła przy schodach i spojrzała wprost na damę w fontannie.

Wiedziała, co nastąpi. Nie na próżno jakiś impuls, intuicja, coś niewiadomego przywiodło ją na dziedziniec.

Była spokojna, nie odczuwała strachu, czekała na nią... Damę z psem i parasolką w cichą, chłodną noc.

I stało się!

Doznała dziwnego wrażenia, jakby otoczenie wokół niej ożyło! Jak w kadrze filmowym zmieniały się barwy nieba, chmury szybciej płynęły, skądś dochodził zapach końskiej sierści, gdzieś z oddali słychać było tętent koni, zniknął żywopłot, odsłaniając zakryte do tej pory pnie drzew...

To nie były halucynacje czy dziwny sen... To działo się teraz, przed jej oczami, na jawie!

Ku wieży sunęła właśnie, nie dotykając ziemi, dama w szatach z epoki, trzymająca nad głową parasolkę. Obok niej jakby płynął w powietrzu pies.

Edyta patrzyła na nią, nie odczuwając lęku. Wiedziała, dlaczego kamienna dama zmierza ku wieży. Chce uratować córkę przed śmiertelnym skokiem z jej tarasu. Wiodła za nią spojrzeniem, dopóki dama nie zniknęła za drzwiami wieży.

Spojrzała na fontannę. Spod parasolki figury damy spływała z cichym szmerem woda.

Poczuła zawrót głowy, zawirowało jej przed oczami, oparła się o poręcz schodów i... nagle spostrzegła, jak wszystko powraca do stanu sprzed spaceru damy, jakby niesamowite kadry filmowe, które widziała, zostały przewinięte i wyświetlone od końca.

Odetchnęła z ulgą. W tym niesamowitym zamku doznaje się dziwnych halucynacji! A jeżeli to nie były halucynacje? Janka opisała to zjawisko dokładnie tak, jak działo się to przed chwilą!

Poczuła zimno nocy i ból stóp, w które wbijało się kłujące podłoże niezbyt dokładnie zamiecionych płyt dziedzińca.

Obejrzała się na zamek pograżony w ciemnościach. Powrócił strach przed wejściem i zanurzeniem się w ponury korytarz obstawiony manekinami. Usiłowała nie patrzeć w ich stronę, ale wzrok mimowolnie sięgał do nich, zakutych w zbroje rycerskie. Jak najciszej stawiała stopy w uśpionym zamku, jakby nie chciała zdradzić swojej obecności, chociaż znikąd nie dobiegał żaden ruch, odgłos ani szmer.

Edyta weszła do swojego pokoju i natychmiast wskoczyła do łóżka. Miała dreszcze, rozpalone czoło i trzęsła się z zimna. Nie dowierzała temu, co zobaczyła. Przypisała to snowi na jawie, fantazji umysłu, który utrwalił obraz poznanej legendy zamku. Z trudem zasnęła, zwijając się pod kołdrą w kłębek.

Rano obudziła się niewyspana, znużona, z podkrążonymi oczami, zaskoczona widokiem brudnych stóp!

A więc... wychodziła na dziedziniec w nocy?! To nie był sen?! A może jest lunaticzką?! Zerwała się z łóżka i podeszła do okna. Wychyliła głowę na strumień powietrza, głęboko oddychając. Siłą woli oddalała uporczywą myśl, aby opuścić zamek. Zerwać umowę, a w zasadzie wypowiedzieć oświadczenie o podjęciu pracy, bo nie poradzi sobie z ogarnięciem zjawisk, których nie potrafi

zrozumieć. Nie jest odważną osobą, tylko zwykłą, przeciętną dziewczyną, bez predyspozycji do bohaterskich zmagania z paranormalnymi wydarzeniami.

Odeszła od okna i pomaszerowała do łazienki.

W jadalni, na pytania Wiesi zdziwionej jej smętnym wyglądem, odpowiadała półsłówkami, tłumacząc się bólem głowy i niechęcią do rannego wstawania.

-Niedługo opuścisz zamek. Co masz w planach na koniec lata? - dociekała z ciekawością Wiesia, siadając przy stole.

- Jeszcze nie wiem, chciałam pojechać nad morze, ale to nie jest pewne - Edyta nie podnosząc głowy znad stołu, drobnymi łykami piła herbatę - Mam rodzinę w Gdyni, moja siostra już tam jest - mówiła obojętnie, wzruszając ramionami.

-Zostań tu trochę dłużej, więcej zarobisz na swoje wydatki.

- Nie! - gwałtownie zareagowała Edyta, kręcąc głową. -To znaczy... nie mogę... właśnie w związku z planami... -plątała się - których raczej nie zmienię.

- Nie jesteś dzisiaj sobą, wyglądasz, jakbyś całą noc przebalowała - Wiesia przyglądała się jej przenikliwie.

-Widziałam się w lustrze - krótko skomentowała Edyta, wstając od stołu. - Idę do salonu, śniadanie dla Bohdanowiczów wstawiłaś do windy?

- Tak. Z prawej strony jest dla seniorki. Zanieś jej do pokoju.

Edyta udała się na piętro, z nadzieją, że nie spotka po drodze Heleny, która z pewnością nie omieszka zainteresować się jej mizernym wyglądem. Natknęła się na nią, wydając z windy zastawę ze śniadaniem.

Zamarła, widząc kątem oka jej czarną postać.

- Dzień dobry pani - przywitała ją, nie unosząc głowy znad tacy.

- Dzień dobry. Widzę, że spacer w deszczu i błocie nie wyszły pani na zdrowie - Helena Winter ściągnęła usta w grymasie niechęci.

- To chwilowe, zaraz mi przejdzie. Jestem odporna na przeziębienia.

- To dobrze, bo Urszula sama nie poradziłaby sobie z obowiązkami. Proszę powstrzymać się od ułańskiej fantazji, w pani wieku nie biega się już po kałużach.

Helena odplynęła z godnością, nie czekając na odpowiedź Edyty, która spojrzała nią z ukosa, odpowiadając w duchu słowami, które się zna, ale głośno się ich nie wypowiada.

W salonie rozstawiła na stole zastawę, po czym zapukała do pokoju seniorki, nie będąc pewną, czy może wejść. Być może Maria jeszcze spała.

- Proszę.

Wróciła do windy i zabrała małą tacę ze śniadaniem dla staruszki. Kiedy weszła do pomieszczenia, seniorka leżała w łóżku, blada, z wypisanym na twarzy smutkiem.

- Dzień dobry, pani Mario. Przyniosłam świeże bułki z masłem i białym serem. Podać pani do łóżka?

- Postaw na ławie, jak wstanę, to coś zjem. Nie mam apetytu.

Edyta spostrzegła leżący na ławie notatnik Janki. Przeczuciwała, że jego treść wpłynie niekorzystnie na psychikę seniorki, i stało się. Zestawiła z tacy posiłek i stała niezdecydowana, czy podjąć jakąkolwiek rozmowę z milczącą staruszką.

-To... życzę smacznego... - zaczęła iść w stronę drzwi.

-Zaczekaj, Edyto, nie odchodź jeszcze. Pewnie myślisz, że jestem chora? - powiedziała słabym głosem Maria. - Nie jestem chora, tylko stara. Usiądź. Nie przejmuj się obowiązkami. Ja jestem tutaj najważniejszą osobą.

Edyta usiadła na fotelu obok ławy.

- Przeczytałam ten krótki pamiętnik. Tak samo krótki, jak jej życie. Czuję się odpowiedzialna za jej chorobę. To stało się tak nagle... a ja nic nie zauważyłam... Maria mówiła tak cicho, że trzeba było dobrze wsłuchać się w jej słowa.

Edyta chciała by zaprzeczyć, wyjaśnić, ale sumienie i współczucie wobec tak przywiązanej do dziewczyny staruszki knebłowało jej usta. Poza tym przyrzekła Urszuli zachować tajemnicę śmierci dziewczyny, tajemnicę, która mogłaby wyrządzić więcej szkody niż pożytku wszystkim domownikom.

-Pani Mario, zazwyczaj choroba rozwija się nagle i czasem właśnie tak się kończy.

Staruszka przytaknęła ruchem głowy, po czym wpatrzyła się długim spojrzeniem w twarz Edyty.

- Co ci jest, dziecko? - zaniepokoiła się. - Źle wyglądasz, obyś się nie rozchorowała, pogoda jest taka zmienna. Masz gorączkę?

- Nie, śniło mi się coś dziwnego... nawet... wydaje mi się, że to nie był sen... Już nic nie wiem, gubię się... i boję się.

- Opowiedz - nakazała stanowczo seniorka.

- Niece...

- Mów! Nie oszczędzaj mnie, bo widzę, że patrzysz na mnie, jakbym była ciężko chora.

- W nocy wyszłam... właściwie sama nie wiem, czy to był sen... wyszłam - powtórzyła Edyta, dobierając starannie słowa - na dziedziniec i doznałam jakiejś dziwnej wizji... a mianowicie, wydawało mi się... a w zasadzie widziałam, jak ta kobieta z fontanny szła jak żywa do wieży! - szybko wyrzuciła z siebie.

Maria uśmiechnęła się zagadkowo.

- Tak jak Janka. I ja.

- Pani też?!

- Oczywiście. To jakiś splot naszych myśli, emocji, które dusimy w sobie, a potem budzi się to w naszym umyśle.

- Znam legendę o tej damie.

-Więc w naszych widzeniach jest jakieś ziarenko prawdy.

-Pani Mario... ja przemyślałam swoją decyzję i... postanowiłam skrócić okres swojego zatrudnienia. Mam powody... - Edyta nie śmiała spojrzeć w oczy staruszce, która uniosła się na łóżku.

- Edyto! - powiedziała z wyrzutem. - Nie możesz tego zrobić! Zaczekaj przynajmniej do listu od mojej córki! To tylko moja prośba, zrobisz, jak zechcesz. Nie mam prawa cię tu zatrzymywać - Maria opadła na poduszkę.

Edyta przestraszyła się jej nagłym wybuchem.

- Pani Mario! Oczywiście, że zostanę tu tak długo, jak pani zechce, ale tylko do przyjazdu pani rodziny - gorąco ją zapewniła.

- To dobrze. Tylko do ciebie mam zaufanie i do Reginy -wyznała ta.

Edyta pomyślała, że między staruszką a Reginą stosunki rodzinne zacieśniły się, co ją ucieszyło.

- Edyto, przedstaw mi swojego chłopca, chciałabym go poznać - powiedziała nieoczekiwanie Maria.

- Ale... pani Helena...

Seniorka uniosła dłoń w geście protestu.

- To ja decyduję o przyjmowaniu gości - zabrzmiało mocnym, stanowczym głosem.

- Dziękuję, dzisiaj spotkam się z nim i powiem mu o pani zaproszeniu.

Edyta wstała i przysunęła bliżej staruszki śniadanie.

- Zaraz przyniosę pani gorącą herbatę, bo ta już wystygła.

- Nie przynoś. Jeszcze trochę poleżę i sama pójdę do kuchni.

-Obiecałam pani, że pójde z panią na ten cmentarzyk. ..

- Przyjdzie na to czas. Nie zaprzataj sobie tym głowy. -Pójde już.

Maria skinęła przyzwalająco głową.

- Edyto - przy wołała ją, kiedy ta otwierała już drzwi. -Poproś do mnie Reginę i... Kazimierza.

- Teraz mają przyjść?

- Tak, jeżeli zjedli już śniadanie - Maria podała jej pamiętnik Janki. - Włóż go do szuflady w komodzie.

Edyta zajrzała do salonu. Cała rodzina wraz z Heleną siedziała jeszcze przy stole.

Regina spojrzała na nią pytająco.

- Przepraszam, ale panią razem z mężem prosi do siebie pani Maria.

Zapadła cisza. Helena zastygła z uniesioną w dłoni filiżanką. Szymon uniósł brwi, starając się nadać twarzy lekceważącą minę, ale w jego oczach widać było niepokój. Kamila patrzyła obojętnie na matkę.

-Zaraz przyjdziemy - powiedziała spokojnie Regina. - Ale pani dzisiaj źle wygląda. Przeziębła się pani w tym deszczu, proszę więcej nie ryzykować takiej kąpieli. Mam dobre tabletki, wystarczy jedna, dwie na noc i po chorobie - zaproponowała, łagodnie uśmiechając się do dziewczyny.

- Nie trzeba, dziękuję. Zawsze tak wyglądałam, jak się nie wyśpię. Późno kładłam się spać - Edyta wykręciła się od zażywania tabletek, których nie tylko nie potrzebowała, ale które nawet w chorobie nie rozwiązałyby rozterek nurtujących ją z coraz większą siłą.

Wychodząc z salonu, rzuciła przez ramię spojrzenie na Szymona. Patrzył na nią czujnym wzrokiem. Z jego twarzy znikł już nieprzyjemny grymas, który być może miał maskować obawę zdemaskowania jego podwójnego życia. Z dwiema kobietami.

Edyta nie mogła doczekać się końca zmiany i spotkania z Bartkiem. Powoli dojrzywał w niej zamysł opowiedzenia mu całej historii niesamowitych wydarzeń w zamku i wyplakania się na jego ramieniu.

Z Urszulą w ciągu dnia widziała się przelotnie. Przy zdawaniu zmiany wymieniły ze sobą jedynie drobne uwagi dotyczące kolejnego etapu pracy i rozeszły się.

Zgodnie z zamiarem zrobienia porządków na cmentarzyku, Edyta wrzuciła do małego, plastikowego wiaderka szmatkę i zmiotkę, zamknęła na klucz swój pokój i wyszła z zamku.

O zgrozo! Przy schodkach stała Helena, patrząc na nią wzrokiem bazyliuszka.

- Dokąd pani z tym idzie? - zapytała surowo, zaglądając do wiaderka.

- Na cmentarz, chcę wyczyścić z brudu nagrobki - Edyta pomyślała, że wolałaby przewrócić się, potłuc, oby tylko nie spotkać Winter.

- Pani Edyto, nie życzę sobie, ani z pewnością nie życzą sobie tego państwo Bohdanowiczowie, żeby obca osoba zajmowała się grobami ich przodków. Proszę tam nie chodzić. Park jest wielki, a takie miejsce nie należy do rekreacji.

- Ale dlaczego? Pani Maria chce tam pójść i jak zobaczy te śmieci, to się jeszcze rozchoruje z żalu.

- Kiedy to powiedziała? - Helena wpiła się wzrokiem w twarz Edyty.

- Chyba przedwczoraj... albo dwa dni temu.

- Pani Edyto! Proszę wykonywać tylko te obowiązki, które pani dotyczą. Od wydawania dyspozycji to ja tu jestem. Proszę to sobie zapamiętać.

- Ale pani seniorka będzie niezadowolona - broniła się Edyta.

- Proszę mi to zostawić. Pani jest tu tylko pokojówką!

Winter czekała, aż Edyta zawróci i wejdzie do swojego pokoju. Tego się Edyta nie spodziewała. Zamiast pochwały dostała po głowie, i to od kobiety, której nie tylko nie lubiła z wzajemnością, ale którą podejrzewała o podłe zamiary względem seniorki. Wstrętna, wściekła baba!

Już niedługo w zamku coś zacznie się dziać, widziała to po zachowaniu seniorki i jej mocnym „to ja decyduję o przyjmowaniu gości”!

Rzuciła się na łóżko, zamierzając oddać się lenistwu do chwili spotkania z Bartkiem.

O godzinie szesnastej Edyta wyszła z zamku. Fontannę omijała wzrokiem. Nie chciała, żeby widok kamiennej postaci zmącił jej radość ze spotkania z Bartkiem.

Było ciepło, bezwietrznie, widok parku w różnych barwach zieleni koił oczy i przywracał spokój, kiedy weszła w zacienioną alejkę. Gdzieś w niebyt odpłynął niepokój, zmęczenie, powróciła radość życia.

Zaproszenie przez seniorkę Bartka dodało jej pewności siebie, nawet przestała dbać o to, aby jej spotkania z nim nie zauważył ktoś z mieszkańców zamku.

Zaledwie usiadła na ławce, zjawił się Bartek. Poderwała się, podbiegła i przytuliła się do niego.

- Jak dobrze, że już jesteś - powiedziała z westchnieniem, kładąc głowę na jego ramieniu.

- Chyba się nie spóźniłem? - zapytał zaniepokojony. - Jak długo tu jesteś?

- Przyszłam przed chwilą - Edyta uniosła głowę i objęła go za szyję, patrząc w oczy, w których się zakochała. - Wiesz, od dłuższego czasu nie potrafię poradzić sobie z pewnymi sprawami... to nie daje mi spokoju. Sama już nie wiem, czy wyolbrzymiam to wszystko, co wydaje mi się tutaj niezwykle, budzi we mnie strach... wpływa na moje samopoczucie, bo odkąd tu przyjechałam, to mam wrażenie, że w zamku dzieją się jakieś nierealne, niedorzeczne zjawiska...

- Powoli, powoli, jestem przy tobie - powiedział cicho Bartek, nachylając się do jej ucha.

Z uwagą słuchał jej długiego wywodu, z każdym kolejnym słowem pełnym napięcia i z trudem hamowanego drżenia głosu.

-Opowiesz mi, czego nie rozumiesz, czego się obawiasz? - czułym gestem wplótł palce w jej krótką czuprynkę.

Edyta skinęła głową.

- Usiądźmy.

Bartek chwycił ją za rękę i zaprowadził do ławki.

-Nie wiem, jak to zwykle bywa, od czego zacząć - Edyta wzięła głęboki oddech. - Pewnie od początku, chociaż nie jestem pewna, czy moje podejrzenia co do niektórych spraw i osób z nimi powiązanych mają odbicie w rzeczywistości... Może... ten zamek, jego położenie z daleka od zabudowań ma w sobie taki dziwny klimat...

Edyta urwała, zastanawiając się przed dalszymi wynurzeniami. Bartka znała zaledwie od kilku dni, a to, co chciała wyrzucić z siebie, dotyczyło życia w zamku i służbowo-prywatnych spraw wszystkich mieszkańców posiadłości.

- Nie jestem pewna, czy o wszystkim mogę ci opowiedzieć - nagle zwątpiła.

- To omiń te sprawy, może w ogóle nie mają żadnego znaczenia.

- Wszystkie mają, splatają się ze sobą, nie mogę ich ominąć. Za chwilę pomyślę, że ty też możesz być wytworem mojej wyobraźni. Przychodzisz i znikasz... tutaj wszystko jest prawdopodobne.

Bartek nachylił się i pocałował ją w usta.

- A teraz jestem? - zapytał, mocno ją obejmując.

-I to namacalnie. Najbardziej nie lubię tego momentu, kiedy się rozstajemy, a ja wracam do zamku, w którym coraz bardziej czuję się osamotniona... tak jak Janka.

- To twoja zmienniczka?

-Nie... gdyby żyła, to ja tutaj prawdopodobnie nigdy bym nie trafiła. To dziewczyna z domu dziecka z Grudziądza... jest pochowana tu, na cmentarzyku. Zmarła tragicznie.

Bartek ożywił się.

- Z domu dziecka? Co to za historia? Edytę coś tknęło.

-Bartek... nazywasz się Dybowski... takie samo nazwisko ma dyrektorka tego domu...

-To moja matka. Nic nie wiem o tej dziewczynie, zresztą u mnie w domu nie rozmawia się o służbowych sprawach, a poza tym przez prawie cały rok jestem poza domem i kiedy wracam, mamy inne sprawy do obgadania. Ojciec często wyjeżdża w interesach, prawie go nie widuję, więc każdy obiad czy wspólna kolacja to prawie święto w naszym domu.

- Więc to ona mogła być w wieży, na ceremonii... -Edyta przypomniała sobie obcą kobietę, rozmawiającą z Heleną.

- O czym mówisz?

- Zaraz ci wytłumaczę. Bartek zapytał z ciekawością:

- Skąd wiesz, jak nazywa się dyrektorka domu dziecka?

- No właśnie... posłuchaj.

Edyta oparła się o jego ramię i wsunęła rękę w jego dłoń. Bartek zacisnął palce.

- Przyjechałam do pracy w dniu pogrzebu tej dziewczyny... Odbywał się wieczorem w wieży, w scenografii z horroru, z udziałem mistrza ceremonii, który okazał się być krewnym tych... Bohdanowiczów...

W trakcie opowiadania na twarzy Bartka nie malowały się żadne uczucia. Słuchał z kamiennym spokojem,

dopiero po długiej chwili, kiedy Edyta umilkła, odniósł się ostrożnie do jej monologu:

- Jesteś pewna tego, co widziałaś i słyszałaś?

- Wątpisz w to?

- Nie. Ale najpierw odniosę się do nocnych spacerów tego posągu z fontanny. Prawie każdy zamek ma swojej bogatej historii jakąś tragiczną przeszłość, legendę, która w rzeczywistości nie ma nic wspólnego z nawiedzeniem zamku, w popularnym sensie tego wyrażenia. Tak naprawdę nie istnieją duchy, zjawy ani upiory, które ukazują się lokatorom domów, zamków, nękają ich albo tylko przechadzają się. Ja w to nie wierzę.

- Ja też, ale w takim razie co widziałam?

- Nie wiem. Czasem nasze umysły odbierają jakieś ulotne fale, które utrwaliły się w pamięci danego obiektu, ale to też tylko teoria. Podobnie jak ze wszechświatami równoległymi. Co do ich istnienia spierają się naukowcy, chociaż wielu na podstawie badań jest skłonnych do poparcia tej teorii. Natomiast nie widzimy innego wszechświata, ponieważ znajduje się w innej czterowymiarowej przestrzeni, a my znamy tylko trzy.

- Nie byłam dobra z fizyki, to dla mnie jakaś abstrakcja.

- Na razie.

Edyta powróciła do damy z fontanny.

- Seniorka też ją widziała.

- Hm... Musi istnieć jakaś psychiczna więź między osobami odbierającymi te zjawiska. Mówię to na własną odpowiedzialność, to tylko teza. Seniorka jest właścicielką zamku, który od wieków jest w posiadaniu jej rodziny. Legenda może mieć prawdziwe podłoże.

-Aleja?

- Czytałaś pamiętnik tej dziewczyny, którą tak polubiła seniorka. Być może to jest ta nić: właścicielka, Janka i ty.

- To już kilka osób, które przyznają się, że widziały to zjawisko.
- Nie chcę cię zanudzać, ale teoretycznie istnieją tunele czasoprzestrzenne, taka zakrzywiona linia czasu, wówczas ktoś znajdujący się jakby na jej progu dostrzega jakieś wizje z innego świata. Być może to powoduje postrzeganie tego, co jest jednak wysoce nieprawdopodobne. Podkreślam, że to tylko moje dywagacje na ten temat.

- Wolałbym już więcej nie widzieć tej damy, a wracając do Bohdanowiczów... mam prawie pewność, że oni nie są prawdziwą rodziną seniorki, chociaż ona traktuje ich jak krewnych. Dla mnie, na podstawie moich obserwacji czy przypadkiem usłyszanych rozmów, są zagadką.

Bartek podszedł do tego sceptycznie.

- To pewnie jej dalsi krewni i jak to bywa, czekają na spadek. Seniorka jest w podeszłym wieku... nie ma w tym nic niezwykłego.

Edyta była niezadowolona z przebiegu rozmowy.

- Za lekko to potraktowałaś. Ja... nawet mam zamiar zwolnić się z tej pracy... czekam tylko na odpowiedź córki pani Marii.

Bartek przygarnął ją czule do siebie.

- To dobrze. Będziemy mieli więcej czasu dla siebie. Natomiast w całej tej historii najpoważniejszą sprawą jest zatajenie przez naocznych świadków śmierci tej dziewczyny.

- Było śledztwo. Sprawa jest zamknięta.

- Kochanie, do niczego się nie wtrącaj i nikomu z nich się nie zwierzaj. Z tego, co mi opowiedziałaś, jedyną osobą godną zaufania jest właścicielka zamku. Dobrze byłoby, żeby jak najprędzej przyjechała jej córka - Bartek w obawie o jej bezpieczeństwo zdecydował: - Nie traktuję tego, co mi opowiedziałaś, lekko, ale... odejdz stamtąd.

- Teraz, kiedy wyrzuciłam to z siebie, poczułam się o wiele lepiej, nawet przestałam się bać. Ale mam dobrą

wiadomość - Edyta zrobiła tajemniczą minę. - Masz zaproszenie od seniorki, chce cię poznać. Zgadzasz się?

- Nawet teraz! - zawołał Bartek, ucieszony nadarzącą się okazją zwiedzenia rezydencji. - Przy okazji zobaczę od wewnątrz ten zamek. Po tym co usłyszałem, zaczyna mnie intrygować.

-Najpierw porozmawiam z seniorką. Niech zdecyduje o terminie odwiedzin, myślę, że nastąpi to za kilka dni. Dzisiaj, kiedy przyniosłam jej śniadanie, jeszcze leżała w łóżku, blada, przygnębiona... na pewno przejęła się pamiętnikiem tej dziewczyny. To tylko kilka kartek, ale bardzo przejmujących. Nie powinnam jej tego zaność.

Edytę dręczyło wyjawienie staruszce istnienia zeszytu Janki i zanieśenie go jej. Spojrzała na Bartka, szukając w jego oczach uspokojenia, usprawiedliwienia zamysłu oddania Marii kilku rzeczy stanowiących własność jej ulubienicy.

- Czy czułabyś się lepiej, gdybyś zataiła przed nią fakt ich znalezienia? Na pewno nie. Więc nie przypisuj sobie pogorszenia stanu zdrowia kogoś w tak podeszłym wieku. Ty dzisiaj też nie wyglądasz najlepiej - Bartek patrzył na podkrążone oczy Edyty.

- Ach... wystarczy spokojna noc... bez nocnych spacerów bosymi nogami - ta zbagatelizowała sprawę. - To nieważne, natomiast, pamiętasz tę oderwaną z krzyża tabliczkę na grobie tej dziewczyny, na cmentarzyku?

- Tak, leżała gdzieś na ziemi.

-No właśnie. Nie mam możliwości jej z powrotem przybić albo jakoś umocować. Mógłbyś to zrobić następnym razem kiedy się spotkamy?

- Mogę to zrobić zaraz. Mam w samochodzie podręczny zestaw różnych narzędzi, po co czekać do jutra? Tylko to trochę potrwa. Muszę przejść przez mur, a samochód parkuję kawałek od zamku.

Edyta poderwała się z ławki.

- To chodźmy - ucieszyła się. Miałam dzisiaj zamiar posprzątać tam, ale Helena mi nie pozwoliła. - Jeżeli masz zmiotkę, to ją też zabierz. Zrobię porządek na grobach, seniorka mnie prosiła, aby z nią tam przyjść, a nie chciałam, żeby zobaczyła ten brud i zeschnięte liście, chyba nieuprzątane od wielu lat.

Idąc wzdłuż muru, dotarli do zaniedbanego miejsca pochówku rodziny Bohdanowiczów i Janiny Kowalskiej. Bartek wspiął się na mur, Edyta pochyliła się nad starymi nagrobkami, miejscami poczerniałymi, zarośniętymi mchem i pokrytymi naniesionym wiatrem piaskiem, resztkami roślin czy zeschniętymi patykami. Z trudem odczytała imiona naznaczone wiekiem czasu; Augustyn, Leonora... Ze smutkiem patrzyła na coraz bardziej niszczący usypany z ziemi grób dziewczyny z domu dziecka.

Bartek szybko wrócił z walizką narzędzi i zabrał się do przymocowania tabliczki do krzyża. Edyta wymiotła z nagrobków zalegający piasek wymieszany z liśćmi, odrzuciła patyki, jedynie mech pozostał, przyrośnięty do szarych płyt.

- No! - wyprostowała się zadowolona. - Teraz to wygląda na cmentarz. Mogę przyprować tu seniorkę.

- Ja też już skończyłem - odezwał się Bartek, poruszając lekko tabliczką, by sprawdzić, czy dobrze ją przybił. - Wiesz, zrobiło mi się żal tej dziewczyny, nie dość, że nie znała nawet swojego prawdziwego nazwiska, nie mówiąc już o rodzicach, to leży tu zapomniana. Pewnie na długie lata, jeśli nie na wieki, jak ci - wskazał na nagrobki.

- To takie przykre, miała zaledwie osiemnaście lat. Tylko o rok mniej ode mnie - powiedziała cicho Edyta.

- Chodźmy już stąd. Teraz już cię nie obejmę, chociaż całować mogę - Bartek zmrużył oko, starając się rozbić smętny nastrój.

- Szkoda, ale nadrobimy to, chociażby jutro.

Bartek, zamykając walizeczkę, rzucił:

- Jutro to przygotuj się na forsowanie muru, bo zabiorę cię stąd. Pomyśl, gdzie chciałabyś pojechać, nie będziemy ciągle przesiadywać na ławce, kiedy mamy do dyspozycji samochód.

- Bardzo chciałabym gdzieś stąd się ruszyć. Obojętnie gdzie, byle dalej od zamku - ucieszyła się Edyta.

Bartek postawił walizeczkę z narzędziami pod murem i zapytał:

- Wracamy, czy wybieramy to miejsce? - pokazał ławki nieopodal nagrobków.

- Zostańmy tu, bliżej tej nieszczęśliwej dziewczyny. Długo siedzieli w milczeniu obok siebie, w ciszy

zapomnianego miejsca. Edyta położyła głowę na ramieniu Bartka, szczęśliwa, bezpieczna, bo cóż może się wydarzyć u boku kochanego mężczyzny?

- Jutro o tej samej porze? - zapytał.

- Uhm - mruknęła, nie otwierając oczu.

I tak widziała go oczami wyobraźni, czuła jego ciepło przenikające każdą komórkę jej ciała.

Rozdział 5

Teresa Tarnowska, podekscytowana, jeszcze przy drzwiach w mieszkaniu niecierpliwie rozrywała kopertę. Mogłaby ze spokojem przeciąć ją nożykiem, ale nie tę kopertę. Z Polski! Z rozerwanej koperty wyjęła list. Doskonale знаła ten charakter pisma. Teraz, po latach, napisany nienawykłą do pisania ręką osoby, która rzadko sięga po pióro.

Usiadła na kanapie i wzruszona zaczęła czytać. Już po kilku zdaniach jej oczy napełniły się łzami.

Kochana Teresko

To był wielki błąd z mojej strony, matki, która do końca swoich dni powinna być zawsze blisko rodziny. Nie zrywać więzi, nawet wtedy, kiedy nie popiera i nie zgadza się z decyzjami ukochanej córki. To stracone lata, które mszczą się wyrzutami sumienia, których niczym nie można zagłuszyć.

Moja wnuczka Ewa obrała drogę, której nie zaakceptowałaś, i teraz wiem, że słusznie. Nikt siłą nie zmusza do zażywania narkotyków ani do picia do nieprzytomności alkoholu. To trzeba chcieć samemu. Ona chciała. Na myśl, że mogłabym cię stracić, gdybyś jej uległa, ogarnia mnie przerażenie.

Upłynęło tyle lat, wiem, że jestem u kresu swoich dni, i bardzo pragnę zgody między nami. Przyjedź możliwie prędko do mnie, do zamku, jeżeli chcesz i nic ci nie stoi na przeszkodzie. Może zdrowie? Oby nie.

Po śmierci Konrada, twojego ojca, o której Cię nie powiadomiłam, nad czym boleję, przez jakiś czas mieszkałam w Domu Spokojnej Starości w Grudziądzu, ponieważ

wszystko w zamku przypominało mi jego śmierć, z którą do dzisiaj nie mogę się pogodzić.

Jednak wróciłam do własnego domu, do zamku w Bohdanach, bo tutaj jest moje miejsce. Nie jestem sama, mieszka ze mną rodzina Bohdanowiczów.

Wszystko ci opowiem, kiedy przyjedziesz. Jeżeli Twój przyjazd będzie możliwy dopiero za kilka dni, ponieważ Stanisław nie będzie mógł tak od razu, z dnia na dzień zostawić swojej firmy, to chociaż napisz list. Telefony tutaj nie działają, pozostaje więc list i przyjazd.

Czekam na Ciebie i Stanisława z wielką niecierpliwością.

Kocham cię Teresko.

Mama

Teresa wytarła mokrą od łez twarz dłonią. Siedziała wsparta o poduszkę, wpatrując się na przemian to w białą kartkę listu, to w adres widniejący na kopercie: Maria Bohdanowicz. ...

Nie potrafiła powstrzymać drżenia rąk i potoku łez płynących po policzkach.

Kiedy usłyszała chrobot klucza w zamku drzwi wejściowych, poderwała się i wybiegła do przedpokoju.

-Stach! - zawołała do wchodzącego mężczyzny. -Przyszedł list z Polski! Od mamy!

- List?! Po tylu latach?! - zdziwił się Tarnowski, całując Teresę w policzek. - Ale nie płacz, głowa będzie cię boleć - troskliwie objął żonę i zaprowadził ją do pokoju.

- Usiądź. Co mama pisze? Daj mi go, przeczytam -zabrał z rąk roztrzęsionej kobiety kartkę papieru.

Czytał, ściskając uspokajająco jej rękę.

- Stach! Musimy jechać do Polski. Jak najszybciej!

- Spokojnie. Nie denerwuj się. Czy zwróciłaś uwagę na to, że mama mieszka z jakąś rodziną Bohdanowiczów? - Tar-

nowski przeczytał na głos zdanie o mieszkającej z teściową rodzinie.

- Nie, nie zwróciłam na to uwagi, byłam taka przejęta. Czytałam to prawie nieprzytomna z radości. W którym to jest miejscu?

- O, tutaj.

- Rzeczywiście. Mama nie ma już nikogo bliskiego, oprócz nas. Przynajmniej ja nic o tym nie wiem! - Teresa spojrzała z niepokojem na męża. - Kim mogą być ci ludzie? Może to tak dalecy krewni, że mogę o nich nic nie wiedzieć - uspokajała się. - Och! Píše o ojcu! Nie żyje! Widzisz, co się ze mną dzieje?! Jak mogłam to przeoczyć? Zupełnie zapomniałam, że miał na imię Konrad!

Tarnowska głośno się rozplakała. Położyła głowę na piersi męża i wycierała oczy podaną przez niego chusteczką.

-Przez te głupie rodzinne niesnaski nawet nie byliśmy na jego pogrzebie. Boję się o mamę, jest już w takim wieku... nie na próżno pisze, żebyśmy przyjechali... Może leży chora... a dookoła niej jacyś ludzie... - mówiła cicho. - Przecież nie otoczyłaby się obcymi... to muszą być nasi krewni... Zabierzemy ją stamtąd... jakoś ją przekonamy, żeby przyjechała z nami tutaj... Sprzedamy ten zamek... chociaż to będzie najtrudniejsze... mama tak go kocha.

Teresa głęboko westchnęła, uniosła głowę i oparła się o poduszkę. Patrzyła przed siebie zamglonymi przez łzy oczami.

- Jak myślisz? Przyjedzie z nami? - zwróciła się do Stanisława.

- To będzie trudna sprawa, nie wiemy, w jakim stanie jest jej zdrowie. Ale całkowicie popieram jej przyjazd, mamy duży dom.

- Chciałabym jechać tam nawet dzisiaj, trzeba kupić bilety na prom. Spakować się - Teresa przyłożyła do oczu chusteczkę.

-Kochanie - Tarnowski objął ją za szyję. - Wypłacz się, a potem... - zawiesił głos - poważnie porozmawiamy... Powinnaś cieszyć się, a nie płakać, ponieważ... są w życiu bardziej zaskakujące wiadomości... wręcz tragiczne...

- Na pewno są takie... ale tyle lat... tyle lat... nareszcie spotkam się z mamą... mam taki mętlik w głowie, chce mi się i płakać, i skakać do góry z radości! Jestem taka szczęśliwa!

Tarnowski bał się poruszyć temat jeszcze bardziej tragiczny w swojej wymowie, o którym wolałby powiedzieć żonie w o wiele bardziej sprzyjających okolicznościach, na pewno nie dzisiaj, kiedy jest tak roztrzęsiona. Tę nader przykrą wiadomość przyniósł kurier razem z pocztą do jego firmy, kiedy otworzył kopertę, był porażony treścią pisma.

Spojrzał na żonę niepewny, jak to przyjmie. Może odłożyć to w czasie, za kilka godzin... na wieczór?

Po chwili namysłu zdecydował:

-Kochanie... przyrzeknij mi, że to, o czym ci zaraz powiem... przyjmiesz spokojnie... bez paniki... - przygarnął ją mocniej do siebie.

- Masz problemy w firmie? - zaniepokoiła się.

- A skąd? Firma wspaniale się rozwija, mamy coraz większe zyski, oby tak dalej. To zupełnie innego rodzaju wiadomość. Dotyczy naszej rodziny - powiedział twardo.

- Co chcesz przez to powiedzieć?! - Tarnowska wysunęła się z jego uścisku i patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. - Widzę po twojej minie, że zaraz mnie czymś nieprzyjemnym zaskoczysz! Co się dzieje?!

Tarnowski postanowił nie kluczyć i przedstawić sprawę spokojnym głosem, pozbawionym emocji, które już nieco opadły w drodze do domu.

- Słuchaj, dzisiaj otrzymałem ze służbową pocztą list z Polski, z Domu Samotnej Matki w Grudziądzu...

-Jaki list?! I dlaczego przyszedł do twojej firmy?! - przerwała mu Teresa, pełna złych przeczuć.

- Nie przyszedł do firmy, tylko na nasz domowy adres, ale kurier zna mnie doskonale i zostawił mi go.

- No dobrze. Co to za list? Czuję, że zaraz pęknie mi serce ze zdenerwowania! Co za dzień!

- List od dyrektorki tego domu, zawiadamiający nas o... - Tarnowski zawahał się - o śmierci naszej córki... Ewy!

- Powtórz! To jakaś pomyłka! - krzyknęła Teresa.

- Kochanie, to nie jest pomyłka. Zaraz tam zadzwoniłem. Czekają na pochówek, nikt się nie zgłaszał jako rodzina, więc wszczęto dochodzenie i od jakiejs... - ten chrząknął - kobiety ze środowiska naszej córki dowiedzieli się naszego adresu.

Teresa zakryła twarz rękami i ściśniętym głosem zapytała:

- Kiedy to się stało?

- W lipcu, o ile dobrze pamiętam, dwudziestego czwartego lipca, ale dowiemy się wszystkiego na miejscu. Trzeba ją pochować... jest w zakładzie pogrzebowym... nie chcą już dłużej czekać i zaczęli starać się o pokrycie kosztów z budżetu miasta.

- Jak... odeszła?

- Jak?! - wybuchnął Stanisław. - Wódka, narkotyki... znaleźli ją w ogrodzie na trawniku, kilka metrów od tego domu!

- Czego się doczekaliśmy! W takim wieku umierać! W taki sposób!

- Taak... miała tylko... trzydzieści siedem lat... Ostatni raz widzieliśmy ją prawie dziewiętnaście lat temu - powiedział kiwając głową Stanisław.

- Pokaż mi to pismo - zażądała Teresa, odrywając dłonie od twarzy. - Muszę to przeczytać.

Tarnowski wyjął z kieszeni pogniecioną kopertę i wyjął z niej urzędowe pismo.

-Proszę, tylko się nie zadręczaj, podejź do tego, przypominając sobie nasze życie... z nią.

Teresa z zaciśniętymi ustami czytała suchą treść powiadomienia o śmierci Ewy Tarnowskiej, byłej mieszkanki domu samotnej matki.

- Jakie życie, taka śmierć! -powiedziała z gniewem.-Słuchaj, Stach... dlaczego ona mieszkała w tym domu? Tam, o ile wiem, przebywają, i to tylko przez pewien czas, matki z dziećmi. Nie zastanowiło cię to? - spojrzała na męża.

-Owszem, pewnie tylko tam było dla niej miejsce. Przypuszczam, że większą część życia spędziła na ulicy, w swoim ukochanym środowisku! Pojedziemy tam i wypytamy o wszystko. Najpierw trzeba zarezerwować bilet na prom z Karlskrony do Gdyni. Wątpię, żebyśmy wypłynęli tak z marszu, a poza tym nie mogę zostawić firmy z dnia na dzień bez zakończenia pilnych spraw.

- To kiedy będziemy mogli wypłynąć?

- Za kilka dni. Zabierz się do napisania listu do mamy, bo na pewno wcześniej ona dostanie od nas list, niż my się tam zjawimy.

- Gdzie pójdziemy najpierw?

- Myślę, że najpierw do tego domu, gdzie mieszkała Ewa, a potem do zakładu pogrzebowego, do... - zastanowił się - „Epitafium”, gdzie leży w chłodni. To trochę potrwa, zanim pojedziemy do zamku. Poza tym, dyrektorka nie pisze, czy miejsce na pochówek jest załatwione i inne rzeczy... ubranie... i... no... sama wiesz... co trzeba kupić, nie będę wymieniał szczegółów. Z tego wszystkiego zapomniałem tę dyrektorkę o to zapytać... byłem zdezorientowany. .. nie dowierzałem temu, co się dzieje... przez chwilę czułem się tak, jakbym miał wyłączoną zdolność rozumienia tego, co ta kobieta do mnie mówiła.

-Niestety, wiem... co trzeba jej kupić na ostatnią drogę - powiedziała Teresa, patrząc tępo na kartkę papie-

ru. - Nawet odejść nie potrafiła, nie przysparzając nam kłopotów i rozpaczy. Była taką małą, słodką dziewczynką. .. chyba nie zauważyliśmy w porę jej dorastania... a już na pewno wyboru drogi, z której nie pozwoliła się zawrócić - mówiła cicho, łamiącym się głosem.

Tarnowski wstał i zwrócił się do żony:

-Teresa, nie rozpamiętujmy, nie wracajmy do tych lat, kiedy zaczęliśmy nie poznawać naszej córki. Nie tylko z powodu jej... okropnego wyglądu, ale przede wszystkim jej zachowania, moralności rodem z ulicy, upadku, w którym czuła się jak ryba w wodzie. Pojadę teraz do firmy, zostawię dyspozycje kierownikowi produkcji i stamtąd zrobię rezerwację biletów na prom, a ty, jeżeli jesteś w stanie napisać do mamy, to zrób to, bo ja dzisiaj zostanę dłużej w pracy. A teraz, kochanie... - nachylił się i ją przygarnął - zajmij się czymś i nie myśl już o tym... jak wrócę, pojedziemy gdzieś za miasto albo pójdziemy do dobrej restauracji na kolację.

- Zaraz zabiorę się do pisania listu... zostań jeszcze chwilę, obiad jest już gotowy - Teresa odłożyła pismo i ruszyła do kuchni.

- Nie teraz. Wychodzę.

Po chwili spod domu odjechał czarny ford.

Teresa Tarnowska podeszła do okna i spojrzała w górę, na szare niebo. Kolejne dni sierpnia w Ronneby były chłodne, czasem dżdżyste, słońce wychylało się zza chmur na godzinę, dwie i znowu chowało za ich szarymi płatami. Synoptycy nie dawali nadziei na nagły napływ fali gorąca, choćby na kilka dni, zresztą teraz już nic jej do szczęścia nie było potrzebne. Każdy dzień, nawet słoneczny, długo nie będzie miał dla niej żadnego znaczenia.

Odeszła od okna, bez sensu chodziła z pokoju do kuchni, wyszła na balkon, patrząc gdzieś w dal, wreszcie poszła do małego pokoju, który miał ogólne przeznaczenie; oprócz skromnego umeblowania, znajdowały się w nim pamiątki

z wielu podróży, biurko, na którym stał komputer, biblioteczka z książkami.

Teresa wyjęła z szuflady biurka kopertę i papier w kratkę. Papieru listowego nie znalazła. Od lat z mężem wymieniała korespondencję drogą elektroniczną i od dawna zaniechała pisania listów tradycyjną metodą.

Usiadła przy biurku i pochyliła się nad papierem.

Kochana Mamo

Ze wzruszeniem czytałam list od Ciebie...

Ostatnie zdanie... „do zobaczenia w Bohdanach...” okupione zostało łzą, która spadła na kartkę. Teresa zaklepała kopertę, włożyła do ją torebki i udała się na pocztę.

W drodze powrotnej usiadła na ławce na zielonym skwerku, ze smutkiem patrząc na przechodniów, matki z dziećmi, przekrzykującą się młodzież. Próbowwała wskrzesić w sobie choćby iskierkę optymizmu w tak ciężkich chwilach, ale ogrom cierpienia zbyt ją przytłaczał; nie potrafiła nawet zdobyć się na nikły choćby uśmiech, odpowiadając na pozdrowienia znajomych osób.

Nie spodziewała się, że śmierć wyrodnej córki tak nią wstrząśnie, chociaż... nie uroniła ani jednej łzy! Oczy pozostały suche... jedynie serce pękało z żalu i... gniewu, że... umierała w taki sposób... samotnie, pod gołym niebem, nieprzytomna... zaćpana, daleko od niej... matki!

Targały nią wyrzuty sumienia na przemian ze złością. .. Tylko na kogo?!

Tego nie można rozstrzygnąć ani siedząc na ławce, ani później w zaciszu domowym!

Temat Ewy był od lat tematem tabu.

Dzięki Stanisławowi nie wpadła w depresję, więc teraz zmusi się do przyjęcia jej tragicznego odejścia jako

nieuniknionego wyniku prowadzenia takiego, a nie innego trybu życia!

Do domu wróciła z mocnym postanowieniem nie-rozklejenia się, przynajmniej do wizyty w zakładzie pogrzebowym.

Wieczór, zgodnie z obietnicą męża, spędzili w przytulnej restauracji, przy kolacji ze świecami i dobrym winem, na którą pojechali taksówką.

- Od dawna tu nie bywaliśmy - Teresa upiła łyk wina.

- Trzeba to nadrobić, nie można żyć tylko pracą i robieniem pieniędzy. Powinniśmy gdzieś wyjechać na długi urlop, oczywiście jeżeli okoliczności nam na to pozwolą. Wiesz, co mam na myśli. Mamę i... - powiedział z zadumą Stanisław.

- Wiem. Nie jesteśmy już tacy młodzi, oboje mamy już siwe włosy, a życie tak jakoś szybko płynie. Między śniadaniem, obiadem, kolacją i znowu między... - Teresa nie dokończyła. - Czasem chciałabym zaszyć się gdzieś, z daleka od skupisk ludzi, zamieszkać na chwilę na bezludnej wyspie i... wrócić do domu - na twarzy Teresy zagościł przekorny uśmiech.

-Taak... wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej -pokiwał głową Stanisław.

Teresa wróciła do wyjazdu.

- Stach, a co z biletami na prom? - zapytała. -Załatwiłem. Moglibyśmy nawet jutro wypłynąć,

ale mam pilną naradę w firmie i muszę być obecny. Mam dobrego, kompetentnego zastępcę, ale zawieram nową, bardzo korzystną umowę i wolę to sam załatwić.

- Więc kiedy płyniemy?

- Za cztery dni.

- Czyli... - Teresa zastanowiła się - w piątek. To dobrze, mama dostanie już list. Mogę się już pakować.

- Masz jeszcze na coś ochotę, czy wracamy do domu?

- Wracamy. Zadzwoń po taksówkę.

Dni, które zostały do wyjazdu do portu w Karlskronie, wydawały się obojgu najdłuższymi, jakie mogliby sobie kiedykolwiek wyobrazić. W drodze z Ronneby oboje milczeli. Teresa patrzyła obojętnie przez szybę samochodu na mijane oświetlone okna zabudowań i ciemne kontury lasów. Stanisław czasem odwracał do niej głowę, jakby sprawdzał jej samopoczucie.

Dopiero na miejscu, już na promie, w kabinie pasażerskiej, kiedy rozgościli się, oczekując wypłynięcia, poczuli, jak napięcie powoli odpływa i ustępuje miejsca uldze, że wkrótce zakończą się sprawy, wokół których przez ostatnie dni toczyło się ich życie.

Teresa położyła się na łóżku i zapytała:

- Jak długo będziemy płynąć do Gdyni?

- Około dziesięciu godzin, może trochę dłużej, rano będziemy na miejscu - Stanisław patrzył przez okno na oświetlone nabrzeże portu. - A do Grudziądza to już tylko kawałek drogi - spojrzał na żonę. - Idę na pokład zaczerpnąć trochę powietrza, idziesz ze mną?

- Nie mam ochoty, może później. Idź sam. Wyjmij z torby sok pomarańczowy, chce mi się pić.

- Na kolację pójdziemy do restauracji?

- Nie wiem, zobaczymy. Zmuszam się do jedzenia, ale wszystko, co jem, wydaje mi się bez smaku, jakby pozbawione soli, przypraw... ale to minie, nie ma o czym mówić.

- Ostatnio mało jadłaś - Stanisław patrzył z troską na Teresę. - Tak nie można, jeszcze rozchorujesz się, zasłabniesz.

- Stach, nie marudź. Idź już na ten pokład. Nie jestem dzieckiem, po prostu nie mam apetytu - zaburczała, choć na jej twarzy nie było śladu choćby zniecierpliwienia. - Chciałabym przespać całą tę drogę i obudzić się na miejscu. Zazwyczaj cieszyłam się z każdej naszej podróży, zwiedzania świata, z tej nie. Zresztą, to nie jest podróż - głęboko westchnęła. - To najpierw przykry obowiązek, a dopiero

potem radość. Mama nic nie napisała o swoim zdrowiu, ale gdyby była chora, to ktoś za nią napisałby list. Co o tym sądzisz? - zwróciła się do męża.

- Ja też tak myślę. Odpocznij, a ja przejdę się po promie.

- Może napijesz się soku? Mamy dwie butelki.

- Jak przyjdę.

Kiedy Stanisław wyszedł, Teresa zamknęła oczy, starając się wewnętrznie uspokoić. Przy mężu stwarzała pozory opanowania, pogodzenia się z losem, który ich nie oszczędził, przynosząc tragiczną wieść. Jedynie spotkanie z matką po latach niezgody sprawiało, że ból, który uciskał gardło, ustępował, pozwalając odetchnąć pełną piersią.

Za drzwiami kabiny słychać było przytłumione kroki, rozmowy. To dobrze, pomimo chęci odseparowania się od świata, nie czuła się sama.

Teresa sprawdziła, która jest godzina. Już powinni wypłynąć z portu. Po chwili poczuła lekkie wibracje promu.

Wypłynęli.

Przez całą drogę do Gdyni prowadzili ze sobą jakieś zdawkowe rozmowy, które bardziej przypominały monolog jednej czy drugiej strony, drzemali, milczeli, w końcu zmógł ich sen. Wreszcie nastąpił kres podróży. Prom zacumował w gdyńskim porcie.

Po porannej toalecie zjechali windą na pokład samochodowy i czekali na swoją kolejkę, aby wyjechać na nabrzeże.

- Wszystko zabrałaś? - zapytał Stanisław, obserwując, kiedy obsługa da znak na opuszczenie pokładowego parkingu.

- Zabrałam, kiedy wreszcie stąd wyjedziemy!

- Zaraz wyjedziemy, nie denerwuj się.

- Znasz adres domu samotnej matki?

- Znam. Przy Kujawskiej.

- No, nareszcie - rzuciła z ulgą Teresa, na widok mężczyzny dającego znak do wyjazdu z pokładu.

Jeszcze kontrola paszportowa przy wyjeździe z portu, włączenie się do ruchu na ulicach Gdyni i podróż do Grudziądza.

- Obyśmy gdzieś po drodze nie wpakowali się w korek - zaniepokoił się Tarnowski.

- Nie kracz, ja i tak nie mogę się uspokoić... jak pomyślę, co nas czeka...

- Spróbuj o tym nie myśleć, chociaż wiem, że to jest niemożliwe.

W drodze do Grudziądza Stanisław naciskał na pedał gazu, nie reagując na uwagi Teresy, aby „nie szalał”.

- Nie przekraczam dozwolonej prędkości - odpowiadał cierpliwie.

- Tak ci się tylko wydaje, widzę, jak podnosi się wskazówka na szybkościomierzu. Jeszcze zarobimy po drodze mandat.

- Chcę jak najszybciej mieć już to wszystko za sobą.

- Stach! - nagle zawołała nerwowo Teresa. - Wiesz, o czym zapomnieliśmy?!

- O czym? Zabraliśmy wszystkie potrzebne dokumenty.

- O hotelu! Przecież musimy gdzieś się zatrzymać, odpocząć, odświeżyć. No i coś zjeść.

- Myślałem, że pojedziemy do zamku i tam przenocujemy.

- Wiesz, że nie lubię tego miejsca. Wynajmiemy pokój w jakimś hotelu - upierała się Teresa.

- Dobrze - uległ jej Stanisław. - Mam nadzieję, że znajdziemy jakieś wolne miejsce. Jest środek sezonu urlopowego, ludzie nieraz wolą zamieszkać na parę dni w hotelu niż u rodziny w małym mieszkanku.

- Zobaczymy. Oby ten dzień szybko się skończył, bez niespodzianek, bo takich się boję.

Ulica Kujawska znajdowała się na peryferiach miasta. Dom, przed którym Tarnowski zatrzymał samochód, okazał się być długim, parterowym budynkiem z płaskim dachem, niedużymi oknami, w których wisiały białe firanki. Z zewnątrz, wybielony, sprawiał wrażenie, iż jest to dobrze utrzymany w czystości budynek. Otaczała go druciana siatka.

Na frontowej ścianie widniała czerwona tablica: Dom Samotnej Matki w Grudziądzu.

W środku przywitał Tarnowskich gwar dziecięcych i kobiecych głosów dochodzących zza drzwi i niektórych otwartych na oścież pokoi.

Teresa spojrzała na męża. W jej oczach widać było niedowierzenie, że ich córka mogłaby tutaj nie tylko mieszkać, ale w ogóle przebywać nawet przez krótki czas. Nie wytrzymałaby przestrzegania przepisów, dyscypliny i zakazu przyjmowania wszelkich używek.

- Ja też w to nie wierzę - powiedział, jakby czytał w jej myślach.

Gabinet dyrektorki znajdował się przy końcu korytarza. Tarnowski zapukał do drzwi i nacisnął klamkę.

-Dzień dobry - powiedział, wchodząc z Teresą do pomieszczenia.

Kobieta siedząca przy biurku patrzyła na nich pytająco.

- Dzień dobry. Państwo w jakiej sprawie? - zapytała.

- Nazywamy się Tarnowscy, a ja przed kilkoma dniami rozmawiałem z panią o naszej zmarłej córce, Ewie Tarnowskiej - wyjaśnił Stanisław, podchodząc do biurka.

- Dobrze, że państwo już są, proszę usiąść - dyrektorka wstała, przywitała się z nimi i wskazała fotele przylegające do jej biurka. - Nie mogłam się już doczekać zakończenia tej przykrej sprawy, nie tylko dla państwa, ale i dla mnie.

- Pani dyrektor - zaczął mówić Stanisław - znamy okoliczności śmierci Ewy, ale nie rozumiemy, dlaczego to się stało właśnie tutaj, w tym domu. Jeżeli już wymagałaby jakiegokolwiek miejsca, to raczej w domu dla... osób... niesprawnych... niedołączonych... czy niezdolnych do samodzielnego życia.

- Oczywiście. Ale niestety trafiła tutaj, do mnie, przysparzając wielu kłopotów i stresu nie tylko mnie, ale i wszystkim mieszkankom domu. Musiałam nie raz, a wiele razy wzywać policję, bo rozrabiała, demoralizowała dzieci swoim zachowaniem, upijała się, ćpała. Próbowwała nawet sprowadzać tu swoje towarzystwo... to był najgorszy okres w mojej pracy - dyrektorka potrząsnęła z niesmakiem głową. - Wiem, że słuchają tego państwo z przykrością, ale nie będę niczego ukrywać ani osładzać jej pobytu u mnie. Z przerwami, bo wracała do swoich... koleżanek i kolegów.

- No dobrze, ale nie powiedziała pani, dlaczego mieszkała tutaj? - wtrąciła Teresa.

Na twarzy dyrektorki odmalowało się zdumienie.

- Nie wiedzą państwo?

- Nie! - ta zaprzeczyła. - Z córką od wielu lat nie mieliśmy kontaktu. Ona wybrała inne życie, a my tego nie zaakceptowaliśmy.

- Podejrzewaliśmy, że państwa córka jest w ciąży, więc miała pełne prawo do miejsca u nas, ale tylko podejrzewaliśmy, bo początkowo do tego się przyznawała.

Zabrzmiało to jak wystrzał armatni!

- Co pani jest? Słabo pani? - kobieta poderwała się i wyszła zza biurka.

Teresa zbladła, poczuła zawrót głowy i zacisnęła ręce na poręczy fotela, aż pobielaly kostki palców.

- Nic się nie stało. Zaraz mi przejdzie - powiedziała słabym głosem, z trudem łapiąc powietrze.

- Proszę to wypić - dyrektorka podała jej szklankę wody.

Tarnowski zdenerwowany pochylił się do żony.

- Wezwać pogotowie? - zapytał.

- Nie, już mi lepiej, nie spodziewałam się takiej nowiny. Pomimo zapewnienia, iż czuje się lepiej, Teresa nadal sprawiała wrażenie osoby niemającej kontaktu z otoczeniem.

- Proszę pani, zaraz zadzwonię po pielęgniarkę. Mamy tu gabinet lekarski, ale dzisiaj lekarz nie ma u nas dyżuru - dyrektorka chwyciła za słuchawkę. - Położy się pani na kozetce i odpocznie. Pielęgniarka da pani coś na wzmocnienie.

- Proszę nie wołać pielęgniarki - odmówiła stanowczo Teresa. - Chcę być obecna przy rozmowie. Już mi o wiele lepiej.

- To nie będą przyjemne informacje... - kobieta patrzyła niepewnie na Teresę.

- Proszę mówić - odezwał się Tarnowski. - Jesteśmy zmęczeni podróżą, a czeka nas jeszcze kilka spraw do załatwienia. Wie pani o tym doskonale.

Teresa wypiła kolejną szklankę wody i zapytała:

- Więc była w ciąży, czy nie była?

Nastąpiła chwila ciszy, podczas której dyrektorka otworzyła jakiś segregator i wertowała w nim dokumenty.

Po długim oczekiwaniu podniosła znad biurka głowę i oświadczyła:

- Ona zniknęła na jakiś czas i kiedy wróciła, nie przyznawała się do porodu. Dopiero kiedy przyszedł anonim, który właśnie odszukałam, potwierdziły się moje podejrzenia, że była w ciąży... urodziła dziewczynkę. To było osiemnaście lat temu. Dwudziestego czwartego czerwca 19... roku.

- Dlaczego nie zwróciła się do nas... przecież zaadoptowalibyśmy dziecko - szepnęła Teresa.

- Jak już powiedziałam, to była dziewczynka. Urodziła gdzieś... według anonimu... przepraszam za określenie...

w jakiejś melinie i po kilku dniach państwa córka gdzieś ją oddała albo podrzuciła. Prawdopodobnie do tutejszego domu dziecka. Tak wynika z anonimu. Nie miałam obowiązku prowadzić dochodzenia, tym zajęła się policja, ale państwa córka odmawiała jakichkolwiek zeznań i uparcie twierdziła, że nie rodziła. Nie ma przymusu badań lekarskich na podstawie anonimu. - Dyrektorka nie ukrywała niezadowolenia, patrząc kolejno na Teresę i Stanisława.

- Miała wtedy... dziewiętnaście lat - obliczył Tarnowski. - Nic o tym nie wiedzieliśmy - załamał mu się głos. Dlaczego to przed nami zataiła?!

Na twarzy dyrektorki domu pojawiło się zakłopotanie.

- Nie tylko przed państwem... miałam duże nieprzyjemności z jej powodu, musiałam fakt otrzymania anonimu zgłosić odpowiednim władzom, swoim przełożonym... ale to już sprawy wewnętrzne placówki.

Teresa słyszała głos kobiety, który jakby przenikał przez ścianę, zdawało się jej, iż dochodzi z korytarza, a to, o czym mówi, nie dotyczy jej córki! Czekwała więc na sprostowanie.

- Ona obracała się w zamkniętym środowisku, dobrze, że chociaż ktoś napisał anonim. Co jakiś czas wracała tutaj w stanie, który nie pozwalał się z nią porozumieć. Pijana, brudna, jakby tarzała się na wysypisku śmieci, pamiętam to doskonale. Pracuję tutaj od wielu lat i to był jedyny taki przypadek... który przyprawiał mnie o ból głowy.

- A co z dzieckiem? -zapytała Teresa ze smutkiem.

- Po takie informacje proszę już zgłosić się do pani Hanny Dybowskiej, dyrektorki domu dziecka. Upłynęło osiemnaście lat... to bardzo długi czas... a ja mam tyle podopiecznych i ... wobec nich obowiązki.

- Może chociaż orientuje się pani, czy trafiła do jakiejś rodziny zastępczej? - Teresa ocknęła się z letargu, na jej policzki powróciły słabe rumieńce.

- Nie wiem - padła krótka odpowiedź.

- Jak to się stało, że Ewa w dalszym ciągu tutaj mieszkała? To miejsce dla samotnych matek - dopytywał Tarnowski.

- No cóż, miała trochę szczęścia w życiu - powiedziała cierpko dyrektorka. - Była prawdopodobnie matką... bez dziecka... i tak to trwało. Nasza placówka przyjmuje również bezdomne kobiety, jeżeli jest wolne miejsce. W zasadzie więcej tutaj nie mieszkała, niż mieszkała. Znikała i wracała. Nie mogłam odmówić jej pomocy, tak stanowią przepisy. A jak wyglądało jej życie, to już państwo wiedzą. Nic więcej już nie dodam.

- Czy w sprawie jej śmierci było dochodzenie? - zapytał Stanisław.

- Oczywiście. Bez tego nie można byłoby jej pochować. Nie stwierdzono znamion przestępstwa ani udziału osób trzecich. To była prosta sprawa.

- Dziękujemy pani i... przepraszamy... jako rodzice. Do widzenia - Tarnowski wstał, chwytając żonę pod ramię.

- Proszę jeszcze poczekać - dyrektorka wyjęła z szuflady jakiś dokument. - To akty zgonu, będą potrzebne w zakładzie pogrzebowym i do okazania w domu dziecka - podała dokument mężczyźnie.

- Dziękuję, musielibyśmy po nie wrócić.

- Współczuję państwu, może wnuczka, jeżeli tam jest, jakoś zrekompensuje te wszystkie przykre lata... Teraz... udają się państwo do „Epitafium”?

- Niestety, tak. Czeka nas najgorsza wizyta, jeśli tak to można określić, w miejscu, gdzie... czeka na nas nasza córka - powiedział twardo Tarnowski.

-Chwileczkę, nie spiesz się - powstrzymała męża Teresa. - Pani dyrektor, czy zostały po niej jakieś rzeczy, torebka, ubrania... jakieś drobiazgi...

-Zaprowadzę państwa do jej pokoju. Dzieliła go z samotną matką... z dziećmi.

Teresa pomyślała, że akcent na „z dziećmi” był nie na miejscu, ale przełknęła tę gorzką pigułkę. Oni też przez wiele lat nie potrafili pomóc swojej wówczas nastoletniej Ewie i pogodzić się z jej nałogami i wyborem towarzystwa z ulicy.

W pokoju zastali młodą kobietę z dwojgiem dzieci.

- Dzień dobry pani.

- Państwo zabiorą rzeczy Ewy Tarnowskiej, jeżeli są tu jeszcze - wyjaśniła dyrektorka.

Kobieta otworzyła skrzydło szafy.

- O tutaj - pokazała na górną półkę. - Coś jest.

To coś było znoszonymi spodniami, starą, wyświechtaną kurtką, zniszczonymi zimowymi butami i torbą, w której panował ogólny bałagan.

- Możemy to zabrać? - zapytała zdruzgotana widokiem Teresa.

- Proszę, ubranie, w którym ją znaleziono, chyba jest w zakładzie pogrzebowym, ale nie jestem tego pewna - dyrektorka stała w drzwiach, nie kryjąc zniecierpliwienia przedłużającym się pobytem Tarnowskich.

Teresa zabrała rzeczy i wyszła z mężem z pokoju.

- Do widzenia. Dziękujemy pani za cierpliwość. Domyślamy się, jaki był z nią problem. - Teresa i Stanisław pożegnali się z kobietą.

Dyrektorka odprowadziła ich do drzwi i szeroko je przed nimi otworzyła. Na Teresę patrzyła z głębokim współczuciem. Była matką dorosłej córki i doskonale wiedziała, co ta przeżywa.

Tarnowscy prosto z domu samotnej matki pojechali do zakładu pogrzebowego „Epitafium”.

Zanim weszli do środka, Teresa na chwilę przystanęła i powiedziała:

- Boję się tej rozmowy.

- Zostaw to mnie, nie denerwuj się - Stanisław ścisnął jej ramię.

W biurze zakładu zastali siedzącego za biurkiem szpakowatego na skroniach mężczyznę, rozmawiającego przez telefon, drugi, młodszy, stał oparty o futrynę otwartych drzwi, za którymi częściowo widoczne były trumny.

Na widok wchodzących mężczyzna przerwał rozmowę i wstał zza biurka.

- Dzień dobry. Nazywamy się Tarnowscy i przyjechaliśmy w sprawie pochówku naszej córki - wyjaśnił Tarnowski. - Chcielibyśmy załatwić wszystkie formalności, no i oczywiście zobaczyć ją... bo zdarzają się pomyłki.

- Cieszę się, że państwo przyjechali, i współczuję, że to tak długo trwało, ale dopiero przed kilku dniami został ustalony adres państwa - mężczyzna gestem zaprosił ich do zajęcia miejsc przy niedużym stoliku, na którym stał wazon z kwiatami. - Jestem właścicielem zakładu i już robiłem starania o pochówek na koszt miasta. A co do okazania... córki - mężczyzna uniknął zwrotu „ciała” - to pojedę z państwem do chłodni... czy oboje państwo dokonają potwierdzenia tożsamości?

- Tak - rzuciła szybko Teresa.

- Pozostaje kwestia wyboru trumny, ubioru, wniesienia opłaty...

- Zrobimy to teraz - zdecydował Stanisław. - Opłacimy wszystko... co trzeba... wybierzemy najlepsze... rzeczy...

- To jest mój syn - właściciel wskazał młodego mężczyznę. - Pokaże państwu naszą ofertę i pomoże wybrać. Mają państwo akt zgonu?

- Oczywiście.

Tarnowscy wstali i udali się do drugiego pomieszczenia. Bez zastanowienia nad ceną wybrali z oferty to, co uznali za godne ich jedynej córki, na jej ostatnią drogę. Na koniec zamówili wieńce i kwiaty i wnieśli opłatę.

- Możemy już jechać do chłodni? - zapytał właściciel zakładu.

Tarnowski skinął głową.

- Jedźmy - powiedział.

- Jadą państwo ze mną, czy swoim samochodem?

- Swoim. Pojedziemy za panem.

Budynek chłodni znajdował się w znacznej odległości od „Epitafium”. Wyglądał niepozornie, jak zwykły, parterowy dom mieszkalny. Zatrzymali się przed wejściem. Stał tam czarny samochód pogrzebowy.

Tarnowski odwrócił się do milczącej Teresy.

- Czujesz się na siłach, żeby ze mną tam pójść? - zapytał.

- Żartujesz! - powiedziała nieoczekiwanie silnym głosem. - Jak mogłabym nie pójść do własnej córki?! Nie bój się, nie zemdleję, chcę tam być!

- Chodźmy, on - pokazał ruchem głowy właściciela zakładu - czeka na nas.

Wbrew obawom Stanisława, Teresa długo, z kamienną twarzą patrzyła na bladą jak papier twarz Ewy. Położyła dłoń na jej zimnym policzku, pogłaskała po głowie.

-To ona... Ewa... jaka szczupła... - powiedziała cicho.

Stali we dwoje, przygnębieni widokiem córki po dziewiętnastu latach. Była taka ładna... kiedyś... W jednej chwili wybaczyli jej beztroski tryb życia, ogrom zmartwień, których im przysporzyła, bo to właśnie Życie, pisane dużą literą..., wymierzyło jej karę za nich... rodziców... chociaż teraz woleliby, żeby... żyła, tak jak chciała.

- Proszę państwa - przerwał ciszę właściciel. - Kiedy odbędzie się pochówek? I na którym cmentarzu? Wiedzą państwo, że trzeba wykupić miejsce.

- Uzgodnimy to jeszcze dzisiaj i powiadomimy pana. Dopiero dzisiaj przyjechaliśmy i nawet o tym nie pomyśleliśmy - oznajmił Tarnowski.

- W takim razie czekam na telefon. Możemy już wyjść?

- Już wychodzimy. A co z ubraniem, w którym ją znaleziono?

- Było w takim stanie...

- Rozumiem.

Na zewnątrz pożegnali się uściskiem ręki i wsiedli do samochodów.

- Jedziemy do hotelu, czy do domu dziecka? - zapytał Teresę Stanisław.

- Do domu dziecka. Dopóki jestem jeszcze w stanie normalnie funkcjonować i nie zwariować.

- Jak chcesz. Obyśmy zastali kogoś z kierownictwa. Było późne popołudnie.

Piętrowy budynek domu dziecka był ostatnim punktem w ich pełnej wstrząsających doznań podróży tego dnia. Miał stać się miejscem najbardziej nieoczekiwanego spotkania. .. z wnuczką!

- Mam tremę i zaczynam się bać wejścia tam... do środka - Teresa wysiadła z samochodu i patrzyła na męża z wypisanym na twarzy lękiem.

- To już ostatni przystanek nieszczęść, które nas spotkały. Potem, mam nadzieję, że będzie już z przysłowiowej górki.

Tarnowski starał się nie okazywać przed Teresą emocji, które przybierały na sile. Na myśl o ewentualnym spotkaniu z wnuczką czuł niepokój, obawę, jak ich przyjmie, bo z pewnością nie zaakceptują się od razu, będą jak obcy dla siebie ludzie, wszak zobaczą się pierwszy raz w życiu.

- Chodźmy, Tereso, nie stójmy tutaj.

W połowie długiego korytarza znajdowały się schody wiodące na piętro, gdzie mieścił się gabinet dyrekcji z wizytówką na drzwiach: Hanna Dybowska...

Tarnowski zapukał, po czym nacisnął klamkę i otworzył drzwi. Biuro przypominało skromnie umeblowany pokój mieszkalny. Na pierwszym planie widoczne było biurko, wręcz zasypane jakimiś dokumentami, pochyloną nad nimi kobietę w średnim wieku i szeroko otwarte okno.

- Słucham? - uniosła głowę, patrząc na wchodzących do pomieszczenia.

- Dzień dobry. Nazywamy się Tarnowscy i chcielibyśmy porozmawiać na temat naszej wnuczki, która, według naszych informacji, mieszka tutaj od... - Tarnowski nabrał w płuca powietrza - wielu lat - zakończył z chrypką ze wzruszenia w głosie.

-Proszę usiąść. Czy są państwo upoważnieni... czy mogą państwo potwierdzić związek z tą wychowanką? -Dybowska miała przenikliwe spojrzenie.

- Proszę pani, nasza wnuczka jest prawdopodobnie tutaj od osiemnastu lat... a dowiedzieliśmy się tego dzisiaj... przyjechawszy ze Szwecji na pogrzeb jej matki. Zaraz pani wszystko wytłumaczę - uspokoił ją Stanisław, widząc narastające zdumienie malujące się na twarzy kobiety. - Od wielu lat nie mieliśmy z rodziną w Polsce kontaktu... z różnych przyczyn i dopiero kiedy dostaliśmy wiadomość o śmierci naszej córki, to... już tutaj na miejscu dowiedzieliśmy się, że prawdopodobnie urodziła dziecko... dziewczynkę i... oddała ją tutaj, do tej placówki.

- Kiedy to miało miejsce?

- Osiemnaście lat temu - Tarnowski podał datę urodzin wnuczki.

-Och! - pokręciła głową wyraźnie zdegustowana Dybowska. - I przez ten cały czas nikt dzieckiem się nie interesował?!

- Przecież mówię pani, że nic o dziecku nie wiedzieliśmy - zdenerwował się Stanisław. - nasza córka, z tego co wiemy, nie tyle, co je oddała, a podrzuciła! Wiemy o tym od pani dyrektor z domu samotnej matki!

-Rzeczywiście... przypominam sobie..... był taki przypadek... proszę chwilę poczekać, pójdę do archiwum, to nie potrwa długo, jest obok biura.

Kobieta wróciła po kilkunastu minutach, trzymając opasły segregator. Usiadła przy biurku i długo wertowa-

ła dokumenty. Z każdą kolejno oglądaną kartką kiwała na boki głową a wyraz jej twarzy mówił o fiasku odnalezienia śladów wydarzenia sprzed lat.

-Niestety, ale nie znalazłam zapisu o dziewczynce o nazwisku Tarnowska. Przykro mi, a jeżeli chodzi o osoby pełnoletnie, to odchodzą z naszej placówki, oczywiście odpowiednio wyposażone na samodzielną drogę - zakomunikowała, patrząc kolejno na Teresę i Stanisława.

-Pani dyrektor, to niemożliwe, ona na pewno tu jest! - Teresa nie dawała wiary wyjaśnieniom kobiety.

- Przyniosę drugi segregator... w tym są dokumenty od połowy roku. Przepraszam, przeoczyłam. Zaraz przyniosę drugi.

Kiedy wyszła, Stanisław rzucił do żony zdenerwowany:

- Mogła od razu przynieść obydwu!

- Mogła. Jestem już taka zmęczona, nie wiem, jak przyjmę... spotkanie z nią... wnuczką.

- Jeżeli tu będzie, słyszałaś, że osób pełnoletnich tu nie ma.

Teresa westchnęła.

- Niestety.

Za drzwiami rozległy się kroki i po chwili Dybowska weszła do środka z następnym segregatorem. I znowu nastąpiło pełne oczekiwania napięcie, oczy aż do bólu wpatrzone w ręce dyrektorki przerzucającej dokumenty kartka po kartce.

- Tak... mam dokumenty z datą urodzin noworodka... podrzuconego w beciku na korytarzu - ta potwierdziła dane podane przez Tarnowskiego. - Ale to są notatki przez nas sporządzone. Przy dziecku była kartka odręcznie napisana, myślę, że przez matkę, bez nadania choćby imienia dziecku, o tym, że nie ma środków na wychowanie córki i nie wie, kim jest jej ojciec. Tylko tyle.

Zapadła cisza.

Teresa zdławionym głosem powiedziała:

- Mogę zobaczyć tę kartkę?

- Proszę bardzo.

Teresa od razu rozpoznała charakterystyczne, pochyle pismo Ewy. Z błędami ortograficznymi, nigdy nie miała cierpliwości, żeby zajrzeć do słownika. Szkołę średnią traktowała jak chwilowy pobyt w niechcianym miejscu, w końcu ją rzuciła.

- To pismo naszej córki Ewy, bez żadnych wątpliwości - powiedziała cicho, podając kartkę Stanisławowi.

Ten potwierdził.

- Więc nasza wnuczka jest tutaj? - oboje wpatrywali się w zakłopotaną twarz Dybowskiej. - Chyba... ma jakieś nazwisko?

-Poproszę państwa o dokumenty tożsamości i akt zgonu matki dziecka. Muszę... - wyjaśniła usprawiedliwiająco. - To poważne sprawy, nie mogę tak na wiarę, że są państwo tymi, za których się podają. Jedynie wasza zmarła córka mogłaby potwierdzić, iż to jest jej dziecko.

Tarnowski podał jej dokumenty.

- Proszę jeszcze wyjaśnić, skąd pani dyrektor znała datę urodzin dziewczynki? - Dybowska spojrzała na nich bystrym wzrokiem.

-Proszę pani, proponuję, żeby pani z nią porozmawiała, ona najlepiej to pani przedstawi - zdecydował Tarnowski.

- Tak zrobię - ta chwyciła słuchawkę telefonu. Podczas rozmowy telefonicznej malowały się na jej

twarzy stany emocjonalne od zdumienia do dezaprobaty. Kiedy odłożyła słuchawkę, zagryzła nerwowo usta, była nieswoja, unikała wzroku wpatrzonych w nią z napięciem dwojga ludzi.

-Sprawa wygląda na rozstrzygniętą... no cóż... rzeczywiście może to być państwa wnuczka... ale... -Dybowska wyglądała na przestraszoną.

- Pani dyrektor, ma pani zdjęcie tej dziewczynki? -zapytała, przerywając jej, Teresa. - Obojętnie z jakiego okresu życia, na pewno rozpoznamy rysy twarzy naszej córki... bo... ojca na pewno nie.

- Oczywiście - Dybowska wyjęła z szafy pancernejszego aktownika osobowe dziewczyny. - Proszę - odpięła fotografię i podała ją Teresie.

- To... Ewa! To znaczy... tak wyglądała nasza córka, kiedy wiedzieliśmy ją ostatni raz... trzeźwą, nie zaćpaną... bez towarzystwa... meneli... Spójrz, Stach! - oczy Teresy zapełniły się łzami, które zasnuły mgłą trzymane w drżącej dłoni zdjęcie wnuczki.

Tarnowski w milczeniu kiwał potakująco głową. Ściśnięte wzruszeniem gardło nie pozwalało wydobyć choćby jednego słowa.

- Jak... ma na imię? - Teresa wytarła mokre policzki chusteczką podaną przez Dybowską.

-Janina Kowalska. Proszę o zdjęcie, musi zostać w dokumentach.

- To nasza córka nadała jej takie imię? - zapytał Stanisław nieswoim głosem.

- To urzędowo nadane imię i nazwisko. Państwa córka ją tylko u nas zostawiła z datą urodzenia. Mówiłam już o tym, dodam jeszcze, że to było jedyne porzucone dziecko w mieście na przestrzeni... roku. Są przypadki porzucenia noworodków, ale najczęściej matki po porodzie nie odbierają ich ze szpitala. Wiem, że sprawiam państwu przykrość, ale to są twarde fakty.

- Czy... w ciągu tych kilkunastu lat jakaś rodzina chciała ją adoptować? - zapytał Stanisław.

- Nawet dwie, ale to było smutne dziecko, żadna nie zdecydowała się na adopcję.

-To dobrze - powiedziała z nagłym ożywieniem Teresa. - W takim razie prosimy, żeby ktoś ją tutaj przyprowadził, albo my pójdziemy do jej pokoju!

Na twarzy dyrektorki pojawił się wyraz niepokoju.

-Nasze przepisy stanowią, że nasi wychowankowie po osiągnięciu pełnoletniości odchodzą z placówki i... Janka. .. to znaczy... Janina Kowalska, też powinna odejść...

- No więc? - przerwała jej Teresa, czując, że kobieta celowo przeciąga rozmowę, nie odpowiadając wprost.

Dybowska nagle zaczęła bez sensu przekładać dokumenty na biurku, przestawiać z miejsca na miejsce przybory biurowe, w końcu oparła się o oparcie wysokiego, skórzanego fotela, kładąc ręce na jego poręczach.

- Jak już mówiłam, Janka po ukończeniu osiemnastu lat nie powinna już przebywać w naszej placówce, ale... - nabrała powietrza - nieoczekiwanie... znalazłam dla niej ofertę pracy... z dobrym wynagrodzeniem i zamieszkaniem w miejscu pracy. Bardzo dobrą - podkreśliła, patrząc Tarnowskiemu prosto w oczy.

- Więc nie ma jej tutaj - zmartwiła się Teresa. Przed Dybowską stanął mur wydawałoby się nie do

pokonania. Za chwilę musi oznajmić tym przygnębionym ludziom wiadomość, do której nie chciała wracać nawet myślami!

- Otóż przyjęto ją do pracy jako pokojówkę niedaleko Grudziądza... w Bohdanach... w zamku.

- Gdzie?! - zawołali prawie jednocześnie Tarnowscy, patrząc zdumionym wzrokiem to na siebie, to na kobietę za biurkiem.

- To bardzo porządna rodzina, proszę się nie denerwować - ta, niczego nieświadoma, zmierzała do ponurego sedna sprawy zatrudnienia dziewczyny. - Pracowała tam przez jakiś czas, aż do... niech mi państwo wierzą, że trudno jest mi o tym mówić... czuję ciężar winy, że to ja ją tam wysłałam... - Dybowska gwałtownym ruchem otworzyła szufladę biurka, wyjęła paczkę papierosów i zapalniczkę.

Przez chwilę panowała pełna napięcia cisza. Czas zapalania papierosa trwał wieki.

- Pani dyrektor, siedzimy tu jak na igłach - zdenerwował się Tarnowski. - Proszę nie przerywać i wreszcie podać konkretne informacje, żebyśmy mogli pojechać do... Bohdan!

-Janina Kowalska nie żyje! Zmarła dwudziestego czwartego lipca, po upadku z wieży zamku! To był nieszczęśliwy wypadek! -wyrzuciła z siebie jednym tchem dyrektorka, starając nadać wypowiedzi twardy ton.

Teresa zakryła twarz rękami. Nie słyhać było płaczu, jedynie trzęsły się jej ramiona, głowę pochyliła tak nisko, że prawie dotykała kolan. Stanisław poderwał się i zaciskając szczęki, podszedł do okna, wychylił się, jakby nagle zabrakło mu powietrza.

Cofnął głowę i nie odwracając się do Dybowskiej, zapytał z gniewem:

- Gdzie została pochowana?

- Na terenie zamku, tam jest czynny taki mały cmentarzyk.

Stanisław stanął naprzeciw biurka i powoli powiedział:

- Wiemy, że jest tam takie miejsce, bo zamek jest w posiadaniu naszej rodziny.

Dybowska zaniemówiła.

-Przepraszam, nie wiedziałam. Mogłam oszczędzić państwu tych szczegółów i pozwolić tam pojechać, ale tak jest lepiej. Na miejscu dowiedzą się państwo więcej, dodam jeszcze, że byłam na pogrzebie naszej wychowanki - zgasiła papierosa, oparła łokcie o blat biurka i położyła na dłoniach brodę.

Zmieniona na twarzy, patrzyła w jakiś punkt na biurku.

- Stach - zabrzmiał cichy głos Teresy. - Pani dyrektor nie jest niczemu winna. Nikt nie przewidzi tego, co się stanie za kilka minut, a co dopiero za miesiąc. Chcę wyjść na powietrze, chodźmy już - wstała i podeszła do dyrektorki.

- Dziękujemy za informacje, do widzenia - wyciągnęła rękę na pożegnanie.

- Przykro mi, że to stało się z moją podopieczną. Proszę mi wierzyć.
- Nie mam do pani żalu, tylko do siebie... za stracone lata... ale to już rodzinne sprawy.

Tarnowscy wyszli z biura przytłoczeni, zgarbieni, jakby postarzelisi się o kilka lat.

Na schodach Teresa przystanęła i powiedziała, z trudem powstrzymując drżenie głosu:

- Jaka to feralna data! Dwudziesty czwarty dzień lipca! A to taki piękny miesiąc!

Stanisław nie odpowiedział, objął ją w pól i ruszyli w dół, na parter budynku. W drodze do samochodu milczeli. Dopiero zapalając silnik, Stanisław zwrócił się do żony:

- Jedziemy do hotelu, czy do Bohdan? - zapytał.

- Do hotelu. Nie mam już sił, żeby tam dzisiaj pojechać - powiedziała martwym głosem Teresa.

-Ja też tak myślę. Za dużo tych... śmierci - rzucił przez zęby, wyjeżdżając na ulicę.

- Boję się rozmowy z mamą. Jak jej powiedzieć, że przyjechaliśmy nie tylko do niej, ale i... na pogrzeb Ewy... ale najpierw na jej identyfikację... w zakładzie pogrzebowym. .. Najgorsze jednak będzie to, kiedy jej powiem, że miała koło siebie wnuczkę, która była tam... służącą. Jak myślisz? W jaki sposób o tym wszystkim jej opowiedzieć? Przecież nie możemy tego zataić, miałabym okropne wyrzuty sumienia

-zwróciła się do męża Teresa, wycierając chusteczką załzawione oczy.

-Hm... na wycucie... mamy na to czas... Trudno przewidzieć, jaka będzie jej reakcja chociażby na wiadomość o śmierci Ewy... Myślę, że bardziej nią wstrząśnie informacja o... Jance.

- Ja też tak myślę.

Do hotelu dojechali w milczeniu.

Listonosz niecierpliwił się, stojąc przed bramą zamku w Bohdanach i wypatrując osoby, która ma mu pokwitować odbiór listu poleconego nadanego w Szwecji. Minęło już południe, miał jeszcze w torbie sporo przesyłek, teren, który obsługiwał, był rozległy, a zabudowania rozsypane między polami i łąkami.

Jego wysłużony opel z ledwością radził sobie na wyłobionych wiejskich koleinach, silnik rządził, samochód kolebał się z boku na bok, raz nawet zdarzyło się, że zakopał się w błocie i z opresji uratował go gospodarz mieszkający w pobliżu, wyciągając go własnym ciągnikiem.

- Nareszcie - mruknął na widok nadchodzącej kobiety w czarnej sukni.

Po chwili skrzyknęła furtka i Helena Winter stanęła obok niego.

- Dzień dobry panu. Przepraszam, że pan czekał, ale nagle zatrzymały mnie pewne sprawy - wytłumaczyła się urzędowym tonem.

-Zdarza się. Proszę tu pokwitować, czytelnie imię i nazwisko - podał jej długopis. - Pewnie od rodziny. Rozjeżdżają się ludzie tam, gdzie będzie im lepiej - stwierdził ze znanym tematem. - Chwileczkę! To list do pani Marii Bohdanowicz, a o ile się orientuję, to pani nią nie jest - cofnął wyciągniętą rękę z kopertą.

- Seniorka jest chora, leży, a ja jestem upoważniona do odbioru wszystkich przesyłek - powiedziała Helena niecierpliwie, sięgając po list. - Proszę mi go dać, chyba że chce pan przyjść do pani Marii i osobiście jej wręczyć list - zaryzykowała, oczekując z niepokojem jego decyzji.

Listonosz był niezdecydowany. Czas go gonił a wizyta w zamku wydłużyłaby czas jego pracy.

- Nie powinienem dać go pani, co innego zwykły list, ale wiem, że pani tu pracuje, więc nie mam wyjścia.

Helena dopełniła formalności, zabrała list, trzasnęła furtką i ruszyła do zamku. Była pełna niepokoju. List ze Szwecji, od nieznanej jej osoby, mógł zapowiadać kłopoty. Od kilku dni prześladowało ją niemiłe uczucie, że wydarzy się coś niespodziewanego, co zakłóci ich w miarę spokojne życie w posiadłości prawdziwych Bohdanowiczów, nie tylko z nazwiska.

Listy przynoszą różne informacje, nie zawsze pełne szczęścia, często zawierają treści, o których nie chciałoby się wiedzieć, o innych wręcz zapomnieć.

Kim jest nadawca? Teresa Tarnowska... Znajoma, przyjaciółka. .. bo chyba nie rodzina?!

Przyspieszyła kroku. Wbiegła do zamku, nie zwracając uwagi na zdumioną jej pośpiechem Edytę, której o mało nie potrafiła na schodach wiodących na piętro.

Wpadła do pokoju Reginy wymachując listem.

- Stało się! - zawołała, siadając w fotelu i rozrywając kopertę.
- Co to za list? - zapytała Regina, wyłączając telewizor.
- Do Marii!
- To oddaj go jej! Co robisz?! Chcesz go przeczytać?!
- A jak myślisz?! Przyszedł ze Szwecji! Może narobić nam niemałych kłopotów! - Helena ze złością cisnęła kopertę na podłogę i rozłożyła kartkę papieru.

- Cholera! - zawołała, zaledwie przeczytała nagłówek listu.

- Co się stało? - Siostra patrzyła zdziwiona na jej pobladłą twarz.

- Wiesz, od kogo jest ten list?! - krzyknęła zszokowana Helena.

-No... od kogo?

- Od jej córki! Maria ma rodzinę w Szwecji!

- Jeszcze go nie przeczytałaś i już wiesz, że od córki?

- Posłuchaj! „Kochana Mamo...”. Jak myślisz? Kto tak pisze?!

Regina wstała i wyciągnęła rękę po list.

- Oddaj mi go, zaniosę go seniorce.

- Zaraz, muszę do końca go przeczytać, może nikt nie ma zamiaru tu przyjechać - odtrąciła jej rękę Helena.

- To się musiało tak skończyć. Teraz zapłacimy za kradzież pieniędzy i podszywanie się pod rodzinę seniorki - powiedziała Regina.

Była dziwnie spokojna. Nie sprawiała wrażenia osoby spanikowanej, nie miotła się po pokoju z zamiarem spakowania się i ucieczki przed odpowiedzialnością karną.

- Zapłacimy?! - Helena syknęła ze złością, odrywając się od czytania listu. - Mnie tu na pewno będzie! Ani Stefana i Wiesi! Wiesz, co ona tu pisze?! „Do zobaczenia w Bohdanach”!

- Kiedy?

Helena jeszcze raz przebiegła wzrokiem treść listu, spojrzała na pieczętkę na znaczku pocztowym i powiedziała z przerażeniem:

- Według mnie, dzisiaj! W każdej chwili! Trzeba zwołać wszystkich, żeby zaczęli się pakować, a Kazimierz musi natychmiast jechać do banku i wypłacić wszystkie pieniądze!

- A co z Marią?

- A co to cię obchodzi, do cholery?! Przecież żyje, chodzi i najbardziej dziwi mnie to, że tak bardzo zaprzyjaźniła się z tą Edytą! Podobnie jak z tą głupią Janką!

- Nic się zmieniłaś! Nadal pazerna jesteś na pieniądze, gotowa na każdą podłość - krzyknęła Regina, wyszarpując jej list. - Pogodziłam się już z tym, że mogę trafić za kraty! A Marii nie zostawię!

- Idiotko! Sentymentalna idiotko! To zostań, ale ja chcę swoją część kasy i do widzenia! Zawołaj Kazimierza i całą rodzinę!

- To ty jesteś tutaj zarządzającą posiadłością! Zwołaj rodzinną naradę! I nakłoń Kazimierza, żeby pojechał do banku, bo coś mi się wydaje, że nic nie wskórasz!

-Co?!

- Głucha jesteś?! Ja się stąd nie ruszam! Nie miałabym sumienia zostawić tej staruszki samej!

- Przecież przyjeżdża jej rodzina!

- Poczekam, aż przyjedzie, a potem... niech się dzieje, co chce. Nie będę przez całe życie uciekać, przyznam się do udawania jej rodziny.

Regina usiadła naprzeciw Heleny i ze spokojem patrzyła na jej pełną złości twarz.

- Idę po nich - Winter wstała i wyszła z pokoju.

- Powodzenia.

Kiedy Helena zniknęła za drzwiami, Regina zaczęła czytać list. Gdy wglębiała się w jego treść, czuła się jak złodziej kradnący jabłko z sadu. Niby właściciel daleko, ale ciężar gatunkowy kradzieży pobudzał do ucieczki. Ale nie ją, Reginę. I z pewnością nie Kazimierza, o Kamili się nie martwiła. Dziewczyna była przywiązana do rodziny, z Szymonem nie układało się jej od długiego czasu, mówiła o tym w chwilach szczerości. Wolałaby tylko, aby nie było córki, kiedy zjedzie się do zamku rodzina ze Szwecji.

Wówczas, kiedy seniorka zawołała ich do siebie, bez Kamili, przyznali się do oszustwa. Spodziewali się oburzenia, oskarżeń, gróźb, ale Maria, o dziwo, tylko kiwała głową, jakby dawała im burę, natomiast do sprawy udzielenia pełnomocnictwa do konta bankowego odniosła się w kilku słowach.

- Wiem, co podpisałam. Potem dodała ze spokojem:

- Pamiętajcie, że nasza rozmowa wszystkich nie dotyczy. A ciebie, Regino, polubiłam. Mam czasem trudności z pamięcią, ale doskonale zdaję sobie sprawę, że nie jesteście moją rodziną. Chciałam po prostu wrócić do domu i tutaj dożyć ostatnich dni...

Oboje z Kazimierzem nie dowierzali, że zostali potraktowani przez Marię nie jak złodzieje, a rodzina, która

znalazła się w sytuacji bez wyjścia i bez zgody pozostałych krewnych dobrała się do ich pieniędzy. Wyszli oszołomieni, zawstydzeni, nie śmiejąc sobie nawzajem spojrzeć w oczy.

W podejściu Kazimierza do majątku seniorki zaszły zmiany, których Regina tak bardzo oczekiwała. Dzisiaj nastąpi generalna próba niezłomności jego charakteru.

Zaskrzypiały drzwi i kolejno zaczęli wchodzić członkowie rodziny Bohdanowiczów. Rozsiedli się na łóżku, fotelach, krzesłach. Ostatnia weszła Helena.

- A gdzie jest Wiktor? - zapytała Regina

- Przecież wiesz, że tutaj nie ma zasięgu, trzeba odjechać kawalek za bramę, żeby go powiadomić - ta wzruszyła ramionami. - Słuchajcie, musimy poważnie porozmawiać. I jeszcze dzisiaj, jak najprędzej opuścić zamek.

- Dlaczego? - zapytał zdeorientowany Szymon, zdziwiony takim obrotem sprawy.

- Posłuchajcie - Helena zaczęła czytać na głos list ze Szwecji.

Zapadła cisza.

- Kazimierz, musisz zaraz jechać do banku i opróżnić konto - Helena przerwała koszmarne milczenie zgromadzonych w pokoju osób.

Wszystkie oczy skierowały wzrok w jego stronę. Milczał. Patrzył na Reginę, jakby z wyrazu jej twarzy chciał odczytać jeszcze raz potwierdzenie tego, co i tak już ustalili.

- Odmawiam - rzucił krótko.

- Oszalałeś?! - zawołał Stefan. - Z każdą minutą ryzykujemy, że natkniemy się na nich, a ty odmawiasz zakończenia sprawy?! Po co tu przyjechaliśmy?! A może chcecie zagarnąć wszystko dla siebie?! - uniósł głos.

- Nie chcemy już żadnych pieniędzy tej kobiety. Regina już od dawna zapowiadała, że zostanie z Marią - Kazimierz spojrział na jego córkę. - Wiesia też, o ile nie zmieniła zdania.

- Nie zmieniłam - ta potwierdziła spokojnie.

- Ty oszalałaś! Jak oni! - Helena machnęła ręką w stronę Reginy i Kazimierza.

- Nie mam nic więcej do powiedzenia.

- W takim razie - zabrał głos Szymon - zrobmy głosowanie. Większość, która chce wyjechać, ma decydujące zdanie. Myślę, że moja żona podniesie rękę razem ze mną.

Kamila nie zareagowała w żaden sposób, który jednoznacznie świadczyłby o podjęciu decyzji. Po prostu milczała, nie patrząc na niego.

-Nie możemy głosować. Brakuje Wiktora - powiedział Stefan.

- Ja podniosę rękę w jego imieniu. Jestem przekonany, że głosowałby tak, jak ja - oświadczył Szymon.

Niespodziewanie zabrała głos Kamila.

- Nie będzie żadnego głosowania! - powiedziała stanowczo, mierząc go pogardliwym spojrzeniem. - Wiem, że chętnie byś zwiął nie tylko z pieniędzmi... Myślisz, że jestem głupia i niczego się nie domyślam?!

- Nie wiem, co masz na myśli! - bronił się jej mąż, szukając u zgromadzonych wsparcia.

- Tracimy czas. Idę się pakować, ty też, Stefan, a Wiesia. .. - Helena wyduła usta - jeżeli chce zostać, to być może wkrótce będzie tego żałować. Natomiast ty, Kazimierz, przemyśl jeszcze raz podział pieniędzy, bo... ja... potrafię w odpowiedni sposób... zemścić się na... was wszystkich! - zabrzmiało to jak groźba.

Winterowie wyszli, trzaskając drzwiami.

Regina włożyła list do koperty, odczekała chwilę, nie chcąc spotkać się z nimi na korytarzu, i powiedziała, otwierając drzwi:

- Idę do Marii oddać jej list i przeproszę ją za Helenę. To ona go otworzyła.

Helena wściekała się w pokoju. -Czuję, że Kazimierz z Reginą uknuł jakiś plan! My wyjedziemy, a on ze swoją rodzinką pojedzie do

banku! - wołała, gorączkowo pakując rzeczy do torby podróżnej.

- Przestań gderać, pakuj się szybciej, bo może być tak, że w bramie spotkamy się z tymi Tarnowskimi! - Stefan, klnąc pod nosem, miotał się po pokoju, wrzucając byle jak rzeczy osobiste do drugiej torby.

- Zabieramy coś stąd?

-Co?! Te rzeźby z korytarza? To nie są oryginały, a nawet gdyby nimi były, to zarzucisz je sobie na plecy?!

Nagle ktoś wszedł do pokoju, zostawiając uchylone drzwi. Helenie serce podeszło do gardła. Już są?!

- To tylko ja - uspokoił ich Szymon. - Zabieramy się stąd, na razie wynajmiemy jakiś pokój w hotelu, ale nie w Grudziądzu... Ona też nie chce.

- To Kamila wyjeżdża z tobą? - spytała z niedowierzaniem Helena.

-Nie Kamila - głos spod drzwi był bardzo znajomy. - Ja.

Urszula z torebką przewieszoną przez ramię i niewielką torbą weszła do środka.

- Co to znaczy? - zapytał zaskoczony Stefan. -Jesteśmy w związku od dawna, to długa historia.

Powiem tylko, że Urszula pracowała w banku, w którym Maria ma konto. Tam się poznaliśmy, a... ślub z Kamilą był moją wielką pomyłką - wyjaśnił Szymon ze stoickim spokojem.

- Nie pochodzi pani z stąd, z Bohdan? - zapytał Stefan, z trudem zapinając zamek torby.

- Nie, z Grudziądza.

-I nie ma pani oczywiście dziewiętnastu lat? -zabrzmiało zgryźliwie z ust Heleny.

- Dwadzieścia jeden.

- Dobraliście się! - Helena omiotła ich spojrzeniem. Urszula nie odpowiedziała, stała, patrząc na Szymona.

- Rozwiode się z Kamilą, to już postanowione - ten skwitował, podchodząc do niej i całując w policzek.

Helena nagle zaprzestała pakowania rzeczy i ruszyła do drzwi.

- Zaraz przyjdę - rzuciła.

- Gdzie idziesz? - Stefan złapał ją za rękę.

W oczach Heleny, kiedy spojrzała na niego, tliło się szaleństwo.

- Nie muszę ci się tłumaczyć. Puszczaj! - wyszarpnęła rękę i wyszła z pokoju.

Stefan w grobowym milczeniu postawił torby na podłodze i zdenerwowany usiadł na łóżku.

- A ty? Gdzie masz swoje rzeczy? - zapytał Szymona.

- Ja nic stąd nie biorę. Tylko samochód. Mam trochę gotówki, wy też, na początek, gdzieś w Polsce wystarczy. Nie będę martwić się na zapas. Było pięknie, ale się skończyło.

Wyciągnął rękę do dziewczyny.

- Chodź tutaj, Urszula. Usiądziemy i poczekamy na Helenę.

- Po co? Możecie już wyjechać - zdziwił się Stefan.

- Helena zna szyfr do zamku w bramie, musimy na nią poczekać.

Urszula szybko powiedziała:

- Jedźmy już. Ja też znam szyfr, zostawimy bramę otwartą.

- W takim razie... do zobaczenia... albo... lepiej trzymajmy się z daleka od siebie... przynajmniej na razie. Cześć! - Szymon uściskiem ręki pożegnał się ze Stefanem.

- Do widzenia - rzuciła Urszula.

Wychodząc z pokoju, zobaczyli Helenę, która nadchodziła ku nim z głębi korytarza, właśnie mijając drzwi biblioteki.

- Ciekawe, gdzie ona była - powiedziała cicho Urszula.

- Nie mam pojęcia.

Kiedy spotkali się w pobliżu schodów, Helena minęła ich z zawziętym wyrazem twarzy.

- My już wyjeżdżamy - odezwał się do niej Szymon.

- A jedźcie! - burknęła, nawet się do nich nie odwracając.

Szybko zbiegli po schodach, trzymając się za ręce.

- Urszula! - dobiegł ich głos Edyty stojącej przed drzwiami kuchni.

Dziewczyna zawahała się, zatrzymała, ale Szymon otworzył drzwi wejściowe i coś jej powiedział.

- Wyjeżdżam. Już nie wrócę! Trzymaj się! - zawołała i ponaglana przez chłopaka wyszła na dziedziniec.

Edyta, zaskoczona, podeszła do okna i patrzyła, w jakim pośpiechu wsiadają do samochodu, podjeżdżają pod bramę zamku i zatrzymują się. No tak. Brama zamknięta jest na szyfrowy zamek, którego kod zna Helena, pewnie zaraz ją im otworzy. Wiedziona ciekawością wyszła na zewnątrz, podbiegła do fontanny i spostrzegła, że Urszula podeszła do bramy i po chwili skrzydła bramy zaczęły się rozsuwać. Oczywiście, można było tego się domyślić. Ona wiedziała więcej, niż przyznałaby się do tego.

Po chwili samochód ruszył z piskiem opon. Brama pozostała otwarta.

Edytę ogarnęło złe przeczucie czegoś, czego nie potrafiła zdefiniować. Ucieczka Urszuli z Szymonem, Helena pędząca po schodach trzymająca w dłoni... białą kopertę...

To był list ze Szwecji!

Pobiegła do kuchni, ale nikogo tam nie zastała, pomimo zbliżania się pory obiadu. Zajrzała do windy, ale była pusta! O tej porze powinna już być zastawiona serwisem obiadowym!

Pobiegła schodami na piętro i przystanęła na podeście, zdumiona widokiem Winterów niosących pękate torby

podróżne, którzy minęli ją w takim samym pośpiechu, jak uprzednio Urszula z mężem Kamili. Ostrożnie zapytała:

- Pani Heleno? Co z obiadem?

- Niech pani nie zawraca mi głowy jakimś obiadem! -warknęła ta, nie odwracając się.

Po chwili trzasnęły drzwi na dole i zaległa cisza. Nagły wyjazd z posiadłości obydwu par Edyta skojarzyła z listem. Musiał wpędzić ich w panikę na tyle, że zdecydowali się na ucieczkę, bo tak to wyglądało.

Była zagubiona, stała przed drzwiami salonu, niezdecydowana, co ma robić, kiedy z pokoju wyszła Regina z listem w dłoni i skinęła na nią.

- Pani Edyto - powiedziała spokojnie. - Zaszły pewne zmiany... na razie ma pani wolne, ale proszę być w pobliżu... w pokoju... albo w jadalni... Wiesia zaraz tam będzie.

- Dobrze, czy... coś się stało?

- Wkrótce wszystko się wyjaśni.

- Może... seniorka jest chora?

- Nie, czuje się dobrze. Dam pani znać, kiedy będzie pani potrzebna - Regina weszła do pokoju Marii.

Edyta, ociągając się, powoli zeszła na parter. Głowę miała skołataną. Nachodziły ją natrętne myśli, że coś powinna zrobić... czuła osamotnienie, mętlik myśli, obawiała się skrzywdzenia staruszki. Przez kogo i w jaki sposób, nie miała pojęcia, ale niezwykły pośpiech, w jaki opuszczali zamek Winterowie, nie wróżył nic dobrego. To Helena, dystyngowana dama, była mózgiem wszystkich niepokojących wydarzeń w zamku, a teraz, nie dbając nawet o pozory bycia w dalszym ciągu zarządzającą, uciekła z mężem z zamku.

W swoim pokoju sprawdziła, która jest godzina. Do spotkania z Bartkiem pozostały dwie godziny.

Nagle olśniło ją! Wybiegła na korytarz i podeszła do okna. Brama była nadal otwarta! Wróciła po telefon i pędem

pobiegła alejką do bramy. Jeszcze kilkadziesiąt metrów na szosę i jest zasięg!

- Bartek, Bartek, odbierz - powtarzała jego imię jak zaklęcie.

Oby poczta głosowa się nie włączyła! Nastąpiły koszmarnie długie sekundy...

- Cześć, to ja - zawołała, słysząc jego głos. - Bartek, musisz tutaj zaraz przyjechać! Coś się złego dzieje w zamku! Boję się być tutaj sama! Przyjedź zaraz! Brama jest otwarta, nie musisz zostawiać samochodu na szosie, wjedź pod sam zamek!

- Zaraz wyjadę. Ale co się stało?!

- Winterowie uciekli i jeszcze ktoś, ale szkoda tracić czas na rozmowy! Czekam na ciebie, będę w pobliżu zamku!

- Już wyjeżdżam, idę do garażu. Uspokój się, ale jeżeli coś ci zagraża, czekaj na mnie przed bramą.

- Do zobaczenia. Czekam.

Edyta nie wróciła do zamku. Usiadła na ławce w parku, w pobliżu bramy i roztrzęsiona patrzyła w okna budynku. Zamek wydawał się jej jeszcze bardziej ponury, nawet światło słoneczne i zielona szata roślinna pnąca się na połowie budynku nie były w stanie ocieplić jego wyglądu.

Kamienna postać damy z psem pośrodku fontanny przypomniła jej o niezwykłym nocnym zjawisku, którego nigdy nie zapomni. Była zdecydowana zrezygnować z pracy, nawet nie pytać o wynagrodzenie, które miało być przepustką do udanych wakacji, ale dalszy pobyt w posiadłości przyprawiał ją o ciarki na ciele.

Sprawdzi z Bartkiem, co się dzieje z seniorką. Chłopak powinien zjawić się za kilkanaście, niezwykle długich teraz minut, w ciągu których mogłoby coś niedobrego się wydarzyć. Pocieszała się, że być może właśnie dzisiaj przyjedzie rodzina staruszki ze Szwecji, na co wskazywał ogromny pośpiech, z jakim wyjeżdżali niektórzy domow-

nicy, i zajmie się Marią. Wówczas z czystym sumieniem odjedzie stąd z Bartkiem i nigdy już nie podejmie pracy w żadnym starym zamku.

Edyta wstała z ławki i wyszła przed bramę. Z oddali, z szosy, dobiegał słaby szum przejeżdżających samochodów.

- Minuty, płynicie szybciej! - pomyślała niecierpliwie.

Każdy głośniejszy terkot z szosy przyprawiał ją o szybsze bicie serca. To pewnie Bartek! Jeszcze nie! Chodziła od filaru bramy do filaru, zaciskając pięści, przystawała, każdy, zaledwie widoczny z szosy czarny samochód wydawał się być tym oczekiwanym... Drogocenne minuty płynęły zbyt wolno!

Wreszcie czarna honda wyłoniła się zza otaczającej zamek ściany lasu i zatrzymała się koło bramy. Bartek otworzył drzwiczki od strony pasażera.

- Cześć. Podjedziemy pod zamek.

Kiedy Edyta wsiadła do samochodu, zapytał:

- Co się dzieje?

- Musimy iść do seniorki! - Edyta pełnym napięcia głosem zaczęła szybko mówić. - Najpierw przyszedł list ze Szwecji, tak myślę, że stamtąd, widziałam jakąś kopertę w ręce Heleny, potem, nagle, w pośpiechu zaczęli kolejno wyjeżdżać z zamku Urszula z Szymonem i Winterowie! Bez Wiesi! Spakowani, z torbami! W zamku są jeszcze Bohdanowiczowie, no i seniorka! Może chcą jej zrobić krzywdę, a tej rodziny ze Szwecji jeszcze nie ma! A jeśli zjawi się dopiero jutro?!

- Kochanie, myślę, że przesadzasz - powiedział uspokajająco Bartek, zatrzymując samochód przed wejściem do budynku. - Uciekli ci, którzy obawiają się konfrontacji z jej krewnymi, a Bohdanowiczowie widocznie niczego się nie boją. Zaraz pójdziemy do tej staruszki i mam nadzieję, że twoje obawy okażą się zupełnie nieuzasadnione.

Objął ją uspokajająco ramieniem.

- Ty cała drzysz?! Edyta, jestem już przy tobie, nie pozwolę, żeby coś ci się stało - przygarnął ją do siebie.

- Już jest mi lepiej. Chodźmy do Marii.

Edyta wysiadła z samochodu, za nią Bartek i ruszyli ku drzwi wejściowych do zamku. Kiedy weszli do środka, ogarnęła ich cisza. Chłopak rozejrzał się wokół z ciekawością.

- Jak tutaj chłodno - stwierdził. - I to latem, a kiedy panują mrozy, to chyba na ścianach wiszą sople lodu.

- Na pewno zimą by mnie tutaj nie było, za żadne pieniądze. Ale w pokojach są elektryczne kominki, więc chyba zimę można tutaj jakoś przeżyć.

- Gdzie jest pokój seniorki?

- Na piętrze, chodź - Edyta wyciągnęła do niego rękę, którą Bartek chwycił i zamknął w swojej dłoni silnym uściskiem.

Na piętro wbiegli, panowała tam niepokojąca cisza, jakby w zamku nikogo nie było.

Edyta zdyszana podbiegła do drzwi pokoju seniorki, gwałtownie je otworzyła, wpadła do środka, za nią pojawił się Bartek i... stanęła jak wryta, widząc sielski obrazek, który zaparł jej dech w piersiach. Pod wpływem wrażenia, jakie wywarł na niej widok zgromadzonych tam osób, nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Staruszka siedziała w fotelu, obok niej na drugim fotelu zajęła miejsce Regina, która trzymała ją za rękę, przy nich stali Kazimierz i Kamila. Nieco dalej Wiesia.

Wszyscy patrzyli na siebie zdumieni.

- Co się stało? Dlaczego jesteś taka wystraszona? -zapytała zdumiona Maria.

- Nic... nic... myślałam, że jest pani sama... przepraszam. .. już wychodzę - wyjąkała Edyta.

- Zaczekaj. Nie wychodź. Dobrze, że przyszłaś. To jest pewnie twój chłopak? Podejź - Maria, z ciepłym uśmiechem, patrzyła na niego z ciekawością.

- Dzień dobry, jestem Bartek -przedstawił się chłopak, całując ją w rękę.

W oczach staruszki widać było akceptację wyboru Edyty, przyjaźni z nim.

- To dzięki tobie został wysłany mój list? Drogą przez mur? - zmrużyła filuternie oko.

- Takie były warunki, ale poradziliśmy sobie. Przepraszam, że zjawiłem się tak nagle, ale Edyta zadzwoniła do mnie, mówiąc, że ma pewne... podejrzenia... obawia się czegoś i prosiła, żebym szybciej przyjechał, niż byliśmy umówieni - Bartek był zakłopotany, nie wiedział, ile z opowieści dziewczyny może przytoczyć.

Maria skinęła głową w stronę Edyty, zachęcając ją tym gestem do rozmowy.

- Przyszliśmy... ponieważ... myślałam, że w zamku coś... złego się dzieje - Edyta odzyskała głos, ale zaczęły ogarniać ją wątpliwości, czy może być szczerą w obecności Bohdanowiczów i Wiesi. - Przepraszam, wygłupiłam się, mam nieokiełznaną wyobraźnię. Kiedy zobaczyłam, jak uciekają... - spojrzała na Kamilę, niepewna, co ma mówić - Winterowie i...

- Wiem, że mój mąż uciekł z Urszulą - przerwała jej Kamila. -1 tak miałam już go dość!

Edyta postanowiła wytłumaczyć się ze swoich obaw:

- Pani Mario, ja... słyszałam któregoś dnia wieczorem, z głośnika w pokoju, jak pani Helena rozmawiała z panem Stefanem... omawiała sprawy, które mnie przeraziły. .. Nie wiem, jak mam mówić o moich podejrzeniach w obecności państwa Bohdanowiczów i Wiesi - zrezygnowała z dalszego wywodu, czując się niekomfortowo wobec zgromadzonych w pokoju.

Bartek stał obok niej, dodając jej otuchy czułym objęciem ramienia.

-Drogie dziecko, chodź tu bliżej. Usiądź, tutaj na wersalce. Wy też - Maria zwróciła się do stojących w poko-

ju. - Nie musisz się krępować, wiem o wszystkim, co się dzieje w moim zamku. Wiem, że martwisz się o mnie i nie zostawiłabyś mnie tutaj samej.

Przeniosła spojrzenie na rodzinę Bohdanowiczów.

- Tak jak i oni... Bohdanowiczowie i Wiesia. Odbyliśmy niedawno długą rozmowę, wiem o wszystkim, opowiedzieli mi, w jaki sposób... wymyślili tę... niesamowitą, historię... Od początku wiedziałam, że nie jesteśmy krewnymi, ale postanowiłam dać wiarę temu, co mówili. Miałam w tym swój cel, a oni swój. A pieniądze? To rzecz nabyta, jak każda inna. Jest ich jeszcze sporo na koncie.

- Nie rozumiem - wyjąkała Edyta.

- Jesteś w tej chwili jedyną osobą, która nikogo nie udaje. I taką była... Janka. Wszyscy, włącznie z Urszulą i Wiktorem, grali nie swoje role. Przepraszam, Wiktor jest mistrzem ceremonii. Wiem nawet o... skrzyni

- Maria filuternie zmrużyła oko.

- Więc to prawda. Widziałam ją, dopiero po jakimś czasie skojarzyłam ją z... - Edyta nie chciała nazwać tę rzecz po imieniu.

- Z trumną dla mnie. A ja na złość, żyję!

- Pani Mario, proszę tak nie mówić - Reginie poczerwieniały policzki.

- Jesteśmy gotowi przyjąć każdy rodzaj kary, włącznie z procesem sądowym, bo nie mamy zamiaru przez całe życie bać się i uciekać z miejsca na miejsce.

Kazimierz potwierdził słowa żony i dodał:

- Będziemy ciężko pracować, żeby oddać pani chociaż część pieniędzy.

-Oddać? - staruszka uniosła brwi. - A kto mówi o oddaniu? Musielibyście do końca swojego życia pracować. .. nie, nie chcę ich zwrotu. Przyznaliście się, zostaliście ze mną i to świadczy o waszej uczciwości. Dbaliście o mnie.

- Jednak... - zaczął mówić Kazimierz. Maria przerwała mu.

- Dość już o pieniądzech. W każdej chwili spodziewam się przybycia do zamku mojej córki z zięciem. To jest dla mnie najważniejsze, a nie jakieś konto w banku. Za chwilę... może mnie już nie być na tym świecie.

Podniosła z kolan białą kopertę i przycisnęła ją do piersi. W zmęczonych starością oczach zakręciły się łzy.

- Tylko o nich myślę - powiedziała nagle słabym głosem.

- Podać pani lekarstwo albo zrobić herbatę, przynieść mleko? - Wiesia podeszła do seniorki i pochyliła się ku niej.

- Dziękuję, może później.

- Pani Mario - odezwała się Edyta. - Nie chcemy być natrętami, pójdziemy już, a jeżeli pani będzie mnie potrzebowała, to może... - spojrzała na dziewczynę - Wiesia mnie zawiadomi albo będę do pani zaglądać co jakiś czas.

- Dobrze, na pewno z Bartkiem chcecie pobyc sami. Niech zostaną ze mną jeszcze przez chwilę - powiodła wzrokiem po obecnych wokół niej - Regina i Kazimierz... i Kamila. A Wiesia przygotowuje dla was coś do jedzenia, bo to już jest chyba pora obiadowa.

- Obiad jest już przygotowany, pani Mario - odezwała się Wiesia. - Przyniosę pani.

- Na razie nie będę nic jadła - odmówiła stanowczo staruszka. - Czekam na córkę... - głos się jej załamał.

Edyta z Bartkiem wstali, kiedy nagle otworzyły się drzwi i... w progu stanęli kobieta z mężczyzną. Oboje w starszym wieku, posiwiali, wyraźnie zaskoczeni obecnością wielu osób w pokoju.

Edyta spojrzała na zmienioną twarz staruszki, która patrzyła na parę szeroko otwartymi oczami. Na jej twarzy odczytać można było emocje, które zmieniały się jak w kalejdoskopie, począwszy od zaskoczenia poprzez niedowierzanie do powoli malującego się na jej twarzy wzruszenia.

To samo działo się z przybyszami. Kobieta weszła do środka i... podbiegła do Marii.

- Mama?! - zawołała, jakby nie była pewna, że osoba, którą widzi, jest jej matką. - Tyle lat! - rzuciła się jej na szyję.

W pokoju zapadła cisza.

Słysząc było jedynie łkanie obydwu kobiet i powtarzane w kółko dwa słowa: mama i Tereska. Ścisnęły się, odrywały od siebie i znowu obejmowały się ramionami. Patrząc na nie, Edyta poczuła, jak zaciska się jej gardło i że za chwilę ona też się rozpłaczę. Bartek czuł to samo, widać było, jak mruga oczami, odwraca wzrok, zaciska dłonie w pięści i wbija spojrzenie w podłogę.

Stojący jeszcze w progu mężczyzna ruszył z miejsca, przystanął obok ciągle splecionych uściskiem kobiet; czekał na swoją kolejkę, aby się przywitać.

Wreszcie Teresa odsunęła się na bok i wycierając dłonią mokre policzki, powiedziała cicho:

- Nareszcie jesteśmy u mamy.

- Stanisław! - Maria wyciągnęła do niego ręce, które ucałował, potem dwukrotnie wycałował policzki.

- Wychodzimy - nachylił się do ucha Edyty Bartek. Skinęła głową w chwili, kiedy Regina wstała z fotela, robiąc miejsce córce staruszki.

Teresa, zanim usiadła, spojrzała na nią, Kazimierza i Wiesię, znajdujących się najbliżej seniorki, i zdezorientowana ich obecnością zapytała:

- Kim państwo są?

- Złodziejami - powiedział Kazimierz, patrząc jej prosto w oczy.

Zrobiło się tak cicho, że można byłoby usłyszeć zza okien spadające z drzew liście.

- Proszę?!

Tarnowski z groźnym wyrazem twarzy zbliżył się do niego.

- Tylko spokojnie! Siadajcie, kochani, zaraz wszystkiego się dowiecie. Nie chciałam rozpisywać się w liście, lepiej porozmawiać - przekonywała ich Maria, starając się nie dopuścić do chaosu wywołanego oświadczeniem Kazimierza.

Edyta zaczęła prawie na palcach iść w stronę drzwi, za nią Bartek i Wiesia.

- Pójdziemy do salonu - powiedziała do nich szeptem Wiesia.

Pokiwali głową.

Bohdanowiczowie niepewnie przyglądali się sobie nawzajem. Wszak mieli pozostać z Marią.

- Zostańcie - usłyszeli głos seniorki.

Kiedy Edyta z Bartkiem i Wiesią wyszli z pokoju, Maria stanowczym głosem zażądała, aby rodzina i Bohdanowiczowie usiedli wokół niej i słuchali, nie przerywając jej.

Swoją opowieścią o podszywaniu się pod jej rodzinę fałszywych Bohdanowiczów sprawiła, iż w oczach Tarnowskich zapalały się iskry oburzenia.

-Mama dała się tak podejść?! - wybuchnął Stanisław. - A gdyby ci... państwo mieli w planie ogołocenie mamy z pieniędzy i... w najlepszym przypadku zostawienie jej na pastwę losu?!

-W moim wieku nie trzeba bać się już nikogo i niczego - Maria dobrodusznie potraktowała jego zarzuty. - Osoba samotna ma bardziej wyostrzony zmysł postrzegania i wyczucia złych i dobrych stron powziętych decyzji. Przynajmniej ja taka jestem. Ci ludzie podzielili się rolami i wybrali spośród siebie moją rodzinę, czyli Bohdanowiczów, i służących, czyli pokojówki, kucharkę i zarządzającą zamkiem. Najpierw domyślałam się, że nie są tymi, za których podają, kiedy zjawili się po mnie w domu pomocy społecznej, a później wiedziałam już o nich wszystko... powiedzmy, że mam dobry jeszcze słuch

i wzrok, ale udawałam przez cały czas, że wszystko jest... jak to się mówi... okay.

Maria surowo spojrzała na zięcia.

- Czy to tak trudno zrozumieć, że chciałam wrócić do domu?

- Rozumiem to, ale mama ryzykowała, to byli oszuści. Staruszka zatrzepotała rękami.

- Co za wielkie słowa! Przez cały czas miałam dobrą opiekę, lekarstwa, a jedynymi osobami, których nie lubiłam, ale nie okazywałam im tego, było małżeństwo Winterów, którzy zresztą już uciekli, a oprócz nich jakoś nie polubiłam zięcia Reginy i pokojówki Urszuli.

- Po co było to wszystko? Mogę zrozumieć, że dla pieniędzy, ale złodzieje okradają i uciekają, a oni - Stanisław oburzony pokazał na trzy milczące osoby - postanowili tutaj zamieszkać!

- Przecież byli rodziną Bohdanowiczów, więc co w tym dziwnego? - seniorka pochyliła się ku niemu i położyła dłoń na jego ręce. - Nie unos się. Tak zadecydowałam. Uratowałam nieświadomie tych ludzi przed komornikiem, opowiedzieli mi o tym, a oni - pokazała na siedzących troje ludzie, unikających wzroku Tarnowskich - teraz, w tej chwili, woleliby siedzieć za kratami niż wysłuchiwać tego, o czym mówimy. Ich córka, Kamila, będzie rozwodzić się z mężem, który właśnie uciekł z pokojówką. To jest dla niej wielki stres.

Teresa spojrzała na Reginę, która tępo patrzyła gdzieś przed siebie z miną osoby, która postawiła wszystko na jedną kartę. Czyli niech się stanie, co ma się stać!

Złodziejka, oszustka, ale jakoś zrobiło się jej żal. Tak po ludzku. Ona, Teresa, też popełniała w życiu różne głupstwa, oczywiście nie tej wagi, ale mimo to, coś zadrgało w jej sumieniu, sercu, postanowiła przynajmniej teraz zakończyć tę rozmowę.

Za chwilę zostaną poruszone sprawy, o których wolałaby zapomnieć, a przynajmniej ich nie relacjonować.

- Mamo. Musimy bardzo poważnie porozmawiać. Bez świadków, tylko w rodzinie.

Maria ożywiła się.

- Jestem bardzo ciekawa wszelkich nowin, czekam na nie z wielką niecierpliwością. Opowiadaj, Teresko.

-Zaraz, mamo, tylko otworzę szeroko okno. Na dworzu jest ciepło, szkoda nie pooddychać sierpniowym powietrzem. Wrzesień może być już zimny - Teresa przeciągała moment dojścia do dramatycznych wydarzeń.

Bohdanowiczowie wyszli z pokoju. Otwarte drzwi do salonu skłoniły ich do wejścia, zastali tam pozostałych domowników.

Tymczasem w pokoju seniorki zanosilo się na czarny dzień w życiu rodziny.

Staruszka ze wzruszeniem patrzyła na Teresę, która usiadła naprzeciw niej.

- Zmieniłaś się, posiwiały ci włosy - powiedziała ze smutkiem Maria.
- Ale w oczach masz taki sam blask, jak kiedy widziałyśmy się ostatni raz, przed twoim wyjazdem do Szwecji. Gdybyś wiedziała, jak bardzo żałuję swojego uporu. Po co to było? Nie rozumiem siebie... nie jestem złą matką ani babką... nie wiem, dlaczego milczałam tyle lat... straconych lat... z każdym dniem ubywa mi sił, czasem myślę mi się różne fakty, ale nie poddaję się, mam silną wolę. Wiedziałam, że kiedyś musi nastąpić ten dzień, Teresko, i znowu będziemy rodziną, ale już razem ze sobą. Nawet pogodzę was z Ewą.

Maria chwilę odpoczęła i zapytała: -Ile ona ma już lat?

-Trzydzieści siedem - przełknęła łzy Teresa. -Mamo... czasem trudno jest zaakceptować wiadomości, które nagle... przychodzą i stajemy się wobec nich bezradni, przerażeni... i chociaż nie zgadzamy się z nimi... już nic nie możemy zrobić. Ani zapobiec... ani zrozumieć, dlaczego tak się stało. Są szczęśliwe rodziny, w których

rodzice nie stają przed wyborem... zła... bo dobra się nie wybiera. Ono jest.

Westchnęła głęboko. Otarła łzy.

- Ewa żyła, tak jak chciała. To nie zawsze prowadzi do zguby... ale... może w końcu do tego dojść.

Maria chciwie łaknęła każdego jej słowa, ale zobaczyła w oczach córki strach, niepewność, powstrzymywane łzy.

- Nie rozumiem, o czym mówisz. Przecież jesteśmy już razem i mam nadzieję, że już na zawsze, z Ewą. Czuję, że nie mówisz mi wszystkiego. Dlaczego płaczesz? Będzie bolała cię głowa.

-Mamo... w dniu, w którym przyszedł twój list... przyszedł drugi ...

- Jaki drugi?! - seniorka był poruszona.

-Z Polski, z Grudziądza! Nie... nie mogę już dłużej! Za chwilę serce mi chyba pęknie! - zawołała z rozpaczą Teresa. - Stach... powiedz mamie...

Tarnowski postanowił nie poddać się emocjom i spokojnie rozmawiać ze staruszką.

- Otóż dostaliśmy wiadomość z domu samotnej matki, żeby przyjechać, ponieważ... Ewa... nie żyje.

Maria patrzyła na nich, jakby nie docierał do niej sens wypowiedzianych słów.

- Jak to nie żyje?! W jej wieku?! Miała wypadek?! Co ty pleciesz? - uniosła się gniewnie.

Nagle... zrozumiała wydźwięk słowa „nie żyje”. Zgarbiła się, opuściła głowę, ręce splotła na kolanach i zamarła. Nie uroniła ani jednej łzy. Wyglądała jak mały, nieruchomy posązek.

-Mamo! Co ci jest?! Odezwij się! Stach, ona nie żyje! - Teresa wpadła w panikę.

Tarnowski złapał staruszkę za nadgarstek ręki i sprawdził puls.

- Puls jest ledwo wyczuwalny. Powinna się położyć. Trzeba wezwać pogotowie.

- Nie trzeba - zabrzmiały słabe słowa. - Na komodzie są lekarstwa, podajcie mi je.

- Mamo, zaniemiemy cię do łóżka. Zaraz rozłożę wersalkę!

Maria była niskiego wzrostu i małej wagi. Tarnowski wziął ją na ręce i położył na wersalce.

Leżąc, zamknęła oczy i kiedy po dłuższej chwili je otworzyła, powiedziała ledwie słyszalnym głosem:

- Jak to się stało? Niczego nie ukrywajcie. -Najpierw lekarstwo - zdecydowała Teresa. - Ile

kropele?

- Pięć, na łyżeczkę.

Teresa podała jej krople, usiadła obok na łóżku i starając się nadać głosowi normalny tembr, zaczęła mówić:

- Przyjechaliśmy do mamy i na pogrzeb Ewy. Zmarła niedawno, dwudziestego czwartego lipca, ale musieliśmy ze Stachem dokonać jej identyfikacji jako rodzice. Ze zrozumiałych względów nie widzieliśmy się tyle lat, a ona... - Teresa przełknęła ślinę - a ona... trochę się zmieniła. To było dla nas trudne, ale stało się.

- Dwudziestego czwartego lipca - powtórzyła cicho Maria. - To jakaś tragiczna data. Niektórzy jakby uparli się, żeby umrzeć tego dnia. Janka też... ona była dla mnie jak rodzina.

Tarnowscy spojrzeli po sobie. Nadchodzi najbardziej dramatyczne wyznanie tego przeklętego dnia!

- Stach! Ja nie jestem w stanie dalej mówić - Teresa szepnęła mu do ucha.

- Stań przy oknie, źle wyglądasz. Tarnowski zajął jej miejsce.

- Mamo. Dramaty w naszej rodzinie zdają się nie mieć końca, ale musimy być twardzi, nie poddawać się słabościom, nawet wtedy, kiedy... dopada nas... kolejna... hm... zła, wręcz zaskakująca wiadomość.

- To prawda. Wiem, że teraz kolej na mnie, mogę już odejść. Ewa mogła poczekać. Janka też.

- O jakiej Jance mama mówi? - zapytał ostrożnie Stanisław.

- Pracowała tutaj... krótko, jako pokojówka. To była smutna, nieszczęśliwa dziewczyna z domu dziecka. Bardzo ją polubiłam. Była taka podobna do mojej praprababki, tej z portretu i fontanny, mam jej pamiętnik, dam wam do przeczytania.

Pewnego dnia, zachorowała i... zmarła. Miała osiemnaście lat. Leży tutaj, na naszym rodzinnym cmentarzu. Zanim odejdę, chcę tam pójść.

Wyciągnęła rękę i wskazała miejsce, gdzie znajduje się pamiętnik dziewczyny.

- Weźcie go i przeczytajcie. Ja popłakałam się, czytając go.

Tarnowski spojrzeniem błagał Teresę o wsparcie słowem. To kobiety mają większe wyczucie sytuacji, są bardziej subtelne w przekazywaniu przykrych wiadomości, wypłaczą się, przynajmniej takie miał o nich zdanie.

Maria nic nie wie o prawdziwej przyczynie śmierci prawnuczki. To dobrze. I nie dowie się.

Teresa usiadła obok Stanisława i wzięła w swoje dłonie dłoń matki.

- Mamo, chcemy Ewę pochować właśnie na naszym cmentarzu, obok... naszych przodków.

Stanisław uniósł brwi zdziwiony. Miejsca pochówku jeszcze nie omawiali. Teresa kluczy, nie ma odwagi powiedzieć matce o jej prawnuczce. Spojrzeniem i uściśnięciem jej ramienia starał się dodać jej otuchy.

Teresa nabrała głośno powietrza i patrząc w twarz staruszce, zaczęła powoli mówić:

- Mamo... dowiedzieliśmy się, że... Ewa urodziła córkę. .. ta Janka...

Maria ożywiła się. Jej oczy nabrały blasku.

- To taka dobra nowina. Gdzie ona jest? Z wami?

- To, co powiem, jest dla mnie bardzo trudne... i dla całej naszej rodziny. Otóż... Ewa... porzuciła ją, a w zasadzie podrzuciła w kilka dni po urodzeniu... do domu dziecka.

- To nie może być prawda! Ktoś was oszukał! Pomylił z kimś innym!

- Maria zawołała zatrwożona.

- Nie! - powiedziała nagle twardo Teresa. - Ewa była zdolna do każdej podłości! Nawet do takiej! To była alkoholiczka i narkomanka! Sprawdziliśmy tę sprawę dokładnie, jej córka miałaby teraz osiemnaście lat... - Teresa załamała się, w jednej chwili straciła panowanie nad sobą.

- Osiemnaście - powtórzyła cicho Maria.

- Ta Janka, która pracowała tutaj... to właśnie córka Ewy! - Teresie trząsał się głos.

- Janka... ta pokojówka?! Służąca?! - Maria z osłupieniem patrzyła to na córkę, to na zięcia.

- Tak, ona - potwierdził Stanisław.

Staruszka wysunęła ręce z dłoni Teresy, zatrzepotała nimi nerwowo, po czym przycisnęła je do piersi. Była upiornie blada, rysy jej twarzy stężyły, usta zacisnęły się w jedną linię. Wydawało się, że przestała oddychać.

- Mamo!

Teresa potrząsnęła ją za ramiona.

- Nic mi nie jest. Na chwilę przestało bić mi serce - staruszka mówiła cicho, z zamkniętymi oczami. - To dlatego tak ją polubiłam. Czułam jakąś dziwną więź z nią... a to była moja prawnuczka.

Umilkła, po czym z ubolewaniem, drżącym głosem powiedziała:

- Dziedziczka służącą we własnym zamku. Zapadła cisza.

Tarnowscy z niepokojem patrzyli na staruszkę, wymieniając między sobą spłoszone spojrzenia.

- Może trzeba wezwać pogotowie? - zapytała szeptem Teresa.

Niespodziewanie spokojnym głosem odezwała się Maria:

- Przeczytajcie jej pamiętnik, ale nie chcę usłyszeć żadnych komentarzy. Chcę pobyć sama, chociaż obok mnie będziecie wy - zamknęła oczy.

Tarnowski wyjął z szuflady cienki zeszyt i podał go Teresie.

- Najpierw ty.

Kobieta czytała zapiski wnuczki z cierpieniem na twarzy. Odrywała się od czytania, wycierała chusteczką oczy i znowu zagłębiała się w czarne, smutne litery łączące się w słowa pełne mroku, udręki samotności niepoznanej za życia wnuczki.

- Stach! Ona... chyba popełniła... samobójstwo! Teresa ze strachem spojrzała na matkę, w obawie, że

nawet mogłaby usłyszeć jej pełen przerażenia szept. Maria oddychała równo, miała zamknięte oczy i nic nie wskazywało na to, że cokolwiek do niej dotarło.

Teresa położyła głowę na ramieniu męża, próbując opanować dreszcze, które ją przeszywały, ale treść pamiętnika była zbyt wstrząsająca, aby powstrzymać łzy wciąż płynące po policzkach.

Stanisław objął żonę i sięgnął po pamiętnik. Czytał z kamienną twarzą. Nie odniósł się do treści nawet jednym słowem. Siedzieli oboje objęci obok matki, którą odwiedzili po kilkunastu latach rodzinnych niesnasek.

Nagle drzwi gwałtownie się otworzyły i do środka wpadł Bartek.

- Niech pan przyjdzie!

- Co się stało?

- Proszę przyjść - chłopak był wzburzony.

Kiedy podszedł do niego, powiedział cicho, nie chcąc wzbudzać paniki u kobiet.

- Pali się!

Tarnowski wypadł na korytarz, na który wychodziły w pośpiechu z salonu zgromadzone tam osoby, i zawołał:

- Gdzie?! W którym miejscu?!

Czuł dym, ale w pierwszej chwili nie potrafił go zlokalizować.

- To ten ostatni pokój! - wskazał dłonią Bartek. - Stamtąd czuć dym!

- Gdzie są gaśnice?! - krzyknął Tarnowski.

- Tu nie ma gaśnic, trzeba wodę nosić wiadrami - zawołał Kazimierz. - Chodźcie wszyscy ze mną na dół, do kuchni!

- Trzeba najpierw te drzwi otworzyć! - krzyknęła

Regina.

Nastąpił nieopisany chaos. Nikt z pozostałych domowników nie wiedział, gdzie są klucze do palącego się pokoju, ponieważ dysponowała nimi Helena, która prawdopodobnie zabrała je ze sobą albo gdzieś wyrzuciła.

Edyta złapała Bartka za rękaw i powiedziała:

- Tam są jakieś stare meble i trumna. Myślę, że to Helena je podpaliła, widziałam, jak wracała przed ucieczką z tej strony korytarza.

- To wszystko spłonie jak paczka zapalek! Idę po wodę! Mężczyźni pobiegli po wiadra z wodą, ale korytarz

zapełniał się czarnym dymem. Kiedy wrócili i wyłamali drzwi, ogień hulał już w pomieszczeniu.

- Trzeba się ewakuować! Proszę zabrać swoje rzeczy i szybko wychodzić z zamku! - zarządził Tarnowski. - Niech ktoś zadzwoni po straż pożarną!

- Ja pobiegnę za bramę! - zawołał Bartek! - A ty, Edyta, uciekaj!

- Pomogę pani Teresie! Wyprowadzimy z zamku Marię!

- Uważajcie na siebie! Ogień szybko może się rozprzestrzenić!

- W tym pokoju jest właz w suficie, jezeli jest otwarty, to ogień przejdzie na strych!

- Uciekajcie wszyscy na dziedziniec! - krzyknął Tarnowski.

Wylewane wiadra wody były przysłowiową kroplą w morzu potrzeb. Dym nie pozwalał oddychać, słysząc było złowrogi szum ognia i trzask palących się drewnianych mebli.

Straż pożarna przyjechała szybko, ale zamek płonął. Przykro było patrzeć na drobną staruszkę, która ze łzami w oczach obserwowała języki ognia wydobywające się z poddasza jej domu. W krótkim czasie zjawiała się karetka pogotowia ratunkowego i policja.

Grupa stłoczonych na dziedzińcu ludzi bezradnie przyglądała się akcji strażaków.

Tarnowski podszedł do żony podtrzymującej pod ramię Marię.

- Nie mamy co tu robić. Jedziemy do hotelu, a potem zobaczymy... Ach... trzeba jeszcze porozmawiać z policją i dowódcą strażaków, na pewno będą chcieli, żeby podać im dane właścicieli zamku, może podpisać jakiś protokół.

Patrzył ze współczuciem na staruszkę.

-Myślę, mamó, że zamek można będzie odbudować - powiedział pocieszająco do zdruzgotanej widokiem domu Marii.

Pokiwała głową.

- Chciałabym... ale gdzie jest Edyta? - rozejrzała się wokoło.

- Zaraz ją zawołam.

Tarnowski odszukał wzrokiem dziewczynę i podszedł do niej.

- Moja teściowa panią prosi.

Kiedy Edyta podeszła do Marii, ta gorąco podziękowała jej za opiekę nad nią.

- Nie trzeba, pani Mario, robiłam to naprawdę z wielką przyjemnością i troską.

- Wiem, dziecko. Zostaw Teresie swój numer telefonu, musisz dostać wynagrodzenie za swoją pracę.

-Nie, dziękuję. Nie przyjmę, nie pracowałam przez cały miesiąc.

- Proszę podać swój numer telefonu - powiedział kategorycznie Tarnowski. - Za pracę się płaci.

Edyta podyktowała mu numer, który wpisał do pamięci komórki. Do grupy bezradnie przyglądających się gaszeniu pożaru podszedł z notesem policjant i poprosił o podanie adresu i numeru kontaktowego telefonu celem wezwania i sporządzenia protokołu w komendzie policji, jako świadków wydarzenia.

Edyta dopiero wtedy odjechała z Bartkiem samochodem spod zamku, kiedy pożar został już ugaszony. Nie chciała opuścić grupy osób związanych z miejscem, w którym spędzili jakąś część swojego życia. Tak jak i ona. Odjeżdżając, ostatni raz spojrzała w stronę zamku. Wieża, nietknięta językiem ognia, wznosiła się nad ziejącym czernią spalenizny poddaszem.

W drodze do domu Bartek ze smętną miną, ociągając się, powiedział:

- Wiesz, rozmawiałem z matką o tej dziewczynie, Jance. Ona bardzo to przeżywa.

- Z matką? - nie zrozumiała Edyta.

-Moja matka jest dyrektorką tego domu dziecka, w którym wychowywała się Janka.

- Dybowska... Nigdy bym nie pomyślała, że poznam kogoś, kto w jakiś sposób jest związany z tą dziewczyną. Ciebie - spojrzała na chłopaka.

Bartek zmienił nieprzyjemny dla niego temat.

- Ci Bohdanowiczowie, jak na spowiedzi, opowiedzieli nam w salonie tę nieprawdopodobną historię. Jakie ludzie mają pomysły!

- To tak wyglądało, jakby przyznaniem się do oszustwa nam, obcym ludziom, chcieli zrzucić z siebie ciężar

winy. To na pewno w jakimś stopniu pomaga. Jestem ciekawa, czy poniosą jakąś odpowiedzialność. Przecież wyłudzili pełnomocnictwo do konta bankowego Marii. Korzystali z jej pieniędzy jak ze swoich - Edyta pokiwała głową z dezaprobatą. - Trochę jest mi żal Wiesi.

- Mnie też, ale to dzięki jej szarlotce miałas te „wspaniałe” nocne koszmary.

- Nigdy ich nie zapomnę. I damy z fontanny - westchnęła Edyta.

Bartek pochylił się do niej i czule pocałował gdzieś między uchem a szyją.

Epilog

Pożar zamku w Bohdanach koło Grudziądza, wbrew pierwszym szacunkom rzeczoznawcy, nie wyrządził istotnych szkód, zagrażających dalszemu fizycznemu istnieniu budynku. Spłonęło poddasze i kilka pomieszczeń na piętrze. Ogień szczęśliwie ominął bogatą w księgozbiór bibliotekę.

Parter budynku pozostał w stanie nienaruszonym, jedynie podczas akcji gaśniczej woda zalała sufity pokoi i wdarła się na korytarz.

Przeprowadzone w sprawie wybuchu pożaru dochodzenie wykazało, iż jego przyczyną było celowe podpalenie, a do jego rozmiaru przyczynił się otwarty wąż w suficie pokoju, w którym dostrzeżono ogień.

Po długiej rodzinnej naradzie, po powrocie do Szwecji z seniorką, Tarnowscy w obliczu postępującej choroby Marii Bohdanowicz postanowili zamek wystawić na sprzedaż.

Niestety, na kupno zamku wymagającego sporych nakładów na remont nie znaleźli chętnych, do czego pośrednio przyczyniła się mroczna legenda o tragedii, która wieki temu wydarzyła się w posiadłości.

Świadkowie opowiadali o damie z fontanny w szatach z epoki, przechadzającej się z psem po dziedzińcu zamku, alejce parkowej w pobliżu bramy, czasem widziano jakąś postać na tarasie wieży. Odbywało się to zawsze o zmroku, w pochmurny, dżdżysty dzień.

Dla pogrążającej się w smutku Marii Bohdanowicz, tęskniącej za zamieszkaniem w zamku, Tarnowscy postanowili podjąć się chociaż częściowej odbudowy posiadłości, licząc na dotację finansową od głównego konserwatora zabytków w Polsce.

Maria Bohdanowicz z pomocą zięcia założyła fundację im. Janiny Kowalskiej, wspierającą finansowo wychowanków polskich domów dziecka, opuszczających ich podwoje.

Przed wyjazdem do Szwecji Tarnowscy dokonali pochówku córki, Ewy Tarnowskiej, obok Janki Kowalskiej, jej córki, którą porzuciła. Uroczystość odbyła się na rodzinnym cmentarzu, na terenie posiadłości, opłacili też firmę zajmującą się ochroną i porządkami na zleconych grobach oraz ochroną nieruchomości.

Bohdanowiczom, fałszywej „rodzinie” i Wiesi Winter Maria wybaczyła, nie chciała zwrotu żadnej sumy pieniędzy.

Natomiast małżeństwo Winterów oraz Urszula z Szymonem przepadli gdzieś w Polsce, nie zostawiając za sobą żadnego śladu, który mógłby naprowadzić na ich miejsce pobytu.

Zresztą, nikt ich nie ścigał.

Po dziś dzień obserwujący zza bramy zamek o zmroku są świadkami dziwnych, mrożących krew w żyłach zjawisk.

W niezamieszkanym budynku palą się i gasną światła w oknach, widać cienie poruszających się rycerzy w zbrojach, słysząc rżenie koni, po dziedzińcu przechadza się dama, trzymając nad głową parasolkę, a obok niej idzie wielki pies.

Koniec